

Grzegorz Szymborski

Wolność
niejedno ma imię



Grzegorz Szymborski

**Wolność
niejedno ma imię**

Prolog

Kiedy w 1697 roku Rzeczpospolita została związana unią personalną z Elektoratem Saksonii, rozpoczął się przedostatni, bardzo przykry pod wieloma względami, rozdział w historii państwa polsko-litewskiego, określane przez wielu jako dzieje agonii. Zastój w polityce, pauperyzacja chłopów, upadek armii charakteryzują ówczesny kraj. Dawniej, za czasów Jagiellonów, Batorego oraz Zygmunta i Władysława z Wazów, Polska i Litwa przeżywały okres największego rozkwitu. Rzeczpospolita górowała nad innymi mocarstwami Europy. Niestety, te czasy minęły i choć stare powiedzenie: „za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa” nie straciło dotychczas na wartości, hegemonia Rzplitej nigdy już nie dała o sobie znać.

Choć kres Srebrnego Wieku, tj. śmierć Władysława IV Wazy, uznany został przez kogoś za początek nieszczęść Rzeczypospolitej, ten kto tak twierdził, nie mógł wiedzieć, jak źle powodzić się będzie Polsce i Litwie po śmierci Jana Sobieskiego. Wojny toczony o sukcesję tronu polskiego pomiędzy Sasami i Leszczyńskim stały się powodem wielu niekorzystnych czynników, które odbiły się na funkcjonowaniu kraju przez kolejne dziesięciolecia. Tedy to właśnie obcokrajowcy poczęli się angażować w wewnętrzne sprawy w Rzeczypospolitej, biorąc pod uwagę fakt, że nie może takiej Rosji czy Szwecji zagrozić. Petersburg, prócz z niemocy Rzeczypospolitej, korzystał z przywilejów wtrącania się w wewnętrzne sprawy kraju, pod pretekstem obrony wyznawców prawosławnych, które to Rosja w wyniku pokoju Grzymułtowskiego otrzymała. Wojny o tron doprowadziły również do podziału społeczeństwa zarówno polskiego jak i litewskiego. III Wojna Północna pogłębiła Polaków i uwydatniła antagonizmy dzielące Naród. Choć Rzeczpospolita prawie nie brała w tym konflikcie udziału, to działania wojenne toczony były głównie na jej obszarze. Żadnej rekompensaty jednak nie otrzymała. Pierwsza połowa XVIII wieku była dla Rzeczypospolitej czasem wojen domowych, mozolnego rozwoju i bierności na arenie międzynarodowej. Upadł honor szlachecki, zaprzestano ćwiczyć wojska, szlachta wolała parać się polityką i dalej wyzyskiwać chłopów. Nieraz, podczas buntów i wypadów hajdamaków na Prawobrzeże, trzeba było gromadzić dwukrotnie liczniejsze siły koronne, aby to „rycerstwo” zechciało stanąć przeciw hultajstwu.

Podczas trwających przeszło sześćdziesiąt lat czasów saskich, wytworzyło się potężne stronnictwo republikantów pod wodzą Potockich, którzy od czasu podpisania elekcji Stanisława Antoniego Poniatowskiego na króla Polski i Wielkiego Księcia, a właściwie już od połowy lat 40., stali się główną opozycją dla zyskującego przewagę dworu, czyli Familii Czartoryskich.

Nadeszła jesień 1766 roku. Choć już dwa lata minęły od obioru „Ciołka” i skonfederowania sejmu, zostały one w spokoju przeżyte przez mieszkańców kraju Obojga Narodów. Wszystko wskazywało na to, iż coś ważnego się już wkrótce

wydarzy. Niewielu jednak przypuszczało, że może to być coś złego dla państwa. Większość Polaków i Litwinów skupiała się na osobie nowo obranego władcy, w którym Czartoryscy i ich poplecznicy pokładali wielkie nadzieje. Nie brakowało wątpiających i wrogich, zwłaszcza przeciwników Familii. Republikanci jawnie sprzeciwili się królówi, gdy doszło do sejmu zwanego „sejmem Czaplica” od nazwiska podkomorzego łuckiego Celestyna, pod którego laską ów sejm obradował. Stronnictwo starszszlacheckie dosyc miało samowoli Czartoryskich, którzy najpierw wezwali do Polski Moskali i gwałtem zmusili „Sasów” do opuszczenia Warszawy, usadowili na tronie stolnika litewskiego, zawiązali konfederację i, tym samym, związali im ręce.

Posiedzenie to było inne niż zwykle. Familia z królem byli żądni reform. W gabinecie królewskim odbywały się tajne narady, na których król z poplecznikami starał się zgotować projekty modernizujące kraj. Wszystkie jednak wyciekające z niego informacje wędrowały do jegomości Repnina, który dzięki uprzejmości Wessla, Mniszcha i referendarza Podoskiego, mógł w spokoju popracować z posłem pruskim nad planem przeciwdziałania. Tak doszła do niego wieść o pomysle króla i Andrzeja Zamoyskiego, którzy pragnęli przeforsować projekt głosowania większością, nad wnioskami składanymi przez Komisję Skarbową. Ambasador rosyjski Nikołaj Repnin zagroził wojną, gdyby owa ustawa ujrzała światło dzienne. Równocześnie wystąpił poseł Repnin sam, czy też z carskiej woli, z niegodziwą propozycją, aby dysydenci uzyskali te same prawa co katolicka szlachta. Ambasador pruski Benoit także poparł tę sugestię. Chciał, by także protestanci cieszyli się większą swobodą. Republikanci na czele z biskupem krakowskim Kajetanem Sołtykiem i biskupem kamienieckim Adamem Krasieńskim, broniąc wiary katolickiej, przeciwstawili się Rosjaninowi. Bronili uprzywilejowanego katolicyzmu. Familia Czartoryskich, stronnictwo, które od czasu konwokacji pod moskiewskimi bagnietami uznawane było za wrogie dla wszystkich prosaskich polityków, również odrzuciło myśl Repnina. A sojusz kanclerza rosyjskiego Panina i Czartoryskich kruszył się z dnia na dzień... Czartoryscy nie mogli ryzykować jeszcze większych komplikacji w kraju, dlatego, aby odbudować wizerunek wśród szlachty, zmuszeni byli przeciwstawić się dotychczasowemu protektorowi. Familia z Poniatowskim na czele, sprzeciwiła się projektowi dysydentów. Chcieli zyskać popularność wśród szlachty i zniechęcić Katarzynę do wtrącania się w sprawy Rzeczypospolitej, choć stolnik litewski zapewniał przed koronacją, że zrówna dyzunitów z łacinnikami. Sam król był gotów spełnić żądania dysydentów, jednakże, w skrytości przed sejmem, Nikołaj Repnin łudził „Ciołka”, iż w zamian za poparcie jego projektu wymaże z polskich obyczajów liberum veto. Król przyjął postawę wyczekującą, bał się całkowicie sprzeciwić Repninowi i Katarzynie, ale nie chciał stracić, podobnie jak Czartoryscy, resztek szacunku u szlachty.

Monarcha poszedł jednak na niewielkie ustępstwa. Od tej pory interesy zarówno dyzunitów jak i protestantów zostały wyjęte spod jurysdykcji kościelnej. Była to jednak zaledwie namiastka tego, czego luteranie, kalwini i prawosławni żądali od tak wielu lat. Szlachta różnowiercza bowiem, od Sejmu Niemego, kiedy to jej prawa zostały

ograniczone, domagała się pełni przywilejów politycznych: uczestnictwa w sejmach, urzędach państwowych i wolności praktyk religijnych. Teraz jednak, przy wsparciu ościennych dworów, różnowiercy mieli stać się bardziej zuchwali...

Dążenia do równouprawnienia innowierców popierała Rosja. Minister duński Bernstorff, w imieniu swojego rządu, szczerze życzył Rzeczypospolitej sukcesów i postępu, cokolwiek to miało znaczyć. Król pruski Fryderyk bał się natomiast, że różnowiercy z jego państwa żądać będą później tego samego. Także i sam król polski w skrytości popierał dążenia innowierców i był im przyjazny, ale nie mógł nic uczynić, gdyż i tak tracił już sprzymierzeńców. Drugim, po kwestii różnowierców, celem ambasadora było rozwiązanie trwającej od dwóch lat konfederacji. Zrozumiawszy, iż Czartoryscy z królem zabiegali o pomoc Rosji, jako narzędzia, Repnin spędził krnąbrnym Polkom sen z powiek. Poparło go w tej kwestii stronnictwo saskie, w którym Nikołaj począł widzieć nowych klientów Rosji, bardziej jak Czartoryskich, głupich i łasych na pieniądze. Republikanci dążyli do zemsty na znienawidzonym królu, tym bardziej że od czasu zbliżenia „Sasów” do posła Repnina, ten zapewniał ich, że sprawa dysydencka ma tylko zmusić szlachtę do walki o umocnienie własnych swobód, a w pierwszej kolejności zależy mu na przywróceniu starego, tj. saskiego, (nie)rządu.

Nie chcąc, aby zgromadzenie szlachty stało się totalną katastrofą, Familia zagłosowała przeciw własnym projektom, przez co w sprawach zmian podatków i zwoływaniu pospolitego ruszenia wciąż trzeba było okazywać na sejmie jednomyślność. Prócz tego podwyższono żołąd oraz zniesiono cło przewozowe w kraju. Dzięki temu ambasador Nikołaj i Republikanci zostali częściowo uszczęśliwieni, rozwiązano konfederację, ale plan Repnina co do różnowierców został chwilowo odroczone. Czartoryscy z królem przechytrzyli Repnina, wzbudzając jednak jego gniew. „Sasi” też zyskali to, co chcieli. Repnin wrócił do Rosji bez większych owoców swego działania.

Rozdział pierwszy: Zagrożenie

Chcąc zjednać sobie szerokie grono popleczników, król August nawiązywał stosunki dyplomatyczne z magnaterią, wysoko postawionymi rodami szlacheckimi oraz wpływowymi, piastującymi dożywotnie urzędy dygnitarzami. I choć czuć w tym zajęciu było wazelinę, sam władca podchodził do sprawy z dystansem – po latach panowania tak to wspominał: *Trzeba było z tą ciżbą debatować, podziwiać ich brednie, a nade wszystko ścisnąć ich brudne, kapcańskie osoby*. Było także królowi dbać o wielce poprawne stosunki z ostatnim rzeczywistym lennikiem koronnym - księciem Kurlandii i Semigalii Ernestem Bironem, by i ten wstawiał się za Jego Królewską Mością. W tym celu Poniatowski wysyłał ku niemu posłów, a spośród nich jeden odznaczał się wielce, gdyż był w przyjaźni z księciem, który go jak syna kochał, a i „dziecię” odwzajemniało sympatię, zapewniając o poprawnych stosunkach Księstwa z Rzeczpospolitą. Nie była to jednak lekka i błaha praca, która z pozorów przypominała inne misje kurierskie. Ulubiony goniec króla miał nie lada wyzwanie, zwłaszcza że od śmierci ostatniego z rodu Kettlerów w księstwie nasiliły się wpływy rosyjskie za sprawą Anny Iwanówny i Katarzyny II. Nowy książę, Ernest Jan Biron, został ponownie obrany na władcę niemieckiego państewka dzięki poparciu carycy Katarzyny. Osoba przychylna Rosjanom na majestacie lenna Rzeczypospolitej sprawiała więc dodatkowy problem. Poseł jednak umiał przekonywać księcia do racji Jego Królewskiej Mości, które różniły się od poglądów cesarzowej.

Nadszedł trzydziesty dzień listopada. Poseł królewski wracał właśnie z bałtyckiego księstwa z listem do króla Poniatowskiego, przedzierając się wraz ze swoją kompanią ułanów przez bujne litewskie lasy. Zwał się Paweł Taszczyński. Służył jako porucznik ułanów u Jego Książęcej Mości Michała Kazimierza Ogińskiego i, rzecz jasna, u samego króla. Był to młody mężczyzna, w połowie lat trzydziestu, człek średniej postury, z oczami brązowymi jak kasztan oraz ciemnymi blond włosami podchodzącymi gdzieś pod brąz, wystającymi spod jego niebieskiej ułanki.

Miał pod sobą trzydziestu ludzi, w tym swego bliskiego przyjaciela - pana Janusza Wiktora Zatopockiego, wybitnego saperskiego i inżyniera zarazem. Ten drugi zdawał się zgrywać elegancika, zawsze odziany w szykowne ubrania wedle wzorców europejskiej mody. W podróży jednak ubrany był w długi, niebieski płaszcz z żółtymi wyłogami, skórzane botforty z cholewą za kolana. Na zadartym nosie miał okulary. U boku zamkowego pasa przytroczony rapier z rękojeścią-kabłąkiem ozdobioną lśniącem kamieniem szlachetnym. Przystrzyżone włosy ukryte były pod trójgraniastym kapeluszem.

Wszyscy członkowie kompanii, łącznie z porucznikiem, przeszli szkolenie

wojskowe w Koronie i w Saksonii. Byli więc dobrymi żołnierzami. Wszyscy nabyli doświadczenie podczas Wojny Siedmioletniej.

Paweł i Janusz mieli posłuch wśród żołnierzy, lecz gdy porucznik nie domagał bądź nie miał warunków do prowadzenia kompanii, dowództwo obejmował niemniej szanowany, silny i porywczy wachmistrz Andrzej Piekarski - zaufany człowiek Pawła i towarzysz broni od zarania dziejów. Był dobrym żołnierzem, strzelał najlepiej w całym oddziale, ale miał jedną przywarę: gdy tylko dopadł kufla z miodem bądź ze zmrożonym piwem, zwłaszcza po wyczerpującym dniu, ciężko było pohamować jego ambicje i postawić go nazajutrz na nogi.

Wszyscy, którzy w owych czasach mieszkali na Litwie, gdy tylko usłyszeli radosne pieśni wesołej kompanii Pawła oraz dźwięki wydawane przez instrumenty dwóch wojskowych muzyków, umilających czas spędzony w plenerze, wiedzieli, że to orszak pana Taszczyńskiego, Jeźdźcy byli elegancko umundurowani. Niebieskie spodnie sięgały ponad kostki. Białe - niebieskie kurtki kawaleryjskie z luźno opadającymi rękawami, typowe były dla mody polskiej. Czapki mieli płaskie, z futrzanym obszyciem. U szeregowych derka była błękitna, dodatkowo obszyta na czarno, u oficerów na srebrno. Torby posiadali skórzane, z narożnymi obiciami. Siedzieli w tatarskich siodłach, bo od Lipków się formacja ułanów wywodziła. Kawalerzyści uzbrojeni byli w szable, lance z proporczykami w kolorach tych samych, co odzienie. W olstrach trzymali pistolety, a przez ramię, co niektóry żołnierz, przewieszony miał na rzemieniu karabin.

W oddziale porucznika zawsze panowała przyjemna atmosfera, lecz gdy ktoś naraził się Taszczyńskiemu, ten potrafił zaprowadzić porządek w kompanii. I mimo tego, iż kary były surowe i czasami wręcz poniżające, wszyscy żyli w głębokiej przyjaźni i respektowali swojego dowódcę. Taki stan rzeczy sprawiał, że niesubordynacja w oddziale była już rzadkością.

Paweł należał do ludzi, którzy nie pałali miłością do króla i szlachty. Wiedział, przez co Rzeczpospolita jest, jaka jest, zdawał sobie sprawę, że Antoni nigdy nie zostałby wyniesiony na tron Rzplitej, gdyby nie poparcie carycy i Familii Czartoryskich. Wzbudzało to w nim niechęć, gdyż wiedział, że król pokłada nadzieję w poparciu Katarzyny. Mimo tego Paweł służył władcy, gdyż uważał, że bez lojalności wobec króla byłby nikim. Jak przystawało na wiernego sługę Obojga Narodów, króla traktował jak ojca, Rzplitą jak matkę.

Przemierzając bezkresne bory i pola Wielkiego Księstwa przypominał sobie, czego nauczył się o tym kraju z czasów jego dominacji, kiedy to te tereny zamieszkiwały miliony mieszkańców różnych narodowości. Był to cudowny świat, w którym Kozak trzymał się za rękę z Polakiem, Prusak z Litwinem, Mazur z Rusinem. Wszyscy żyli tam razem, dbając o wspólne dobro - Rzeczpospolitą, jedyną taką na świecie. Ich wzajemne poszanowanie i tolerancja były atrybutem kraju i przykładem dla chrześcijaństwa, kiedy

to w innych państwach, jak na przykład w Świętym Cesarstwie Rzymskim, wielokrotnie dochodziło do rozruchów religijnych i prześladowań. Nie pytano wędrowca - Ktoś ty panie, krześcijaanin?, lecz czy luter, kalwin, a może katolik... Zła odpowiedź - kula w łeb. Dlatego właśnie były powody do dumy z tego kraju na wschodzie, służącego za przykład dla całego chrześcijaństwa, na który to papież spoglądał z uśmiechem z komnat swojej bazyliki, lecz także na kraj chroniący zawsze zachód przed podupadającym już Imperium Ottomańskim, mongolskimi ordami, zwanymi błędnie w Europie tatarskimi i rosnącym w siłę Carstwem Rosyjskim. Działo się tak tylko dlatego, że dziatki króla i Rzplitej były gotowe skoczyć dla nich w przepaść. Nie brakło jednak czarnych owiec w tej sielskiej rodzinie. Wieczne utrapienie Rzeczypospolitej - bogata i pyszna magnateria, sprzedajna szlachta z rezonem, co się za potomków starożytnego plemienia uważała, skutecznie manipulowały krajem, podsycając płonący stale ogień. Żyzne pola Rzeczypospolitej zamieniły się w jałowe, bezludne pustkowia. Dawny brat okazywał się być mordercą. Stare „państwo bez stosów” stało się jednym, wielkim pogorzelnikiem. Wplątana w liczne konflikty Rzplita Obojga Narodów została okrojona od zewnątrz, tracąc kolejne terytoria, ale i poraniona na powierzchni przez sąsiadów, którzy wraz z łasą na czerwońce magnateria, skutecznie blokowali zagojenie się krwawiących ran. Chłuba i duma państwa jaką było poszanowanie innowierców, stały się przekleństwem i zgubą. Nikt nie przyszedł jej z pomocą. Rzeczpospolita dogorywała. Stała się rzeczywistym uosobieniem agonii.

Przybliżając sobie pokrótce historii Rzeczypospolitej, Paweł poczuł, jakby śnił mu się straszliwy koszmar. Przypominał sobie, że teraz sąsiedzi Polski: Prusy i Rosja, domagały się równości pomiędzy różnowiercami. Mieli czelność prosić czy raczej rozkazywać, abyśmy uczynili dla dysydentów więcej niż na początku ubiegłego stulecia! Zły sen trwał - w rzeczywistości oraz umyśle porucznika. Na szczęście wybudził go z niego pan Zatopocki, który przemawiając do nieobecnego myślami przyjaciela, ponawiał to samo pytanie po raz któryś z kolei:

- Hejże, Pawle! Mówię do ciebie. Jak daleko do najbliższego miasta? Kończą się żywność i woda w bukłakach, a maszerujemy nieprzerwanie od dwóch dni!

- Najbliższym miastem postojowym, w którym należycie odpoczniemy, będzie Wilno, niespełna dzień drogi stąd - odrzekł pan Taszczyński, poprawiając ułankę na głowie.

- Winniśmy zatem poszukać wodopoju, także i konie przyda się napić - zauważył Janusz. - Nie chcemy chyba, by padły nam w połowie drogi!

- Król by nam tego nie wybaczył - stwierdził żartobliwie Paweł.

- Ciężko by było tedy do króla jegomości dotrzeć!

Znużony całodniową wędrówką orszak poruszał się coraz wolniej. Widząc to, pan

Taszczyński zarządził postój. Kompania przejeżdżała właśnie przez niewielką polanę, tak więc Paweł nakazał wstrzymać pochód. W samym centrum, w miejscu, gdzie rósł odosobniony, olbrzymi dąb, jeźdźcy rozbili swój obóz. Postanowiono poczekać z wznowieniem podróży do rana. Przywiązawszy konie do grubych gałęzi drzewa, ułani, na rozkaz pana Taszczyńskiego, stawili się w szeregu.

- Panowie. Książę Biron z troski o naszą dobrą żołnierską posturę, nazbyt dużo prowiantu nie przydzielił. Ponieważ kończy się jadło, a co gorsza i płyny wszelakie, musimy przeczesać okolicę w poszukiwaniu strumienia i jakiejś strawy! - zakomenderował Paweł.

- Zatem wbrew to woli jego książęcej mości! - zakrzyknął w tłumie kawalerzystów jeden z ułanów.

-Biorę ten czyn na swoje sumienie! – odparł, śmiejąc się, dowódca. – Gdy idzie o napitek, bardziej bym o naszych wierzchowcach myślał niżli o waćpanach.

- Zawsze pozostaje dla nas kilka butelek gorzałki - zauważył jeden ułanów, wzbudzając wśród innych śmiech. Na twarzy pana Taszczyńskiego także pojawił się uśmiech.

- Kilka butelek na trzydziestu zgoła ludzi? Oszalałeś! - zaśmiał się pan Zatopocki, a wraz z nim pozostali.

- A jeśli w tutejszej kniei nic dla naszych czworonożnych kompanionów nie znajdziemy, będzie nam trzeba się i gorzałką z końmi podzielić, nie tylko trudami podróży! – roześmiał się pan Piekarski

- Dla co niektórych jeno łyk specjału pana wachmistrza wystarczy, aby położyć pokotem i największego twardziela - zauważył ten sam ułan – zobaczymy, czy i na nasze rumaki podziela!

- Byle do wieczora, mości panowie! - odezwał się porucznik - Tak czy siak, musimy się rozdzielić i poszukać wody. Podzielimy się na kilkusobowe grupy. Pan Piekarski pozostanie dopilnować obozu i cennych specjałów, ja i Janusz pójdziemy na północ, reszta zaś niech dzieli się wedle własnego uznania - zdecydował Taszczyński.

W chwilę potem żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony i w przeciągu kilku minut sylwetki postaci zniknęły w ciemniejących lasach. Przyjaciele przygotowali ekwipunek i ruszyli w stronę boru. Chwilę później Paweł i pan Zatopocki stanęli na skraju kniei.

- Jesteś pewien, że chcesz tam wejść? - zapytał Janusz.

- Mamy inne wyjście? Przecież bez wody ani my, ani konie nie dotrzemy do Wilna
- zauważył Paweł. - Sam zwróciłeś mi na to uwagę.

- Może ja pozostanę z wachmistrzem popilnować obozu? - zaoferował się pan Zatopectki.

- Widzę, że ciebie aż korci obaczyć tej ambrozji - uśmiechnął się porucznik.

- Nie skosztować, ale przypilnować innych, co pewnie skorzystają z okazji i wróciwszy, dobiorą co nieco dla siebie.

Porucznik dał znak, by Janusz się nie kłopotał i zadbał o to, co trzeba. Pan Zatopectki skinął głową, po czym Taszczyński znikł w gęstwinie leśnej. architekt zawrócił do obozu.

Dowódca ułanów szedł z wolna po lesie, trzymając dłoń na rękojeści szabli. Przysłuchiwał się odgłosom natury, nasłuchując płynącego strumienia. Krocząc po tej nieokiełznanej puszczy, słyszał pohukiwania sów, odgłosy szeleszczących na wietrze nielicznych liści, które się jeszcze tej jesieni na konarach ostały, piski gryzoni i szybkie skoki zajęcy uciekających na zimę do nor, kruszące pod butami zeschnięte fragmenty roślin. Szumu płynącej wody jednak nie usłyszał. Zapuszczał się jeszcze bardziej w głąb boru, napotykał coraz to nowe instrumenty leśnej orkiestry.

Tymczasem pan Zatopectki zmierzał w kierunku obozowiska, gdzie wachmistrz szykował już ogniska na wieczór. Piekarski nie dostrzegł ani jego, ani młodzieńca, który zakradł się i sięgał już do torby wachmistrza.

- Poczekać nie możesz, waszmość? – Janusz chwycił chłopaka za ramię.

Jak się okazało, był to ten sam ułan, który tak ochoczo o gorzałce niedawno rozprawiał.

-A to nie winien waszmość zwierzyny szukać? - kontynuował architekt

-A i waćpan?

- Mnie tu pan porucznik wysłał, byle dóbr wszelakich od takich smakoszy chronić! Jużci! Ruszajże i co nakazał mości pan Taszczyński rób!

-Pędzę! – odparł chłopak i po chwili już go w obozie nie było.

Teraz Janusz sam zerknął na lekko rozwartą torbę wachmistrza. Kucnął, spostrzegł,

że pan Piekarski dalej jest zajęty i wyciągnął flaszę. Dręczyły go jednak sumienie i wstyd. Wiedział, że nie powinien zostawiać Pawła samego, ale sam zainteresował się bimbrem Andrzeja, który w Mitawie opracował nowy specyfik. Poczł jednak, że musi pójść z przyjacielem. Przez głowę przechodziły mu przerażające myśli: rozszarpanie porucznika przez jakąś leśną bestię, napad rabusiów i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze! Zatopocki spojrzł na rzeczy porucznika pozostawione na siodle wierzchowca. Dostrzegł jego pistolet kawaleryjski.

- *Przecież nawet nie będzie w stanie nas zaalarmować* - pomyślał Janusz, chwytając jego broń. W obliczu tego niebezpieczeństwa inżynier odwrócił się na pięcie w stronę lasu i pobiegł za przyjacielem.

Paweł kontynuował wędrówkę. W pewnej chwili natknął się na pszczeli ul, a raczej na jego resztki. Ostrożnie zbliżył się do zniszczonej barci. Wtem za drzewem, pod którym leżała zdewastowana pasieka, rozległ się odgłos sapiącego zwierzęcia. Ciarki przeszły Pawła na wskroś. Powoli wyciągnął szabelkę z pochwy i przyległ do pnia. W desperackim ruchu skoczył za drzewo, lecz, ku swemu zdziwieniu, niczego tam nie zastał. Po chwili jednak zauważył cień wyłaniający się z za jego pleców, usłyszał warczenie zwierza, poczuł również niewyobrażalny smród wydobywający się z paszczy. Coś kapnęło na ziemię tuż obok buta Pawła. Porucznik obejrzał się i dostrzegł wielkiego niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach, z kłami na wierzchu i pazurami ostrymi jak brzytwy. Miś, co najmniej dwukrotnie większy od Pawła, miał brązowawe futro, a jego pysk był umorusany miodem. Napastnik przymierzał się do ataku, wpierw dał szansę, aby pokazać, kto tutaj rządzi w tym lesie, Paweł instynktownie sięgnął po pistolet, lecz na swoje nieszczęście, zapomniał go wziąć. Niedźwiedź nie czekał dłużej. Zrobił w powietrzu zamaszty łuk łapą, mający powalić intruza na ziemię. Ileż miał szczęścia pan Taszczyński, gdy odchylił się o centymetr w bok. Tyle właśnie brakowało, by porucznik dokonał żywota. W szale rzucił się zwierz na Pawła, lecz ten zdążył uskoczyć na stronę i przy okazji ciachnąć misia w kark. Ten tylko jeszcze bardziej się zdenerwował, w jego oczach zapłonęła nienawiść. Niedźwiedź przypuścił kolejną szarżę, tym razem skończyło się poranieniem przedniej łapy i odrąbaniem lewego ucha tego monstrum. Krwawiący zwierz zaatakował Pawła po raz kolejny i obalił go na ziemię. Kulejący miś zmierzał ku ofierze, niezdolnej już do powstania. Ryknął donośnie na obolałego Pawła, opluwając go śliną zmieszaną z niedźwiedzią posoką i miodem. Miał już wbić pazury w brzuch porucznika, gdy rozległ się huk wystrzału i ryk zwierzęcia zamienił się w skowyt. Z lewej strony niedźwiedziej głowy trysnęła krew i kawałki zwierzęcego mózgu. Paweł otworzył oczy i ujrzał leżącego nie więcej niż pół metra od siebie, martwego zwierza, spod którego wypływała krew oraz zbliżającego się wybawcę - pana Zatopockiego.

- Pawle, jesteś cały? - zawołał Janusz, pochylając się nad porucznikiem.

- Chwała Bogu i tobie za ratunek! - powiedział zdyszany pan Taszczyński,

zdejmując z nogi łapę martwego zwierza - Nie, nic mi nie jest, jeno porządnie uderzyłem się w głowę.

Janusz pomógł przyjacielowi wstać.

- Sądziłem, że wolisz doglądać obozu - zauważył Paweł.

- Cóż, nie mógłbym zostawić przyjaciela samego - rzekł pan Zatopocki - Moje przecucia co do zagrożeń okazują się, jak widać, trafne. Jak zwykle zapomniałeś pistoletu!

Pan Taszczyński poklepał przyjaciela po ramieniu, jednak tę uroczą scenę zakłócił odgłos trębacza, co gorsza, nie z kompanii ułanów, bo takowej nie posiadali.

- Słyszałeś to? - zapytał zaniepokojony porucznik.

Dźwięczny sygnał się powtórzył.

- Jasne, chodźmy lepiej obaczyć, kto to nadchodzi. Miej baczenie przyjacielu...

Mężczyźni czym prędzej udali się w stronę, z której dochodził ten niepokojący odgłos. Im bardziej zbliżali się, tym donośniejsze stawało się brzmienie instrumentu, a także dało się słyszeć tętent kopyt oraz tupot maszerujących żołnierzy. Wreszcie przyjaciele dotarli do gościńca, przed którym znajdowały się ogołoczone z liści krzewy. Tam ułożyli się pod świerkiem z licznymi i rozłożystymi gałęziami. Mając pewność, że przez gałęzie i gęsto rosnące igły Paweł i Janusz nie zostaną rozpoznani, oczekiwali cierpliwie na nadejście orszaku. W końcu doczekali się. Zza zakrętu wyłonił się duży poczet piechoty, a także grupa ubranych na czerwono artylerzystów ze swoimi armatami ciągniętymi przez liczne konie. Wszyscy piechurzy byli dobrze wyposażeni w duże ładownice, prochownice, chlebaki, nowoczesne karabiny i muszkiety skałkowe. Sądząc po umundurowaniu oraz znakach charakterystycznych, obaj domyślili się, że nadciągające wojsko to siły zbrojne z Cesarstwa Rosyjskiego. Niekończący się sznur carskiej piechoty odzianej w granatowo - żółte mundury zasiliły wkrótce oddziały dragonii, której duży zastęp wyłonił się zza wirażu. Dalej nadciągały kolejne jednostki piechoty, tym razem posiłkowane przez piechurów znad Donu, a także okazały zastęp huzarów i lekka jazda kozacka w futrzanych czapach ze spisami przewieszonymi przez ramiona. Główną siłą armii stanowili grenadierzy, z charakterystycznymi wysokimi czapkami i torbami wypchanymi czarnymi pociskami.

- Cóż oni robią w Rzeczypospolitej?! - szepnął w końcu oburzony pan Zatopocki, wpatrując się we wrogie wojska.

- Nie mam pojęcia, lecz ich obecność tutaj nie wróży niczego dobrego... -

odpowiedział Paweł, wodząc wzrokiem za żołdakami.

- Pewnie mają manewry - mruknął Zatopocki, przyglądając się żołnierzom największej lądowej armii w Europie.

- Uwaga! - krzyknął do przyjaciela Paweł, pochylając głowę, gdyż dwóch Kozaków gnało poboczem i ścinało przydrożne krzaki cięciami szabel, wydając przy tym dzikie okrzyki.

- Co za nieokrzesany naród... - stwierdził Janusz, odganiając dłonią wezbrany w powietrzu pył jezdny.

Nos sapera źle zareagował na kurzawę. Mimowolnie pan Zatopocki kichnął, zwracając na siebie uwagę nadjeżdżającego Kozaka. Ten, zaciekawiony dziwnym odgłosem, wstrzymał konia i zaczął przyglądać się w kryjówce Polaków. Janusza i Pawła ogarnęła trwoga. Rusin wyciągnął zza pasa pistolet, po czym wycelował go w krzaki. Miał już nacisnąć za spust, kiedy przejechał między nim, a Polakami zastęp huzarów. Gdy żołnierze minęli Kozaka, czarnowąsy Rusin przygotował broń do strzału. Wtem ponaglił go jego przełożony. Spojrzał jeszcze raz w zarośla, zanim ruszył w dalszą drogę.

Paweł i Janusz byli uratowani, czekali jednak, aż wróg zniknie za zakrętem, gdyż do ostatniej chwili ów Kozak wodził wzrokiem za kryjówką pana Taszczyńskiego. Przyjaciele stwierdzili, że dosyć już tutaj zabawili, tak więc przeczekali, aż zastęp Dońców, stanowiących tylną straż, ich ominie, po czym powoli, czołgając się, wycofali się w stronę lasu. Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, Paweł i Janusz popędzili ile sił w nogach. Zatrzymali się dopiero w miejscu, gdzie ubito wcześniej niedźwiedzia.

- Cóż... - zaśmiał się zdyszany pan Zatopocki - Dość nietypowa wędrownka po lesie!

Pawłowi jednak nie było wcale do śmiechu. Wielce strapiony widokiem przybyszy ze Wschodu, zajął się żmudną pracą, jaką była obróbka mięsa niedźwiedziego. Wziąwszy kilka płatów mięsiwa, udał się z Januszem w stronę obozu. Kiedy dotarli na skraj polany, skąpany do tej pory w blasku słońca świat, pogrążył się w całkowitych ciemnościach. Dla ułanów jednak dzień się dopiero zaczynał. Z oddali pan Taszczyński dostrzegł już płonące ogniska i ledwo trzeźwe sylwetki żołnierzy. Po niespełna minucie Paweł i Janusz zawitali do obozowiska. Od dawna już trwała tutaj żołnierska libacja. Ułani znalazłszy w lesie strumień z wodą i zebrawszy dary runa leśnego, powrócili szybko przyrządzić wieczerzę, podczas gdy wachmistrz Piekarski szykował już imprezę. Humor Pawła nie poprawił się, nawet w towarzystwie wesołej kompanii. W końcu zdziwiony postawą zamyślnego porucznika i Janusza pan Andrzej zapytał:

- A cóż to za smętne miny panowie? Od powrotu nie ozwalicie się ni słowem. Coście tam w borze znaleźli poza niedźwiedziem?

- Rosjan mości wachmistrzu... - odezwał się pan Zatopocki - Wielką armię Moskali!

- Waść się z kobyłą na rozumy pozamieniał, czy może napił się wcześniej w lesie?
- zaśmiał się wachmistrz, a wraz z nim reszta kompanii.

Paweł jednak nic się nie odezwał. Pozostawał zasmucony i zadumany. Nie dość, że natknął się na wrogie Rzeczypospolitej wojska w obrębie jej granic, to stał się dzisiaj z niedźwiedziem, który powinien był już dawno zapaść w sen zimowy! Dziwny był to omen... Jakby zwiastować miał niespodziewane i nagłe niebezpieczeństwo... Ciemne chmury wezbrały nad krajem. Coś niedobrego działo się z Rzeczpospolitą. Coś, co mogło bezpośrednio zagrozić jej istnieniu...

O wschodzie słońca kompania wznowiła swoją wędrówkę. Jeszcze dzisiaj pan Taszczyński planował zajechać do Wilna, a dzięki znalezionej wczoraj wodzie, drużyna mogłaby posunąć się jeszcze dalej. Ułani uwijali się jak w ukropie, bowiem wiedzieli, iż im szybciej dotrą do litewskiej stolicy, tym szybciej uzyskają zasłużony odpoczynek. Perspektywa najbliższej przyszłości zdawała się być dla żołnierzy pociechą i powodem do radości, jednakże nie wszyscy podzielali ten entuzjazm. Pomimo iż wachmistrz Piekarski nie dowierzał panu Zatopockiego w kwestii napotkanych Rosjan, od rana był wielce zdesperowany i zafrasowany. Nerwowo oglądał się za siebie, a wydawaniu poleceń towarzyszyły irytacja i wrzask. Spinał konia ostrogami mocniej niż zwykle, ciął batogiem koński zad. Mimo humorów wachmistrza kompania była w dobrym nastroju. Przepiękny poranek na Litwie rozchmurzył ułanów, którym na chwilę obecną nie straszni byli żadni Rosjanie. Zdawałoby się, że w taką pogodę to i samego Goliata, Krakena czy inną kreaturę można pokonać. Porucznik Taszczyński zdawał się być jednak myślami niedostępny, obecność wojsk carskich bardzo go zaniepokoiła i zaprzętała jego umysł. Mimo iż była to norma, że kraj deptały wrogie wojska, porucznik nie mógł się z tym pogodzić, tym bardziej, gdy widział to na własne oczy. Dopiero nagłe pytanie pana Zatopockiego wyrwało porucznika z amoku.

- Zdajesz się być zdenerwowany. Czy wszystko z tobą w porządku Pawle? Ten wczorajszy spacer chyba ci nie służył. Powiedz no mi, czemu się tym tak przejmujesz?

- Nie dość, że ledwo uchroniliśmy się od śmierci, to jeszcze sama obecność wroga na naszym terytorium jest powodem do obaw - odezwał się, wyraźnie poirytowany pytaniem, porucznik.

- W Rzeczypospolitej to chyba norma - zauważył Janusz.

- Nie wydaje mi się, by król zezwolił na swobodny tranzyt wojsk rosyjskich, ani żeby zatwierdził to sejm - odpalił ułan, po czym dodał - Ale masz rację, jest to norma,

lecz TYLKO w naszym kraju - wzburzył się pan Taszczyński.

- Nie wiemy, jakie mieli intencje. Może tylko przejeżdżali...

- Przez Rzeczpospolitą? - zapytał porucznik - Nigdzie to po drodze, chyba że na Ukrainę, która ledwo pozostaje w naszych granicach. Panoszą się tam Moskale, bo bez nich nasze wojsko nie jest w stanie nawet garstki Kozactwa rozpędzić. Poza tym, celowanie pistoletem w kogokolwiek nie mówi o przyjaznym nastawieniu - to powiedziawszy, porucznik ruszył na przód kolumny.

Pan Zatopcki nie starał się dalej przekonywać przyjaciela. Wiedział, że upór Pawła nie zna granic, jego wzburzenie z czasem minie, a kolejna rzecz, która zaabsorbowała jego umysł, odejdzie z czasem w zapomnienie, jak dotychczas bywało. Tak przynajmniej przypuszczał.

Okolo południa kompania zorganizowała postój. Pomimo iż był to już koniec listopada, a tym samym polskiej złotej jesieni, mrozów nie było czuć. Obóz zorganizowano nad brzegiem rzeki Świętej, gdzie żołnierze postanowili się ogolić i umyć. Ułani rozsiedli się pod drzewami i na plaży. Wielu zapadło w błogi sen, inni czyścili broń i wymieniali krzemienie w zamkach, a kilku zdecydowało się na nucenie żołnierskich pieśni i puszczanie dymnych okręgów ze zdobionych fajek. Paweł spoglądał w stronę północy, dalej za Dyneburg, Połock i Siebież - ku Rosji, wbijając raz po raz sztylet w znajdujący się obok pniak. Nagle harmonię i ciszę zakłóciło niespodziewane przybycie pana wachmistrza powracającego z patrolu.

- Ludzie! Siodłać konie, nabijać broń! - krzyczał, zsiadając z rumaka - Trzeba ruszać na pomoc. Ogień wznosi się nad lasem. Strzały słychać, ludzkie wrzaski!

Paweł i Janusz zerwali się na równe nogi. Reszta towarzystwa zamarła i przerwała dotychczasowe czynności.

- Widziałeś - li Rosjan? - zapytał pan Taszczyński.

Janusz zauważył błysk i ogień w jego oczach.

- Nie, panie poruczniku, wolałem nie ryzykować spotkania, słychać było jednak rżenie wielu koni - odpowiedział zdyszany pan Piekarski.

- Ludzie, sposobić się do walki! - zawołał pan Taszczyński, wyjmując z pochwy swoją szablę. Ułani w te pędy narzucili na siebie mundury, odbezpieczyli broń oraz zatknęli ładownice na paski. Osiodławszy konie, drużyna Pawła wyruszyła w kierunku wskazanym przez wachmistrza. Kompania cwałowała ku wsi. W niedługim czasie dostrzegła dym wznoszący się nad lasem. Jeźdźcy naciągnęli kurki pistoletów, obnażyli

szable i pochylili lance do szarży. Paweł trącał rumaka ostrogami. Wierzchowiec niewiarygodnie przyspieszył, wyprzedzając znacznie podwładnych, wkrótce zniknął za zakrętem prowadzącym do wioski. Porucznik zajechał na podwórze. Tego co zastał tam Paweł i ułani, nie da opisać się słowami. Żywej duszy nie zauważyli w osadzie, a raczej w tym co z niej zostało. Domostwa zostały doszczętnie spalone, ludność wybita, dobra zrabowane. Pogorzelnisko, zgliszcza oraz śmierć – to wszystko, co znaleźli we wsi. Dopalały się jeszcze resztki stodoły. Ułani zsiadli z koni i rozbiegli się w poszukiwaniu rannych. Część pospieszyła ku studni i nabrawszy do wiader wody, zajęła się gaszeniem resztek ognia.

- To na pewno nie byli zwykli rabusie - zauważył pan Zatopocki.

- Jak to? Byli, lecz rosyjscy... - rzekł pan wachmistrz, klękając przy martwej kobiecie.

Nic teraz nie mogło go już zaskoczyć.

- O! - zdziwił się pan Janusz - To teraz waść mi wierzy?

Kiedy Zatopocki pochłonięty był bez reszty wytykaniem wachmistrzowi jego sceptycyzmu, Paweł usiadł na kamieniu i spojrzął na jałowe pola Rzeczypospolitej rozciągające się daleko na wschód za tym lasem. Wieś bowiem, zwana Żyglice, znajdowała się na skraju boru i jedynym kierunkiem, który mógł obrać wróg była droga w głąb Wielkiego Księstwa - na Ruś Białą. Choć zniszczenia i przelana krew były jeszcze świeże, po najeźdźcach nie zostało tu ani śladu, a sądząc po śladach, wrogowie udali się przez pola dalej na wschód. W oddali majaczyły mu tumany kurzu. Pawłowi zakręciła się w oku łza. W końcu zrozumiał, czemuż to jego komendant Rudnicki odsunął go od służby na frontach Wojny Siedmioletniej, walce z szabłą w garści i dlaczego zredukowano jego obowiązki jako żołnierza do posłannictwa - był nader emocjonalny. W 1757 roku temu brał udział w kampanii w Czechach, po stronie Habsburgów. Wchodził w skład jednego z trzech polskich pułków ułanów, które walczyły z ramienia Sasów, u boku Austriaków. Kiedy doszło do pierwszego starcia z Prusakami, kapitan Taszczyński dowodził ewakuacją miasteczka, gdyż Fryce otoczyli i podpálili mieścinę. Wbrew rozkazom, gdy zebrał większą część mieszkańców, nie wycofał się, jeno ewakuował pozostałą w płomieniach ludność, tracąc przy tym wielu ludzi. Akcja ratunkowa nie powiodła się, ogień zdziesiątkował Hoffhahnen[1] Pawła. Kapitana poraniono, a cywili i Polaków Prusacy wyrznęli w pień, bądź uprowadzili. Po tym incydencie dowódca pułku - Rudnicki odsunął go od walk, degradując do rangi porucznika i odsyłając do Polski. Rudnicki później sam zdecydował się na brawurową i niebezpieczną szarżę w bitwie pod Kolinem...

Odtąd młody Taszczyński wiele czasu spędzał w stolicy, gdzie talent i perswazję Pawła odkrył król August III. Sam jednak młodzieniec osiadł na Litwie, gdzie miał

rodzinę ze strony matki. Tam również najął się u wojewodów wileńskich - Radziwiłłów: „Rybeńko” i „Panie Kochanku”, potem u księcia Ogińskiego. Gdy król Sas zmarł, Poniatowski zachował porucznika na stanowisku swego posłańca. Nie przeszkadzało mu, że pochodził z saskiego domu, i to dosłownie, gdyż ojciec Pawła był Saksończykiem, oficerem armii elektorskiej. Od tego czasu oprócz zleceń od wojewody wileńskiego, porucznik kosztował hojności króla - Polaka, który sownie wynagradzał sukcesy dyplomatyczne pana Taszczyńskiego. Całą historię Pawła znał tylko on sam oraz jego świętej pamięci przyjaciel i dowódca Rudnicki[2].... Nawet pan Zatopocki nie wiedział o wydarzeniach z 1757 roku, a był wiernym przyjacielem Pawła od dawien dawna.

Zamyślenie Pawła przerwała nieoczekiwana wiadomość - wśród gruzów miasteczka odnaleziono na wpółżywego wieśniaka.

- Przyprowadźcie go do mnie - zakomenderował porucznik, stając na równe nogi.

Po chwili dwóch ułanów przyprowadziło przed oblicze pana Taszczyńskiego trzęsącego się, starego człowieka. Ubrany był w postrzępione, szare łachmany, na zakrwawionym rzemyku wisiał prawosławny drewniany krzyżyk. Na nogach miał brązowe, podarte buty.

- Jak ci na imię, dziadku - zapytał Paweł, przykładając mu do ust talerz z wodą.

Ten łapczywie pochwycił naczynie i w mgnieniu oka wypił zawartość. Kiedy napojony starzec odrzucił na bok talerz, gotów był do rozmowy z porucznikiem. Paweł popatrzył mu prosto w oczy i dopiero zorientował się, że zamiast oczu ma zaczerwienione, podbiegające krwią rany.

- Niewidomy jest - krzyknął porucznik.

- Ha! Tak na pewno nie postąpiliby rzezimieszkowie - stwierdził wachmistrz. - Tylko rosyjskie psy, tfu! - dodał, spluwając.

Wśród ułanów zapanował zamęt.

- Spokój - rzekł podniesionym głosem Paweł, po czym zwrócił się ku biedakowi.

- Masz - li imię dziadku? Nie zrobimy ci krzywdy.

- Nazzzywam siiiie Oolgierd - wyjąkał staruszek po litewsku.

- Toż to duchowny! - krzyknął wachmistrz.

Po raz kolejny szmery i szepty dały się słyszeć wśród żołdaków.

- Spokój - powtórzył zniecierpliwiony porucznik. - Powiedz mi no ojczy, kto was napadł. Czy byli to bandyci?

Ojciec Olgierd przecząco kiwał głową.

- Więc może to byli Rosjanie?

Na dźwięk ostatniego słowa staruszek się wzdrygnął i przytaknął porucznikowi. W szeregach kompanii zapanował chaos. Paweł o nic więcej nie zapytał. To co tu widział, co usłyszał, dawało mu gwarancję na to, iż była to sprawa tajemniczej grupy rosyjskiej. Już widział, jak u boku księcia, mając pod sobą pospolite ruszenie, cwałuje po polach Rzeczypospolitej, tratując carskich wysłanników.

- Na koń! - zawołał podniecony pan Taszczyński, po czym wraz z ojcem Olgierdem kompania ruszyła w kierunku Wilna. Orszak zmierzał drogą, którą udali się Rosjanie, w pewnym jednak momencie kompania zmieniła kierunek. Nie było to dla Pawła powodem do zmartwień. I tak miał zamiar prędzej czy później się z nimi rozprawić. Po około dwugodzinnym marszu bez postoju, kompania dostrzegła na horyzoncie zarysy perły Wielkiego Księstwa - Wilna. Druga stolica Rzplitej, dawniej gmach wielkiego księcia, kniazia, miejsce zebrań konwokacji wileńskich, a także rezydencja wojewody i kasztelana w województwie wileńskim. Około godziny trzeciej zmęczona drużyna zajęła do miasta, przekroczywszy bramę miejską powitani zostali przez Litwinów chłodnymi spojrzeniami, co zdziwiło pana Zatopockiego. Reszcie było to jednak bez znaczenia, liczyło się tylko dojechać do miejskiej wartownicy, gdzie ułani oczekiwali upragnionego odpoczynku. Kompania zmierzała do centrum, gdzie wznosiła się rezydencja wojewody wileńskiego. Minęła barokowy Kościół św. Piotra i Pawła, piękną świątynię ufundowaną przeszło sto lat temu przez hetmana litewskiego Michała Kazimierza Paca, w związku z zakończeniem wojny z Carstwem Rosyjskim. Jego strzeliste, czerwone wieże, żółte, lecz podchodzące pod beż ściany, zewnętrznie zdobione kolumnami ze złotymi zwieńczeniami, robiły olbrzymie wrażenie.

Końskie podkowy stuknęły o miejski bruk, mijały klasycystyczną zabudowę miasta, kramy żydowskie i zakłady rzemieślników, piekarzy oraz mieszczańskie kamienice zdobione pięknymi attykami. Kompania zatrzymała się na wielkim placu przed rezydencją księcia. Paweł Taszczyński wstrzymał konia i zgrabnym ruchem, godnym najwybitniejszych jeźdźców, przerzucił nogę przez grzbiet wierzchowca i zsunął się po kulbace. Wraz z panem Zatopockim udał się do wnętrza budynku na spotkanie z dygnitarzem. O dziwo, jegomość Ogiński ich oczekiwał od dawna, wiedział bowiem o posłannictwie Pawła i o możliwym postoju w mieście. Wielkie dębowe drzwi zostały otworzone ze skrzypem przez elegancko ubranych kamerdynerów w perukach z harcapami, długimi rękawami i lśniącymi, czarnymi półbutami. Goście nie zwlekając, udali się do środka. Tam zastali kolejnego sługę księcia, który zaprowadził ich na piętro

oraz pod same drzwi gabinetu wojewody. Mijali wiele pomieszczeń urzędników administracji i osobistej klienteli księcia. Krzątający się pracownicy nieraz upuszczali sterty papierów i omal nie uderzali przybyszy gwałtownymi ruchami drzwi, ciągnącymi się przez długi korytarz. Przyszło gościom czekać na spotkanie u Ogińskiego, gdyż inny poseł miał w tej chwili audiencję u wojewody. Panowie czekali dobrych kilkanaście minut, Zatopocki tymczasem zajął się podziwianiem licznych dzieł sztuki znajdujących się na głównym korytarzu. Wisiało tam wiele portretów samego wojewody jak i innych dostojników litewskich i byłych już urzędników. Majestatyczne ludzkie sylwetki na różnorodnych tłach zamknięte były z złoconych ramach. Cała rezydencja wyścielona była aksamitnymi, czerwonymi dywanami, korytarze zdobione wiśniowymi ławami i licznymi marmurowymi rzeźbami. Pan Zatopocki był zachwycony ozdobami pałacyku, gdyż panująca moda klasycyzmu bardzo przypadła mu do gustu. Smaku przyjaciela nie podzielał Paweł. W końcu drzwi otworzyły się i z pokoju wyszedł gość pana Ogińskiego. Brodaty przybysz w czarnym kontuszu łypnął spode łba na Pawła i Janusza i energicznym krokiem udał się do wyjścia. Wbił swój wzrok w inżyniera, który wyczuł w tym człowieku jakąś nieuzasadnioną wrogość.

Taszczyński podniósł się z ławy i wraz z Zatopockim wszedł do gabinetu. Był to pokój wielce przestronny, wypełniony wieloma trofeami od skór w formie dywanów na podłodze zaczynając, a kończąc na wypchanych łbach wiszących na ścianach. Poza tym wojewoda posiadał pokaźną kolekcję ksiąg usytuowaną na kilku wysokich regałach. Z sufitu zwisał duży, piętrowy żyrandol. W rogu, nad klęcznikiem, wisiał obraz Chrystusa z Matką Boską. Zamknawszy za sobą drzwi, panowie podeszli do biurka jej książęcej mości. Ogiński był to wysoki, dość chudy mężczyzna w połowie lat trzydziestu, twarz jego odznaczała się dziewczęcą urodą. Głowę zdobiła niezbyt pstrokata, biała peruka. Niedoszły król^[3] powitał ich uśmiechem.

- Czemuż to zawdzięczam tę wizytę, mości panowie? Rad jestem, żeś mnie w drodze odwiedził Pawle, mam do ciebie sprawę. Ale skoro tu jesteś, to znaczy, że i ty masz do mnie jakiś interes - stwierdził - Przedstaw mi jeno wprzódę twego kompana - wskazał Janusza.

- Miłościwy panie - zaczął Paweł - To jest mój przyjaciel, pan Janusz Zatopocki herbu Jelita, wybitny inżynier, bez którego nieraz nie wypełniłbym pańskiego zlecenia.

Architekt ukłonił się nisko.

- Przypominam sobie, porucznik wiele mi o panu mówił. Wać również bardzo mi się przysłużył. Sądzę, że również zasługuje pan na wynagrodzenie, choć nie był pan dotychczas pod czyjąkolwiek komendą.

- Łaskawość i hojność waszej miłości to dla mnie wielkie wyróżnienie. Rad jestem tego, co książęca mość mówi, jeno moglibyśmy odroczyć to na później? - powiedział

Janusz.

- Dobrze, a więc zdradźcie mi cel waszego przybycia - wojewoda rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Pierwszy zaczął pan Taszczyński.

- Miłościwy panie, wybaczone, że cię niepokoi, lecz Rzeczpospolita została napadnięta - powiedział ze spokojem.

Dotychczas emanująca spokojem i życzliwością twarz Ogińskiego lekko zbladła.

- Skąd ten pomysł? - zaśmiał się po chwili wojewoda.

- Widzieliśmy spaloną wieś, zniszczoną przez Rosjan - kontynuował porucznik, traktując ten precedens z należytą powagą.

- Absurd! Dlaczego uważasz, że to ich sprawa? - zapytał księżę, wciąż z lekkim uśmiechem na ustach.

Wojewody najwyraźniej nie zaskoczyła wieść o zrównaniu wsi z ziemią...

- A dlatego miłościwy panie, że na własne oczy widział kolumnę rosyjskiej piechoty, a także pogorzelnisko Żyglic, będące pozostałością po napadzie wrogiej armii i jednocześnie dowodem na akt barbarzyństwa, jakiego nigdy w czasach pokoju nie byłem świadkiem! - rzekł wzburzonym tonem Paweł.

Zapadła niezręczna cisza, tylko zegar wybijał rytm, tykając. Po chwili jednak nieopanowanie porucznika minęło.

- Wybaczone, wasza księżęca mość, ja nie chciałem... - zaczął Paweł, jednak Ogiński dał mu znak, by nie kontynuował.

- Masz na to jakieś poświadczenie? - zapytał, wstając z krzesła.

- Oczywiście miłościwy panie, uratowaliśmy jednego duchownego i...

- Zatem przyprowadźcie go do mnie natychmiast i powróćcie ponownie za dwie godziny - rzucił Michał Kazimierz, odwracając się do okna.

Goście skłonili się nisko i opuścili gabinet. Przyjaciele wyszli z rezydencji. Na placu było już gwarno, ułani rozsiadli się przed pałacem. Toczyli rozmowy ze strażnikami miejskimi i przechodniami.

- Panie wachmistrzu! - krzyknął ze schodów Paweł - Proszę zaprowadzić popa Olgierda do jej książęcej mości.

Pan Andrzej skinął głową, dał rozkaz dwóm ułanom, by zaprowadzili duchownego do wnętrza budynku. Paweł zapewnił podkomendnym czas wolny. Miał do załatwienia ważną sprawę w mieście. W jego interesie leżało spotkanie z bliskim przyjacielem Tadeuszem Kościuszką, który specjalnie na tę okazję zawitał do Wilna. Dobrze się składało, bowiem książę wypuścił Pawła na kilka minut przed planowanym spotkaniem. Paweł wraz z Januszem zmierzali w kierunku karczmy wileńskiej „U boćwiniarza”, gdzie trójka przyjaciół miała się zobaczyć. Naprzeciw mężczyznom zmierzającym do szynku stanął młody chłopak z bujnymi kręconymi włosami, odziany w biały mundur wojskowy, grantową kurtkę z czerwonymi wyłogami i mnóstwem guzików. Zbliżywszy się, przyjaciele kolejno uścisnęli sobie dłonie.

- Witaj Tadeuszu, dawno żeśmy się nie widzieli! - zawołał uśmiechnięty porucznik, ściskając młodzieńca.

- Ach, Pawle, żebyś ty wiedział, jaki to ciężar uczęszczać do Szkoły Rycerskiej! - rzekł, witając się z Januszem - Wiele bym dał, by móc spędzać z wami więcej czasu.

- Ho ho, widzę, że my tu mamy do czynienia z przyszłym hetmanem, jak mamy się do ciebie zwracać? Tytułować jak kapitana? - uśmiechnął się pan Zatopeccki - Póki co cieszymy się z teraźniejszego spotkania!

- Na razie starczy, jeżeli będziecie używać wobec mnie tytułu chorążego - odparł z dumą pan Tadeusz.

Paweł i Janusz spojrzeli po sobie.

- Zatem cóż pan chorąży chciałby zrobić? Towarzyski pojedynek, uczta w karczmie? - Zapytał z uśmiechem Paweł.

- Skoro znajdujemy się koło gospody, to może dadzą się panowie zaprosić na kielich wina i talerz cepelin?

- Jeśli waść zapraszasz, czemu by nie! - odparł żywo Zatopeccki - Prowadź, panie chorąży.

- Tak naprawdę nie zostałem jeszcze nominowany - przyznał się chłopak - Ale zostanę w najbliższym czasie.

- Nie dziwiłbym się, gdybyś prędko został i generałem lub regimentarzem. Patrz,

jak szybko syn Antoniego Lubomirskiego, Marcin, został mianowany pułkownikiem!

- Bunt hajdamaków ustały, więc nie będzie w najbliższym czasie sposobności do wykazania się - odparł Tadeusz, otwierając drzwi szynku.

Wpuścił przyjaciół pierwszych i sam przekroczył próg oberży. Litewska karczma była pełna myśliwskich trofeów, obrazów przedstawiających dzieje Wielkiego Księstwa przed unii z Polską oraz pijanych szlachciców, których o tej porze zazwyczaj nie ma tak wielu jak dziś. Gospoda stanowiła dla sarmaty niemal drugi dom. Oberża była dziś wielce przepełniona, pomimo wczesnej godziny. Karczmarz bez chwili wytchnienia rozlewał spragnionym sarmatom miód - trunek, którego dwie wielkie beczułki mogły zostać przez nich pochłonięte w przeciągu godziny.

- Czołem waszmościom! - zawołał Kościuszko, zamykając za sobą drzwi i zdejmując nakrycie głowy.

- Pochwalony - odpowiedziało kilka, jeszcze trzeźwych osób, które w powitalnym geście wzniosły chwiejnym ruchem gliniane kubki i kielichy.

Przyjaciele znaleźli wolny stolik w rogu pomieszczenia, z dala od podchmielonej, nieobliczalnej szlachty.

Gdy panowie złożyli zamówienie, porucznik pierwszy podjął rozmowę:

- Cóż powiesz przyjacielu, jak tam ci w Szkole Rycerskiej? - zapytał.

- Ciężko, Pawle, oj ciężko - westchnął Kościuszko - Ale mogę się wam pochwalić opinią komendanta Czartoryskiego, który uważa, że jestem jednym z lepiej obiecujących uczniów.

- Wcale nas to nie dziwi! - odparł Paweł - Zawsze byłeś dobrze zapowiadającym się żołnierzem.

- Ho, ho wam się zdaje, że się w szkole bić uczył?! Dajcie waszmościowie spokój, ja się tam uczę języków, historii, arytmetyki i łaciny. Są to niemalże prawdziwe studia. Nawet miałem egzamin tygodniowy z geometrii - zachnął się Tadeusz.

- I jak poszedł? - zapytał pan Zatopocki.

- Powiem tyle, że wyróżniłem się na tle grupy - pochwalił się Kościuszko.

- Spodziewam się, że wśród kadetów nie ma jakiejś hołoty, jeno sama arystokracja.

- Waść oszalał? Tam tylko można dobre towarzystwo spotkać! Na przykład taki Jan Kiliński czy mój przyjaciel, Józef Orłowski.

W tym momencie karczmarz podał swym klientom zamówione dania i rozlał każdemu wina.

- Co u niego słyhać? - zapytał Paweł, biorąc w dłoń wysokie, szklane naczynie wypełnione czerwoną ciecżą.

- Jest tu, w Wilnie, przyjechał razem ze mną, ale jutro zamierza wyjechać do Warszawy. Starał się jako poseł u wojewody nająć, ale dotychczas nie miał szczęścia.

- Jak słyshę, dobrze sobie radzisz w korpusie. Rzeczywiście będzie z ciebie jeszcze hetman albo generał! - powiedział entuzjastycznie pan Zatopekki.

- Dziękuję waszmości, ale dosyć już o mnie, mówcie, co u was!

Zapadła cisza między przyjaciółmi. Paweł poruszał widelcem w talerzu, nabił kluskę i zjadł. W końcu się odezwał.

- Słyshałeś waść o....

- ...Rosjanach? - dokończył pan Tadeusz - Tak, słyshałem, całe Wilno o tym aż huczy.

- Przecież my w mieście jesteśmy od niecałych dwóch godzin! Nikomu poza księciem Ogińskim o tym nie wspominaliśmy - stwierdził Janusz

- A wasi podwładni? Chyba nie są tak roztropni jak wy - odpowiedział przekonany Kościuszko.

- Wystarczyło to powiedzieć jednemu Litwinowi, przy czym ubarwić historię o nadzwyczajne szczegóły i przypuszczenia, by rozsiać trwogę wśród mieszkańców miasta. Jeden Boćwin przekaze następnemu własną interpretację i wyjdzie z tego dramat! - kontynuował Tadeusz - Ale przyznaję wam rację, panowie, dzieję się coś dziwnego na północy kraju. To nie były zwykłe manewry.

- Oj biada nam! Czyżby się kolejna wojna szykowała? Mało nam było sporów o tron Rzplitej między zwolennikami Rosjan, a Niemcami. Raptem trzy lata minęły od śmierci Wettyna, a kolejny konflikt szykuje się na pograniczu państwa. Dałby Bóg przywrócić hegemonię i chwałę narodu polskiemu - biadolił pan Zatopekki.

- Kraj nasz rozdarty, a przyszłość niepewna. Cóż, panie Januszu, dopóki sejm nie

poweźmie decyzji o aukcji wojska i reformach podatkowych, dopóty będziemy w niebezpieczeństwie - westchnął Kościuszko.

- A mógłby waść rzec - pytał pan Zatopocki - co mówi się na temat tej moskalskiej sprawy?

- A powiadają wilnianie, że Rosjanie chcą wojnę wywołać - uśmiechnął się młody kadet - że chcą całą Ruś Białą dla siebie zagarnąć! W sumie, nic to, czego byśmy nie wiedzieli.

- To ci dopiero - zaśmiał się Janusz - Litwini zawsze trwożyli się na myśl wojny z Moskwą. Prędszej i tak bym pomyślał, że to Rosja stara się wyrzucić nacisk na królu jegomościu, niżli Rzeczpospolitą napaść.

- Niemożliwością jest, żeby Katarzyna podbiła Polskę. Raz już Moskowia próbowała, zakończyło się to zagonami polskimi pod sam Kreml! - odparł Kościuszko.

W czasie, gdy pan Tadeusz toczył rozmowę z Januszem, porucznik głęboko się zadumał. Myślał tylko, co orzeknie książę: nakaże penetrację Litwy i Białorusi, czy też pozostawi Rzeczpospolitą samą sobie.

- Widzę Pawle, że bardzo przejmujesz się werdyktem wojewody. Może nie zwlekajmy więc i chodźmy złożyć mu wizytę - rzekł Janusz, wstając z ławy.

- Masz rację - rzekł ułan, dopijając wino - Czas to zakończyć!

- Idę z wami - orzekł Kościuszko, zbierając z ławy swoje odzienie.

Po chwili szli już wolnym krokiem w kierunku rezydencji pana Ogińskiego. Kiedy do niej dotarli, była już godzina piąta, więc przybyli na czas. Na głównym placu zastało kilku ułanów, w tym pan wachmistrz, który z niecierpliwością oczekiwał dalszych informacji w sprawie napotkanych Rosjan. Tu Paweł i Janusz pozostawili przyjaciela, sami udali się do środka budynku, co wykorzystał Kościuszko, gdyż bardzo chciał zapoznać się kompanią porucznika. Paweł i Zatopocki czekali jednak długo na audiencję, ponieważ przesłuchanie popa Olgierda przedłużyło się. W końcu drzwi otworzyły się, kilku pomagierów księcia wraz z duchownym opuściło gabinet, zaś pan Taszczyński i jego towarzysz weszli do pokoju księcia. On jednak nie był w dobrym nastroju, co na pierwszy rzut oka zauważył młody ułan. Długo trwało milczenie Michała Ogińskiego, który delikatnie stukał w blat biurka. W końcu zdenerwowany porucznik nie wytrzymał.

- Wasza miłość, czy Olgierd wyjawiał panu prawdę?

Książę usiadł na swym majestacie, po czym rzekł spokojnie.

- Tak, powiedział wszystko, co powinienem wiedzieć.

Paweł i Janusz wyczężyli słuch.

- Muszę panu powiedzieć, mości poruczniku, że zawiodłem się na panu - powiedział spokojnie, dając znak, żeby zdziwiony chłopak mu nie przerywał - Taki oficer jak pan nie powinien tak łatwo ulegać fantazji i bredniom ślepego pospólstwa.

- Przecież to najeźdźca pozbawił wzroku tego duchownego - wyrwał się Paweł, nie rozumiejąc podwójnego dna wypowiedzi księcia.

- Z relacji Olgierda wynika, że oczy wypalił mu rosyjski bojar - rzekł oschle wojewoda

- Cóż w tym takiego dziwnego? - wzruszył ramionami Paweł

- Gdyby interesował się pan polityką i historią jak pański przyjaciel, o którym mi waszmość tyle opowiadałeś - tu wskazał na pana Zatopockiego - wiedziałbyś, iż bojarzy w Rosji już nie istnieją od ponad półwiecza...

- ...Ponieważ car Piotr zlikwidował dumę bojarską - dokończył Janusz.

Zapotocki spojrział na przyjaciela, który wyraźnie chciał mu powiedzieć: „nie pomagasz mi”.

Porucznik milczał. Nie wiedział, co powiedzieć, czuł się wielce zmieszany, ale zachował kamienną twarz.

- Widzi pan zatem, nie byli to żadni żołnierze rosyjscy, ale zbójnicy w łachmanach przypominających ubiór sprzed wieku. W sumie tak w Rosji wygląda każdy, kto nie jest szlachcicem... A ta wielka armia, o której wspominałeś? Dopiero co skończył się sejm, może to wojsko przygotowane w razie potrzeby do walki. Przecież ambasador rosyjski groził wojną, gdyby projekty króla jegomości uzyskały poparcie wśród szlachty. Jedno mogę ci zagwarantować - więcej ich tu nie zobaczymy. Choć, zdaniem mieszczan, szykuje się wojna - mruknął sarkastycznie wojewoda, mając, rzecz jasna, na myśli potęgę słowa mówionego.

- Skoro wasza książęca mość tak mówi - odparł Taszczyński.

- Na Boga, Pawle! Nie chcę, żebyś mi potakiwał, ty musisz uwierzyć w to, bo znam ciebie, wiem, że nie poprzestaniesz na moim werdykcie! - wojewoda dotknął dłońmi ramiona porucznika, jakby chciał nimi potrząsnąć.

Książę miał rację. W głowie porucznika kotłowało się od pytań bez odpowiedzi. Nie był pewien, czy powinien cieszyć się ze względnego bezpieczeństwa kraju, czy też okazać skruchę i pokorę wobec swojej omyłki. Jedno było pewne - książę go nie przekonał.

- Tak więc ufam, że twoje dotychczasowe wątpliwości zostały rozwiane - zakończył wojewoda.

- Tak wasza książęca mość. Jeno wybaczcie mi moje zachowanie. To było chwilowe zaćmienie umysłu.

Pan Zatopocki spojrział na niego z niedowierzaniem i uniósł brew, zaś Michał Ogiński uśmiechnął się szczerze. Panowie zamierzali się uklonić i opuścić gabinet, jednak książę ich zatrzymał:

- Zanim odejdziecie, mam dla was pewną propozycję, a raczej prośbę. Wspominałem wam o tym przy pierwszym spotkaniu.

- Pomogę, jeśli będę w stanie - zaoferował się Paweł.

- Mam do dostarczenia pewną bardzo poufną i ważną wiadomość. Wolałbym nie powierzać jej któremuś z moich ludzi, nie mam do nich takiego zaufania, jak do ciebie, poruczniku - rzekł wojewoda, chcąc podtrzymać żołnierza na duchu.

Sądził, że ostatnia rozmowa nieco przygnębiła porucznika.

- Musi znaleźć się w Połocku za kilka dni, czy mógłbyś ją dostarczyć? Czekam na nią kasztelan miasta Adam Brzostowski.

Twarz Pawła pojaśniała wielce, zanim jednak zdążył się zgodzić, wtrącił się pan Zatopocki.

- Wybacz, wielmożny panie, rad jestem, że pokłada książę tak wielkie zaufanie w tym to kawalerze, ale mamy już królewski list do dostarczenia.

- To komplikuje sprawy - wojewoda oparł głowę na dłoni, stukając paznokciami o ramię tronu.

Pan Taszczyński chciał za wszelką cenę przyjąć to zlecenie, gotów był nawet powierzyć list w inne ręce.

- Jest pewne wyjście, wasz książęca mość - rzekł pan Taszczyński - Możemy

przekazać komuś tę wiadomość.

- Królewską korespondencję? Oszalałeś?! - wzburzył się Zatopocki - Komu niby chciałbyś ją powierzyć?

- Mości książę, mam tutaj przyjaciela, nazywa się Tadeusz Kościuszko, jest kadetem Szkoły Rycerskiej...

- Chcesz jemu powierzyć list? - przerwał książę.

- Niezupełnie, chodzi mi o jego towarzysza. Podobnie jak i on uczęszcza do Korpusu Kadetów, nazywa się Józef Orłowski i zamierzał jutro wyjechać do Warszawy, mógłby zabrać tę przesyłkę.

- A tak, był tu człowiek o takim nazwisku, co ubiegał się o zlecenie u mnie. Jest godzien zaufania?

- Ręczę za niego - oznajmił pan Taszczyński, przykładając dłoń do piersi.

Wzrok wojewody skoncentrował się na Januszu. Ten, chcąc nie chcąc, przytaknął Pawłowi, wiedząc, że gdy porucznik ułoży sobie w głowie swój misterny plan, zrobi wszystko, aby go zrealizować.

- Skoro wy w niego wierzycie, to i ja też. Dobrze więc, przyprowadźcie go do mnie!
- rzekł książę

Przyjaciele podziękowali księciu i opuścili wojewodę. Zmierzali w kierunku wyjścia, gdy nagle usłyszeli za drzwiami znajomy głos. Paweł otworzył je zdecydowanym ruchem i ujrzał popa Olgierda odprawiającego modły przed obrazem Matki Boskiej. Trafili jednak na właściwy moment bowiem skończył on właśnie swoje nabożeństwo. Przyjaciele zwrócili się do duchownego.

- Ojczy, czemuś naopowiadał takich fantazji wojewodzie? - zapytał pobłażliwym głosem Paweł.

- To wszystko była najszczerza prawda! - rzekł pop - Widziałem na własne oczy - bąknął ostatnie słowa dyzunita.

- Bojarzy już nie istnieją - wtrącił się Janusz.

- A więc to jest ostatni - nie ustępował Olgierd - to musiał być bojarzyn! Miał długą brodę, ubrany był w futra, twarz jego była stanowcza i niewrażliwa na ludzką krzywdę. Typowy Rosjanin jak z opowieści litewskich o Moskalach Iwana Groźnego, którzy

uciskali lud litewski i ruski... a za nim żołnierze w zielonych mundurach i Kozacy pałacy i grabiący wieś!

- Cóż, skoro tak uważasz... Zatem niech będzie bojar! - westchnął Paweł - Żegnaj Olgierdzie, niech Bóg będzie z tobą. Wszystko się ułoży.

Po tych słowach przyjaciele zostawili duchownego samego. Wyszli z budynku, przed którym Tadeusz zabawiał kompanów dowcipami i sztuczkami, jakich nauczył się w Warszawie. W tym właśnie momencie zegar na miejskim ratuszu wybił godzinę szóstą. Porucznik Taszczyński zwolnił swych podkomendnych. Mieli wolne do samej północy, ale potem musieli stawić się w wartownicy.

- Tadeuszu, mam dla ciebie dobre wieści - rzekł z uśmiechem porucznik, gdy ułani opuścili główny plac.

- Co takiego? - zapytał zaciekawiony - Cóż to za nowina?

- Załatwiłem twojemu przyjacielowi Józefowi robotę u księcia, niech zjawi się tutaj za pół godziny, dobrze?

- Jasne, ale powiedz mi Pawle, co teraz zamierzasz?

- Jutro o świcie wyruszamy do Połocka - odparł zadowolony - Otrzymałem bardzo ważną wiadomość, którą muszę dostarczyć panu namiestnikowi. Ty oczywiście będziesz nam towarzyszyć.

- Skoro nalegasz - uśmiechnął się Tadeusz.

Po odbytej rozmowie panowie rozeszli się w swoje strony: Kościuszko wyruszył po pana Orłowskiego, Janusz i Paweł ruszyli w stronę wartownicy. Dopiero teraz, o zmroku, panowie ujrzeli Wilno w prawdziwym blasku. Miasto ożywiało się zawsze dopiero, gdy słońce zaszło za widnokrzem. Litwini kończyli pracę i udawali się do centrum, gdzie co jakiś czas odbywały się huczne zabawy z fajerwerkami, a także liczne jarmarki, parady oraz tańce. Z jednej strony życie tutaj było godne pozazdroszczenia, Paweł jednak z politowaniem patrzył na tych beztroskich wilniuków, którzy nie mieli pojęcia lub nawet nie chcieli wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz. Widać było po tym, jak bardzo troszczą się o los kraju, usłyszawszy dzisiaj o „nowej wojnie z Rosją”.

Kiedy dotarł do wartownicy, nie zastał w nich żadnego ze swoich podopiecznych. Pan Zatopocki zostawiwszy swoje rzeczy w pokoju, także udał się na zabawę. W tym czasie Paweł ułożył się na chwilę na swym tapczanie i zapadł w błogi sen. Z krainy Morfeusza wypędził go Tadeusz Kościuszko, który, zgodnie z poleceniem, przybył z panem Orłowskim. Tam Paweł opowiedział Józefowi o układzie oraz pokazał mu list

królewski, który miał dostarczyć do monarchy. Porucznik ofiarował także sygnet poselski, dzięki któremu przepuszczono by pana Orłowskiego przed oblicze Stanisława Augusta.

- Cóż mogę rzec! - odezwał się pan Orłowski, gdy ułan wyjaśnił mu całą sytuację - dziękuję waści za wasze zainteresowanie. Mam wobec pana dług wdzięczności. Ho, ho, jak się w Korpusie zdziwią, że u króla był! - mówił podekscytowany, oglądając dopiero co nałożony pierścień.

Po omówieniu szczegółów wymiany korespondencji, panowie udali się ponownie pod rezydencję wojewody, gdzie, o dziwo, on sam na nich czekał.

- A więc pan będzie doręczycielem - powiedział książę po przedstawieniu Józefa przez przyjaciół - mam nadzieję, że się na tobie nie zawiodę.

- Nie śmiałybym zawieść waszej książęcej mości - odpowiedział pełen powagi pan Orłowski.

W jego głosie książę Ogiński usłyszał coś, co nakazywało mu obdarzyć go zaufaniem. Ponownie powtórzono postanowienia i plan wyjazdu, tym razem przy obecności wojewody.

- Doskonale - klasnął w dłonie Michał Kazimierz, gdy wszystko zostało potwierdzone. - Jutro o szóstej rano macie wszyscy zjawić się w tym miejscu. Otrzymacie listy oraz dodatkowy prowiant i eskortę. Miłego wieczoru życzę. Wypocznijcie przed jutrzejszym dniem - rzekł na pożegnanie książę, po czym udał się z powrotem do swojej rezydencji.

W budynku było już pusto. Urzędnicy pozamykali swoje gabinety i udali się do domów. Dogasały ostatnie świece na korytarzach. Wojewoda zwolnił właśnie z warty swoich strażników. Zamknął za sobą drzwi i ruszył do swojej komnaty uporządkować papiery. Był ostatnią osobą w budynku. Przejrzał i złożył pozostałe dokumenty, gdy nagle poczuł powiew wiatru. Świeca stojąca na jego biurku zgasła. Po omacku założył swój płaszcz oraz kapelusz. Wyjrzał przez korytarz. Czuł wyraźny przeciąg. Ktoś tutaj był. Ogiński chwycił laskę opartą o komodę tuż przy drzwiach i założył ją pod pachę. Zamknął na klucz swój pokój i ruszył do wyjścia. Zawiesił klucz w odpowiednim miejscu. Już miał opuścić budynek, gdy poczuł za sobą czyjś oddech. Książę uniósł głowę i zamknął oczy.

- Czego jeszcze chcesz... - spytał drżącym głosem.

- Twój podwładni za dużo widzieli - odparł chropowatym głosem jegomość.

- Zapewniłem ich, że nie ma się czego obawiać. Ta sprawa ich już nie dotyczy.

- Ty tak uważasz. Podaj mi ich nazwiska.

- Po co ci one? - Ogiński odwrócił się do mężczyzny odzianego w czarny żupan i kontusz.

- Mnie nie są wcale potrzebne. Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś je jednak podał...

Zmęczony wydarzeniami ostatnich dwóch dni porucznik powrócił do wartownicy. Kiedy dotarł na miejsce, w dalszym ciągu nie było tam nikogo z jego kompanii. Chciał, aby ułani nie upili się zbyt, w końcu jutro czekało ich ranne wstawanie. Paweł nie miał jednak złudzeń.

Janusz ruszył do centrum, gdzie trwały tańce. Muzykanci grali skoczną, biesiadną muzykę, przy której wszyscy świetnie się bawili. Żołnierze z kompanii Taszczyńskiego rzucili się do stoisk z piwem. Wachmistrz własnoręcznie wbił swój nóż w środek leżącej poziomo beczki. Wytrysnął napój, a wszyscy zgromadzeni mężczyźni łapczywie podstawiali naczynia. Gdy towarzystwo nieco się podchmieliło, wielu ułanów zaczęło ubiegać się o względy dziewcząt, których mnóstwo stawiało się na zabawie. Janusz przyglądał się kolegom z oddziału, którzy ukłoniwszy się nisko przed kobietami, prosili je do tańca. Mundur wojskowy robił na kobietach odpowiednie wrażenie. Na grzecznym zaproszeniu maniery ułanów się jednak kończyły. Gdy któraś dziewczyna wyraziła chęć do wspólnej zabawy, kawalerzysta porywał ją do tańca i bynajmniej nie zachowywał oglądy. Zatopocki dostrzegł pewną śliczną mieszczkę z długim warkoczem, której bardzo zależało, aby również trochę podrygiwać. Wpatrywał się w nią jak w obrazek. Jej dwie towarzyszki zostały już zaproszone, została tylko ona.

- Co tam, panie Januszu - odezwał się wachmistrz, klepiąc Zatopockiego po plecach
- Poproście tę dziewczkę do tańca - zachęcał, podsuwając kompanowi kufel pod twarz.

Saper nie odrywając wzroku od jasnowłosej dziewczyny, nabrał duży łyk alkoholu w usta, przełknął, skrzywił się i o otarł wargi z piany. Cisnął kubek w ręce Andrzeja i ruszył w stronę dziewczyny.

Nie wiedział, że jest obserwowany...

Tajemniczy mężczyzna, którego poznał przed gabinetem wojewody umościł się w dostatecznej odległości do oddania strzału. Trzymał za kontuszem nabity pistolet i obserwował swój cel. Janusz podszedł właśnie do panienki. Stał przed nią i lekko chrząknął. Litwinka odwróciła się. Zatopocki stanął jak na baczność i ściągnął kapelusz z głowy. Skłonił się nisko.

- Byłbym zaszczycony, gdyby waćpanna zechciała ze mną zatańczyć - zaczął

Janusz.

- Z kim mam przyjemność? - zapytała wyraźnie uradowana.

- Janusz Zatopocki, herbu Jelita - przedstawił się, całując dłoń niewiasty.

- Bardzo mi miło, jestem Aldona - odparła Litwinka, nieco zaskoczona, że ma do czynienia z szlachcicem.

Janusz chwycił delikatnie wyciągniętą dłoń nowopoznanej towarzyszkę i ruszył z nią do tańca. Zataczali koła trzymając się za ręce, Zatopocki nieraz obracał i unosił swoją partnerkę. Czuł się szczęśliwy. Wszystkiemu przyglądał się mężczyzna w czerni. Kroki dzieliły go od ofiary. Czekał tylko na dogodny moment.

- Szanowni państwo, przerwijmy na chwilę tę wspaniałą zabawę, aby napawać się widokiem pięknego widowiska - sztucznych ogni! - ogłosił koordynator imprezy.

Wszyscy uczestnicy zabawy zwrócili się w stronę, z której miał zacząć się pokaz. Aldona chwyciła Janusza pod ramię. Oboje zbliżyli się do tłumy gapiów. Mężczyzna stracił czyste pole do strzału. Widział tylko głowę Janusza. Tuż obok celu znajdował się stragan z kilkoma dzbanami miodu. Zamachowiec wycelował właśnie w niego. Naciągnął kurek i wstrzymał oddech. Niczego nieświadomymi Zatopocki zaabsorbowany był rozpoczynającym się pokazem kolorowych fajerwerków. Gdy rozległy się wystrzały, mężczyzna w czerni pociągnął za spust. Huk sztucznych ogni całkowicie zagłuszył strzał pistoletu. Kula uderzyła i rozbiła jeden z dzbanów, roztrzaskując go na kawałki i rozlewając całą zawartość. Odłamki ugodziły Aldonę, Janusza i kilka pobliskich osób. Dziewczyna zemdlła na miejscu. Janusz chwycił ją w locie, mimo krwawiącej rany na swojej głowie. Pobliskie, zszokowane towarzystwo przystąpiło do udzielenia pomocy. Wielu dziwiło się, jak mogło do tego dojść. Zatopocki chwycił się dłonią za skroń, gdy tylko ułożył dziewczynę na, oczyszczonym z naczyń, stole. Niedoszły zabójca, widząc owoce swojej nieudanej akcji, powoli wycofał się z miejsca zdarzenia. Janusz nerwowo rozglądał się dookoła, ale nie myślał nawet, że ktoś chciał do niego strzelać.

- Musimy już iść - wachmistrz złapał Janusza za ramię, gdy ten stał pochylony nad zemdloną białogłową.

- Nie mogę jej tak zostawić - stanowczo odparł Zatopocki.

- Inni się nią zajmą, chodźmy już - uspokajał go pan Piekarski, ciągnąc za płaszcz - chyba nie chcesz jej niepotrzebnie narażać?

Janusz dał się przekonać. Wachmistrz ruszył z saperem w stronę wartownicy. Panu Zatopockiemu kręciło się w głowie. Był zmuszony przysiąść na chwilę na ławce.

- Jak mogło do tego dojść? - zastanawiał się Janusz, spoglądając na swoją, zlepioną krwią, dłoń.

- Wszystko to jest dziwne i tajemnicze - odparł wachmistrz, oglądając się po pustej uliczce - Dopadł nas olbrzymi pech. Wyglądało to tak, jakby ktoś czymś rzucił w ten dzban.

- To na pewno nie był kamień, ani tym bardziej sztuczne ognie - zapewnił Andrzeja Janusz - Chyba ktoś próbował mnie zastrzelić.

- Kto taki?

- Ktoś, komu zależy na naszym milczeniu.

- Wojewodzie? - odpalił wachmistrz.

- Nie wykluczam i takiej możliwości - mruknął architekt - Bądź co bądź, wysła nas jutro na misję. Ale na razie ani słowa o tym Pawłowi. Reszcie obecnego na zabawie towarzystwa powiedz, że ktoś pijany napatoczył się na mnie z naczyniem... Mogę na ciebie liczyć?

- Oczywiście, Januszu.

Porucznik zdrzemnął się w swojej kwaterze. Obudził go tupot wracających z warty strażników miejskich. Nie minęło dużo czasu, kiedy do jego pokoju zawitał pan Zatopocki, a po nim Kościuszek. Głowa Janusza była cała spuchnięta i obwiązana bandażem. Wyglądało to komicznie, bowiem jego trikorn się nie mieścił na czuprynie.

- Co do czorta? - zdziwił się Paweł na widok rannego przyjaciela.

- Nieważne... - machnął ręką Zatopocki. – Tak kończy się dysputa, kiedy chce się przemówić do rozsądku pijanemu... Mam jedno pytanie, Pawle - zmienił temat. - Powiedz mi, dlaczego zgodziłeś się na dostarczenie tego listu? Przecież korespondencja króla jest znacznie ważniejsza.

Pan Taszczyński uśmiechnął się.

- Czyż nie jest ci to na rękę? Krótsza droga do Połocka aniżeli do stolicy, a ty zdaje się nie lubisz długich podróży - rzekł porucznik.

- To prawda, lecz bliżej z Warszawy do rodzimego Zamościa - argumentował Janusz. - Niepokoję się o ciebie, dziwne miewasz ostatnio fanaberie.

- Ty się lepiej martw o tych, którzy o północy przyjdą tutaj podchmieleni. Tym to potrzeba zainteresowania i opieki - zaśmiał się Paweł.

Na twarzy Janusza zamalował się lekki uśmiech.

- Cóż, zgoda. Zatem do jutra moi panowie - rzekł na pożegnanie pan Zatopocki i opuścił pokój porucznika.

- A ty czegoż mnie nawiedzasz? - zapytał Paweł z uśmiechem, zwracając się do Tadeusza.

- Cóż, chciałem się upewnić, czy moja osoba nie będzie wadzić wam w podróży. Nie będę ciężarem dla ciebie i twoich ludzi?

- Nie było przeciwwskazań - odparł pan Taszczyński. - A teraz powiedz, do czego pijesz, bo dobrze wiesz, że już ciebie wszyscy bardzo polubili - odparł po chwili Paweł

- Powiedz mi, co dalej zamierzasz. Jaki będzie twój następny ruch - zapytał ściszym głosem.

- Co masz na myśli?

- Proszę cię, znam ciebie nie od dziś, wiem, że za twoją decyzją kryje się coś jeszcze...

- Możliwe, ale jeśli tak, to o reszcie dowiesz się w miarę upływu czasu - odparł tajemniczo młody ułan.

Na tym zakończyła się ta rozmowa. Tadeusz zasalutował na pożegnanie, po czym wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Nie minęło kilka minut, Taszczyński już odpłynął na statku w kierunku malowniczej krainy snu. Kiedy jednak tak płynął po spokojnych wodach, w niedługim czasie fale się wzburzyły, nadciągnął okropny sztorm, który dał mu się wielce we znaki.

Noc ta nie należała do najlepiej przespanych w ciągu ostatnich dni. Już o godzinie piątej nad ranem tego grudniowego dnia Paweł przebudził się, a ponieważ nie mógł ponownie zasnąć, zajął się szykowaniem do podróży. Jego wczorajsze sny odbiły się mocno na porannym nastroju. To, co mu się przyśniło, było istnym koszmarem. Widział palące się domy, mordowaną ludność, rosyjskiego bojara na tle płonącego Wilna, a on sam nie mógł nic na to poradzić.

W przeciągu dziesięciu minut porucznik był gotowy do drogi: ubrany, spakowany

i ogolony. Czekają go jednak jeszcze wybudzenie kompanii. Aby nie było potrzeby użerania się z każdym ułanem z osobna, Paweł użył subtelniejszej metody. Miał na to kilka koncepcji. Zdecydował się jednak na bardziej drastyczną. Wyszedł na główny korytarz, wyciągnął pistolet i wystrzelił z niego w sufit. Zadziało to jak zaklęcie: wszystkie drzwi otworzyły się i wyrzeli z nich ułani w białych koszulach. Ale nie tylko oni, także gospodarze, łącznie z kapitanem przebudzili się na skutek wystrzału i łypnęli na Pawła groźnym okiem. Na szczęście nie było z nimi zbyt dużego problemu, pan Taszczyński użył swojej niezawodnej siły perswazji i wsunął kilka monet do kieszeni komendanta, który złagodniał i na pożegnanie dotknął ręką kapelusza.

- Panowie, ruszać się - zawołał porucznik, opuszczając budynek.

W przeciągu kilku minut ułani wybiegli ubrani i umyjni. Stawili się na rozkaz. Dowódca nakazał wszystkim zachowywać się cicho. O tej porze większość mieszkańców miasta jeszcze spała. Kompania, dosiadłszy koni, udała się pod rezydencję wojewody, gdzie ten czekał już na nich z eskortą i dodatkowym ekwipunkiem. Na miejscu spotkali też pana Orłowskiego, który przybył tam wcześniej, by zrobić wrażenie na księciu Ogińskim. Ubrany był w jasnobrązowy płaszcz zapięty na wszystkie guziki, gdyż poranek był bardzo chłodny. U boku miał szpadę, a na głowie charakterystyczny dla kadetów Szkoły Rycerskiej trójgromny kapelusz z białą wstążeczką.

- Witam panów - zaczął książę, kiedy wszyscy zgromadzili się na placu - Ufam, żeście wypoczęli.

Ułani byli w tej sprawie podzieleni, lecz by nie niepokoić wojewody, odpowiadali mu tak, jak chciał usłyszeć.

- Zbliźcie się do mnie - rzekł Ogiński do Józefa i Pawła - Wręczam wam te dwa listy - rzekł, wyjmując dwie koperty - Ta jest dla kasztelana połockiego - podał ją Pawłowi - Ta zaś wyjaśnia królowi zmianę posła - oddał ją panu Orłowskiemu.

Po tych słowach porucznik wyciągnął z zanadrza list królewski i wręczył go Józefowi, który uklonił się w podziękowanie.

- Dobrze zatem, skoro wszystko zostało przygotowane, czas ruszać w drogę - rozkazał wojewoda, dając znak swoim podwładnym, by przyprowadzili juczne konie z zapasami.

Józef dosiadł wierzchowca. W jego ślady poszło także dziesięciu dragonów, którzy mieli eskortować posła do samej Warszawy.

- Dziękuję wam - rzekł na pożegnanie Józef - Nie zawiodę - dodał i wraz z dragonami udał się w stronę południowej bramy Wilna.

- Niech Bóg ma cię w opiece, Pawle - rzekł książę, całując czoło porucznika - Powodzenia ci życzę i pamiętaj o wadze twego zadania!- to powiedziawszy, wręczył porucznikowi pierścień poselski.

Młody ułan ucałował sygnet księcia i prędko dosiadł konia. Janusz wpatrywał się w wojewodę, który nawet nie zwrócił uwagi na jego ranę. Wachmistrz ledwo powstrzymał się od komentarza. Janusz nie szukał rozwiązania bezpośredniego.

Po chwili cała kompania zmierzała już w stronę wschodniej bramy. Nikt jednak z uczestników podróży nie przypuszczał, że ta niepozornie zapowiadająca się wędrówka sprawi, iż żołnierze 4. pułku straży wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego staną się świadkami, kształtującej się na nowo, przyszłości Rzeczypospolitej.

Rozdział drugi: Szokująca podróż

Kompania w błyskawicznym tempie przejechała między zabudowaniami, nie chciała bowiem, zgodnie z wolą księcia, zostać dostrzeżona przez gapiów, ani przyciągać zbytnej uwagi. Sama obecność drużyny pana Taszczyńskiego wzbudziła liczne kontrowersje wśród mieszkańców. Prócz poruszenia związanego z „szykującą się wojną z Rosjanami”, wiele różnych teorii pojawiło się w przeciągu ostatniej nocy. Niektórzy uważali, iż wysłano do Wilna dodatkowy garnizon, co budziło powszechny sprzeciw i stawiało wojewodę w złym świetle, inni sądzili, że będą musieli sami utrzymywać przebywających w mieście żołnierzy. Na szczęście mieszkańców, kompania Pawła zniknęła tak szybko i niespodziewanie, jak i się tu zeszłego wieczora pojawiła.

Przekroczywszy granice miasta od strony Antokolu, członkowie wyprawy skrycie się przeżegnali, wielu z nich bowiem było wiernymi chrześcijanami i cenili sobie wstawiennictwo Boskie podczas jakiegokolwiek podróży. Wśród żołnierzy zdarzali się jednak również muzułmanie, gdyż to właśnie Lipkowie, polscy Tatarzy, dali początek tej formacji kawaleryjskiej. Tylną straż oddziału stanowiła dragonia, bardzo zdyscyplinowani i pozbawieni poczucia humoru żołnierze, którzy będą uprzykrzać życie doręczycielowi listu przez najbliższe dni.

Jeszcze przez ponad godzinę od opuszczenia Wilna jedynym odgłosem towarzyszącym orszakowi był tętent maszerujących koni oraz, co jakiś czas, rzenie rumaków, które podnosiły pyski, jak tylko któryś senny kawalerzysta obejmował rękoma szyję. Ułani bowiem starali się w jakikolwiek sposób zapaść w sen, z którego tak brutalnie zostali niedawno wybudzeni. Jeden ze skacowanych żołnierzy spadł nawet z konia w czasie powolnego marszu. Cóż, wszyscy powinni być świadomi tego, że następnego dnia rusza się w dalszą podróż. Na szczęście nikomu nie przyszło nawet do głowy narzekać. Pewnie ze zmęczenia.

Od początku pan Zatopocki przypuszczał, iż wiadomość zawarta w kopercie ma dla księcia ogromną wartość. Nurtowało go jedynie, czego może dotyczyć i jakie nadzwyczajne treści w sobie zawiera. Janusz jednak znany był z tego, że jeżeli nie mógł doskoczyć do jabłka, nie będzie szukał drabiny, w przeciwieństwie do przyjaciela, tak więc jego zaciekawienie samą korespondencją szybko minęło. Nadal jednak nie mógł zapomnieć o wczorajszej nocy i tym niecodziennym incydencie. Sam fakt wysłania kompanii o tak wcześniej godzinie, by uniknąć wzroku niepożądanych gapiów, sprawiał, że książę figurował na liście saperów, obejmującą osoby zamieszane w sprawę bojara i wczorajszego zamachu.

Mimo to, najbardziej realną i możliwą obecnie zagadką do rozwiązania zdawało się

dziwne postępowanie przyjaciela, które nader tajemnicze było dla większości członków kompanii. Pan Zatopocki postanowił przyglądać się poczynaniom Pawła jeszcze dokładniej niż robił to dotychczas. Nieraz już musiał wyciągać porucznika z tarapatów, a zbliżająca się afera z przysłym udziałem pana Taszczyńskiego zdawała się mieć charakter co najmniej na skalę narodową. Około godziny dziesiątej kompania dotarła nad rzekę Wilię. Przeprowa przez nią zajęła orszakowi ponad godzinę, tak więc porucznik zdecydował nie zatrzymywać się aż do postoju w mieście Świr. Tak też się stało. Kompania przemieszczała się cały dzień po gąszczach litewskich lasów, jadąc po kiepskiej jakości, wąskich i zmarzniętych drogach, aż w końcu dotarła do miasteczka.

Była to niewielka miejscina usytuowana na pograniczu rdzennych ziem Litwinów i terenów Białorusi, stanowiąca azyl i postój dla tych, którzy zamierzali w najbliższej przyszłości zapuścić się na wschodnie tereny lub tych, którzy właśnie z nich powracali. Przekroczywszy drewnianą bramę, zmęczona drużyna miała nadzieję udać się do gospód na zasłużony wypoczynek. Dużo było podróżnych dzisiejszego wieczora we Świrze. Karczma była wręcz oblegana, tak więc kompania nie mogła liczyć na kufel miodu, ani miejsce dla sennych żołnierzy. Niestety nie tylko oni mieli takie szczęście. Wielu wędrowców, włóczykijów i myśliwych musiało zadowolić się siedziskiem na podwórzu przed szynkiem bez jakiegokolwiek butelki gorzałki i ciepła bijącego od kominka. To miejsce przypominało obóz dla uchodźców. Ułani pana Taszczyńskiego rozeszli się po mieście, jedynie przyjaciele trzymali się razem, nie licząc wojska książęcego, nieodstępującego porucznika na krok. Porucznik nie miał dragonom za złe, po prostu wykonywali rozkazy, ale irytowało go ciągle obserwowanie jego osoby.

W interesie Pawła leżało nawiązanie kontaktu z jakimś leśniczym bądź podróżnikiem, który mógł ostatnimi czasy dostrzec coś nietypowego w borze. Przyjaciele udali się na plac. Pewien zakutany w szmaty staruszek śpiewał ruskie, prawosławne pieśni przy akompaniamencie lutni, na której grał obok niego młody chłopiec. Taszczyński i jego towarzysze stanęli wśród zgromadzonych.

- Czołem waszmościom! - rzucił porucznik ku podróżnym, ci jednak nie odpowiedzieli.

Osoba posła królewskiego nie zrobiła na ludziach zbyt dobrego wrażenia. Sprawiał wrażenie człowieka, który wszystkiego chce i któremu wszystko wolno. Paweł zupełnie zapomniał o swoim szykownym umundurowaniu. Uniform pana Zatopockiego także bardzo przykuwał uwagę gapiów, zwykłych mieszczan. Ubiorem przypominał Szweda. Młody ułan jednak się nie zniechęcił.

- Zmierzam wraz ze swoimi ludźmi w stronę Połocka, czy któryś z was mógłby mi coś powiedzieć o trasie, którą obieram?

Między zgromadzonymi rozległy się podszepty. Niektórzy odetchnęli z ulgą, część

wciąż podejrzliwie spoglądała spode łbów po słowach przybysza, inni zaś wielce się zdziwili, słysząc o tym szalonym dla nich pomysle.

- Zawracaj pan, jeśli ci życie miłe - odezwał się pewien głos - Nic prócz śmieci nie zaznasz na Białorusi...

- Kto to powiedział? - spytał porucznik, rozglądając się - Pokaż no się!

Z grupy wyłonił się pewien brodaty mężczyzna, najprawdopodobniej myśliwy, sądząc po jego ubiorze i karabinie na ramieniu. Miał szarozielony płaszcz, ciepłą czapkę tego samego koloru.

- Nie słyszeliście o potwornym czarcie, co nawiedza miasteczka i podróżnych w całym Wielkim Księstwie?

- Masz na myśli niezliczoną armię, na której czele stał bojar? - ozwał się Paweł.

Zgromadzeni na placu skierowali oczy ku porucznikowi. Rusin zaprzestał śpiewu, dzieciakowi zerwała się struna w instrumencie. Łowczy zdumiał się wielce na te słowa. Zbliżył się do Pawła.

- Skąd waść o tym wiesz?! - zapytał ściszym głosem, chwytając się kurczowo kołnierza porucznika, omal nie wrywając pagonu - Nikt nie chce mi w to uwierzyć, pomimo iż jest to szczerą prawdą! - kontynuował zdumiony - Zdaję mi się, że część po prostu miała z nim styczność i boi się o nim mówić głośno. Pewno odciął im języki... - dopowiedział ciszej.

Paweł nachylił się nad myśliwym.

- Na własne oczy widziałem kolumnę rosyjskiej piechoty, a także spopieloną przez nią wieś.

- Gdzie i kiedy to było? - pytał dalej.

- Zeszłego dnia na Żmudzi. Zrównali z ziemią wieś Żyglice - odpowiedział porucznik - wymordowali niemal całą ludność...

- Panie, od tego czasu zdołali dostać się pod Połock, tam czatują na kupców i karawany, niszczą wsie i miasteczka! - rzekł myśliwy - Sam widziałem w nocy podczas warty w lesie!

Nagle Paweł poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Odwróciwszy się ujrzał dojrzałego mężczyznę, ale mimo młodego wieku bardzo wyniszczonego. Był wyraźnie

poturbowany. Przyoblekał obdarty strój.

- Jam też go widział - rzekł - Zanim mi to zrobił - tu wskazał na swoje wypalone oczy.

- Czy służysz Bogu? - wtrącił się Janusz.

Jegomość znacząco pokiwał głową i po omacku wyciągnął spod ubrania srebrny krzyż prawosławny, wiszący na przetartym rzemyku.

Po tym co tutaj usłyszał, Paweł podniósł się na równe nogi i już otwarcie, na cały głos zawołał.

- Zapytuje was, mości panowie, kto jeszcze padł ofiarą tajemniczego bojara, bądź mierzył się z nim, napotkał go na swej drodze?! Mówcie prawdę, nic wam nie grozi! Odpowiadajcie śmiało!

Ponad połowa z zebranych tu ludzi wstała, ale nic ze strachu nie powiedziała. Pan Zatopocki przejrzał na oczy: Paweł przyjął zlecenie wojewody, gdyż miał nadzieję uzyskać informację na temat bojara lub, co gorsza, napotkać go na swej drodze i wymierzyć własnoręcznie sprawiedliwość.

- Nie bójcie się drodzy przyjaciele - zaczął porucznik - Bojar zostanie wkrótce przepędzony, możecie być tego pewni.

W tejże chwili towarzystwo na placu ożywiło się: zaczęło krzyczeć, wyklinać carycę, wystrzeliwać w powietrze z muszkietów. Zwróciło to uwagę ułanów i innych mieszkańców miasta, którzy nie brali udziału w dyskusji. Całe to zdarzenie ożywiło Pawła, przypawiło go nawet o bardzo niestosowne myśli.

- Miałem rację, wojewoda Ogiński się mylił.... Niechże cię piorun trzaśnie panie Michale! Jesteś zapewne kolejną marionetką w rękach Katarzyny i magnaterii. Rzeczpospolita będzie mi dziękować, kiedy wydam cię jako zdrajcę i łachudrę! A twój list, już ja go dokładnie zbadam i okaże się, cóż za ważną wiadomość dostarczałem panu Adamowi Brzostowskiemu! Skoro pospólstwo wiedziało o bojarzynie, to i on zapewne też!

- Na koń! - zawołał porucznik Taszczyński, a że ułani przyglądali się zdarzeniu na placu, usłyszeli polecenie i prędko je wypełnili.

- Dzięki ci - rzekł na pożegnanie Paweł myśliwemu - Trwoga, którą wywołał bojar już wkrótce się zakończy...

Jeźdźcy ruszyli przeciwległą bramą do tej, którą wjechali. Żegnano ich radośnie,

wznosząc wiwaty i rzucając kapelusze pod niebiosa. Paweł jechał dumny na czele swego orszaku, pozdrawiając ludność i zapewniając o rychłej rozprawie z Moskalami. Wszyscy członkowie wyprawy byli w szoku - łącznie z wachmistrem i Januszem, który nie chciał dopuścić do tego samosądu - dla dobra przyjaciela i Litwy.

Aby jak najszybciej dotrzeć do Połocka, Paweł zarządził dalszą jazdę aż do północy. Kompania przenocowała w terenie. Rozbito obóz nad niewielkim strumieniem trzy godziny drogi od miasteczka, w którym ostatnio spędzili wieczór. Żołnierze byli bardzo zmęczeni i wszyscy ułożyli się do snu, korzystając z siodła jak z poduszek.

Trzeciego grudnia, wczesnym rankiem, wszyscy ułani skorzystali z okazji i dokładnie umyli się chłodną wodą w tej bystrej rzeczce. Janusz i Andrzej spoglądali na siebie znacząco, kiedy widzieli Pawła rozmawiającego z zapalem z Tadeuszem. Młody ułan energicznie przystąpił do zarządzania i nakazał zwinąć obóz.

- O czym rozmawiałeś? - zapytał pan Zatopocki, kiedy porucznik się oddalił

- Czyżbyś chciał wiedzieć, co knuje nasz przyjaciel? - Tadeusz uniósł brew.

- Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Martwię się o niego - usprawiedliwił swoją ciekawość saper.

- Doskonale cię rozumiem. Pytał mnie, co sądzę o całej sytuacji.

- I?

- Powiedziałem mu, że jestem przeciwny tak spontanicznym decyzjom, a tym bardziej działaniu na własną rękę. Moim zdaniem powinien trzymać się od tego bojara z daleka.

- Wiedziałem przyjacielu, że przemawia przez ciebie głos rozsądku - Janusz poklepał przyszłego chorążego po ramieniu. - Miejmy nadzieję, że osamotniony w swym myśleniu, z czasem odpuszc...

Drużyna kontynuowała swoją wędrówkę. Ich obecnym celem było teraz dotarcie do miasteczka Głębokie, które znajdowało się mniej więcej w połowie drogi do Połocka. Tam też zamierzano zatrzymać się na noc. Korowód z wolna podążał gościńcem, który po blisko całonocnym marszu doprowadził drużynę na opuszczony i zniszczony folwark. Paweł czuł w powietrzu zapach siarki. Podszedł do spopielonego domku i dotknął jego resztek. Były ciepłe, a to znaczy, że ci, którzy dopuścili się tego bezceństwa, musieli być niedaleko. Mimo to kompania postanowiła rozbić tu obóz, bowiem od miasta dzieliła ich jeszcze spora odległość. Po wczorajszym forsownym marszu żołnierzom należał się dłuższy postój w ciągu dnia. Paweł musiał wszystko

spokojnie przemyśleć. Kazał żołnierzom rozstawić wokół terenu gospodarstwa strażę. Po rozbiciu namiotów żołnierze rozpoczęli przygotowania do wieczery. Nie wszystko jednak układało się po myśli Pawła.

- Mości poruczniku! - zawołał jeden z ułanów - Przed nami ktoś tutaj rozbił obóz i nie wydaje mi się, że już opuścił to miejsce.

- Przecież przed rozbiciem obozu żywej duszy nie zastaliśmy! - zauważył pan Kościuszko. - A w dodatku całość dopiero co została strawiona przez ogień!

- Może opuścili na chwilę to miejsce - wzruszył ramionami. - Tutaj pozostał cały ekwipunek: prowiant, ubrania, nawet kilka szabel. Pewnie ten, kto podpalił ten folwark, nie patrzył nawet, czy jest w jego wnętrzu coś cennego.

- Albo ktoś przybył tu po pożarze, uważając to miejsce za bezpieczną kryjówkę - dodał Janusz, starając się zahamować bezpodstawne kojarzenie faktów i oprzytomnieć Pawła.

- *Zagarnął już pewnie wystarczająco dużo łupów i nie ma gdzie trzymać kosztowności* - pomyślał młody ułan, nie zważając na słowa inżyniera.

Pan Zatopocki udał się w miejsce wskazane przez żołnierza. Rozpoczął oględziny. Po kilku minutach Janusz wyłonił się z gruzów budynku.

- Ten ekwipunek jest zbyt mało profesjonalny dla zorganizowanej grupy - oznajmił, rzucając pod nogi Pawła wyszczerbioną szablę.

- To pewnie jakaś grupa włóczęgów, rzezimieszków czy czegoś w tym rodzaju - dodał, wpatrując się znacząco w przyjaciela, któremu zburzył właśnie tworzący się w jego głowie ciąg przyczynowo - skutkowy.

Zanim Paweł zdążył się odezwać, usłyszał nadchodzących z oddali ludzi.

- Gasić ogniska! - rozkazał - Ładować broń i ukryć się - rozkazał ściszym, aczkolwiek donośnym tonem.

Żołnierze uwinęli się na tyle szybko, że nadciągający przeciwnik nie zdążył zorientować się o obecności „intruzów”. Ułani przylegli do murku, naciągnęli kurki. Karabiny były naładowane, szable i pistolety w gotowości.

Była to w rzeczywistości grupa łotrów, która żyła z napadów na bogatych kupców i samotnych podróżnych. Szajka ta przeżywała ostatnimi czasy erę kryzysu, bowiem została wyparta na drugi plan przez tajemniczych Rosjan i dochód z grabieży zmalał.

Liczna była na piętnaście muszkietów, które gotowe były wystrzelić w każdej chwili, bez jakiegokolwiek zastanowienia czy negocjacji - o ile napotkany człowiek nie miał czegoś wartościowego do zaoferowania.

Grupa wracała właśnie z udanego napadu na karetę wysoko postawionego szlachcica, za którego chciała uzyskać niemały okup. Nieświadomi niebezpieczeństwa bandyci zbliżali się wielkimi krokami ku swojej zgubie. W tejże chwili dotychczas świecąca tarcza księżyca skryła się za chmurami. Zapadła całkowita ciemność. Paweł i jego ułani słyszeli kroki zdyszanych, bluzgających bandziorów zbliżających się do obozu. Nagle bandyci usłyszeli rżenie koni dobiegające z pobliza ich kryjówek. Domyślali się, co to może oznaczać. Nie zwlekając, Paweł prędko zapalił pochodnie trzymaną przez niego dotychczas w dłoni. Rzucił ją wysoko w powietrze, podświetlając tym samym pole zbliżającej się potyczki.

- Ognia! - zawołał porucznik.

Po chwili cały folwark i okoliczne tereny zostały oświetlone przez salwę z muszkietów i pistoletów. Objuczeni tobołami bandyci nie zdążyli w porę zareagować. W przeciągu kilkunastu sekund wszyscy oni zostali wybici przez kompanię porucznika. W potyczce nie ucierpiał nikt z drużyny Pawła. Ułani nie zabili jednak wszystkich. Po ponownym zapaleniu pochodni i ognisk żołnierze wyruszyli przeprowadzić oględziny, martwej ich zdaniem, szajki.

- Pomocy! - krzyknął nieznany głos.

Jeden z dragonów zauważył leżącego na trawie nieżywego bandytę, który wedle żołnierza wołał o pomoc. Wymierzył ku niemu pistolet, jednak pan Zatopocki w porę dostrzegł innego jegomościa, na którym leżał tenże oprych. Gdy dragon miał strzelić, Janusz odtrącił jego rękę. Prędko podbiegł, obsunął z jegomościa ciało zbira i pomógł wstać żywemu. Był to ten właśnie szlachcic, który został pochwycony przez bandytów niespełna godzinę temu. W tym czasie zdołał się już przekonać o subtelnych metodach traktowania zakładników. Był cały posiniaczony. Schludne ubranie było ubrudzone i oplute przez zbira, ręce jego przywiązane do zabitego rabusia, którego w czasie potyczki ów szlachcic szczęśliwie naprowadził na wystrzelony przez jednego z wybawców pocisk.

- Dzięki waćpanom za ratunek - rzekł mężczyzna, gdy został już rozwiązany. - Nazywam się Wojciech Zaremba. Ufam, że będę mógł się panom odwdzięczyć za pomoc.

- Nie ma za co, panie Wojciechu. Nie sądziliśmy, że dojdzie do zwady. Zatrzymaliśmy się tutaj na nocleg - rzekł porucznik, po uprzednim przedstawieniu się.

- A gdzie panowie zmierzają? - zapytał szlachcic z ciekawości.

- Jedziemy z misją poselską do Połocka. A pan, jak dostał się do niewoli?

- Cóż, wracałem właśnie z mojej posiadłości nieopodal Głębokiego, gdy nagle na głównym gościńcu napadła nas tamta szajka. Zabrała wszystkie towary, które posiadałem, a także zabili większość moich współtowarzyszy.

- Co się stało z pozostałymi? - zapytał Kościuszko.

- Dokładnie z jednym. Puścili go wolno - odpowiedział pan Zaremba.

- Ciekawe, jaki mieli w tym interes - zastanawiał się pan Tadeusz.

- Przecież ktoś musiał zawiadomić rodzinę o porwaniu, by móc dostarczyć okup - zauważył Janusz.

- Dokładnie - przytaknął pan Wojciech - Muszę czym prędzej jechać do Głębokiego, by zawiadomić rodzinę, że jestem już bezpieczny.

Panowie udali się z powrotem do ruin folwarku, gdzie ułani przygotowali już wieczerzę i nowe ubranie dla pana Zaremby. Usiadłszy przy ognisku, przyjaciele powrócili do rozmowy z panem Wojciechem.

- Czy zauważył waćpan coś dziwnego ostatnimi czasy na Białorusi? Zgaduję, że pan tu zajezdza regularnie, skoro waszmość własne gospodarstwo posiada.

- W istocie, ostatnio straciłem jeden z moich folwarków, to znaczy został on doszczętnie zniszczony. Wygląda teraz podobnie do tego, w którym się znajdujemy.

- Gdzie był on usytuowany? - zapytał Paweł.

- Niecałych kilka staj stąd. Zajechałem tam zanim mnie porwali. Nie ma już nic godnego uwagi.

- A czy domyśla się waść, kto napadł na gospodarstwo? - odezwał się pan Tadeusz.

- Krążą plotki o tajemniczym bojarze, który buszuje po lasach na Białorusi. Osobiście w to nie wierzyłem, lecz ostatnia sprawa z moim folwarkiem nieco mnie wystraszyła.

- Dlaczego?

- Gdyby to byli rabusie, porwaliby dziewczki, zrabowali kosztowności i wrócili za jakiś miesiąc, te potwory jednak zrównały wszystko z ziemią, niczym w ogromnym szale

i nienawiści, jakby nie liczył się dla nich zysk, jeno rządu niszczenia.

- Mógłby pan wskazać mi kierunek do tej wsi? - poprosił Paweł - Zajechalibyśmy tam jutro.

- Północny - zachód, ale powtarzam, nie ma tam nic wartego obejrzenia.

- *To się okaże* - pomyślał porucznik.

Po spożytej wieczerzy nadszedł czas na huczną libację. Ułani zaczęli wyjmować butelki pełne miodu i innego trunku, których, jako przezorni mężczyźni, wzięli spory zapas na wyprawę. Zdarzało się także, iż ułan wyciągał manierkę, którą po kryjomu napełniał wódką, ponieważ Paweł zabraniał pić alkohol w trakcie marszu. W tej sprawie jednak nikt nie miał możliwości wpłynięcia na wojaka. Nie wszyscy jednak żołnierze sięgali po wysokoprocentowe napoje, bowiem znaleźli się w kompanii muzułmanie, którym religia zakazywała spożycia alkoholu. Pan Zatopocki, znużony ciągłą obserwacją przyjaciela, na ten wieczór stracił czujność. Przystąpił do ułanów, gdzie po chwili śpiewał już żołnierskie pieśni, często niepoważne i dosyć sprośne. W takim towarzystwie nie było to jednak nic uwłaczającego. Taka wojskowa gorzała niejednego eleganta pozbawiła na pewien czas etykiety. Paweł wykorzystał tę chwilę na samotną wędrówkę do zniszczonego gospodarstwa. Wsiadłszy na koń, pocwałował w kierunku wskazanym przez szlachcica. W przeciągu kwadransa dostrzegł, między drzewami, zarysy spopielonych chatek. W tym momencie porucznik zsiadł z rumaka, chwycił go za lejce, wyciągnął pistolet i ruszył w kierunku folwarku. Gdy dotarł na miejsce, zobaczył zrównane z ziemią gospodarstwo. Pan Zaremba miał rację. Nie było nawet czego szukać. Wróg porwał wszystko, a to, czego nie zrabował, spalił. W tej właśnie chwili, zza chmur wyrżał księżyc, ale nie tylko on... Oświetlił gruz wsi. Nagle wśród szczątków, porucznik dojrzał pewien błyszczący przedmiot. Prędko podszedł w to miejsce i podniósł błyskotkę. Był to lśniący medal z wygrawerowanymi literami cyrylicy na awersie. Rewers zaś zdobiła podobizna jakiegoś arystokraty, Paweł jednak nie rozpoznał jego twarzy. Nad podobizną wznosiła się duża gwiazda. Pan Taszczyński schował znalezisko za pazuchą, gdyż był to kluczowy dowód rzeczowy, który mógł doprowadzić do przełomu w jego śledztwie.

Tymczasem kompania Pawła w ogóle nie zauważyła jego zniknięcia. Piła w najlepsze, śpiewała i opowiadała dowcipy. Jedyne dragonia, pomimo usilnych próśb ułanów, nie przystąpiła do zabawy. Rozmawiała we własnym gronie, w ogóle nie zauważywszy zniknięcia porucznika. Jednak nie tylko księżęca eskorta i muzułmańscy kompani zdecydowali się na wieczór bezalkoholowy. Tadeusz i pan Zaremba także woleli nie tracić głowy, zwłaszcza że jutro czekała ich dalsza całodniowa wędrówka.

- Udana jest wasza drużyna - zagadał do Tadeusza pan Wojciech - Musi pan być z niej dumny, panie chorąży!

- To nie jest moja kompania - uśmiechnął się chłopak. - Jestem w niej od niedawna. To porucznik Taszczyński jest tu dowódcą - zaśmiał się Kościuszko, który pozwolił się tytułować mianem chorążego.

- Ma chyba duży posłuch wśród swoich ludzi - zauważył szlachcic.

- Ma i to duży autorytet, ale ostatnio coś sporo na jego temat plotkują.

- Dlaczego? - zapytał zdziwiony.

- Cóż, kompanię zaskoczyła wieść, że zamiast do Warszawy zmierzamy do Połocka. Zwłaszcza że zima idzie, a na wschodzie daje się ona wielce we znaki. Paweł bardzo przejął się obecnością bojara w kraju.

- Oho, widzę że to prawdziwy patriota. Takiego w Rzeczypospolitej ze świecą szukać. Tylko niech mu do głowy nie przyjdzie ruszyć na Moskwę! - zaśmiał się Zaremba.

- Trzeba by jego ambicje zahamować, ale w jednym ma on rację: Rosja to zgoła ucieleśniony demon, co łaknie Rzplitej jak nic innego na świecie. W wielkim się potrzasku znaleźliśmy. Z jednej strony Brandenburczycy, co chcą Prusy z sobą połączyć, dalej Carstwo, co podbój słowiańskiej części Europy szykuje.

- Nie zapominaj waść o Habsburgach i Osmanach.

- Nie żartuj waść, wszyscy dobrze wiedzą, iż Turcja to przeżytek, co się ku upadkowi chyli, choć bardzo naszemu krajowi dobrze życzy. Chyba wywalczyliśmy sobie pod Wiedniem u Turków szacunek... A Austria? Dla niej to, co się dzieje w Europie nie ma najmniejszego znaczenia. Jakby miała z nami boje toczyć, to tylko pod przymusem innych mocarstw, bądź politycznych korzyści. W końcu nie powinna mieć powodów do wojny z nami, kiedy ją swego czasu od zguby ocaliliśmy. Są nam winni chociażby tę życzliwą neutralność.

- Jedno jest wszak pewne, ciężkie czasy nastały - rzekł pan Zaremba ze smutną nutą w głosie – Choć Wiedeń chętnie by powetował sobie utratę Śląska. Byleby nie Krakowem...

- W tej materii afera austriacka królowi i Polsce nic dobrego nie przysporzyła...

Rozmowę tą przerwało niespodziewane nadejście Pawła, który po godzinnej nieobecności powrócił niezauważenie do obozu.

- Cóż takiego porabiacie panowie? – zapytał. - Widzę żeście mojego zniknięcia

w ogóle nie dostrzegli, a przyniosło mi ono nieoczekiwane korzyści.

- Jakie?

- Wybrałem się do Ostróg....

- To było nierozsądne... - przerwał Tadeusz.

Porucznik jednak go zignorował.

- I znalazłem to - pokazał towarzyszom błyszczący medal.

Tadeusz wziął do ręki złotą odznakę, następnie wręczył ją Wojciechowi.

- Toż to jest gęba Repninowska!

- Tego korespondenta i ambasadora od carycy? - zapytał pan Kościuszko.

- Chyba gońca na jej posyłki... - wtrącił Zaremba. - Ale co oznaczają te litery na awersie? Ej no, one są w cyrylicy!

- Po przetłumaczeniu na polski litery te stanowią skrót N.T.R - wtrącił Kościuszko, zaglądając Pawłowi przez ramię. - A litery poniżej tworzą napis SOCJA.

- Pan Zatopocki na pewno rozpoznałby cały ten medal - stwierdził Tadeusz. - Może pokażmy go mu? - zasugerował.

- Nie! Bądź waść pewien, że wkrótce i on będzie miał ten przedmiot w dłoni, jeno na razie niech nikt mu o tym znalezisku nie mówi.

Panowie skinęli głowami na znak zgody. Tadeusz przeczuwał, jakiej reakcji Janusza obawia się ich przyjaciel.

Tym tajemniczym akcentem rozmowa została zamknięta. Mężczyźni ułożyli się w niedługim czasie do snu, a i ułani po niespełna godzinie, zmęczeni wydarzeniami dzisiejszego dnia, udali się na spoczynek. W krótkim czasie cały obóz zamarł w ciszy i spokoju.

Następnego ranka, tj. czwartego grudnia, kompania z trudem szykowała się do podróży. Prawie wszyscy uczestnicy wczorajszej imprezy leczyli dziś rano dolegliwości z nią związane, w tym również pan Zatopocki.

Paweł także zdawał się być znużony i niezdrów, ale w rzeczywistości od samego

rana targały nim niestosowne myśli. Skołatany porucznik długi czas przewracał w dłoniach medal, myśląc nad słusnością podejmowanej przezeń decyzji. Pan Taszczyński walczył sam ze sobą w kwestii listu książęcego. Miał wiele argumentów za i przeciw.

- Mogę okazać się zdrajcą, stracić wpływy i przyjaciół. Zostać straconym lub trafić do więzienia... Z drugiej jednak strony będzie to niekwestionowany dowód na ingerencję Rosji w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej, a także na wszelkie rabunki, gwałty i zbrodnie ze strony bojara - tak myślał Paweł.

Ciekawsza oraz słusniejsza, jego zdaniem, strona porucznika zwyciężyła pojedynek w jego umyśle. Schował prędko medal do kieszeni i wyciągnął z niej list. Przewracał go w dłoniach przez kolejne pięć minut, gładził książęcą pieczęć, ale nawet czułe i wrażliwe usposobienie Pawła nie powstrzymało go przed otwarciem wiadomości:

Do pana Namiestnika i Kasztelana połockiego Adama Brzostowskiego.

Dzięki miłościwemu nam panu Nikołajowi Repninowi, sejm ocalił i przywrócił święte liberum veto. Tym samym zahamował nedorzeczne ambicje króla Stanisława, co zwykł popierać absolutyzm. Jednak przyszło na tym sejmie rozwiązać konfederację, gdyż ambasador Carycy zażądał tego wraz z opozycją. Miłościwy poseł wysunął też projekt równouprawnienia innowierców. Na to dysydenci wielce się poruszyli i zaczęli poważnie myśleć nad własną konfederacją, co by ich prawa miała dopomóc uzyskać. Replin specjalnie podburzył społeczeństwo różnowiercze. „Sasi”, choć uprzednio gwarantujący alians z Replinem, po rozwiązaniu konfederacji Czartoryskich zerwali z ambasadorem. Jegomość Poseł bardzo się wzburzył i poczuł się oszukany. Zarówno Czartoryscy jak i „Sasi” byli przeciw posłowi i tym sposobem kwestia nie została rozwiązana. Nie wiadomo, jak teraz się sprawa potoczy. Czekam na dalsze informacje od Księcia Ambasadora. Czuwaj, przyjacielu. Ta sprawa jeszcze się rozwinie, a my dwaj musimy wzajemnie wspierać siebie i Księcia Ambasadora. Bądź w gotowości i oczekuj dalszych instrukcji.

Niech żyje Rosja, protektorka Rzeczypospolitej.

Porucznik zamarł w bezruchu. Nie wiedział co zrobić. Serce mu się krajało po tym, co tu wyczytał. Na domiar złego, książę go oszukał. Twierdził, iż tajemniczy bojar mógłby być „oparciem dla Repnina” w związku z jego niezgodą z królem na sejmie. Nikołaj podburzył społeczeństwo różnowiercze, które lada chwila mogło zawiązać konfederację grożącą monarsze, jeżeli nie spełni ich postulatów. Łacinnicy także nie pozostaliby w tej kwestii bez głosu, choć w walce z samymi dysydentami nie mieliby powodów do obaw. Gorzej, gdyby innowierców poparła Rosja... Rozpętałyby się wojna domowa! Pan Taszczyński nie miał żadnych złych intencji wobec ewangelików czy prawosławnych, ale w obecnej sytuacji zaczął modlić się, by dysydenci nie urosli w siłę.

- Hej, Pawle, czemuż taki smętny? - zapytał niespodziewanie pan Tadeusz, przysiadając się do porucznika.

Porucznik nic mu nie odpowiedział, chorąży więc ponowił pytanie.

- Przyjacielu, czy wszystko z tobą w porządku...? - tu Kościuszko przerwał, gdyż zauważył w dłoniach porucznika otwartą korespondencję. Wziął z jego rąk list bez jakiegokolwiek reakcji ze strony pana Taszczyńskiego. Młody chorąży zabrał się do czytania, ale już po zakończeniu pierwszej linijki twarz jego zmieniła się nie do poznania. Po przeczytaniu całości, Tadeusz położył list na kolanach przyjaciela.

- Miałeś rację... - rzekł ściszym głosem. - Wybacz moje zwątpienie - powiedział, ocierając twarz z łez.

- Wszyscy gotowi do wymarszu mości poruczniku! - zawołał za plecami Pawła wachmistrz Piekarski

To oświadczenie zmusiło Pawła do otrząśnięcia się z amoku. Prędko włożył list do nadszarpanej koperty i niechętnie podniósł się z pniaka. Zwróciwszy się w kierunku kompani, z udawanym na ustach uśmiechem dosiadł swojego konia. Po chwili cały orszak ruszył w kierunku Głębokiego. Od początku wyjazdu z folwarku w głowie porucznika padało jedno nazwisko - Repnin. Ta postać pojawiła się już drugi raz w całej tej sprawie. Paweł był całkowicie pewien, że jest on znaczącą osobą w całym tym zdarzeniu. Zastanawiał się nawet, czy nie ma jakiejś zwierzchniej władzy nad bojarem czy nawet księciem Ogińskim. W swym liście tak wychwalał Nikołaja, jakby to był jego rodzony ojciec. Wiele Paweł już się dowiedział, ale jeszcze więcej było rodzących się cały czas pytań, pozostających bez odpowiedzi.

Także Kościuszko pograżył się w zadumie, ale w przeciwieństwie do Taszczyńskiego był realistą. Zamiast zajmować się treścią listu, który mimo wszystko wstrząsnął chłopakiem, Tadeusz zastanawiał się, co ze sprawą naruszenia własności zamierza zrobić porucznik. Nic jednak w tej kwestii nie powiedział, choć musiał w przyszłości dopomóc Pawłowi.

Nieświadom całej sytuacji pan Zatopocki leczył się wciąż ze swych dolegliwości. Od rana głowa tak go bolała, jakby wypełniona prochem miała eksplodować. Dostrzegł on mimo tego nietypowe zachowanie dowódcy kompanii, toteż wysunął się na przód kolumny jeźdźców.

- Pawle, powiedz-li, czy nic ci nie jest? Całą drogę od folwarku przemilczałeś - zapytał zdziwiony, dotykając i masując bolące czoło.

- To co za chwilę ci powiem, musi pozostać między nami - rzekł niemrawo porucznik. - Obiecuj, że ani ułani, ani dragonia się o tym nie dowie.

Pan Zatopocki wytrzeszczył oczy.

- Otworzyłeś książęcy list!?! - rzekł podniesionym tonem zdruzgotany Janusz, jakby czytał jego myślach.

Paweł przytaknął zdenerwowanemu przyjacielowi, uśmiechnął się na myśl, że Janusz tak dobrze go zna i z całkowitym spokojem wręczył mu do rąk wiadomość oraz medal. Reakcja i wyraz twarzy inżyniera były identyczne jak u młodego chorążego. Zbladł po przeczytaniu tego listu. Gdy Janusz się już otrząsnął, porucznik opowiedział o swoim wczorajszej wycieczce i o znalezisku, któremu pan Zatopocki począł się dokładnie przyglądać. Rozpoznał postać na rewersie, sam zaczął rozmyślać nad jego obecnością na odznace. Jednak gdy nic już mu nie mogło przyjść do głowy, oddał porucznikowi oba przedmioty. Nie wiedział, co oznacza ten skrót ani napis SOCJA.

- Wybacz mi Pawle, ale musisz wiedzieć, że to, co uczyniłeś, może na nas nieszczęście wielkie sprowadzić, łącznie z karą śmierci! - rzekł pan Zatopocki.

- Nie obawiam się tego. Jak widzisz w Rzplitej pełno jest zdrajców wszelkiej maści, którzy się długo bez żadnej sprawiedliwości obeszl. Choćby taki książę Ogiński.

- Prawda to, lecz on wspiera Rosjan, co mają za dużo do powiedzenia w kraju, a ty jesteś po stronie króla, przeciw któremu teraz i innowiercy chcą walczyć i opozycja starszłachecka i możliwe że nawet jego wujowie. A co zamierzasz w związku z listem?

- Po pierwsze przyjacielu, nie jestem po stronie króla - służę państwu i jego pierwszemu obywatelowi, który, choć nie reprezentuje mych wzorców, jest monarchą całej szlachty, w tym moim, po drugie, napiszę nowy.

- Podrobisz wiadomość!?

- I zmienię treść.

- W imię Ojca i Syna!

Na tym rozmowa się zakończyła. Pomimo iż później Janusz szeptał jeszcze coś pod nosem, porucznik trochę się rozchmurzył. Wiedział, że teraz i pan Zatopocki stoi po jego stronie, albo inaczej: przekonał go do istnienia zagrożenia, z którym oni sami muszą się uporać.

Nakazał przyspieszyć tempo, chciał jak najszybciej dotrzeć do Głębokiego, gdyż

miał zamiar napisać tam nowy list. Nie tylko on jednak chciał czym prędzej dostać się do miasta. Także ułani pragnęli zjechać do Głębokiego jak najprędzej, gdyż, jak to apelował do Pawła pan wachmistrz, „jadło się kończy, ale co gorsza trunek”. A o suchym gardle nie ma co myśleć o dalszej drodze. Panu Zarembie spieszno było nająć człowieka, który mógłby poinformować jego rodzinę, mieszkającą pod Wilnem, o minionym dramacie. Około godziny czwartej kompania zawitała w Głębokim. W tym czasie słońce chyliło się już ku zachodowi. Następnego dnia w południe Paweł planował dojechać do Połocka.

Kompania zamierzała przenocować w tutejszym posterunku milicji i ewentualnie w izbie karczemnej. Zanim jednak mieli zamiar ułożyć się na posłaniach, zmęczona kompania planowała dobrze spożytkować swój wolny czas. Wiedząc, co ułani planują czynić przez większą część nocy, już na wstępie porucznik zakazał im spożywania alkoholu. To, co działo się wczorajszego wieczora, przysporzyło dzisiaj Pawłowi mnóstwo problemów. Nie dość, że dzisiejsze tempo było tak mozolne, że przechodni wędrowcy spokojnie wymijali całą kolumnę jeźdźców, to jeszcze często trzeba było organizować postoje ze względu na dolegliwości podkomendnych. Oprócz wygłoszenia reprimendy na popołudniowym apelu, przezorny porucznik rozkazał napełnić w mieście bukłaki z wodą, a także nabyć suchego prowiantu na drogę powrotną. Po rozdzieleniu obowiązków, ułani rozeszli się w swoje strony. Tadeusz udał się razem z nimi, Janusz i Paweł weszli do karczmy, zaś pan Zaremba prędko ruszył nająć gońca.

Wszedłszy do oberży, panowie znaleźli zaciszne miejsce, w którym rozłożyli przybory niezbędne do napisania listu. Zatopocki wyciągnął ze swojej podręcznej torby inkaust, pióro oraz kartkę czystego papieru.

- A więc co zamierzasz napisać w tym liście? - zapytał Janusz, maczając pióro w kałamarzu.

- Dokładnie to, co będzie przeciwieństwem pierwowzoru. Między innymi obejmiemy Litwę kwarantanną i nakażemy zebrać wojsko, aby nie narazić Księstwa na styczność z zarazą ze wschodu.

- Igrasz z ogniem, Pawle. Jesteś pewien, czy raczej świadom ryzyka, jakie niesie ten falsyfikat?

- Dla dobra narodu... - rzekł pobłażliwie porucznik.

- A co z pieczęcią?

- Księżę powierzył mi przecież pierścień posła wojewody wileńskiego - zastrzegł Paweł.

- Jak uważasz, tak więc mów, co mam pisać...

W połowie zdania pan Zatopocki przerwał, zauważył bowiem, jak do karczmy weszli pan Kościuszko i wachmistrz, w towarzystwie kilku żołnierzy. Porucznik prędko schował przedmioty pod stół, gdyż niespodziewani goście zmierzyli w ich kierunku.

- Cóż tam porabiacie, mości panowie! - zagadał Tadeusz, opierając się o krzesło pana Zatopockiego.

- Piszemy list - rzekł Paweł, kładąc nacisk na drugi wyraz, przy czym zgromił przyszłego chorążego spojrzeniem.

Kościuszko zrozumiał aluzję, jednak ułani i wachmistrz zdążyli się już rozsiaść przy stoliku porucznika.

- A jaki to list piszecie! Miłosny? - zaśmiał się wachmistrz. - Mógłby porucznik w końcu znaleźć sobie jakąś pannę!

Paweł zmusił się na lekki uśmiech. Zdając sobie sprawę z zaistniałego niefortunnego położenia pana Taszczyńskiego, Tadeusz zdecydował się ratować sytuację.

- Czyż dane jest nam wiedzieć, z kimże dialog prowadzi nasz pan porucznik? Jeżeli to o kobietę się rozchodzi, to powinniśmy uszanować jego prywatność i nie wdawać się w szczegóły. List to rzecz prywatna. Tym bardziej, że to korespondencja opatrzona szlachecką pieczęcią!

To co właśnie powiedział Tadeusz zwróciło uwagę nie tylko towarzyszy, ale i gości w gospodzie. W jego słowach była jednak słuszność, dlatego też zmieszani, zdumieni i pełni podziwu ułani podnieśli się z siedzeń.

- Co waść więc tu robisz? - zapytał wachmistrz, wskazując na Janusza.

- Paweł poprosił mnie, bym mu ze wstępem listu pomógł.

- Cóż, chyba że tak...

- Mogą panowie mnie już opuścić? - wtrącił się grzecznie pan Taszczyński.

Podwładni posłusznie odeszli od stolika. Aby nie wzbudzać podejrzeń, Kościuszko i Janusz również odeszli. Został sam, więc zabrał się do pisania listu, którego ostateczna treść nie była tak szokująca. Bynajmniej nie dla Pawła.

Do pana Namiestnika i Kasztelana Połocka Adama Brzostowskiego.

Ostatni sejm okazał się być bardzo napięty z powodu próby zniesienia szlacheckiego liberum veto! Dzięki interwencji Prus i Rosji nie doszło jednak do tego skandalu. Sam król bardzo na tym ucierpiał przez okazanie swojej chęci samodzielnego panowania i stanowienia. Rzeczpospolita na tym wielce traciła. Jak wiesz, zlikwidowano cło generalne niekorzystne dla interesów Fryderyka i Katarzyny. W zamian za pomoc w obaleniu zapędów absolutystycznych Stanisława Augusta, Repnin zażądał od republikantów równouprawnienia innowierców. Stronnictwo starszlacheckie, dowiedziawszy się o zamiarach ambasadora, zdecydowanie oznajmiło sprzeciw, król także, pod naciskiem mas szlacheckich. Mamy jednak nadzieję, iż dojdzie do porozumienia JKM i dysydentów bez użycia przemocy. W ten czas musimy wspierać miłościwie nam panującego króla, by móc zdusić powstanie u samego poczęcia. Repnin coś knuje. Chce wywołać zamęt w kraju. Musimy ograniczyć kontakty z naszym wschodnim sąsiadem. Chyba nie chcesz zostać pionkiem rosyjskim?

Niech żyje Rzeczpospolita!

Przeczytawszy kilkakrotnie list, Paweł złożył go. Teraz nadszedł czas na najcięższą próbę - wiarygodny stempel. Potrzebował masy woskowej. Na szczęście tuż przed nim paliła się świeca. Potrzebował jednak czegoś jeszcze. Wstał od stołu i podszedł do lady gospodarza. Pożyczył od karczmarza miskę i nóż. Wracając porwał kielich z winem od jakiegoś nieprzytomnego szlachcica. Wróciwszy na miejsce, Paweł usadowił się tak, by żaden z gości nie dostrzegł jego poczynań. Zgasił świecę i uciął jej górną warstwę. Zrobił jej przekrój i wyciągnął knot. Wosk wrzucił do miski i wlał do niej wino z kielicha. Prędko zamieszał to razem i po chwili roztopiony wosk przybrał bordową barwę. Porucznik poczekał, aż masa lekko się zageęści, po czym wyłożył masę na wierzch korespondencji. Odczekał jeszcze chwilę, po której użył swojego pierścienia. Przycisnął go mocno do wosku, w którym pozostawił trwałe ślad herbu Rzeczypospolitej z szachownicą orłów i pogoni. Odczekał chwilę, nim zastygł, a potem wziął swój list w dłoń i spojrzał na niego z dumą. Ucałował go, wymawiając po cichu jakieś łacińskie słowa, po czym schował go prędko za pazuchą i opuścił karczmę. Na ulicach miasta paradowali ułani, którzy zgodnie z rozkazami porucznika zaopatrzyli kompanię w niezbędny ekwipunek. Ciężko było jej dotrzymać wstrzemięźliwości, ale, jak na dobrych żołdaków przystało, przetrwali swój wieczorny post i o godzinie dwunastej stawili się w wartownicy. Tam każdy z ułanów i dragonów otrzymał zakwaterowanie, Paweł zaś, jako najwyższy rangą dowódca, otrzymał pokój nieobecnego komendanta milicji. Pan Taszczyński rozłożył się na olbrzymim łożu. Od dawna nie spoczywał na czymś takim. Długo jednak nie nacieszył się spokojem. Rozległo się pukanie do drzwi. Zanim jednak Paweł zdążył cokolwiek rzec, Tadeusz i Janusz weszli do pokoju.

- Wybacz moją omyłkę - rzekł w progu Kościuszko.

- E tam! - machnął ręką pan Taszczyński. - Ale za to jak żołnierzom dogadałeś - roześmiał się Paweł.

- Widać twa edukacja dużo ci pożytku przyniosła - odezwał się pan Zatopocki.

- Byle w polu się opłaciła - westchnął przyszyły chorąży. - I nie poszła w las!

- A panowie raczą spojrzeć na list? - zapytał porucznik, wyciągając go z zanadru.

Przyjaciele kolejno przekazali go sobie w ręce.

- Wygląda jak prawdziwy! Dobra robota Pawle - rzekł pan Zatopocki z niemałym wrażeniem - I ta pieczęć!

- Dobrze, mamy wiadomość, jutro ją dostarczymy, ale co dalej? - zapytał Kościuszko.

- Zdamy się na los - wzruszył ramionami Paweł. - Na pewno wszystko objaśni się w Połocku.

- Jak uważasz - rzekł na koniec pan Tadeusz.

- Skoro wszyscy się zebrali na szczerą, ja również powinienem się do czegoś przyznać - odezwał się Zatopocki.

- O co chodzi Januszu? - zdziwił się porucznik.

- Moja rana na głowie nie pochodziła od bójki... Podejrzewam, że mogło chodzić o próbę zabójstwa.

- Ktoś do ciebie mierzył? - przeraził się Kościuszko.

Taszczyński był równie zszokowany.

- Pękł jeden ze stojących koło mnie dzbanów. Wyglądało to tak, jakby ktoś strzelał do naczynia, bo nie mógł dosięgnąć mnie w tłumie.

- Masz jakieś podejrzenia? Kto mógł to zrobić? - pytał Paweł.

- Ktoś, komu nie podobało się nasze zainteresowanie bojarem - odparł inżynier.

- Boże mój, Januszu, to moja wina! Mogłeś zginąć przez moje wścibstwo - porucznik powstał z posłania i uściskał przyjaciela.

- Nic to - rzekł pan Zatopocki, pocieszając porucznika.

- Książę nie zwrócił uwagi na twój opatrunek - zaznaczył Kościuszko.

- W dodatku oczekiwał nas tego samego dnia, gdy odkryliśmy zbrodnię bojarzyna!
- warknął Paweł. - Wszystko wskazuje na to, że książę siedzi w tej sprawie po uszy.

- Nie wiemy jednak, czy to jemu zależało na uciszeniu nas - wtrącił Janusz, chcąc rozładować wywołane przez niego napięcie.

Przyjaciele postanowili odpocząć i przemyśleć na spokojnie nowe fakty.

Wkrótce, zmordowani wędrowką, wszyscy ułani zapadli w błogi sen - jedni na łóżkach, inni na kocach lub hamakach.

O brzasku porucznika obudziło pianie kura. Nie miał jednak ochoty podnosić się z tego nader miękkiego pośłania, ale był on ostatnim członkiem kompanii, na którego owa drużyna czekała. Ubrawszy się prędko, po upomnieniu przez Janusza, porucznik opuścił posterunek. Na podwórzu czekała już jego kompania gotowa do drogi, a także pan Zaremba, który raz jeszcze chciał podziękować za ratunek.

- Niech Bóg sprzyja waszym poczynaniom - rzekł pan Wojciech, ściskając dłoń porucznika. - Na pewno nie chcecie żadnej nagrody? - zapytywał szlachcic.

- Nie, panie dobrodzieju, ale słuchaj waść tedy, o czym ludzie gadają i spiesz nam z pomocą, bo głośno o nas będzie na Białorusi.

Po serdecznym pożegnaniu kompania prędko opuściła miasteczko. Jeszcze dzisiaj zamierzała dojechać do Połocka, gdzie, jak oczekiwała większa część podróżników, czekać ich będzie koniec podróży, a potem jedynie droga powrotna - do domu. Przez dłuższy czas kompania zabawiała się, śpiewając pieśni, które wypełniły ułanom stracony na wędrowkę czas. Humor dopisywał wszystkim uczestnikom podróży, także dragonii, która po usilnych namowach reszty kompanii dołączyła do wspólnej zabawy. Ale jako że przy dobrej hulance czas płynie szybciej, zanim podróżnicy się obejrzel, znaleźli się na przedmieściach docelowego miasta.

Rozdział trzeci: Nieszczęścia chodzą parami

Połock, dawna stolica księstwa o tej samej nazwie, szczyciło się bogatą kulturą i zabytkami z okresu istnienia dawnego państwa. Pomimo wielkiego kataklizmu na początku stulecia, jakim była dla miasta rzeź bazylianów, patronka Połocka, święta Eufrozyna zadbała oto, by przywrócono miastu dawną świetność. Ulice tętniły życiem, wokół wysokich klasycystycznych kamienic, nad którymi piętrzyły się smugi szarego dymu, rozbrzmiewały wesołe głosy bawiących się dzieciąt, regularny tupot maszerujących strażników miejskich i dzwony nawołujące do porannego nabożeństwa. Do ścian budowli poprzyklejane były liczne, kolorowe ogłoszenia informujące o zbliżającym się jarmarku z udziałem gości z Orientu.

W południe piątego grudnia, przekroczywszy miejską bramę, kompania niezwłocznie udała się ku siedzibie kasztelana. Zostawiwszy konie u stajennych, ułani rozeszli się po mieście. Jedyne przyjaciele i dająca się im wielce we znaki dragonia książęca pozostali razem. Na szczęście męka pana Taszczyńskiego powoli dobiegała końca. Panowie udali się więc od razu do ratusza. O dziwo, kwatera pana namiestnika Połocka była o wiele bogatsza i bardziej majestatyczna od siedziby pana Michała Ogińskiego, a jak wiadomo, godność wojewody jest dostojniejsza aniżeli urząd kasztelański. Różnica ta wynikała zapewne z bliskich kontaktów z „hojnymi” Rosjanami, którzy kolaborantów traktowali należycie. Bądź co bądź Połock był to gród ościenny, o wiele bardziej narażony na wpływy ze wschodu, niż na ten przykład Wilno czy Kraków. Wielu przeciwników reformatorskiego obozu Czartoryskich i „Ciołka” przechodziło na stronę carycy, w zamian otrzymując wielkie bogactwa, honory cesarskie i najrozmaitsze wynagrodzenia: od orderów i łapówek pieniężnych zaspokajających życiowe, ziemskie potrzeby, aż po ziemie, urzędy i tytuły. Dlatego właśnie widok tej majestatycznej budowli wprawiał porucznika w niesmak i odrazę. W tym wszystkim pan Zatopocki dostrzegł jednak i zalety. Mieli możliwość podziwiania wielkich dzieł i prac artystycznych, które to pan Janusz tak miłował. Trudno, że było to możliwe za sprawą Rosjan, ale nie można im było zarzucić braku talentu. Tworzyli wspaniałe arcydzieła sztuki budownictwa i malarstwa, rzeźbiarstwa. Janusz Zatopocki był w Petersburgu trzy lata wcześniej, gdzie na własne oczy ujrzał to wspaniałe miasto, łącznie z nowo wybudowanym Pałacem Zimowym. Kościuszko podzielał zdanie pana Janusza, i co do talentu Moskwiczów, jak i do tej właśnie kwatery kasztelana. Paweł zaś pozostawał w tych kwestiach niezdecydowany. To nie talent, tylko pieniądze Moskali...

Panowie podeszli pod bramę. Tadeusz zakolał do drzwi. Na dźwięk ten zareagował odźwierny, którego łysa głowa z marudnym wyrazem wychyliła się z okna na piętrze.

- Czego? - zapytał niegrzecznie.

- Pochwalony, my do pana namiestnika! - zawołał Paweł.

Konsjerż obrzucił ich nieprzyjemnym spojrzeniem.

- A w jakiej to sprawie? - zapytał po chwili.

- Najwyższej wagi - zawołał zirytowany pan Tadeusz. - Otworzysz waść czy nie?

Głowa odźwiernego zniknęła z okna. Po chwili jednak niewielki otwór we frontowych drzwiach uchylił się i przyjaciele ponownie ujrzeli grymasną twarz portiera.

- Pana kasztelana nie ma, czy coś przekazać?

- Waść niech sobie z nas nie naigrywa, proszę wprzódę bramę otworzyć, potem zawołasz kogoś upoważnionego - zachnął się Kościuszko. - Tak posłów traktować nie przystoi.

- Tylko kto tutaj rzeczywiście jest posłem! - uśmiechnął się Taszczyński do przyjaciela.

Okienko zamknęło się mgnieniu oka. Słysząc było jak wyklina ich pod nosem ów odźwierny. Brama rozwarła się przed przybyszami.

- Waszmościowie poczekają na placu - zasugerował odźwierny, wskazując przybyszom wolne miejsce na podwórzu.

Przyjaciele skłonili się nisko, po czym udali się we wskazane miejsce. Usiedli na kamiennej ławie. A długo dane im było czekać na zastępcę pana namiestnika. Przez chwilę Tadeusz zastanawiał się, czy ten konsjerż nie zapomniał powiadomić kogoś o ich przybyciu. Panu Zatopockiemu nie spieszyło się wcale z wręczeniem listu. Zafascynowany siedzibą kasztelana, oglądał ją ze wszystkich możliwych stron. Także Tadeusz i dragoni nie oparli się urokowi tego miejsca. Ten przepiękny gmach dygnitarzy robił na nich niemałe wrażenie. Zbudowana w stylu klasycystycznym, charakterystycznym dla czasów tedy obecnych, beżowa budowla, miała kształt prostopadłościanu z uciętym wewnątrz miejscem na taras, na którym obecnie przyjaciele się znajdowali. Oparta na ponad tuzinie doryckich kolumn, wznosiła się na ponad pięć metrów nad podłożem. Na jej wewnętrznych ścianach przyjaciele mieli sposobność oglądać wspaniałe mozaiki, malowidła i płaskorzeźby nawiązujące do lat antycznych i mitologii greckiej oraz rzymskiej. Z marmurowego krużganku, niczym z fakirowych koszy, wyłaniały się różnego rodzaju latorośle i najznamienitsze kwiecie. Całą „ekspozycję” dopełniała olbrzymia granitowa fontanna z niewielkim amorkiem na

szczyście trzymającym w swych dłoniach napięty ku słońcu łuk. Nikt z obecnych tu nie powiedział tego głośno, lecz każdy patriota co polskość ceni sobie nade wszystko, wzdrygnąłby się na myśl, iż całość została sfinansowana przez Rosjan.

Po godzinie pojawił się reprezentant pana namiestnika. Sądząc po jego ubiorze, Tadeusz wywnioskował, że jest on związany wielorakimi więzami ze wschodem, gdyż przyoblekane przez niego ubrania, bogate i gustowne, krojone były wedle najnowszej rosyjskiej mody. Jak każdy wyższy urzędnik, miał na sobie tupecik.

- Witam waszmościów - zawołał zbliżający się burgrabia. - Raczcie wybaczyć moją nieobecność i niedyspozycję. Nazywam się Aleksy Nałęczycycki, jestem zastępcą pana kasztelana. W czym mogę wam pomóc? - rzekł, podając posłom ręce.

- Nic nie szkodzi - skłamał Paweł. - Mamy tu list dla pana Brzostowskiego, lecz dowiedzieliśmy się, że nie ma go w Połocku, czyż nie?

- W istocie, pan kasztelan wyjechał, będzie za kilka dni. A co to za list? Jestem uprawniony do odbioru korespondencji kasztelańskiej. Spokojnie panowie mogą mi go powierzyć - to rzekłszy wyciągnął rękę w stronę porucznika.

- Hola, panie burgrabio! Ta wiadomość może być dostarczona tylko do rąk własnych. Tylko i wyłącznie twój pryncypał może go otrzymać - wybuchnął zdenerwowany pan Zatopocki.

- Pryncypał? - uśmiechnął się pan Nałęczycycki. - Jam jest jego lewą i prawą ręką, oczami i uszami. Można by rzec, że ja jestem jego zmysłami - rzekł pobłaźliwie. - A więc proszę oddać mi ten list - ponaglił Pawła.

Porucznik jednak pozostał niewzruszony, w przeciwieństwie do jego przyjaciół, którzy ledwie zdołali opanować się i skryć swe nerwy. Zapadła niezręczna cisza, w czasie której Taszczyński zdołał obmyślić następny plan.

- Cóż, zgoda, jakże moglibyśmy wątpić w dobre intencje waszmości - rzekł z uśmiechem porucznik, podając korespondencję. - Ale mam zastrzeżenie, nie wolno panu go przeczytać.

- Jestem wręcz zobowiązany do przeczytania tej korespondencji i każdego innego listu! - zaśmiał się ponownie burgrabia, poczym szybkim ruchem odebrał trzymaną wciąż przez Pawła wiadomość. - W tych niepewnych czasach lepiej na oku mieć dostojnych dygnitarzy, a jeszcze ważniejsze jest wiedzieć, z kim ów szlachetni panowie się zadają.

- Ma waszmość absolutną rację - stwierdził Paweł.

- Cieszę się, że się zgadzamy - rzekł z uśmiechem pan Nałęczycycki, wkładając list za pazuchę. - Nie omieszkać przekazać przesyłki, gdy wróci kasztelan. Widzę, że był pan eskortowany. Od kogo przybywacie?

- Od księcia wojewody Michała Kazimierza Ogińskiego - odparł Paweł. - A co do eskorty, chyba nie musi nam już towarzyszyć.

- Od wojewody wileńskiego? To dobrze, bardzo dobrze - zadowolił się. - Oczekiwaliśmy wiadomości. Co do twojego pytania, w istocie, ich praca dobiegła końca, zatem pozostanie tutaj.

Pawła bardzo zdziwiło, gdy Nałęczycycki powiedział, że „oczekiwali” tego listu...

- To by było na tyle, proszę odprowadzić gości do bramy - Aleksy rozkazał strażnikowi stojącemu przed kolumną.

Brama zamknęła się z hukiem za przyjaciółmi. Stali pod nią długo, rozmyślając nad tym, co dalej zrobić ze sprawą listu.

- A nie mówiłem, że to jest zły pomysł? - rzekł zestresowany pan Zatopocki. - Teraz, co gorsza, nie tylko książę, ale i my odpowiemy za fałszerstwo tej wiadomości, zdradę i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze!

Paweł zaczął się śmiać.

- Czy perspektywa nadchodzącej kary wydaje ci się być tak śmieszna? - zapytał Janusz.

Kościuszko lekko się uśmiechnął. Przypuszczał, co zrobił porucznik.

- List, który oddałem burgrabiemu, to był ten prawdziwy.

- Chwała Bogu! - odetchnął pan Janusz. - Ale chwila, ty go przecież otworzyłeś...

- Zgadza się, ale przewidziałem taką sytuację i podrobiłem też książęcą pieczęć dla pierwowzoru - rzekł z dumą Paweł.

- Smuci mnie panowie, że utknęliśmy w martwym punkcie... - ozwał się zawiedziony Kościuszko - nie jesteśmy w stanie kontynuować śledztwa.

- Może to i lepiej, dość mam już wrażeń ! - rzekł pan Zatopocki, ocierając chustą spocone czoło.

- Jak to: w „martwym punkcie”? - oburzył się pan Taszczyński. - Ten burgrabia jest kolejną wskazówką - zawołał podekscytowany.

- To prawda, źle mu z oczu patrzyło - przytaknął Tadeusz.

- Mam dziwne wrażenie, że jest on spoufalony z bojarem...

- Skąd to przypuszczenie? - zapytał Janusz.

- Ubiór rosyjski, tajemnicze zachowanie, nieufność do innych. Do tego czekał z niecierpliwością na list od Ogińskiego. Jeśli nawet nie ma związku z bojarem, to Repninem i na pewno nie jest on przyjacielem Rzeczypospolitej - rzekł pewien swej tezy pan Taszczyński. - Tak więc podrzucę mu moje pismo - zdecydował.

- Co?! Mało ci Pawle? On czyta wszystkie pisma kasztelana. Nawarzyłeś sobie piwa przyjacielu, a tobie jeszcze mało go w kuflu! - rzekł wzburzony Janusz. - Ale wiem, że jak wbijesz sobie coś do głowy, to na nic głos zdrowego rozsądku... - powiedział po chwili namysłu.

- Zatem chodźmy, wypijemy za to wraz z Pawłem. Ale i jego własny, wspomniany przez ciebie, kufel pomożemy mu opróżnić! - zawołał Kościuszko, obejmując przyjaciół.

- Jakby inaczej! - rzekł Janusz.

- Zauważyliście - li waszmościowie - odezwał się Paweł. - Jestem tak przekonujący, że nic mówić nie muszę, a i tak na swoje wychodzę! - zaśmiał się młody ułan.

Po odbytej rozmowie panowie udali się w stronę gospody. Tam przyjaciele poczęli zastanawiać się nad planem działania. Stało na tym, że jeszcze dziś wieczór panowie wtargną do rezydencji kasztelańskiej i przeszukają biuro burgrabiego w poszukiwaniu medalu z rosyjskimi ornamentami lub jakiegoś innego dowodu na spoufalenie z bojarem. Pan Zatopocki słusznie stwierdził, iż nawet jeśli pan Nałęczycycki ubiera się po rosyjsku, to nie paraduje po mieście z medalem z głową Repnina. Musiał mieć go gdzieś w prywatnych zbiorach. Postanowiono przygotować dodatkowe listy: pierwszy, który by wywiódł burgrabię w pole na wypadek, gdyby okazał się być sojusznikiem bojara i Repnina. Dałoby to przyjacielom czas, aby po powrocie kasztelana wręczyć Brzostowskiemu ich własną, przerobioną wiadomość. Drugi byłby w rzeczywistości czystą kartką, gdyby nie można udowodnić Nałęczycyckiemu kolaboracji. W tych obu przypadkach Kościuszko ma za zadanie wykraść z biura burgrabiego list od księcia Ogińskiego. Na czas akcji Paweł wręczył Januszowi pierścień z pieczęcią poselską oraz tajemniczy medal. Podczas gdy Pan Zatopocki zajął się pisaniem wiadomości i podrabianiem pieczęci, Paweł i Tadeusz ponownie udali się pod kwaterę kasztelana. Kiedy panowie dotarli pod rezydencję, było już bardzo późno. Paweł zakołatał śmiało do drzwi pałacyku, a Kościuszko ukrył się pod

ścianą budynku. W oknie na piętrze znowu ukazała się ta sama nieprzyjemna twarz odźwiernego.

- To znowu ty? - zapytał zirytowany.

- Wybacz, że powtórnie cię nachodzę, ale potrzebuje dostać się od środka. Zgubiłem dziś ważny dla mnie przedmiot, a sprawdzałem już wszystkie odwiedzane przeze mnie miejsca w mieście, prócz tego.

Konsjerż skrzywił się wielce i zniknął z pola widzenia Pawła. Wówczas zręczny pan Tadeusz wyskoczył z ukrycia i zaczął wspinaczkę po drzewie. Kiedy Kościuszko wgramolił się na dostateczną wysokość, wskoczył z wysuniętego konara przez okno do pokoju odźwiernego. Ten ukazał się Pawłowi w okienku przed bramą.

- Co chce pan znaleźć? - zapytał nieco grzeczniej.

Paweł się zawahał, więc konsjerż ponowił pytanie, jednak zdecydowanie mniej przyjemnym tonem.

- Cóż, chodzi o pamiątkę rodzinną, złotą broszkę po babce - tłumaczył pan Taszczyński.

Przez chwilę panowie nie odzywali się, ale Paweł poznał, że odźwierny zastanawia się nad kwestią kłamstwa ze strony porucznika. Zdziwiło go, że konsjerż spogląda znacząco na swoją lewą stronę. Zupełnie, jakby się z kimś konsultował... W końcu odźwierny zasunął okno i otworzył drzwi porucznikowi.

- Ma waść kwadrans! - zawołał.

Paweł uklonił się nisko, po czym wolnym krokiem udał się na główny plac.

Tadeusz znalazł się w pokoju konsjerża. Na szczęście, nikogo w nim nie zastał. Chorąży ostrożnie uchylił drzwi, jednak prędko je zamknął, gdyż kątem okna dostrzegł maszerujących strażników. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, Tadeusz odetchnął z ulgą i bezszelestnie opuścił pomieszczenie. Wyjrzał przez balkon. Zauważył Pawła, który usilnie zajmował się poszukiwaniem swojej „zguby”. Wtem na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. To pan Zatopocki zapukał do drzwi. Po krótkiej rozmowie z odźwiernym został wpuszczony do środka. Janusz, po uprzednim podziękowaniu, podszedł do Pawła i wręczył mu dyskretnie dwa listy. Kiedy Paweł wznowił poszukiwania wraz przyjacielem, drzwi jednego z pomieszczeń otworzyły się ze skrzypem. Tadeusz w błyskawicznym tempie wyskoczył przez uchylone obok okno, gdzie trzymając się za parapet, oczekiwał na możliwość wznowienia swej akcji. Z pokoju wyszedł nie kto inny jak Aleksy Nałęczycycki - ubrany w szlafrok, z kubkiem parującej herbaty w lewej ręce. Nie

dostrzegł Tadeusza, za to zauważył krzątających się obok fontanny Pawła i Janusza. Oparłszy się o balkon zawołał:

- A cóż to waszmościowie robią tu o tej porze?

Przyjaciele zaprzestali poszukiwań i spojrzeli w górę.

- Witam mości burgrabio! - ozwał się porucznik. - Zgubiłem ważną dla mnie pamiątkę rodzinną, trop przywiódł mnie aż tutaj - tłumaczył się pan Taszczyński.

- Mógłby pan powiedzieć, co to za przedmiot? - zapytał zaciekawiony burgrabia, odkładając napój na poręcz balustrady.

- Złota brosza - odrzekł porucznik.

- Znalazłem dziś taką, niech pan przyjdzie do mnie do gabinetu, dostanie pan ją z powrotem.

Usłyszawszy to Tadeusz zbladł niczym ściana, podobnie jak pozostali.

- *Co za zbieg okoliczności* - pomyśleli - *Albo to przypadek, albo pułapka.*

- Prócz tego mamy dla pana bardzo poufną informację. Prosimy, by pan do nas zszedł – rzekł. Zatopocki miał nadzieję, że Nałęczycycki usłucha, a tym samym Tadeusz zyska na czasie.

Burgrabia postąpił zgodnie z życzeniem pana Taszczyńskiego. Usłyszawszy słowa Janusza, Kościuszko wyjrzał zza parapetu. Ujrzał burgrabiego schodzącego powoli po schodach, aż w końcu znikł on z pola widzenia młodzieńca. Wówczas Tadeusz wdrapał się i wskoczył na krużganek. Prędko i po cichu wbiegł do pokoju, z którego wyszedł pan Nałęczycycki. Zamknął za sobą drzwi i odetchnął z ulgą, opierając się o wejście całą powierzchnią ciała. O mały włos, a strażnicy by go dojrzeli.

Sala była duża i przestronna. Wystrojona złotem, wypełniona nietypowymi przedmiotami. Wiele ozdób pochodziło z Rosji. Na ścianach dominowały obrazy przedstawiające burgrabie oraz, najprawdopodobniej, członków jego rodziny. Było tu mnóstwo biblioteczek, szaf i komód z rzeźbionego drewna.

Kościuszko niezwłocznie wziął się do roboty. Miał niewiele czasu. Najpierw zajął się dębowym biurkiem i pobliskimi gablotami, w których, niestety, nic obarczającego Nałęczycyckiego nie znalazł.

Dalej zaciekawił się biblioteczkami, jednak i tam nie znalazł żadnego dowodu na

współpracę Aleksego z Rosjanami. Wertował strony pamiętników i dzienników, przekartkował sterty dokumentów i nic. Kompletne fiasko. Na szczęście znalazł wśród korespondencji jeszcze nienapoczęty list od księcia Ogińskiego. Wziął go i włożył za pazuchę. Załamany i zrezygnowany Kościuszko spojrzał na portret Aleksego. Przypatrywał się mu dość długo i w końcu dojrzał złoty medal na szyi burgrabiego z literami jak na medalu znalezionym przez Pawła. Tadeusz wybiegł w te pędy na korytarz, by ogłosić jakoś tę dobrą nowinę.

- Mamy dla pana jeszcze jeden list - zaczął Paweł, gdy burgrabia pojawił się na placu. - Przepraszamy, że panu go wcześniej nie daliśmy, ale na śmierć o nim zapomnieliśmy - to powiedziawszy, sięgnął ręką za pazuchę, ale prędko ją cofnął. - Zanim to jednak nastąpi, czy nie miałby pan dla nas jakiegoś zlecenia?

- Szukasz dorywczej pracy. Hmm, być może znajdę jakąś przesyłkę, chodźmy do mojego gabinetu - zaproponował burgrabia.

- Nie! - krzyknął Janusz. - To znaczy, proszę wziąć wpierw wiadomość - rzekł, zwracając się do Pawła.

Ten powoli wyciągnął list z zanadru, gdy nagle ujrzał na balkonie za plecami burgrabiego Tadeusza. Ten dawał im ustalony znak potwierdzający tezę Pawła.

- Przepraszam - rzekł Paweł, cofając rękę. - Podałem waszmości złą korespondencję, proszę, oto ta właściwa - powiedział, podając list z pieczęcią w kształcie medalu repninowskiego.

Odebrawszy wiadomość z rąk porucznika, Nałęczycycki poblądł i skamieniał.

- Skąd waść ma ten list? - zapytał, jękając się.

Paweł i Janusz spojrzeli po sobie.

- Wręczył nam go wojewoda Ogiński wraz z drugą przesyłką - wytłumaczył pan Zatopocki. - Czy stało się coś? Mości burgrabia chyba się źle poczuł.

- Proszę tu na mnie zaczekać - odparł Aleksey, odwracając się w stronę schodów.

Widząc zmierzającego na piętro Nałęczycyckiego, Kościuszko skoczył na pobliskie drzewo przez to samo okno, pod którego parapetem niedawno wisiał.

Trzęsący się ze strachu burgrabia wszedł do gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi. Oparł się rękoma o blat biurka i zaczął nerwowo oddychać.

- *Skąd on ma tę wiadomość. Ogiński nie należy do naszego ugrupowania. Co się teraz ze mną stanie - zastanawiał się rozgorączkowany. - Nie mogę ryzykować!*

Aleksy otworzył wiadomość. Wynikało z niej, że czym prędzej ma udać się na tajną naradę, która odbędzie się w Mińsku. Miał wezwanie od samego Repnina!

- *Nie mogę zignorować wezwania - pomyślał. - Jeżeli ten list jest prawdziwy, mogę mieć poważne kłopoty, jeśli bym się nie pokazał! Ale co zrobić z tym posłem? Powinienem go przesłuchać... On coś wie, ale nie mam na to żadnego dowodu... On również musi coś podejrzewać!*

Te myśli na tyle zaabsorbowały burgrabiego, iż nie zauważył zniknięcia poprzedniego listu, który dzisiaj dostał od tych samych posłów. Był tak zaaferowany tą niespodziewaną wiadomością, że chwycił dla porucznika jakąkolwiek przesyłkę, nie bacząc na jej przeznaczenie i prędko zszedł na dół, by mieć to już za sobą i móc w spokoju zebrać myśli.

- Proszę bardzo - rzekł, wręczając korespondencję. - Dostarczcie ją gdzie trzeba. Panowie wybaczą, ale mam do załatwienia wiele innych spraw. Do zobaczenia niebawem. To powiedziawszy, odwrócił się i szybkim, energicznym krokiem udał się na piętro. Paweł i Janusz z uśmiechami na twarzy opuścili posesję. Odprowadził ich podejrzliwy wzrok odźwiernego. Gdy z hukiem zamknął za nimi drzwi, czekający na nich Kościuszko zaczął schodzić z drzewa. Niestety niefortunnie się złożyło, że stając na jednym z konarów złamał gałąź i spadł na trawę. Na szczęście nie było to zbyt wysoko, więc skończyło się na kilku stłuczeniach. Oczywiście upadając, dał o tym głośno znać. Zarówno odgłos upadku jak i dźwięk pękającego drewna zdziwił garbatego odźwiernego, który wyjrzał przez okno. Nic prócz złamanej gałęzi pod drzewem nie spostrzegł. Gdy podejrzliwy konsjerż zniknął, stojący za rogiem budynku przyjaciele wyszli z ukrycia. Odeszli na bezpieczną odległość od rezydencji.

- Udało się! - zawołał uradowany Tadeusz, wciąż pocierając obolałe miejsca.

Cóż znaczy niewielki ból wobec powodzenia misji! Pozostali uczestnicy operacji poczęli sobie gratulować i cieszyć się niezmiernie.

- Potwierdziło się, co mówiłeś Pawle. Wyrazy uznania - pochwalił przyjaciela Janusz.

Panowie cieszyli się jak nigdy wcześniej. Kiedy już jednak gromkie okrzyki sukcesu ucichły, ozwał się już racjonalnie pan Zatopocki

- Pawle, dokąd zaadresowana jest ta dodatkowa korespondencja?

Ten zaś wyciągnął ją z kieszeni i spojrzął na napis na przesyłce.

- Do Żęhynia.

Pomimo iż nikt z przyjaciół Pawła, a także i jego ułanów nigdy nie słyszał o tejże miejscowości, nie była to wcale przypadkowa miejscina. Wręcz przeciwnie, miasteczko to nie było zbyt wielkie, ale posiadało własną drukarnię. Sam Żęhyń usytuowany był na zachód od Połocka, na lewym brzegu rzeki Dźwiny. Nikt jednak w stolicy województwa nie był w stanie objaśnić Pawłowi, gdzie się dokładnie znajduje. Na wyjazd i poszukiwanie nieznanego się na żadnej mapie miasta, przyjaciele postanowili czekać do jutrzejszego popołudnia. Akcja przyjaciół nie zakończyła się pełnym sukcesem. Ostatecznie Paweł nie przekazał burgrabiemu podrobionego listu dla kasztelana. Odłożyli tę sprawę na później.

Szóstego grudnia kompania nieprędko opuściła Połock. Jeszcze około godziny jedenastej pan Taszczyński zbierał swoich ludzi. Długo bowiem zajęło mu pozbieranie swoich ułanów, zdarzało się, że w poszukiwaniu kompana porucznik musiał się dostawać nawet na drugi kraniec miasta, gdzie przychodziło mu znaleźć żołnierza w naprawdę niemożliwych i obrzydliwych miejscach, w parszywych dzielnicach miasta i nieodpowiednim, damskim towarzystwie. Kiedy w końcu cała drużyna się zebrała, porucznik przedstawił kompanii dalsze instrukcje. Między zgromadzonymi dochodziło do poszeptów i grymasów, gdyż ułani mieli nadzieję, że Połock zostanie ich ostatnim przystankiem. Okazało się jednak inaczej, więc nastrój podkomendnych nie sprzyjał dalszym podróżom. Zebrawszy swój ekwipunek, pomniejszona o księżącą dragonię, kompania ruszyła na zachód. Przez długi czas maszerowała gościńcem ciągnącym się wzdłuż rzeki Dźwiny, prowadzącym do stolicy kurlandzkiej - Mitawy. Niezadowolenie szerzyło się wśród kompanów, nie wszyscy bowiem podzielali entuzjazm Pawła. Większość ułanów niechętnie przyjmowała kolejne zlecenie, które nie dość, że nie miało przynieść im zysków, to jeszcze narastająca nuda i nadciągający chłód dawały im się we znaki. Zaczął się grudzień, choć jeszcze nie spadły śniegi, zimny, porywisty wietrzyk uprzykrzał im życie, zwłaszcza, że ułani nie posiadali ciepłej odzieży. Żaden z przeszło trzydziestu kawalerzystów nie wiedział nic o śledztwie w sprawie bojara i Repnina, choć wydarzenia z miejscowości Świr zwróciły uwagę ułanów na nadmierne zainteresowanie ich dowódcy tajemniczym bojarem. Wyjątek stanowił wachmistrz, którego Janusz na bieżąco informował o najnowszych faktach.

Paweł i jego przyjaciele zdawali się być za to bardzo zadowoleni. Niedawne wydarzenia skłoniły niedowiarków do ostatecznego „paktu” z Pawłem, a Tadeusz wraz z Januszem zdawali się coraz bardziej być zaintrygowanymi całą tą sprawą. Pomimo dobrego humoru i nastawienia, przyjaciele byli wciąż zamyśleni i nie mogli dojść: co łączy Repnina, burgrabiego oraz bojara.

Rzekłbyś: Wojna, ot co! A jednak, gdyby caryca szukała waśni, już dawno

rozbiłaby się jak fala o skalistą Rzeczpospolitą i jeszcze bardziej wymyła już i tak grząski muł pod stromym jej brzegiem. Rozmyślając wiele wszelakich myśli, w głowach się roilo, jednak spójne były one ze sobą jak Czartoryscy z Potockimi! Kompania mozolnie posuwała się naprzód, a było to wynikiem topniejącego zapału ułanów, który był jeszcze dobrze widoczny w czasie drogi do Warszawy. Jednak im dłuższą trasę fundował im Paweł, tym szybciej ochoczość stygła w sercach podwładnych. Orszak wędrował w takim nastroju przez ponad dwie godziny, zanim przyszło znaleźć żołnierzom pewnego rodzaju zajęcie. Naprzeciw maszerującej kompanii zmierzał pewien Litwin. Już z daleka porucznik wywnioskował, że jest to człek w opresji. Biegł on bowiem strudzony i machał naprzeciw drużynie. Przy bliższych oględzinach wyszło na jaw, że to handlarz, bądź innego rodzaju człowiek interesu. Był on wielce zziąjany, pot ciekł mu spod czapki strumieniami, twarz jego pulchna i krągła była cała czerwona, a on sam dyszał jeszcze długo po spotkaniu z kompanią. Był ubrany bogato, jednak nie jak szlachcic, bo z niemiecka. Do pasa miał przypięte sakwy. Po chwili wytchnienia kupiec przedstawił się i wyjaśnił Pawłowi swoją, nazbyt niefortunną sytuację. Handlarz opowiedział panu Taszczyńskiemu o jego drodze do Połocka, w czasie której doszło do nieprzewidzianego wypadku. Stara szkapa straganiarza padła w połowie drogi, a prócz tego koło powozu uległo uszkodzeniu. Na szczęście ów kupiec posiadał zapasowe, lecz by wstawić je we właściwe miejsce, potrzebował kilku mężów do pomocy. Wóz jego był bowiem bardzo ciężki, pomimo rozładowania całego ekwipunku, a jedynym wsparciem dla strudzonego Litwina był jego kilkunastoletni syn. Jako że było to kompanii po drodze, żołnierze udali się z kupcem na miejsce wypadku. Po niespełna kilkunastu minutach kompania dostrzegła na horyzoncie zepsuty powóz. Zbliżywszy się jeszcze bardziej, Paweł dostrzegł chłopaka, może piętnasto - góra siedemnastoletniego, siedzącego na powozie z muszkietem w dłoniach. Przedstawivszy synowi wybawców, kupiec podał koło dwóm ułanom. Czterech innych wraz z Pawłem podniosło powóz na tyle wysoko, by towarzysze mogli ustawić właściwie brakujący element.

- Dzięki ci panie - rzekł kupiec, gdy już powóz jego został naprawiony. - Teraz damy radę podciągnąć wóz do jakiegoś gospodarstwa i kupić konia! Powiedzcie mi proszę, jak mogę się waszmościom odwdziżyć?

- Słyszał waść kiedy o Żęhyniu? - zapytał Paweł.

- Pewnie panie, ja tam byłem towary sprzedawać...

- To powiadaj nam waść, jak tam dotrzeć - przerwał Tadeusz.

- Zmierzają waszmościowie dobrą drogą. Kiedy dojrzycie drugi most na rzece, to przekroczcie go i przy najstarszym i największym dębie w prawo skróćcie w las. Od tego momentu dojdziecie do Żęhynia po kwadransie.

- Dzięki ci - zawołał uradowany porucznik, siadając na koń. - W drogę panowie! -

rozkazał, ponaglając kompanów do drogi.

Kupiec ściągnął z głowy czapkę i pomachał odjeżdżającym ułanom na pożegnanie. Potem ruszył z synem w dalszą drogę, pchając mozolnie wóz.

Po tym owocnym przedsięwzięciu kompania udała się dalej na zachód. Około godziny trzeciej dotarła do pierwszego mostu, lecz zgodnie ze wskazówkami kupca należało obrać kierunek na drugi przejazd. Jadąc głównym gościńcem, Paweł zauważył nietypowy dla tych terenów, względny spokój. Po prawej stronie traktu wieśniacy pasali krowy na zmarzniętych pastwiskach, póki była jeszcze ku temu okazja, po lewej zaś stronie, na brzegu Dźwiny, rybacy trudzili się swym rzemiosłem, do czasu aż lodowa pokrywa nie uniemożliwi połowów. Cała ta sielanka zdawała się być nienaturalna dla porucznika. Widząc to, ułani jakoby zapomnieli o bojarze, Żyglicach i spalonym folwarku. Paweł miał pewność, że jest to tylko cisza przed burzą. Już wkrótce przyjdzie mu natknąć się na nienasyconego i nieokiełznanego dwugłowego orła...

W końcu kompania dotarła do drugiego mostu znajdującego się na rozwidleniu dróg. Gdy tylko ułani podjechali do skrzyżowania, na północnym gościńcu zauważyli pędzącego jeźdźca.

- Zawracajcie! - krzyczał. - Uciekajcie czym prędzej! - wołał, przejeżdżając koło drużyny i poganiając wierzchowca palcatem. Chwilę później zniknął po drugiej stronie mostu.

Nie minęła minuta, gdy Paweł usłyszał tętent zbliżających się z północy koni. Rumaki ułanów zaczęły być bardzo niespokojne, podobnie jak i jeźdźcy. Z każdą chwilą ziemia pod kopytami zwierząt trzęsła się coraz mocniej. Wtem z ciemnego boru na północy wyłoniła się grupa jeźdźców na czele odzianego w futra... bojara! W oszołomionym towarzystwie rozległy się szepty i jęki. Pan Zatopocki spojrział przerażony na Pawła, ten zaś, ku jego zdziwieniu, pozostawał niewzruszony i siedział spokojnie na koniu na środku głównej drogi. Tymczasem kolumna wrogich Rosjan zbliżała się coraz bardziej, zdawało się też co niektórym ułanom, że przyspieszają i zechcą uderzyć z impetem na ludzi porucznika. Jednak pomimo tych obaw, podkomendni Taszczyńskiego pozostali przy nim, usiłując uspokoić w jakiś sposób swoje wierzchowce. Prędko tego pożałowali, gdy zbliżył się do nich bojar z oddziałem. Rosjanin siedzący na ogierze czystej krwi był jeszcze większy, silniejszy i potężniejszy niż na początku zdawało się ludziom Pawła. Był to rzeczywiście człek niemały. Widać było, że mu Bóg, czy też raczej diabeł, wzrostu nie poskąpił: Moskał wysoki na dwa metry. Dłonie, w których dzierżył cugle, były muskularne. Głowa o surowym wyrazie twarzy zdobiona była przez bobrową czapę i gęstą, sięgającą ramion, rudą brodę. Na pewno był starszy niż pan Taszczyński. Mąż ten był w sile wieku, wyglądał Pawłowi na lat około czterdziestu pięciu. U pasa trzymał zdobiony pistolet z ładownicą, swoją szablę zaś trzymał za plecami. A jakby on sam nie starczał, by jednym spojrzeniem kompanię porucznika

w jeden głąz zamienić, to dodatkowo miał pod sobą drużynę huzarów, wspomaganych przez kilkunastu kozackich mołojców. Oba orszaki spotkały się naprzeciw siebie. Pierwszy ozwał się bojar:

- Czego mi tu na drodze stajecie? - zapytał po polsku, lecz z wyraźnym ruskim akcentem.

Usłyszawszy to, Zaporozcy tylnej straży poczęli bluzgać na porucznika.

- Bij pokłony Lachu! - krzyczeli. - Na kolana przed naszym panem! Na pohybel im! - wołali pozostali.

Jednym gestem wilk uspokoił swą watahę.

- Czemuż to stoicie na środku drogi - powtórzył. - Usuńcie się stąd czym prędzej - rzekł opanowanym tonem.

- Żebyś panie kolejną wieś zrabował? - odezwał się pewny siebie Paweł. - Nie sądzę! - odpowiedział równie odważnym głosem.

W szeregach huzarów ponownie zapanowało rozprężenie. Tym razem na początek kolumny jeźdźców wysunął się tęgi Kozak z blizną na skroni, włosami i brwiami czarnymi jak sadza. Na pierwszy rzut oka każdy chyba odniósłby to samo wrażenie, że przypominał czarta, co od belzebuba do carycy posłował i kusił do złego. Ów Zaporoziec, łypnąwszy na kompanów Pawła, szepnął do ucha bojara.

- A skąd wiesz, panie Lachu, żem ja bił się z waszym pospólstwem? - zapytał, gdy Kozaczyna cofnął się do pierwszego szeregu.

- Od duchownych, szlachty i gapiów, co ich wszystkich wielce pokrzywdziłeś. Za to waść zapłacisz - rzekł Paweł, wymierzając palec w twarz Rosjanina.

Kozak znów podjechał do przywódcy i rzekł mu coś w tajemnicy. Na to Tadeusz odezwał się równie odważnie co i pan Taszczyński:

- Cóż się stało? Czyżby Moskał języka w gębie zapomniał i mu adiutant podpowiadać musi, co wprzódzy rzec należy?

Na to cała kompania wybuchła śmiechem. Porucznik się tylko uśmiechnął. Kozacy w szeregach nie mogli dłużej wytrzymać. „Sufler” bojara pochwycił szablę i w błyskawicznym ruchu przyłożył ją do karku Kościuszki. Ten nawet nie zdążył zareagować, ale zachował kamienną, niewzruszoną postawę, pomimo wiszącego nad nim zagrożenia. Czuł na gardle dotyk chłodnej stali.

- Pytałem się jeno, czy ci mogę gardło poderznąć! - zagrział Kozak po rusku, odsuwając powoli ostrze spod głowy Tadeusza.

- Chyba pobyt po tamtej stronie Dniepru nie bardzo się wam przysłużył... - mruknął pan Zatopocki.

- Byłbym zapomniał - rzekł bojar, jakby Paweł był jego starym kompanem - Czy ludzie szlachetniej krwi zapomnieli o zasadach godnego zachowania? Nazywam się Nikita Guzunow, rosyjski bojar i członek Lejb - Gwardyjskiego Pułku Huzarów Jej Wysokości, a waść?

- Porucznik ułanów Paweł Taszczyński, sługa jej księżęcej mości wojewody Michała Ogińskiego i Rzeczypospolitej. Dość tego! Mów, czemu napadasz na nasze ziemie!?

- Mam zezwolenie od carycy Katarzyny, w porozumieniu z waszym królem - rzekł Guzunow, przyprawiając swój oddział o głośny śmiech - Jak widać waszemu władcy nie przeszkadza ten „gwałt”.

- Bacz waść na słowa - wycedził nieoczekiwanie Paweł. - Albo do szabli cię niechybnie zaproszę!

Bojar uniósł brew, doceniając odwagę i stanowczość Lacha.

- A czy to waszmość poznaje - powiedział Paweł, ciskając medal repninowski pod kopyta bojarskiego ogiera

- Skąd go masz? - zapytał zdziwiony Guzunow, rozkazując swojemu Kozakowi podnieść medal.

- Znalazłem go na pewnym folwarku, a raczej na jego szczątkach - rzekł porucznik.
- Teraz mówię, że nie przejdziesz! Chociaż Żęhyń nie stanie w płomieniach.

- To moja włość i mam zamiar zebrać należącą mi się daninę - zagrział Nikita, przyprawiając konie i jeźdźców o chęć uciezki.

Nie wiedział, skąd Lach wie o istnieniu tej miejscowości.

Niespodziewane wzburzenie bojara wystraszyło wszystkich tutaj zebranych: zarówno ułanów Taszczyńskiego, jak i huzarów rosyjskich. W tej sytuacji pan Zatopocki przestał się dziwić, iż bojowy do tego momentu porucznik przy spotkaniu z bojarem nie zdecydował się na czołowe zderzenie. Chyba także Paweł zląkł się straszliwego bojara,

którego nawet podwładni bali się jak ognia. A trzeba było wiedzieć, że ogień ten, choć i tak już duży i niebezpieczny, w każdej chwili mógł zwiększyć swe rozmiary i pochłonąć wszystko na swej drodze. Ogień jest niebezpieczny również dla tego, kto go wznieca... A mimo to oliwa była wciąż dolewana... i dlatego też dziwiło pana Janusza, dlaczego ów bojar nie zgniótł kompanii, gdy pan Taszczyński z niepohamowanym językiem rozpoczął swoje nader zuchwałe wystąpienie, niczym kowal, co w swej kuźni, pomimo iż kontrolował płomień, bez pomyślunku dociskał miech.

- Puść mnie Lachu, bo nie ręczę za siebie - rzekł spokojniejszym, lecz wciąż wzburzonym tonem bojar.

Przez chwilę jeszcze Paweł stał naprzeciw bojarzyna, którego nerwy już się lada chwila miały wyczerpać. W końcu jednak bez słowa komentarza młody ułan usunął się z drogi. W ślad za nim poszli i roztrzęsieni ułani. Nikita z szyderczym uśmiechem na twarzy dumnie przejechał pomiędzy ludźmi porucznika. W ślad za przywódcą ruszyli, patrzący z pogardą na ułanów, huzarzy i kozacy mołojcy.

Kiedy Rosjanie zniknęli po drugiej stronie mostu, długo jeszcze kompania stała w osłupieniu i szoku. W tej sytuacji Paweł zarządził godzinny postój. Jego postanowienie zdziwiło Tadeusza i Janusza, gdyż w tym czasie bojar Guzunow mógł się znacznie oddalić. Nic jednak z ich przemyśleń nie wynikło, zwłaszcza, że Paweł uknuł już kolejny plan. By jego działanie nie było zbyt pochopne, spędził całą godzinę na samotnym spacerze wzdłuż drogi, w czasie którego zaplanował kilka zapasowych forteli. Po powrocie porucznika kompania wznowiła wędrówkę. Przekroczywszy most, orszak zagłębił się w las i zgodnie ze wskazówkami napotkanego kupca, przy pierwszym zakręcie, obrał właściwy kurs. Marsz pośród ciemnych lasów zajął kompanii około godziny, w czasie którego niejednokrotnie ścieżka się urywała, zanim wyjechali na spowitą w świetle zachodzącego słońca, równinną polanę sięgającą daleko na południe. Wtedy na horyzoncie ujrzeli kontury miasta. Zmęczona kompania chciała jak najszybciej zawitać w Żęhyniu, gdzie mogłaby w końcu należycie wypocząć. Myśleli, rzecz jasna, że bojar już dawno zebrał swoje „podatki” i odjechał daleko stąd. Porucznik jednak im na to nie zezwolił. Obóz rozkazał rozbić w niewielkiej kotlinie po prawej stronie traktu wiodącego do miasteczka. Wzbudziło to liczne kontrowersje i sprzeciw wśród żołdaków, lecz jak to przystało na wiernych żołnierzy, przystali na jego polecenie, choć dowódca nadwyrężył już swój autorytet i cierpliwość podkomendnych. Byli bliscy wypowiedzenia posłuszeństwa. Zmęczeni wydarzeniami całego dnia, ułani zajęli dogodne miejsca i zajęli się przygotowywaniem wieczerzy. Niestety, nawet przy kolacji nie obyło się bez roszczeń i pretensji. Ułani byli bardzo niezadowoleni z powodu ciągłego spożywania żołnierskiej strawy. Trzeba jednak zaznaczyć, iż w tym momencie żołnierze Pawła wcale nie przesadzali - to naprawdę nie była żadna ambrozja. Zniesmaczeni wojskowym prowiantem, wymęczeni podróżą, spragnieni hulanki ułani byli tak przybici, że nawet gorzałka, której akurat mieli w bród, nie smakowała jak zazwyczaj. W tej sytuacji Paweł zawołał po pana Zatopockiego.

- Januszu, czy mógłbyś udać się do Żehynia nakupić trochę stawy, jakiejś porządnej kiełbasy czy innego mięsiwa? Nie chcę tu żadnych maruderów!

- Czemu się tak od razu nie skierowaliśmy?! - przecież dla królewskiego posła zawsze się w mieście miejsce znajdzie! A i strawę porządną podadzą...

- To zbyt małe miasteczko, by było w stanie nakarmić aż trzydzieści łakomych brzuchów, a tak to rozdzielić jedzenie, by każdy mógł w miarę zaspokoić głód, bez przesylenia. Po za tym nie chcę im sobą głowy zawracać. I tak widać, że mają tu dużo problemów.

- Skoro tak... dobrze Pawle, pójdę!

- Wspaniale! Bierz konia i w drogę. Nie zasiedź się tam zbyt długo, za pół godziny masz być z powrotem - zakomenderował Paweł, podając mieszek z srebrnymi groszami.

Wziąwszy pieniądze, dosiadłszy rumaka, pan Zatopocki wyjechał w stronę miasteczka, nie przypuszczając, że bierze udział w kolejnym fortelu Pawła...

Niczego nieświadomy Janusz kłusował w kierunku miasteczka. Zajechał do Żehynia po kilku minutach. Miasto zdawało się być przeciętne, mało tego, to nawet nie było miasto, jeno większe miasteczko! Żehyń nie posiadał żadnych umocnień obronnych. Jedna niewielka wieża strażnicza, to wszystko, jeżeli chodzi o miejskie fortyfikacje. Ku zdziwieniu Janusza, cała osada była jakby... opuszczona, nigdzie nie widać było żywej duszy! Okna i drzwi domostw były zaryglowane, ulice całkowicie opustoszałe, zdawało się, że to miasto - widmo. Wtem pan Zatopocki pomyślał sobie, iż bojar może jeszcze nie opuścił swojej włości. Zanim jednak zdążył się wycofać z miasta, na przeciwległym krańcu miasteczka dostrzegł grupę żołnierzy... To był Nikita Guzunow z poplecznikami. Jeźdźcy zbliżali się w stronę pana Zatopockiego. Ten więc prędko chwycił konia za uzdę i skrył się z nim za jednym z budynków. Na środku osady stanął bojar ze swoimi huzarami. Stali tak kilka minut, spoglądając na miejscowość, przysłuchując się tej niespokojnej ciszy i wyczuwając strach. W tym czasie pan Janusz starał się za wszelką cenę uciszyć niespokojnego towarzysza, który akurat w tym momencie począł rzeć jak opętany. Panu Zatopockiemu przyszło nawet trzymać kobyłę za pysk, byle nie zdradziła ich pozycji. W końcu bojar dał znak... W przeciągu kilku sekund huzarzy oraz Zaporozcy zeskoczyli z rumaków i rozbiegli się po mieście w krwawym szale. Wyłamywali drzwi domostw, wyrzucali z nich pospólstwo, grabili co się dało, gwałcili, palili i plądrowali. Widząc to, pan Zatopocki postanowił niezwłocznie wezwać pomoc. Już miał odwrócić się i dosiąść konia, gdy nagle za plecami poczuł dotyk metalowej rury i odgłos naciąganego kurka...

- Dam ci ja, bat'ku, na przespīgi chodzić - warknął Kozak, po czym zaprowadził

Janusza przed oblicze bojara...

W tym samym czasie w obozie kompanii ułani, po skończonej lichej wieczerzy, zamiast zorganizować sobie wieczorną libację, odpoczywali w ciszy i spokoju. Wśród ułanów krążyły plotki na temat dziwnej postawy pana Taszczyńskiego, które były dla Tadeusza tak bzdurne, że nie mógł znieść tych farmazonów. Zamiast więc słuchać bajek żołnierzy, dosiadł się do siedzącego w samotności Pawła.

- Dlaczego żeś posłał Janusza po strawę - westchnął Kościuszko. - Przecież tym nie przekupisz swych ludzi, ani zaufania nie odzyskasz! Dość już mają tych wycieczek i zagadek. Nawet nie wiesz, jakie tam plotki krążą o twojej osobie.

Paweł na to nie zareagował, jeno puścił dwa dymne kółka ze swojej fajki. Zrezygnowany Kościuszko odwrócił się w stronę biesiadników.

- Ile czasu minęło od wyjazdu Janusza? - spytał Paweł.

- Cóż, zdaje mi się że już z pół godziny...

- Zatem poczekamy jeszcze pięć minut - odezwał się porucznik.

- *On przecież nigdy się nie spóźnia* - pomyślał - Każ ludziom się szykować.

- Na co? - zapytał zaskoczony Tadeusz.

- Na bitwę... przykazuj ludziom sposobić się do walki!

Twarz chorążego pojaśniała, pojawił się na niej uśmiech. Zgodnie z poleceniem pobiegł w stronę ognisk i wydał rozporządzenie. Ułani domyślili się, że skoro mają walczyć, to właśnie z bojarzynem. Bali się go. Tadeusz musiał ich pokrzepiać chwilę, nim powstali z ziemi. W kilka minut nabili broń, rozwinęli chorągwie, osiodłali konie, nasadzili bagnety na fuzje. Żołnierze kolejno dosiadali rumaków i ustawiali się w pięciu szeregach, po sześciu ludzi w każdym z nich. Naprzeciw gotowym ułanom, na białym rumaku, pojawił się porucznik Taszczyński w swojej niebieskiej ułance oraz z długą lancą w ręku. Na włóczni osadzony był proporzec. Na jego czarnym tle widniał wizerunek herbu Taszczyńskich - Tarnawa, a pod nim dewiza porucznika: *Nie szabla czyni szlachcica, nie krzyż chrześcijanina, nie oracje patriotę*. Jego przyjaciel, pan Tadeusz, prócz szabelki i pistoletu, za pasem dzierżył sztandar z umiejscowionym na środku materiału herbem Rzeczypospolitej.

- Żołnierze! - zaczął porucznik. - Zapewne dziwiło was ostatnio me osobliwe zachowanie, wiedzcie, że nie robił tego wam ze złej woli. W moim interesie bowiem leżało starcie z moskiewskim bojarzem, który sponiewiera te ziemie. Za chwilę ruszymy

w bój! Nie okazujcie Moskałom litości, gdyż sami jej nie zaznacie. Przepędźmy precz ciemiężycieli! Przypomnijmy sobie dawne czasy, gdy walczyliśmy z frycami na Śląsku! Niech żyje wolna Rzeczpospolita! - zawołał Paweł, unosząc ku górę sztandar.

Po słowa otuchy i pozytywnym odzewie jeźdźców, Paweł dał rozkaz do wymarszu. Kompania ruszyła w stronę miasteczka. Wyjechawszy z doliny, Polacy ujrzeli na horyzoncie oświetloną ogniem mieścinę. Wtedy ułani nieco się wystraszyli, lecz zapal dowódca pokrzepił ich serca do boju. Ułani cwałowali w kierunku miasta. Im bardziej zbliżali się do miasteczka, tym donośniejsze zdawały się być jęki i krzyki mieszkańców Żęhynia.

Pan Zatopocki został rozbroiony i zaprowadzony przed oblicze Nikity Guzunowa siedzącego na koniu w centrum miasta. Dwóch Kozaków rzuciło go przed bojarem.

- Ojczy bojarze - zaczął Zaporoziec - ten oto Lach szpiegował tu nas, skrył się wśród budynków, jeno go w porę wypatrzyliśmy.

- Znam ja tego Lacha - rzekł bojar, spoglądając na przerażonego Janusza. - Był on w orszaku tego porucznika, co go na moście spotkaliśmy.

- Zatem na pal go wbij - krzyknął adiutant Guzunowa, czarci Kozak. - Ja go już wcześniej widział, w krzakach na trakcie do Połocka, sześć dni temu! Byłbym go zabił wraz z jego kompanem, ale pistolet miałem nienabity...

- Jak się zwiesz, panie Lachu? - zaczął Nikita. - Współpracuj ze mną, to może oszczędzę ci życie.

- Niczego się ode mnie nie dowiesz Moskału, tfu! - splunął pod nogi bojara

Na to Kozak nie wytrzymał, wyciągnął szablę z pochwy i podniósł ją na pana Zatopockiego. Już miał zadać cios, gdy na podwórzu wtargnęli ułani Pawła. Żołnierze porucznika wystrzelili kolejno z pistoletów, kładąc przy tym pokotem kilku huzarów. Paru kawalerzystów zniosło wrogów z koni przy użyciu lanc. Zaskoczeni Rosjanie porwali muszkiety w dłonie, wyciągnęli szable i zaatakowali ludzi Pawła. Ułani siekali, rąbali w szale i nienawiści Zaporozców i huzarów rosyjskich, pokrzykując: „To za Litwę!”. Na lance nabijani byli kolejni przeciwnicy, niekiedy zamiast włóczni, Polacy dzierżyli karabin z bagnetem, którymi ułani przebijali serca wrogów. Raptem pan Zatopocki dojrzał pędzącego ku bojarowi Pawła.

- Zajmij się nimi, atamanie - zawołał Nikita do adiutanta, wyciągając szablę i ruszając naprzeciw pędzącemu Pawłowi. Wtem pan Zatopocki uwolnił się z więzów i pochwyił pistolet leżącego obok jednego z martwych już oprawców. Wystrzelił z niego do oddalającego się bojara. Niestety, spudłował. Paweł z pochyloną lancą pędził

naprzeciw bojara, już miał go ugodzić grotem włóczni, gdy nagle ataman kozacki wystrzelił z pistoletu w rumaka Pawła, powalając go na ziemię. Bojar zamiast odwrócić się i uderzyć na porucznika, skierował się z kilkoma ludźmi za miasto, w kierunku lasu. Nie miał zamiaru walczyć z Lachami. Następnie Paweł podniósł się z ziemi i zabiwszy jednego huzara strzałem z pistoletu, wyciągnął szablę i rzucił się w tłum walczących. Ułani porucznika cięli Rosjan ze zmiennym szczęściem. Zwycięstwo Polaków stało się przesądzone, gdy na plac boju wtargnęli mieszkańcy miasta. Widząc sprzymierzeńców, wypadli z domostw uzbrojeni w kije, noże i grabie. Bili najokrutniej. Złapawszy jednego Kozaka bądź huzara, mieszkańcy Żęhynia pastwili się nad nim bez litości, dopóty nie zginął w okropnych męczarniach. Ale nawet wtedy, gdy już wiadomo im było o zgonie nieboszczyka, bili i gnietli ciało napastnika, niczym piekarz wyrabiający chleb. Do ostatecznej *victorii* było jednak jeszcze daleko, gdyż Kozacy zgrupowani wokół atamana stawiali tak zaciekły opór, że dopiero brawurowa szarża kilku ułanów poprowadzona przez Kościuszkę rozbiła szeregi mołojców. Ataman, rozpoznawszy człeka znad Dźwiny, pochwycił szablę i rycząc w niebogłoso, zaatakował pana Tadeusza. Mistrzowsko władający bronią ataman trafił na swego, gdyż Kościuszko w Szkole Rycerskiej nauczył się perfekcyjnie posługiwać białą bronią. Teraz miał przejść chrzest bojowy. Już po pierwszym uderzeniu Tadeusza mołojec rozpoznał w nim godnego przeciwnika. A trzeba zaznaczyć, że ataman nie miał sobie równych, był prawdziwym mistrzem fechtunku, który z pojedynków zawsze wychodził zwycięsko. Tadeusz jednak o tym nie wiedział i nie zamierzał przegrywać. Rzucił się z konia i powalił na ziemię przeciwnika. Złączeni uściskiem tarzali się na placu. W końcu obaj puścili się i stanęli na równe nogi. Przyjęli postawy szermiercze. Kościuszko zamachnął się, aby zmylić wroga i cofnął oręż. Gdy Rusin się śłaniał, uderzył na Kozaka, spychając go do ściany budynku, dopóki agresor nie uderzył go łokciem w brzuch. Ale nawet wtedy Kościuszko zaskoczył atamana, uskakując w bok i dobywając lewicą sztyletu. Na to Rusin wyciągnął z zanadru pistolet, którego lufą powstrzymał cios noża. Wtem, ku zdziwieniu Kozaka, Kościuszko uderzył go czołem w głowę, aż obydwu spadły nakrycia głów. Tadeusz zdecydował się na uderzenie, które zakończyło się wbiciem sztyletu w ramię Zaporozca. Ataman syknął, ale nie krzyknął, pomimo iż ból przeszywał go na wskroś. Nie mógł znieść myśli, że ktokolwiek, a zwłaszcza Lach, może go pokonać. Z ostrzem w ramieniu Kozak przypuścił atak. Szabla świsnęła tuż przed głową Tadeusza, który w porę zrobił krok w tył. Raniony ataman powoli opadał z sił. Zdecydował się na ostateczne uderzenie zakończone odparciem go przez szablę przyszłego chorążego. Mając „złączone” szable obaj czerwoni na twarzy wojownicy zaczęli się spychać. Tadeusz zapomniał jednak, iż przeciwnik ma wciąż w ręku pistolet. Zaporoziec zrobił z niego użytek: wystrzelił w udo Kościuszki. Ten zawył tak głośno, że nawet caryca w Petersburgu mogła go dosłyszeć. Dyszący Kozak obrócił w ręku pistolet kolbą do góry i zadał klęczącemu Kościuszce cios w twarz. Po tym zajściu ataman dosiadł pierwszego lepszego rumaka i ruszył w tym samym kierunku, co bojar.

Tymczasem bitwa chyliła się ku końcowi. Paweł, odnalazłszy Janusza w tłumie walczących, wraz z nim nacierał na pozostałych na placu huzarów. Nawet gdy resztki rosyjskich żołnierzy zostały okrążone przez ułanów i żęhynian, walczyły zaparcie i nie

ustępowały, pomimo iż porucznik oferował im kapitulację. Po dwudziestu minutach krwawych walk Rosjanie zostali pokonani. Miasteczko było uratowane. Wśród wiwatujących żołnierzy i mieszkańców przyjaciele nie mogli doszukać się postaci chorążego Tadeusza. Ułani więc rozbiegli się w poszukiwaniu rannych. W trakcie poszukiwań do Pawła zwróciła się delegacja mieszkańców:

- Dzięki ci panie, żeś nas wyzwolił od tego potwornego najeźdźcy! - wołali. - Ale musimy cię prosić o jeszcze jedną przysługę. Nasz starosta jest w niebezpieczeństwie! Rosjanie po kłęsce na pewno udali się do jego dworu położonego na wschodzie, w lesie...

Paweł nie dał im skończyć, wskoczył na konia, zebrał dziesięciu ułanów i wraz z Januszem wyjechali z miasta gościńcem, kierując się na wschód. Kiedy przekroczyli granicę kniei, minęło kilka minut, zanim usłyszeli wystrzały w głębi lasu. W końcu Paweł dotarł do małego dworku otoczonego przez Rosjan. Z okien domu oraz z pobliskiej stodoły ogień odwetowy prowadzili domownicy i czeladź starosty. Widać było jednak, że długo się już nie utrzymają. Kiedy na podwórze przed dworem zajechali ułani porucznika, oblegający dom zwrócili się w stronę jeźdźców. Zaskoczenie i mobilność ułanów były jednak atutami, które zaważyły o wyniku starcia na korzyść Polaków. Chwilę później wszyscy Rosjanie byli już martwi. Na placu boju pozostał jedynie bojar, ataman oraz dwóch huzarów. Wtedy wybiegła czeladź wraz ze starostą i jego bliskimi i otoczyła pozostałych przy życiu napastników.

- Chwała Bogu! - wołał starosta, biorąc Pawła w objęcia. - Ocaliłeś nas wszystkich. Byłeś w mieście? Ochroniłeś mieszkańców?

- Proszę się nie martwić, miasto jest zabezpieczone - rzekł Paweł, uspokajając poddenerwowanego starca.

Paweł wyrwał się z uścisku starosty i zwrócił się ku bojarowi.

- Zapłacisz za wszystkie swoje grzechy! - rzekł zdecydowanym tonem - Za to, co zrobiłeś mieszkańcom tego miasteczka i całej Litwy!

- To miasto jest moje! Mogę z nim robić, co chcę - ryknął bojar, który nawet pokonany wzbudzał strach i przerażenie u tych, którzy go słyszeli - Mój dziad dostał to miasto od Piotra I, a ja tylko użytkuję to, co odziedziczyłem!

- Widziałem w jaki sposób UŻYTKUJESZ - warknął Paweł.

- Stawiają mi opór, nie słuchają mnie, więc robię z nimi porządek. Zapytaj ich, jak z mym dziadem postępowali!

- Twój praojciec był dobrym dzierżawcą, pomimo iż miasto nie było rosyjskie, ale

litewskie. Ty zaś nie możesz równać się z twoimi poprzednikami - krzyknął starosta.

- Zabij mnie więc...

- Stań do pojedynku z naszym panem - ryknął ataman zza pleców bojara - pokaż, żeś człek nie sobaka!

Pomimo podeszłego wieku starzec był gotów stanąć do boju, Paweł jednak w porę go powstrzymał.

- Ja pójdę, panie, dajcie mi z nim rozprawić się do końca.

Wtem z tłumu czeladzi i ułanów wychyliła się pewna para: smukła, ciemnowłosa dziewczka i wysoki, krzepki mąż.

- Ja pójdę, ojciec - zaoferował się mężczyzna. - Daj mi z nim stanąć do walki!

- Nie! Niech nasz wybawca tego dokona - rzekł stanowczo starosta.

- Ale przecie on zginie! - rzekła dźwięcznym, ale przerażonym głosem dziewczyna.
- Nie zna go tak dobrze jak my... - mówiła przerażona, przykładając dłonie do ust. - Nie wie, do czego jest zdolny...

- Postanowiono! - przerwał jej starzec.

- Nie bój się waćpanna, mam w tym doświadczenie - rzekł pogodnie Paweł, najpierw spoglądając na śliczną dziewczynę, potem wyciągając szablę z pochwy. - Jesteście mi to winni - uśmiechnął się porucznik. - Przekonałem się ja już o możliwościach tego knura...

Na placu przed dworem utworzył się duży krąg wytyczony przez gapiów. Na jego środku stanął porucznik oraz bojar i jego ataman. Wtedy to właśnie nad Żęhyniem zaczął padać deszcz. Bojar spojrzał w niebo, nad którym kłębiły się deszczowe chmury.

- Chrystus rozsądzi... - mruknął Nikita, zrzucając z siebie futra.

Także i Paweł zdjął niepotrzebne, ciężące odzienie, pozostając jedynie w błękitnej koszuli i kamizelce. Ataman podał bojarowi pochwę, z której Guzunow wyciągnął szablę bojarską. Pan Taszczyński dobył oręża, stając naprzeciw bojarowi.

- Czy jeśli ciebie pokonam - zaczął Paweł - to obiecujesz na Boga żywego, że już nigdy nie nawiedzisz Rzeczypospolitej?

- Jest to tak mało prawdopodobne, że tak, zgadzam się. Ale jeżeli ciebie zabiję, to twoi ziomkowie odejdą stąd i nigdy nie wrócą!

- Tego przyrzec nie mogę.

- A czemuż to?

- Ręczę za siebie, nie za nich, bojarze... Rola podwładnych nie ogranicza się do ślepo wykonywanych rozkazów, jak w przypadku twoich niewolników. Każdy z mych ludzi uczyni to, co będzie uważał za słuszne i zgodne z sumieniem!

- A zatem jakbyś się spod mego ostrza wylizal bez szwanku, to przyrzeknij mi, że nigdy tu nie wrócisz!

- Jakem Polak, poddany Rzplitej, nie mogę...

- Wasz szlachecki honor... Tfu! Giń zatem! ryknął Nikita, rzucając się na Pawła.

Zaskoczony nagłym atakiem młody ułan cofał się pod naporem potężnych ciosów bojara. Nie widział, co począć. Guzunow napierał na niego z taką furią, jakby kto mu jego brodę obciął. W końcu porucznik zdecydował się na kontratak. Pierwszy uderzył o szablę Nikity, która nawet nie drgnęła, po czym uskoczył na prawo, nim bojar zdążył zadać kolejny cios. Bojarzyn jednak nie dawał za wygraną. W po chwili znów zaatakował Pawła, posuwając go z kolei na drugi koniec podwórza. Biedny porucznik nie wiedział, co czynić. Z jednej strony atakował go bojar, z drugiej grząski od strug deszczu muł dawał mu się we znaki. Powoli pan Taszczyński opadał z sił. Został przyparty w ściany stodoły, gdy nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Guzunow przymierzał się do ostatecznego uderzenia, więc Paweł schylił się znienacka i uskoczył na bok. Szabla bojara utknęła w drewnianej ścianie. Nagle porucznik przypuścił atak. Widząc to Nikita pozostawił broń i rzucił się z pięściami na Lacha. Skończyło się to rozplątaniem prawicy Rosjanina i ogłuszeniem Taszczyńskiego. Obaj przeciwnicy znaleźli się na ziemi, ale porucznik nie miał już siły powstać. Z krwawiącą ręką bojar podniósł się z wolna i wyciągnął z drewna swą szablę. Podeszedł z nią powoli do Pawła. Na wpół przytomny pan Taszczyński widział, jak bojar przymierza się do ostatniego ciosu.

- *To już koniec* - pomyślał Paweł, słysząc kobiecego krzyk i szloch.

Wtedy stała się rzecz niesłychana. Bojar rzeczywiście zamachnął się i przebił, lecz nie pierś porucznika, a grząską ziemię tuż przy jego twarzy.

- Gdy spadnie pierwszy śnieg, przybędę tu znowu. A wtedy, jeśli cię tu zobaczę, zabiję...

Były to ostateczne słowa, które usłyszał, zanim mrok ogarnął jego umysł.

Rozdział czwarty: Na skraju przepaści

Nazajutrz, gdy Paweł rozbudził się wreszcie, głowa go bolała niemiłosiernie. Pierwszą myślą, która go nawiedziła, było pytanie:

- *Czy ja przypadkiem nie umarłem?*

Dopiero wówczas, gdy przypomniał sobie wydarzenia ostatniej nocy, nasunął mu się szereg następnych ważkich kwestii.

- *Czemuż to mnie bojar nie zarznął na miejscu? Jak to się stało, że mam żyć?*

Nie mogąc odpowiedzieć sobie na te nurtujące go pytania, z wolna otworzył jedną powiekę, a potem drugą. Wtem zorientował się, że cudowne ocalenie to nie jedyny dziw, który dotyczył jego osoby. Przebywał bowiem w wielce przestronnym pokoju: po prawej jego stronie znajdował się szereg okien, wpuszczając do wnętrza pomieszczenia promienie słoneczne. Naprzeciw ciągnął się przy ścianie rząd starych dębowych mebli. Z boku, po lewej stronie, prócz drzwi wejściowych, Paweł dostrzegł toaletkę i krzesło, na których spoczywały jego rzeczy. Pokój wyścielony był aksamitnym dywanem barwy karmazynowej, nad którym zawieszony był złocisty żyrandol. Najważniejszym jednak atutem całego tego pomieszczenia, było wielkie, miękkie, wiśniowe łóżko otulone najdroższymi materiałami, z którego Paweł spoglądał na otaczający go dwór. Dzięki uchylonemu oknu, poczuł łagodny powiew wiatru i zapach lasu. Nie tracąc czasu, Paweł podniósł się z łóżka. Rozciągnąwszy się podszedł do toaletki. Dopiero w lustrze zorientował się, że ma bandaż owinięty wokół głowy.

- *To pewnie od uderzenia bojara* - pomyślał, po czym przyodziął swoje ubranie.

Głodny porucznik pochwycił leżące na półmisku jabłko i wyszedł z nim do sieni. Na korytarzu nikogo nie zastał, jeno słyszał gwary i śmiechy na parterze. Zszedł więc pan Taszczyński po marmurowych schodach i wkroczył do pomieszczenia, z którego wydobywały się głosy.

- Pawle! - krzyknął pan Janusz, gdy porucznik przekroczył próg izby. - Boże Wszechmogący, rad jestem, żeś zdrow. Bałem się, że już w wieczny sen zapadłeś!

Wszyscy zebrani w pokoju zwrócili swe oczy ku wybawcy. Był wśród nich starosta żęhyniowski ze swoją małżonką, pan wachmistrz Piekarski, wielu ułanów, Janusz oraz napotkana wczoraj wieczór para: syn starosty ze swoją piękną towarzyszką, na której widok Paweł poczuł, pierwszy raz w życiu, wszechogarniające szczęście. Serce zabiło mu

mocniej, na twarzy wymalował się szczerzy uśmiech, gdy spostrzegł, rozradowaną na jego widok, pannę. Nade wszystko jednak Taszczyński uradował się, gdy ujrzał pana Tadeusza, którego w czasie bitwy porucznik nie mógł doszukać się w tłumie walczących. Kościuszko także bardzo w czasie bitwy ucierpiał, całą lewą nogę miał okrytą bandażami, w dodatku opierał się na kulach. Długo pan porucznik witał się ze swoimi towarzyszami i Bogu dziękował, że może tu być dziś razem z nimi. Nie obyło się wszelako bez ofiar. Pięciu mieszkańców wsi, a także trzech ułanów zginęło we wczorajszej batalii, a rannych nie sposób było zliczyć. Kiedy przyjaciele się przywitani przyszedł czas na rozmowę z zarządcą miasteczka.

- Wybacz, mości starosto, że tak późno, lecz we wczorajszym harmidrze nie sposób było rozmawiać. Nazywam się Paweł Taszczyński, porucznik ułanów pod księciem Michałem Ogińskim. Proszę mi wybaczyć, że w pojedynku zawiniłem... - to powiedziawszy, schylił się lekko, gdyż ból doskwierał mu w całej klatce piersiowej i nie mógł zdobyć się na niższy ukłon.

Starosta nie dał mu skończyć. Powstał ze swojego fotela i wziął wybacząc w objęcia.

- Drogi chłopcze, tyś nam życie uratował, a o maniery się nie martw. Twoi przyjaciele nam wszystko o waści opowiedzieli. Zaczynasz z pana kawaler, ho, ho! A teraz - rzekł wskazując Pawłowi miejsce. - Pozwól mi się przedstawić. Nazywam się Aleksander Koszczasz, starosta tego pięknego miasteczka i pan tej posiadłości, a to moja małżonka Małgorzata - tu wskazał na starowinkę ze splecionymi siwymi włosami, siedzącą opodal. Mój drogi syn i dziedzic Mikołaj - przedstawił tego młodzieńca, co wczorajszej nocy chciał się bić zamiast Pawła - oraz jego narzeczona, a moja przyszła córka Karolina.

Mikołaj miał 32 lata, krótkie kręcone włosy i czarny zarost na twarzy. Miał dość ciemną karnację, jakoby Cygan. Jego piękna narzeczona była w tym samym wieku. Miała długie falowane kruczoczarne włosy opadające do ramion i niebieskie oczy. Uśmiechała się szczerze do młodego ułana, dziękując za poświęcenie i oferując swą pomoc, jeśli ranny porucznik czegoś by potrzebował.

Chłopak kolejno ucałował dłonie dam i uściskał rękę panu Mikołajowi, mówiąc:

- A mogłem pana usłuchać i dać waści bojarzynę usiec - śmiał się pan Taszczyński.

- Sprawileś się - pochwalił młodzieniec, ściskając jego dłoń. - Mów mi Mikołaju - dodał.

- A więc, panie Taszczyński - zaczął starosta - Rad jestem, żeś nas od bojara ocalił, ale teraz sroga będzie jego zemsta. Przybędzie tutaj ze zdwojona siłą, aby odwdziżyć się nam za gościnę - odpłacić pięknym za nadobne...

- My przecież was nie zostawimy! - rzekł Paweł - umocnimy wasze miasteczko i przeczekamy burzę. Tą rosyjską nawałę...

- Naprawdę będziecie tu z nami? - zapytał z niedowierzaniem Mikołaj. - To nie wasz konflikt, nie macie obowiązku...

- My wpędziliśmy was w te tarapaty, a dokładniej ja. Poza tym on zagraża nie tylko wam. Jego zuchwałość nie zna granic, więc pójdzie, jak i wcześniej chodził, i pod inne miasta... Ale mówcie teraz, czemu się Guzunow za waszego pana podaje?

Zapadła na moment cisza. Paweł zrozumiał, że dla nich jest to dość niestosowne pytanie.

- Wybaczcie, skoro nie chcecie o tym mówić....

- Nie! - rzekł stanowczo pan Aleksander, kurczowo trzymając się laski. - Macie prawo wiedzieć, jeśli nam życie ocaliliście i jesteście w to zaangażowani.

Około pięćdziesiąt lat temu, jeszcze za Piotra I, przybył tu ostatni w Rosji bojar - Michaił Guzunow. Był on dziadkiem teraźniejszego Nikity. Przybył do nas wraz ze zbrojnym orszakem, oświadczając nam przejęcie przez niego tych terenów. Oczywiście wzbudziło to powszechny sprzeciw wśród mieszkańców Żehynia. Zamiast jednak uświadomić nam siłą, kto będzie naszym panem, Rosjanin przekonał nas do siebie wspomagając nasze biedne i podupadające wówczas miasteczko. Pomimo iż tytułarnie byliśmy pod protekcją wojewody połockiego, bojar ten dbał o nas lepiej i miał pośród ludu większy posłuch. Po czterdziestu latach zmarł, pozostając w naszej pamięci jako dobry i szlachetny rządca naszego miasta. Po jego śmierci władzę tu pragnął objąć jego syn, który zmarł wkrótce po przejęciu hołdu. Jego następcą został Nikita Guzunow. Bynajmniej nie kontynuował on dzieła swojego dziada, tylko wprowadził, jak on to nazwał, rządy „mocarnej ręki”. Okazał się być despota, który co dwa miesiące przybywał do miasta zebrać niemożliwie wysokie podatki. Wkrótce jego wizyty stawały się częstsze i zuchwalsze.... Tak pozostało do dziś, a raczej do wczorajszego dnia, bo teraz nic już nam nie zagrazi! - zakończył entuzjastycznie swą opowieść.

- Jak zmarł ojciec Guzunowa? - zapytał Paweł.

- Nikt z nas tego do końca nie wie, ale winą Nikita obarcza także nas...

- A więc co proponujecie, mości panowie - zapytał Mikołaj

Przyjaciele spojrzeli po sobie zdumieni, gdyż nie myśleli jeszcze, co należy zrobić. Pierwszy zaczął pan Zatopocki.

- Na początek należałoby otoczyć wasze miasto wałem obronnym. Zbierzmy chłopów z okolicznych wsi i zaczniemy prace. Mam w tym duże doświadczenie, więc wyrobimy się z pracami do połowy grudnia. Ponadto należałoby was nieco przeszkolić. Mogę wyćwiczyć mieszkańców na milicję.

- Dobry plan, panie Januszu. Trzeba by też się zwrócić z prośbą o pomoc do wojewody - zauważył Mikołaj - Ale co, jeśli śniegi przyjdą wcześniej?

- Módlmy się o pomyślne wiatry, które odgonią stąd śnieżne chmury - odparł pan Zatopocki, spuszczać wzrok.

- Poślijmy gońca z listem do Połocka - zaproponował Tadeusz.

- A więc postanowione! - rzekł starosta. - Jeszcze dziś zaczniemy pracę. Ja sporządzę pismo do wojewody.

Po tych słowach zgromadzeni powstali z miejsc. Starosta wraz z małżonką udał się do swojego gabinetu, gdzie miał napisać list do wojewody i do wójtów okolicznych wsi. Przyjaciele wraz z panem Mikołajem i Karoliną wyszli na spacer przed dwór.

- Trzeba by się prędko do roboty zabrać - rzekł pan Zatopocki. - W końcu nie wiemy, kiedy spadną pierwsze śniegi.

- Masz słuszość, panie Januszu. Byłoby dobrze jak najprędzej pouczyć mieszkańców, co mają robić. Za chwilę wyruszymy do miasta.

- Piękny jest wasz dwór... - zauważył Kościuszek, spoglądając na stary, obrośnięty latoroślą gmach, wokół którego pośród leśnych drzew znajdowały się ogrody.

- Ach tak, to rezydencja rodu Koszczaszów. Mieszkamy tutaj od dwustu lat! A teraz miałby to wszystko zrównać z ziemią jakiś Rosjanin! Niedoczekanie jego - westchnął Mikołaj, trzymając pod rękę swoją wybrankę.

Cała piątka zagłębiła się w las. Pomiędzy sosnami i wierzbami rosły posadzone krzewy i warzywa, które na wiosnę i lato miały obrodzić i zapewnić domownikom sówite uczty. Ostatnie liście opadały z koron przy najlżejszych podmuchach wiatru. Las wyściełała warstwa podgniłych, szarych i brązowych liści i innych fragmentów roślin. Jeszcze wczoraj dominowała tu barwa krwi...

- Ciężko musi się wam tutaj żyć - stwierdził łagodnie pan Tadeusz. - Jesteście osamotnieni, narażeni na tych potwornych Rosjan.

- Nie jest aż tak źle - odezwał się Mikołaj – Razem, dajemy sobie radę.

- Kiedy byliśmy w Połocku, nikt nie wiedział, gdzie leży Żęhyń. Dopiero napotkany kupiec wskazał nam drogę. Osada nie jest nawet naniesiona na mapę!

- Tak już musi być. Nasze miasteczko znajduje się na odludziu, ale wędrownie kramy zatrzymują się u nas dokonać interesów. Wykorzystują fakt rzadkich wizyt i prezentują dosyć wygórowane ceny. Nie licząc ich odwiedzin, jesteśmy tutaj zdani na siebie. Faktycznie, żadna współczesna mapa nie zawiera informacji o naszym mieście.

- Już nie jesteśmy sami - odezwała się entuzjastycznie Karolina, spoglądając na towarzyszy i tuląc się do ukochanego.

- Rad jestem waćpanno, że pokładasz w nas takie nadzieje - odparł uradowany Paweł. - Ale o zwycięstwie przedwcześnie jest teraz mówić. Ale i smucić się nie ma co! Póki czas, chodźmy lepiej obaczyć jak wygląda sytuacja w mieście.

Po krótkim spacerze przyjaciele wyruszyli konno w kierunku miasteczka. Na szczęście zraniony wczorajszej nocy rumak Pawła przeżył strzał i wypoczywał teraz w miejscowej stajni. Do czasu aż będzie on w pełni sił, Mikołaj zaoferował mu jednego ze swoich koni. Trzeba więc od razu zaznaczyć, że Koszczaszowie posiadali pokaźną stajnię z wieloma pięknymi i rasowymi końmi. W sumie mieli ich dziesięć, a pracuje przy nich dwa razy tyle pachołków, aby zadbane, wypoczęte i najedzone były gotowe na czekające je zadania czy to na polu bitewnym, czy w zwykłym.

Kiedy dotarli do miasteczka, wszyscy jego mieszkańcy zajmowali się porządkami po nocnym incydencie. Na ulicach wciąż zalegały trupy Rosjan, które zbierano i rzucano na furmanki. Ciała kilku zabitych ułanów oraz mieszkańców przetransportowano wcześniej na cmentarz, gdzie miał się później odbyć uroczysty pochówek. Ziemia przesiąknięta była krwią, gdzieś wciąż znajdowały się spore czerwone kałuże, w których kobiety maczały szmaty, a następnie wyciskały nad wiadrami. W niektórych miejscach na ścianach domostw, znajdowały się dziury po niecelnych strzałach z karabinów. Porozrzucany leżał wciąż sprzęt wojskowy. Zmarłe konie ułanów i huzarów rosyjskich blokowały ulice. Ujrzawszy Pawła i jego towarzyszy, mieszkańcy wybiegli wybawcom naprzeciw i powitali ich gromkimi oklaskami i wiwatami. Ludność przez ponad dziesięć minut nie dawała spokoju swoim bohaterom, wręczała podarki w postaci żywności, pieniędzy, objęć i całusów. Ścisnęła ręce wybawicieli, prawiała komplementy i błogosławieństwa. Przyjaciele pławili się w sławie. Nie mogli opędnąć się od wdzięcznych ludzi. W końcu jednak Mikołaj doprowadził mieszkańców do porządku. Uciszywszy tłum, nakazał mieszkańcom miasteczka wyteńczyć słuch, albowiem miał on z Pawłem i Januszem wiele do powiedzenia.

- Mieszkańcy Żęhynia! - zaczął Paweł - znaleźliście się w niebezpieczeństwie!

Bojar Nikita Guzunow, co za waszego pana się uważa, dopuścił się wczorajszej nocy wielkich okrucieństw. Na tym jednak nie poprzestanie, wierzcie mi. Uratowaliśmy was, to prawda, lecz możemy się spodziewać z jego strony odwetu. Niniejszym, oświadczam, że póki nie przepędzę precz wrogów naszych i nie obronię tego miasta, jako części naszej Rzeczypospolitej, nie spocznę i pozostanę tu z wami. Tak mi dopomóż Bóg! - Paweł obnażył szablę.

Po tym doniosłym orędziu owacje i gromki aplauz na nowo dały się słyszeć w mieście, jednak długo one nie trwały, bowiem porucznik ponownie uciszył wiwatujący tłum gestem dłoni. Na miejsce Pawła wstąpił pan Zatopocki, który niezwłocznie przystąpił do objaśnienia taktyki i dalszych posunięć.

- Tak jak ogłosił mój przyjaciel, pozostaniemy tutaj z wami. Będziemy walczyć ramię w ramię, lecz oczekujemy od was bezwzględnego posłuszeństwa w sprawach przygotowawczych. Prędzej czy później Guzunow przybędzie tutaj ze zdwojoną siłą, tak więc potrzebujemy fortyfikacji. Musimy zabrać się do budowy wału obronnego. Potrzebować będziemy waszej pomocy! - oświadczył Janusz. - Jako że jestem saperem, specjalizuję się w fortyfikacjach oraz znam się na prowadzeniu oblężeń, pod moim czujnym okiem przejdziecie szkolenie wojskowe, po którego ukończeniu będziecie gotowi, by przeciwstawić się najeźdźcy. Żęhyń będzie okalany wysokim wałem, z którego łatwiej będzie nam się bronić, zwłaszcza przeciwko kawalerii. Szkolenie zaczniemy już jutro z samego rana, ale prace nad murem rozpoczynamy od zaraz!

Gdy rozporządzenia zostały wydane, mieszkańcy zostali podzieleni na kilka grup. Każda z nich była odpowiedzialna za inną czynność. Ludzie zajęli się rąbaniem drewna, przygotowywaniem okopów, szykowaniem sprzętu. Brakowało im jednego: kamienia pod fundament wału. Jak się okazało, niecałą staję milową stąd, w głębi lasu znajdowały się ruiny zamku Żęhyń, którego resztki mogły się przydać. W tym celu kilka wozów zaprzężonych w woły ruszyło do ruin warowni, skąd zabierano materiał pod budowę fortyfikacji. Gdy żęhynianie rozpoczęli przygotowania, Mikołaj wyprawił posłów, którzy mieli zebrać ludność z okolicznych wsi i przyprowadzić ją do miasta. Około trzeciej posłańcy wyruszyli, a pan Zatopocki rozpoczął z Koszczaszem inwentarz miejscowej „zbrojowni”. Widok okazał się przerażający: kilkanaście zepsutych muszkietów, parę pistoletów, zardzewiałe szable i mnóstwo kos.

- Kowal będzie miał mnóstwo roboty - rzekł Janusz, spoglądając na zepsuty karabin, od którego dopiero co odpadł krzemień - Da radę to naprawić?

- Oczywiście, jest najlepszy w całej okolicy, ale ciężko będzie z czasem. Poza tym do pomocy ma tylko dwóch czeladników - westchnął Mikołaj. - Całe szczęście, że posiadamy nieco rosyjskiej broni.

Tymczasem Paweł, choć obolały, ćwiczył z Tadeuszem szermierkę. Po ostatniej

potyczce z bojarem pan Taszczyński rozpoczął gruntowny trening. Rzecz jasna, lekcji przyglądało się wielu mężczyzn, którzy ze zdziwieniem spoglądali na tych mistrzów fechtunku. W walce, jak to wyjaśniał pan Tadeusz, ważne jest także nastawienie i wiara w swe umiejętności, których obecnie brakowało Pawłowi. W rzeczywistości to nie porucznik był słabym szermierzem, tylko Guzunow zbyt silny i miał odrobinę więcej szczęścia.

Praca w mieście trwała do zachodu słońca, kiedy to Mikołaj dał znak do wstrzymania robót. Zmęczeni mieszkańcy powrócili do swych domostw, ale przez całą noc w strażnicy na zmianę czuwała para ułanów, pilnując składu drewna i kamieni. Przyjaciele powrócili do rezydencji starosty na kolację. Mieli tam okazję zakosztować tradycyjnych koszernych żydowskich dań, bowiem ród Koszczaszów należał do wyznawców starotestamentowych. Wieczерzę spożyli w przestronnym, bogato zdobionym pomieszczeniu, pełnym pamiątek rodzinnych, złożonych talerzy, kosztownych tkanin oraz multum broni zdobiących ściany jadalni. Od starych arkebuzów i samopałów, mieczy i szabel wszelakiej maści, w tym rodowej batorówki wykonanej ze stali damasceńskiej, po pistolety i koncerze. Na wszystkich gościach wystrój tej sali zrobił oszołamiające wrażenie. Gdy tylko pan Piekarski ujrzał tę ekspozycję, błagał wręcz o zezwolenie na dobyte „eksponatów”. W przypadku domu Koszczaszów można było więc stwierdzić, iż nieważne jest to, co na zewnątrz, lecz w środku. Choć patrząc z podwórza na tę żydowską kwaterę, wydawałoby się, że ta rozpadająca się kamienna, szara chałupa obrośnięta bluszczem to dom jakiejś wiedźmy bądź czarownicy, to po przekroczeniu progu można się poznać, iż jest to bogaty gmach ze sprytnymi domownikami, którzy dobrze wiedzą, jak swe bogactwa zamaskować. Cóż, tak to z Żydami już bywa.

Po zajęciu przez wszystkich miejsc, służba podała jadło: kilka dań głównych, zupy oraz desery. Na bogato zastawionym stole znalazły się między innymi: rosół z kluskami zwanymi farfelkami, pieczoną jagnięcinę, macę i wędzonego łososa, a na deser pyszne marcepany. Biesiadnicy bawili się i śpiewali. W końcu jednak przyszedł czas na poważną rozmowę.

- Panie Taszczyński - zaczął starosta - list do wojewody został napisany, jutro z rana pošlę gońca do Połocka.

- Czy nie lepiej byłoby teraz, o zmroku? - wtrącił się Tadeusz. - Przecie pod osłoną nocy...

- Łatwo się można zgubić w tych lasach - przerwał stary Koszczasz. - Jeszcze który zbój zabije i obrabuje, a my się o tym nie dowiemy.

- Damy radę nauczyć tych mężczyzn walczyć? - zmienił temat Mikołaj.

- No cóż, jeśli będziemy co dzień ćwiczyć, to bojara przywita wyszkolona milicja - odrzekł Janusz. - Ważna jest też wola walki o swój dom i rodzinę. Choćby nie potrafili posłużyć się bronią palną, winni zrobić wszystko, aby napsuć Moskałom krwi w imię tego, co im najdroższe - odparł Janusz.

- Pięknie powiedziane - odezwała się Małgorzata.

- A co z murami? Uda się je w porę wybudować? - zapytał starosta.

- To będzie raczej wał, ale tak, uda się. Byle tylko mieszkańcy wytrwali w tej pracy do końca. Przed nami jeszcze cały dzień zwożenia kamienia. Później wzmocnimy go piachem i drewnianymi belami. Najważniejsze by powstrzymało to atak huzarów. Na szczęście woda i lasy okalające miasto zablokują wroga ze wszystkich stron prócz północy.

- Jeszcze raz waszmościom za pomoc dziękuję. Bez was byśmy zginęli - rzekł Aleksander, wstając i wznosząc kielich do toastu. - Za naszych gości i protektorów!

Po toaście Paweł, Janusz i Tadeusz zajęli się opowieścią na temat tajnej organizacji rosyjskiej, którą udało się przyjaciółom wykryć. Opowiedzieli o Replinie, pokazali medal, wyjaśnili złe intencje burgrabiego połockiego, uświadamiając Koszczaszom, że zła organizacja przeniknęła w granice Rzeczypospolitej.

- A właśnie! - zawołał Paweł, ocierając chustą brudną twarz. - Aleksey Nałęczycycki wręczył mi tę wiadomość. Jest zaadresowana do ciebie, mości starosto - To powiedziawszy, porucznik sięgnął za pazuchę i wyciągnął wiadomość - Bez Aleksego nie trafilibyśmy tutaj.

- Więc temu zdrajcy należą się podziękowania - zauważyła Karolina. - To jemu zawdzięczamy wybawienie.

Stary Koszczasz wziął korespondencję z ręki pana Taszczyńskiego. Przełamał pieczęć i otworzył list. Wszyscy zamilkli. Jedyнным odgłosem był dźwięk trzaskającego w kominku ognia oraz szcęk łyżki o misę pana wachmistrza, który nie mógł powstrzymać się od wyśmienitego jedzenia. Aleksander czytał wiadomość, trzęsąc głową, co bynajmniej nie było spowodowane jedynie wiekowymi dolegliwościami. Gdy starzec skończył czytać zerwał się z krzesła i z niespodziewaną furią uderzył pięścią w stół. Całe towarzystwo się wzdrygnęło. Nikt nie spodziewał się po staruszkowi takiej siły. Aż Piekarski wstrzymał się od jedzenia.

- Zdrada! - zawołał starosta, rzucając list na stół.

O mały włos nie uległ podpaleniu przez pobliski siedmioramienny, srebrny

świecznik.

Pan Zatopocki ostrożnie wziął list i zaczął czytać na głos:

Do starosty żęhyniowskiego Aleksandra Koszczasa.

Nakazuje się będącemu podwładnym Rodu Guzunow podporządkowanie należytemu panu, do którego należą te ziemie. Niepodobne, by urzędnik i to w dodatku Żyd miał sprawiać tyle kłopotów w zarządzaniu tymi terenami prawowitemu władcy. Jako burgrabia Połocka, bliski przyjaciel Nikity Guzunowa R O Z K A Z U J Ę Tobie złożyć hold bojarzynowi, twemu panu. Jeżeli nie, czekają ciebie i wszystkich mieszkańców miasta przykre konsekwencje. Nie radzę, aby Wasza Dostojność próbowała nagabywać na mnie wojewodzie. Czekać cię będzie tylko cierpienie...

Janusz odłożył papier. Chwycił go natychmiast ze stołu Mikołaj i rzucił w ogień, który trawił te jadowite słowa w przeciwieństwie do zebranych biesiadników...

Następnego ranka, tj. ósmego grudnia, przygotowania na przyjęcie Guzunowa zostały wznowione. Od wschodu słońca mieszkańcy miasta i ułani uwijali się jak mrowie szykujące się na nadejście pająka. Kowal zajmował się doprowadzeniem oręża do stanu użyteczności, kobiety trudziły się wyrabianiem bandaży na czas bitwy i podawaniem posiłków strudżonym robotnikom, którzy do nocy ciosali grube drewniane bele i zwozili nieregularne bloki skalne. Zanim jednak miasto przebudziło się tego dnia, posłaniec z listem do Aleksandra Sapiehy, wyruszył skrycie spod gmachu starosty w kierunku Połocka - z prośbą o pomoc. Cała nadzieja w tym, że wojewoda postąpi jakoby miłosierny Samarytanin zanim dojdzie do rękoczyn. Niewielu wiedziało o wyjeździe gońca. Stary Aleksander bał się, że nawet po porażce Nikity, w mieście mogą kryć się szpiedzy. Do południa był spokój. Pan Zatopocki rozpoczął szkolenie milicji, w której skład wchodził każdy mężczyzna, mający ukończone piętnaście lat, nie wliczając w to, rzecz jasna, starców i kalek, tych na szczęście nie było za wielu. W sumie wyszło około dwudziestu pięciu chłopów, którzy na przemian ćwiczyli i zajmowali się budową. Kiedy słońce znalazło się w zenicie, na horyzoncie dojrzano zbliżających się ludzi. Natychmiast zaalarmowano Mikołaja i starostę, którzy niebawem oczekiwali gości przed budowanym, niskim kamiennym „murem”. To przybyli posłowie i ludność z całego starosta, którą nakazano do Żęhynia sprowadzić. W sumie około stu ludzi, w tym pięćdziesięciu mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Zebrawszy przybyłych pod miastem, starosta wyjaśnił ludziom przyczynę ich wezwania. Kiedy Aleksander zajmował się uspokajaniem niewiast i wydawaniem rozporządzeń, pan Zatopocki przyjrzał się dokładnie uzbrojeniu każdego mężczyzny. Większość z nich uzbrojona była w kosy bądź widły, nieraz ktoś miał za pasem starą szablę znaną w rodzinnym kufrze. Byli i tacy, co dzierżyli stary samopał, bądź nawet muszkiet, jednak były to odosobnione przypadki. Prócz oręża, każdy mieszkaniec starostwa miał ze sobą spory zapas prowiantu. Było więc pewne, że przy umiejętnej i rozważnej dystrybucji żywności, w czasie oblężenia z głodu tu nie

poumierają. Miejskie zapasy powiększyły się o znaczną ilość pszenicy, boćwiny, którą w Wielkim Księstwie spożywa się w dość dużych ilościach, brukwi i manierek z wodą. Mimo usilnych starań nie udało się uspokoić zebranego tłumu.

- Dlaczego nam kazaliście tutaj przyjść!?! - wołali. - Ruszmy do wojewody, u którego będziemy bezpieczni! Tutaj na pewno nie przetrwamy!

- A co robił Sapięha, gdy bojar napadł na wasze wsie? Czy ochoczo przybył z pomocą? - argumentował stary Koszczasz.

- Więc dlaczego teraz miałby nam pomóc! - krzyczeli ludzie.

Na to starosta nie wiedział już, co odrzec. Znalazł się w martwym punkcie, lecz nagły alarm strażnika odroczył dyskusję. Na horyzoncie, z boru wyłoniła się postać na koniu. Wszyscy skierowali wzrok w stronę nadjeżdżającego człowieka, który zmierzał do miasta chwiejnym krokiem pijanego jeźdźca. Dopiero gdy ów kawalerzysta znalazł się w odległości kilkunastu metrów, przy bliższych oględzinach wyszło na jaw, iż człek ten to poseł wysłany do wojewody. Gdy tylko koń stanął naprzeciw tłumowi, ludzie dojrżeli w nim trupa. Gонец ledwo trzymał się na koniu, luźno chwycił lejce, oczy miał w pełni otwarte, zaś z pod jego podbródka lała się strużka krwi. Chwilę później, jeździec zwałił się z konia. Przerażone kobiety zakrywały pociechom oczy, mężczyźni zdejmowali czapki i żegnali się. Paweł zadrżał. Wiedział, że to robota bojara, który już wysłał swych ludzi, by otoczyć Żęhyń ścisłym kordonem. Nie zamierzał ułatwić przygotowań...

- Dlatego nie możemy iść do Połocka! - rzekł pan Zatopocki. - Komu życie i ojczyzna miłe, szykować się do obrony!

Gdy dwóch ułanów nachyliło się nad nieboszczykiem, dostrzegli na obnażonej piersi krwawy napis: OSTRZEGAŁEM. Wstrząśnięta ludność nie oponowała więcej i pokornie słuchała rozkazów.

Tego wieczora nikt nie mógł tknąć wieczerzy. Wszyscy siedzieli z posępnymi minami i rozmyślali nad wyjściem z ich beznadziejnej sytuacji. Wiadomo było, że ktoś musi się do Połocka udać. Po tym jednak, co tu się wydarzyło, nikt nie miał ochoty zgłosić się na ochotnika. W głębi duszy Tadeusz wiedział, że musi to zrobić. Walczył ze sobą przez całą kolację, lecz ubiegł go pan Mikołaj.

- Przekłęci Rosjanie - krzyknął, uderzając pięściami w stół. - Ileż to czasu jeszcze nękami przez nich będziemy! Bez wsparcia z zewnątrz nigdy nie zdołamy odeprzeć ataku! Ileż wody w Dźwinie upłynie, nim ten koszmar się skończy! Zgłaszam się na ochotnika, by udać się do wojewody.

Wszyscy zebrani spojrzeli z przestraszeniem na Mikołaja. Zwłaszcza Karolina, której

od razu napłynęły łzy do oczu.

- Nie pozwolę ci, najdroższy! Widziałeś przecież, co stało się z Piotrem. Jeżeli, jeżeli... - płakała

Mikołaj zerwał się z krzesła i przykląkł przy narzeczonej.

- Kochanie moje, nawet jeżeli nie teraz, to przy szturmie mogę polec. Moim obowiązkiem jest zrobić wszystko, aby chronić ciebie, rodziców i wszystkich tych ludzi. Cokolwiek by się nie stało, sercem i myślą jestem zawsze przy tobie.

Te słowa bynajmniej nie uspokoiły dziewczyny, która wtuliła się w ramię narzeczonego i dalej szlochała.

Paweł przypatrywał się tej scenie ze smutkiem. Oczywiście, że bał się o nowego przyjaciela, że bezgraniczne poświęcenie dla dobra bliskich było godne podziwu. Od kiedy ujrzał tę parę, a zwłaszcza Karolinę, poczuł nieodpartą potrzebę posiadania bliskiej sobie osoby. Dziewczyny, którą by kochał i której zawierzyłby swe życie. Dotychczas poświęcał się wyłącznie Ojczyźnie. Kochał ją, gdyż sądził, że jeżeli kogoś kochać, to tylko Ojcowiznę, która go zawieść nie mogła - ani jego zaufania, ani oddania, ani uczucia, jakim pałał do Polski. W obliczu poruszającego widoku tej żydowskiej pary, tajemnic kraju, jakie przez ostatni tydzień wyszły na jaw, wiedział już, że ze strony Rzeczypospolitej nie może oczekiwać odwzajemnionego uczucia. Cała jego filozofia życia runęła od czasu pamiętnej nocy 30 listopada... Teraz Paweł poczuł się naprawdę samotny...

- Pójdę z tobą - zerwał się Kościuszko - tak będzie bezpieczniej.

- Jeżeli bojar obstawił mosty, gościńce, a nawet drzewa swymi ludźmi, to i w dziesięciu nie będzie bezpiecznie - odparł pan Zatopocki.

- Tak czy siak, postanowiłem - odrzekł pan Tadeusz. - Będę ci towarzyszyć, przyjacielu - powiedział, klepiąc Mikołaja po ramieniu.

- Wyruszyście po zmroku - odezwał się stary Aleksander. - Wróg nie spodziewa się takiego posunięcia.

- O tym samym pomyślałem ojciec - powiedział Mikołaj. - A twą pomoc ochno przyjmę - zwrócił się do Tadeusza.

Wobec takiego obrotu spraw, Tadeusz i Mikołaj porządnie się najedli i rozpoczęli przygotowania. Paweł wręczył Kościuszce podrobiony list, który miał trafić do kasztelana. Mikołaj narzucił na swój strój czarną pelerynę, która pod osłoną cienia dobrze

go zakamufluje. Wziąwszy po dwie pary pistoletów, schował je za pazuchą, gdzie mogły pozostać suche w czasie zbliżającej się burzy. Tadeusz całą twarz i ubranie natarł węglem, który, podobnie jak i płaszcz Mikołaja, uchroni go przed spojrzeciami guzunowych konfidentów. Pozostała kwestia konia, którym poruszać się miał Kościuszko. Ten był maści rażąco białej, która pośród ciemnych lasów może zwrócić uwagę Rosjan. Tadeusz nie chciał jednak, by jakoś go zamaskować. Postanowił jechać za Mikołajem, miał bowiem nadzieję, że w razie potrzeby zostanie jedynym zauważonym. Gdyby przyszło mu walczyć, Mikołaj po cichu mógłby przedostać się do Połocka. Kolejne, godne bohaterów poświęcenie... Kiedy panowie się przygotowali, nadszedł czas pożegnania. Tadeusz kolejno ścisnął dłonie przyjaciół, zegnał się z Koszczaszami i Karoliną. Ona zaś wciąż łkała i tuliła się do Mikołaja, który nie był w stanie jej uspokoić. W końcu, dzięki usilnym namowom Aleksandra, narzeczona odstąpiła od wybranka, który u boku Tadeusza po chwili kłusował w stronę lasu.

Jeźdźcy gwałtownie zwolnili, gdy przekroczyli progi leśnego królestwa, z którym, bądź co bądź, byli teraz w stanie wojny. Kawalerzyści stąpali powoli po ścieżce, rozglądając się na wszystkie strony. Tadeusz niespokojnie spoglądał na boki, skąd lada chwila mógł wyskoczyć Moskal z muszkietem. Do głównego gościńca postanowili przyspieszyć, spadające bowiem krople deszczu i odgłosy wiatru zagłuszały tętent kopyt. Zresztą Rosjanie na pewno zasadzkę przygotowali gdzieś na głównym gościńcu, inaczej martwy goniec przybyłby o wiele wcześniej. Po niedługim czasie Mikołaj i Tadeusz dotarli na trakt. Tędy jednak postanowili nie jechać, w obawie przed Rosjanami. Zdecydowali się więc na podróż między drzewami na jakiejś mniej udeptanej drodze. Jeźdźcy podążali po błotnistej dróżce. Z góry, z konarów i liści kapwały na nich strumieniami strugi deszczowe. Zagłuszały one nie tylko ich, ale i ewentualnych wrogów czających się za zakrętem. Jechali wzdłuż skalnej ściany, gdy nagle błysk piorunu rozjaśnił przed nimi ścieżkę, a na niej linę, przywiązaną do pni drzew po obu stronach drogi. Mikołaj raptownie wstrzymał rumaka i dał znak panu Kościuszce. Koszczasz zsiadł z konia i obszedł pagórek za skalną ścianą od tyłu. Gdy tylko jednak wychylił się, by spojrzeć, czy ktoś lub coś znajduje się przy pułapce, legł na ziemię. Za wzniesieniem opodal drzewa po prawej stronie drogi, znajdował się obóz rosyjski. Siedziało w nim trzech Kozaków, jeden sterczał nad osłoniętym ogniskiem i palił fajkę, wypuszczając szare okręgi. Kolejny stał pod skalną ścianą i trzymał oparty o ścianę karabin. Piąty nieprzyjaciół kroczył powoli w kierunku Mikołaja. Żyd wiedział już, że nie ma odwrotu. Musiał się ich pozbyć. Dwóch bezproblemowo mógł zabić z pistoletów, ale pozostali trzej mogliby do niego wystrzelić. Para Kozaków siedziała przy dogasającym ognisku. Kolejny obchodził cały obóz.

- *Wpierw muszę podczołgać się bliżej* - pomyślał Mikołaj i ruszył wzdłuż pagórka mając nadzieję, że go nie dostrzegą - *Oby Tadeusz usłyszał strzał.*

Nie miał już czasu cofnąć się do towarzysza.

Kiedy dotarł pod niewielki krzak, przykucnął i wyciągnął pistolety. Były jednak kompletnie zamknięte, pewnie od czołgania się po mokrej ziemi. Mikołaj zaklął po cichu, gdy okazało się, że z dwóch par, tylko jeden pistolet jest sprawny. Zmniejszyło to jego szanse na powodzenie, lecz, jak mówił wcześniej, nie miał wyboru. W nadziei, że Kościuszko zabije Kozaka stojącego tuż przy pułapce, Mikołaj wymierzył w obozowiczów. Odgiął kurek, po czym zmrużył oko i wycelował w Rusinów. Mruknął coś po żydowsku i wystrzelił. Bez oczekiwań na jakikolwiek rezultat, wyskoczył zza krzaka, dobywając szabli. Patrolujący polanę Kozak był zdezorientowany, zanim przygotował broń do strzału, legł od cięcia Mikołaja, który pochwytywszy muszkiet wroga, ruszył do obozowiska. Tymczasem opierający się o skałę strażnik ujął w dłonie oparty o skałę muszkiet i wycelował go w Koszcza. Zanim jednak zdążył wystrzelić, pan Tadeusz przebił mu brzuch szablą, zasłaniając usta umierającego. Gdy Kościuszko utulił Kozaka do wiecznego snu, Mikołaj wbiegł do obozowiska, gdzie najpierw spuścił strzał z karabinu i posługując się kolbą jak pałką, natarł na ostatnich Dońców. Wymienił z jednym z nich kilka uderzeń, nim ów padł. Ostatni, mając wciąż w ustach fajkę, wycelował w tym czasie pistolet do strzału i rzeczywiście dało się słyszeć huk broni palnej. Kozaczyna zacharczał, z jego ust wypłynęła krew, tytoniowa zabawka wypadła z buzi, a cielsko runęło na ziemię. To pan Tadeusz wystrzelił z kozackiej broni.

- Dobrze, że się zorientowałeś na czas - zawołał Mikołaj, podnosząc swoją szablę - bez ciebie byłbym trupem - powiedział, ładując pistolet.

- Lepiej ruszajmy w dalszą drogę, możliwe że inne posterunki usłyszały nasze wystrzały.

- Oby nie, widziałeś przecież, ledwie myśmy dostrzegli tę zasadzkę. Pewien jestem, że z innymi tak łatwo nam nie pójdzie.

To powiedziawszy, panowie dozbroili się i dosiedli rumaków. Objechali przeszkodę i ruszyli dalej, mając się jeszcze bardziej na bacności. Jechali w strachu przez kolejne pół godziny, nim z powrotem wyjechali na główny gościniec.

- Jest most!- rzekł uradowany Tadeusz

- I najniebezpieczniejszy odcinek naszej trasy... - mruknął Mikołaj, zaczynając szeptać coś po żydowsku.

Kościuszko spojrzał na przyjaciela, i rozumiejąc, co robi, przeżegnał się, patrząc w jasny punkt na końcu drogi.

Nie mieli wyboru - musieli dojechać tą drogą aż do rzeki - dalej powinni być bezpieczni. Wziąwszy w dłonie po jednym działającym pistolecie, ruszyli przed siebie. W oddali widzieli już kraniec lasu i most wiodący za Dźwinę. Gdy tylko przygotowali się

poprzez kontemplację, Mikołaj i Tadeusz popędzili ile sił miały ich konie. Nie zważając na niebezpieczeństwo, cwałowali ku światłu na końcu drogi. Nie minęło kilka minut od chwili przyspieszenia, jak Tadeusz dostrzegł Kozaka pędzącego na rumaku między drzewami, równoległe z Koszczaszem i Kościuszką. Obejrawszy się z drugiej strony, także dostrzegł Rusina, celującego do nich w czasie jazdy z karabinu.

- Mikołaj! - zawołał pan Tadeusz. - W las, prędko! - krzyknął na towarzysza, po czym wraz z nim zjechał na lewą stronę. Tadeusz odwrócił się i wypalił do ścigającego ich Kozaka w łeb. Spudłował. Rzucił więc wypaloną broń i pochwycił drugi pistolet trzymany w olstrach. Strzelił. Kozak runął na ziemię. Nim zdążył się nacieszyć pięknym trafieniem, zza drzew wyłonili się kolejni nieprzyjaciele wymachujący szablami i pistoletami. Po kilku nieudanych wystrzałach dwóch Rusinów otoczyło pana Tadeusza. Ten jednak nie dał się zaskoczyć i wypalił do jednego z ostatniego już pistoletu. Doniec padł, lecz Kościuszcze pozostał jeszcze jeden przeciwnik. Wyciągnawszy szablę, począł bić się z wrogiem. Po kilku sparowanych ciosach rywal uległ Polakowi, który rozciął Kozaczynie jedno ramię, po tym jak chłopak zsunął się z siodła i zadał cios od dołu. Mikołaj tymczasem zmagał się z przeciwnikiem, który nacierał na Koszczasza z wielką siłą. Mikołaj jednak zręcznie obracał swym orężem, który chwilę później rozplątał wrogiemu ogierowi kark i chwilę później wierzchowiec Kozaka uderzył w drzewo.

Wróg nie ustępował. Zza drzew wylaniały się kolejne zastępy jeźdźców, które klnąc na Lachów, krzycząc: *hajda, hajda* i gwizdząc, rzucały się w pogoń za uciekinierami. „Zbiegowie” tymczasem powrócili na główny trakt, gdyż zbliżali się do mostu. Mieli go tuż przed sobą, jeszcze chwila i by go przekroczyli, gdy wyrosli przed nimi jak spod ziemi, kolejni wrogowie witający ich lufami muszkietów. Piechurzy utworzyli szczelną formację naszpikowaną bagnietami. Nie mogli nic zrobić, więc ponownie skręcili w las i ze stromej skarpy wpadli z końmi do rzeki. Słup wody, który wznosił się ponad tafelę od skoku dwóch jeźdźców i ich wierzchowców był wielki jak od kuli armatniej. Wokół wytworzyła się piana, bąbelki powietrza wydostawały się jeszcze przez chwilę na powierzchnię. Podjechawszy nad skarpe Dońcy i Moskale, zgromadzili się nad brzegiem i wyczekiwali uciekinierów. Ich konie bezproblemowo wydostały się na drugi brzeg. Na to jeden Kozak wycelował karabin w białego rumaka, ale brązowo brody Moskal opuścił lufę żołnierzowi. Wierzchowce uciekły w stronę Połocka.

- Jak waszmość myśli, czy Mikołajowi się uda? - zapytała zdenerwowana Karolina.

- Twój narzeczony to człowiek odważny. Zrobi dla ciebie i mieszkańców tego miasteczka wszystko, co w jego mocy. Nie ma obawy, da sobie radę, zwłaszcza, że nie jest sam - odrzekł Paweł, który sam wielce się o przyjaciół martwił i nerwowo poruszał palcami. - Od ich wyjazdu minęła godzina, cóż, zdaje mi się zatem, że nie warto już stać i wyczekiwać. Jak Bóg zechce, to pomoże dobrym ludziom.

- To miejsce jest zapomniane przez Boga...

- Daliście się Mu zauważyć i oto sprowadził nas. Musi waćpanna wiedzieć, że nic się nie dzieje bez przyczyny.

- Pięknie powiedziane. Ma waszmość rację - rzekła Karolina, wzdychając. - Na co tutaj czekam? Przecież jeżeli mu się powiedzie, to jutro wróci. Chyba, że nieco później - powiedziała, spuszczać wzrok i nie do końca wierząc w to, co mówi.

- Bądź waćpanna, dobrej myśli. Tu tylko Bóg może dopomóc - rzekł Paweł, zamykając za nimi drzwi balkonu i podnosząc lekko podbródek towarzysze. - A więc módlmy się i wszystko będzie dobrze - powiedział, spoglądając jej prosto w oczy.

Odczuwał wielki smutek, widząc Karolinę zmartwioną.

- Ma waszmość rację, lecz twe słowa nie są pocieszające - westchnęła. - Rada jestem za wasze chęci.

- Proszę! Mów mi po imieniu, nie jak do szlachcica...

- To waść nie szlachcic?

- Jam jest, ale czy dzięki temu jestem od kogoś lepszy? Świstek papieru, szabla u boku i herb świadczą o mej pozycji. Nic to nie znaczy. Bogaczem też żadnym nie jestem, ani się za niego nie podaję.

- Rozumiem. Zacny z ciebie człowiek. Szkoda, że w dzisiejszych czasach mało jest takich jak ty - postrzegających ludzi ponad podziały - dodała.

Paweł uśmiechnął się nieco, przykładając jej dłoń do swoich ust.

- Dziękuję panie za dobre słowo.

- Skoro do siebie każesz mówić po imieniu, to i ty zwracaj się tak do mnie!

- Jak sobie życzysz, Karolino. Wiedz, że Mikołaj przybędzie, bo ma do kogo wracać!

Porucznik objął przyjacielsko swoją, zarumienioną w tej chwili, towarzyszkę, raz jeszcze zapewniając o szczęśliwej i bezpiecznej podróży jej narzeczonego i odczuwając taki rodzaj szczęśliwości, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Chwila zdawała się być nieskończoną, a kiedy oboje rozluźnili uścisk, czuł, jakby od tego cudownego momentu minęła wieczność.

Ułan wskazał towarzysze drzwi i, puszczając przodem, zeszli po schodach do głównego hallu, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Nie czekając, Paweł pozwolił sobie otworzyć i sprawdzić, jakaż to niespokojna dusza nawiedza ich o tak później porze. Na podwórzu stała czteroosobowa grupa składająca się z trzech rostrych mężów i dość puszystej baby. Wszyscy byli ciepło ubrani, pod pachami i na plecach trzymali pakunki.

Wysoki, ubrany w szary płaszcz, brodaty jegomość, zdjął nakrycie głowy.

- Moje uszanowanie, drodzy państwo - zwrócił się do Pawła i Karoliny. - Czy rad jestem rozmawiać z właścicielami tego zacnego dworu? - pytał i nie czekając na odpowiedź, dodał - Czy ja i moi towarzysze możemy zatrzymać się u was do czasu, aż przejdzie ta okropna wichura? Jesteśmy trupą muzyczną, wracamy z Połocka, ale zaskoczyła nas niepogoda. Nie mamy gdzie się zatrzymać.

- Rzecz jasna, że wam pomożemy, rozgośćcie się - odparła Karolina. - Ale jeśli pozwolicie, chciałabym, abyście zagrali nam coś wesołego - rzekła, spoglądając na pana Taszczyńskiego.

Zrozumiała, że nie ma sensu się zamartwiać, a przy dobrej zabawie czas upłynie szybciej.

Niespodziewani goście skłonili się i weszli do środka. Karolina zaprowadziła muzyków do salonu, gdzie przy stole wciąż siedzieli starzy Koszczaszowie, pan Piekarski, Zatopocki i grupa czeladzi.

- Ojczy, matko - zaczęła Karolina - Oto wędrowna trupa muzyczna, która zabawiała w Połocku. Z powodu wichury nie mogli kontynuować podróży, dlatego zaproponowałam im schronienie.

- Bardzo szlachetne z twojej strony - pochwalił Aleksander.

- Niech się nam przybysze przedstawia - rzekła pani Koszczaszowa.

Na przód wyszedł znów wysoki jegomość, z którym Karolina rozmawiała w drzwiach.

- Nazywam się Ksawery, to jest Antoni, Szczęsny oraz Anastazja - przedstawił po kolei swoich kompanów. Radzi jesteśmy, że zastaliśmy tu serdecznych domowników, ale czy moglibyśmy prosić łaskawie o coś ciepłego na gardła przepłukanie? Ziab okrutny, tylko patrzeć, jak spadną pierwsze śniegi.

To trochę dziwnie zabrzmiało, zważywszy na groźbę bojara. Porucznik wbił wzrok w uśmiechniętych przybyszy, a starosta wyprawił pacholka po naczynia dla przybyszy.

Paweł wyczuł, że z muzykantami jest coś nie tak.

- Nam, proszę waćpana, do zimy wcale nie spieszno - odpalił Paweł. - Same kłopoty sprawia, zresztą nie tylko ona - młody ułan umyślnie zaakcentował trzy ostatnie wyrazy, jednak nie tak dosadnie.

- Nikomu zimno być nie powinno, nawet w najsroźszą zimę, jeśli się w takim gronie rodzinnym, z małżonką i przyjaciółmi, znajduje - rzekł pan Ksawery.

Paweł i Karolina zarumienili się i odwrócili wzrok, pan Piekarski tłumiał śmiech, pozostali zaś patrzyli osłupieni. Zatopockiemu wypadł z buzi kawałek mięsa, który właśnie chciał zjeść.

- Serce raduje się, gdy widzę tę oto białogłową, lecz nie moje to szczęście wieść żywot u boku takiej niewiasty - wyratował się po mistrzowsku pan Taszczyński. - Ale ma waszmość rację, że w takim towarzystwie przyjemnie jest spędzać czas w każdą pogodę.

- W takim razie proszę o wybaczenie - skłonił się Ksawery, całując dłoń Karoliny. - O, napitek niosą, dzięki ci panie gospodarzu! - to powiedziawszy, sięgnął po kielich z tacy służącego, a wraz z nim pozostali.

- Dokąd to się udajecie? - zapytywał porucznik, zasiadając do stołu.

Muzykanci spojrzeli po sobie.

- Trasy mieć, nie mamy, wędrujemy do co większych miast, na dworach szlacheckich dorabiamy... - odparł Antoni.

- Po stronie rosyjskiej też? - zapytał Paweł.

- Skądże! - oburzył się Ksawery. - My tylko w Wielkim Księstwie, Koronie, niegdyś również w Dreźnie i Lipsku bywaliśmy - błyskawicznie zmienił temat. - No, przyjaciele - zwrócił się do kompanów - obiecaliśmy tej ślicznej damie, że jej pogramy to i owo! Do instrumentów!

Mikołaj i Tadeusz ani nie utonęli we Dźwinie, ani nie zginęli pod cielskami wpadających do rzecznej toni koni, ani od kul ołowianych posyłanych jeszcze długi czas w wodne odmęty. Kiedy Rosjanie bezskutecznie przeczesywali rzekę i strzelali do każdego poruszającego się w szuwarach stworzenia, kompani dawno byli już w drodze do Połocka. Jak tylko wpadli ze swymi rumakami do wody, panowie przekręcili się na lewy bok koni. Gdy zwierzęta dotarły do brzegu i popędziły skierowane na wschód, ukryci pozostali niezauważeni. Do celu było jednak daleko. Mimo, iż niebezpieczeństwo ze strony Rosjan minęło, na polach i łąkach byli łatwym celem dla rzezimieszków i rabusi,

dla których dzień zaczyna się o zmroku. Gdy tylko konie zniknęły z oczu Kozakom, Mikołaj zorganizował postój. Teraz nie było co liczyć na pistolety - proch i lufy całkowicie zamokły! Pozostawały tradycyjne szable, którymi obaj panowie potrafili, w razie konieczności, wyciąć sobie drogę do celu. Kiedy wysuszyli się i doprowadzili do jako takiego ładu, kontynuowali drogę do Połocka. Jechali traktem przy rzece, która światłem księżycy oświetlała gościniec i okoliczne tereny. Aż do samego miasta podróż odbyła się bez żadnych niespodzianek. Do stolicy województwa dotarli około jedenastej. Przekroczywszy bramy, obaj ucałowali ziemię i dziękowali Bogu za wstawiennictwo i pomoc. Gdy nacieszyli się sukcesem, niezwłocznie ruszyli w stronę rezydencji Sapiehy. Przed bramą wjazdową czekały ich rzecz jasna nieprzyjemności. Widok ubrudzonych, śmierdzących i mokrych jegomościów oczywiście stał się obiektem drwin i szyderstw ze strony strażników. Dopiero list z pieczęcią ojca Koszczaśa udobruchał wartowników. Nie uległ on w Dźwinie zamknięciu, ponieważ schowany był w metalowym pudełku w torbie na końskim grzbiecie. Posłowie zostali zaprowadzeni bezpośrednio na dwór wojewody.

W ogromnej, przygotowanej do tańców, sali było gwarno, bowiem odbywał się ucztą dla dygnitarzy połockich. Pełno się zgromadziło skryb, szlachty, lokalnych wielmożów, biskupów i starostów. Dziwił gości więc widok obdartusów na tak znamienitym przyjęciu. Wielu zaczęło szeptać na ich temat oraz wojewody, który wprowadza tu ludzi, na których sam widok można czuć zniesmaczenie.

Na krańcu pomieszczenia, na wielkim tronie zasiadał Aleksander Michał Sapieha w bogatych szatach opadających na stopnie majestatu, wraz ze swoją małżonką Magdaleną Lubomirską. Gdy tylko ujrzał on dwóch posłańców, skrzywił się wielce i rzekł coś do swojego gwardzisty. Nim jednak strażnik zdążył „odprowadzić intruzów do wyjścia”, Mikołaj wyciągnął z zanadza list i pokazał wojewodzie. Na sali zrobiło się cicho. Wszyscy goście oczekiwali dalszego ciągu wydarzeń.

- Miłościwy panie - zaczął Koszczaś - wybaczyć, że niepokoiimy cię w ten wieczór, lecz zło zawitało na twe ziemie. Zapewne wasza mość słyszała o bojarze, co napada na wsie i miasteczka na całej Białorusi.

Goście zaczęli mówić coś między sobą. Wojewoda niemal nie stracił panowania, na skutek gniewu i zawstydzenia na oczach tylu ważnych osób. Zaciśnął zęby i dłonie na poręczach stolca. Nie miał zamiaru rozmawiać na te bzdurne tematy publicznie, zwłaszcza w obecności tylu dostojników. Zerwał się z siedzenia i nakazał zaprowadzić panów do sali obok.

- Proszę wybaczyć, drodzy mili, muszę się oddalić. Kontynuujcie zabawę - rzekł.

Orkiestra na nowo rozbrzmiała, a dygnitarze szybko zapomnieli, czy też chcieli zapomnieć, o tym zajściu. Sapieha udał się prędko do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie

wyczekiwali ich Tadeusz i Mikołaj. Wyprosiwszy strażę, zamknął drzwi i zasiadł za biurkiem.

- Czego waszmościowie opowiadają publicznie te brednie? - rzekł do nich srogo.

- To najprawdziwsza rzecz, mości wojewodo... - tłumaczył Koszczasz. - W tej sprawie do pana zajechaliśmy, ledwie co... - wyjaśnił, kładąc list przed panem Sapiehą.

Wojewoda spojrział na nich, zakrwawionych i ubrudzonych, niczym wracających z wojny mężczyzn, potem zerknął na list i po chwili rozłamał jego pieczęć. Rozłożywszy list, zabrał się do czytania. Mikołaj i Tadeusz z niecierpliwością oczekiwali reakcji Sapiehy, ten jednak bardzo długo czytał tę korespondencję, bądź wodził wzrokiem po podpisie, który mógłby być przecież sfalszowany. W końcu wojewoda odłożył wiadomość i wsparł się ręką o stół. Westchnął głośno i rzekł:

- Ten list jest dowodem na istnienie bojara, to pewne - zaczął Sapieha - Ale nie mam ja środków, by wspomóc was w walce. Nie mam prawa rozporządzać wojskiem, ani zabezpieczać granic! Moje słowa nic tu nie znaczą. Musicie sobie sami w jakiś sposób poradzić. Broń Boże, nie mówcie o tym nikomu w mieście. I bez tego bojara mam już wystarczająco dużo spraw na głowie.

- Właśnie widzieliśmy... - mruknął Tadeusz. - Jak parasz się pracą dla dobra kraju na tym przyjęciu! Boisz się wasza mość Rosji, pozostawiając swoich poddanych samym sobie!

- Dosyć! - krzyknął Sapieha, zrywając się z krzesła. - Straże! - zawołał, po czym do komnaty wkroczyła czwórka gwardzistów i ujęła posłów pod bok.

- Żegnam panów - powiedział wojewoda, nim zniknął z oczu wyprowadzanym gościom.

Gdy został w pokoju sam, wziął list w dłonie i jeszcze raz na niego spojrział. Nadstawił jeden z rogów nad palącą się obok świecę, a gdy ten zajął się ogniem, rzucił go na marmurową posadzkę i wrócił do gości. Wiadomość kurczyła się jak szanse żehynian na uzyskanie pomocy... Wkrótce pozostała tu tylko kupka popiołu...

Kilka minut później posłowie znaleźli się na bruku. Wyrzuceni, wyśmiani i poniżeni. Zdając sobie sprawę ze swojego niepowodzenia i bezsilności, Mikołaj począł bić pięściami w błoto i ciskać Sapiehę największymi możliwymi obelgami żydowskimi. Doprowadziwszy się do ładu, obaj posłowie usiedli na ciemnej ulicy. W oknach wszystkich okolicznych budynkach dało się zauważyć żarzące się światłą lamp i świec, które jako jedyne oświetlały ciemną uliczkę.

Oni wszyscy przynajmniej mogą czuć się bezpieczni - pomyślał Tadeusz. Dalsze rozmyślenia przerwały jęki Koszcza, który nie mogąc poradzić sobie z odmową i „zdradą Rzeczypospolitej”, popadł w niemałą histerię.

- Co mamy teraz robić? - krzyczał, wymachując rękoma. - Zostaliśmy sami, wszyscy zginiemy bez pomocy z zewnątrz!

- Opamiętaj się przyjacielu, damy sobie radę. Do jutra coś wymyślę - poklepał go po ramieniu Kościuszko. - Tymczasem chodźmy spać.

- Tutaj? Na bruku?

- Nikt nas nie przyjmie do gospody, spójrz na nas! Nie mamy nawet pieniędzy. Teraz się uspokój. Jutro wszystko się ułoży.

Paweł wyszedł na balkon i spojrzał w ciemne, gwiazdziste niebo, wznoszące się ponad sosnowymi koronami. Wsparł się dłońmi o kamienną barierkę i westchnąwszy głęboko, spojrzał na spadającą gwiazdę.

- Co cię trapi, przyjacielu? - zapytał ktoś zza pleców porucznika.

Paweł odwrócił się do pana Zatopockiego.

- Coś tu nie gra: Jak ci muzykanci przedostali się przez las, skoro wcześniej usiekli tam naszego posła? Jak znaleźli drogę do Żehynia, skoro to tak zapomniane miejsce!? Zmieniali temat, gdy wspominałem o Rosjanach, mówili o złu zimy!

- Masz rację, to jest dziwne. Rzeczywiście trzeba mieć ich na oku. Lepiej trzymać broń w pogotowiu. A może jesteś po prostu przewrażliwiony? Tyle emocji w tak krótkim czasie nie wpływa dobrze na człowieka.

- Może i masz rację...

- Chodźmy na dół - zasugerował inżynier.

- Januszu... - odezwał się porucznik - Mam do ciebie pytanie.

- Słucham! - saper zdziwił się łagodnym tonem przyjaciela.

- Czy byłeś kiedyś zakochany? - zapytał młody ułan.

Pan Zatopocki otworzył szeroko oczy, pomyślał, czy przypadkiem się nie przesłyszał.

- Co masz na myśli? - odparł zaskoczony.

- Czy kiedykolwiek miałeś wrażenie, że dla danej osoby będziesz w stanie zrobić wszystko. Czy czułeś się szczęśliwy, widząc radość dziewczyny, na której ci zależy. Czy wreszcie serce kołatało ci mocniej, niż dzwon w kościele, niż werbownik pukający niecierpliwie do domu przyszłego żołnierza? Czy w końcu odwaga, jaką wykazywałeś się na polu bitwy nie starczała, aby stoczyć bój cenniejszy i cięższy od jakiegokolwiek innego?

Zapadła cisza. Janusz był kompletnie zadziwiony pytaniami przyjaciela. Nie skupiał się nad wyszukaniem odpowiedzi. Myślał, skąd Pawłowi ten temat mógł w ogóle przyjść do głowy.

- Przyjacielu, czy ty...?

- Odpowiedz mi, proszę.

- Cóż... Nie wydaje mi się. Aż takich dziwów jeszcze w życiu nie doświadczyłem. Nie znalazłem się w sytuacji, aby stracić dla którejś głowę.

- Rozumiem. I dziękuję.

- Chciałbyś o tym porozmawiać? - Janusz wyraźnie zmartwił się o kompana.

Paweł przecząco pokiwał głową.

- Na razie muszę oswoić się sam z tymi myślami i je zaakceptować. Kiedy coś takiego przydarzy ci się, przyjacielu, twoje życie już nigdy nie będzie takie same...

Porucznik i saper powrócili do salonu, gdzie grajkowie rozpoczęli muzykowanie. Parobkowie i męska część czeladzi brała do tańca służebne, nawet pan Piekarski zdążył rzucić się w wir tańca. Jedyne starzy Koszczaszowie nie zdecydowali się na taniec, trudno im się jednak dziwić. Wiek często bywa przeszkodą nie do sforsowania. Gdy tylko Paweł i Janusz weszli do pokoju, pana Zatopockiego porwała jakaś dziewczyna. Ten ucieszony poprowadził damę do tańca, tracąc czujność. Porucznik zaś poprosił Karolinę do wspólnej zabawy. Wszystkie pary na parkiecie tańczyły w rytm muzyki tworzonej przez skrzypce, tamburyn i flety. Zespół grał w kącie obok kominka na niewielkim podwyższeniu. Muzyka zawróciła w głowach wszystkim tancerzom. Zupełnie zapomniano o troskach związanych z nocnym wypadem Tadeusza i Mikołaja. Paweł i Karolina uśmiechali się do siebie szczerze, zataczając koła. Obecny tu nie trapiły żadne zmartwienia. Nikt nie zauważył nadchodzącego niebezpieczeństwa. Z futerałów na instrumenty, które leżały obok grajków, Anastazja wydobyła trzy pistolety. Rzuciła je

swoim towarzyszom. Ona sama zdjęła ze ściany muszkiet, nabiła go i powoli wszyscy wycelowali do biesiadników.

- Co to ma znaczyć! - krzyknął Aleksander, powstając z krzesła. - Co wy wyprawiacie!

- Mamy zamiar dać wam nauczkę - wycedził Szczęsny, ujmując w drugą dłoń rapier. - Z pozdrowieniami od Guzunowa.

Mężczyźni zakryli swoje taneczne partnerki przed ogniem z pistoletów. Te wystrzeliły i trafiły tancerzy, którzy opadli ugodzeni na ziemię. Paweł miał szczęście nie zostać trafionym i sięgnął po szablę, pacholki brali co popadło ze ścian, pan Zatopocki i Piekarski również dopadli oręża. Wszyscy napastnicy skierowali się w stronę starosty i małżonki, tak więc Paweł i reszta otoczyli ich ścisłym kordonem. Niestety nikt nie dostrzegł Anastazji, która wycelowawszy, strzeliła z muszkietu. Stary Koszczasz zwałił się na ziemię. Karolina, Koszczaszowa i reszta dam przeraźliwie krzyknęły. Na to wszyscy mężczyźni natarli na przeciwników. Szczęsny i Antoni prędko padli od ciosów, Ksawery natomiast wyskoczył przez okno tłukąc szkło. Anastazja próbowała pójść w jego ślady, lecz na jej nieszczęście dopadli ją Paweł i jeden z parobków. Trzymali ją pod ręce, gdy nagle rozległ się strzał. Dziewoi krew napłynęła do ust, po czym rozluźniły się mięśnie i kobieta zwiotczała, jak lalka podtrzymywana przez pacyniarzy. Obok stał pan Piekarski z dymiącym pistoletem.

- Co żeś zrobił! - krzyknął Pan Zatopocki. - Nie dość, że po pijanemu mogłeś nas trafić, to jeszcze zabiłeś więźnia, co nam mógł wiele wyśpiewać!

- Po pierwsze, strzelam najlepiej, nawet po alkoholu, a trzeba ci wiedzieć, że często po nim jestem - odparł Andrzej, kiwając się - Po drugie, pozostał nam jeszcze ten Ksawery.

- Przecież uciekł!

- Złapiemy go. Ale w którą stronę uciekł?

- W stronę zamku - odparł jeden ze służących, spoglądając przez wybite okno.

Noc minęła dla całego Żęhynia w nieustannym niepokojem i modlitwie. To, co zdarzyło się na dworze Koszczaszów pozostało w obrębie ścian dworu do rana. W podniosłej, pełnej niepewności i strachu atmosferze, nie można było fundować żęhynianom dodatkowych nerwów. Wszyscy mieszkający w mieście ludzie, bez względu na wyznanie, modlił się wedle własnego ceremoniału i obrządku w intencji swoich bohaterów - Mikołaja i Tadeusza.

Starosta został ugodzony w ramię, na szczęście nie była to rana śmiertelna. Mało jednak brakowało do tragedii. Paweł i reszta mężczyzn odroczyli poszukiwania zbiegłego skrytobójcy do brzasku. Do samego rana nie było żadnych oznak niepowodzenia młodego Koszcza i Kościuszki, ale nawet za dnia w czasie pracy, ludność zdawała się być niespokojna. Największy problem dotyczył nie samopoczucia żęhynian, a matki i narzeczonej Mikołaja. Te bez ustanku rzucały się sobie w ramiona i płakały. Wycierały sobie nawzajem łzy o suknie, łkały i modliły się przez resztę nocy i cały następny dzień. Nic nie pomogły pociechy i wsparcie Janusza czy Pawła. Przytłaczał je stan Aleksandra, który leżał nieprzytomny w swoim łóżku. Przez cały dzień ich jęki, szloch i krajane serca zaprzętały myśli domowników. Trzeba było jednak wybiegać myślami wprzód i zadbać o bezpieczeństwo ogółu. Mimo złych wieści z dworu, cały dzień mieszkańcy starostwa i ułani trwali w pracach przygotowawczych.

Z każdą godziną wał stawał się coraz masywniejszy i okazałszy. Tego dnia ukończone zostały kamienne podwaliny murów, ciągnące się od drewnianej wieży strażniczej, w sumie kilka dobrych trzydzieści metrów długości. Wedle projektu, niewielki kamienny „murek” miał być okalany nasypami ziemnymi i drewnianymi palami. Mimo ogromnego zmęczenia, mieszkańcy kontynuowali przygotowania: ułani zaczęli wspomagać pracujących, wydrążając w ziemi długi pas okopów, przed wznoszonym wałem. Ciosano drewniane bele, którymi miano zamierzać obłożyć kamienny mur. Okopy głębokie na metr oraz szerokie na pół były tegoż dnia ukończone. Zajęto się wbijaniem pali, które miały chronić znajdujących się w rowie obrońców. W tym czasie pan Zatopocki zajmował się treningiem wojskowym i nadzorował prace w kuźni, gdzie przekuwano kosy i szable na użyteczny sprzęt.

Paweł wspiał się na nasyp i spojrzał hen daleko, gdzie zapuścili się jego przyjaciele. On sam nie mógł sobie poradzić z tą niepewnością, dręczyły go złe przeczucia, z którymi nie mogły sobie poradzić nawet racjonalne i rozsądne argumenty. Chcąc jak najprędzej zapomnieć o tym zmartwieniu, porucznik udał się na spacer w stronę ruin zamku. Wędrował udeptaną przez Żęhynian ścieżką, którą przez ten czas podróżowano tam i z powrotem, zwożąc materiały budowlane. Po niespełna dwudziestu minutach pan Taszczyński dotarł na niewielką polanę oświetlaną przez wpadające między konarami promienie. Trawy nie było prawie widać, polane spowiła liściasta, szaro-brązowa kołdra. Można tu było wpatrywać się w przyrodę i w spokoju kontemplować. Takie miejsce pozytywnie wpływa na wszelki stres i nerwy, człowiek może poobcować z naturą i zapomnieć o szarej, złowroziej, pełnej grzechu rzeczywistości. Porucznik nie zabawił tu jednak długo. Ruszył przed siebie, gdyż na krańcu tej polany znajdował się domniemany zamek czy raczej to, co z niego zostało. Nie było tu zbyt wiele do oglądania. Pozostałości murów zostały prawie całkowicie rozkute kilofami. Po doszczętnie rozebranych kwaterach pozostały jedynie fundamenty i elementy, których nie dało się ponownie wykorzystać. Pan Taszczyński zrobił obchód naokoło całej twierdzy. Zdziwiły go jej rozmiary i duża ilość pomieszczeń, gdyż takie duże bastiony jak ten znajdowały się najczęściej na, po części, otwartym terenie, usytuowane w strategicznych punktach,

z możliwością swobodnego ostrzału. Tym dziwniejszy zdawał się być ten zamek, zwłaszcza iż Wielkie Księstwo nie użytkowało go, ani nie zadbało o zabranie dóbr z jego wnętrza. Widział w tym Paweł opatrność Boską, która pozwoliła żęhynianom solidnie przygotować się na nadchodzący atak. Młody ułan rozchmurzył się na tę myśl, lecz dobrym nastrojem nie nacieszył się zbyt długo. Usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z wnętrza stołpu. Wpierw pomyślał, że to któraś z licznych skrzyń przewróciła się w jednej z sal, dźwięk jednak powtórzył się ze zdwojonym rozgłosem. Paweł po cichu podbiegł do uchylonych drzwi i zaczął nasłuchiwać. Dźwięk dochodził z górnego piętra. Brzmiał tak, jakoby pijany szlachcic, próbował dostać się po omacku do swojej komnaty. Zaniepokojony porucznik, z dłonią na rękojeści szabli, ruszył schodami wiodącymi na piętro. Kroczył bezszelestnie po kamiennych, kręconych stopniach. Nie było to trudne, jegomość na piętrze zachowywał się na tyle głośno, że nie ciężko byłoby go niepostrzeżenie podejść.

Gdy dotarł na poziom, zerknął przez otwarte drzwi. W niewielkiej sali wypełnionej po brzegi różnymi pudłami oraz beczkami, znajdował się pewien brodaty człowiek. Przebierał on w zawartości skrzyń, robiąc wokół duży nieład. Klął po rosyjsku, podważając łomem kolejne kufry. Paweł przyglądał się intruzowi przez ponad piętnaście minut, mając nadzieję, że odnajdzie to, po co przyszedł. Porucznik chciał schwytać go na gorącym uczynku. W końcu obaj zdali sobie sprawę, że poszukiwanego przedmiotu tu nie ma. Pan Taszczyński miał dosyć czekania. Podniósł się z podłogi, wyciągnął pistolet i uchylił cicho drzwi. Kroczył w kierunku szpiega. Odgiął kurek, lecz przez ten dźwięk Rosjanin zorientował się o obecności intruza. Błyskawicznie obrócił się i kopnął go w nogi. Powalił porucznika na posadzkę. Taszczyński nie zdążył wypalić z broni. Rosjanin wybiegł przez drzwi na końcu wieży, zatrzasnął je za sobą i pobiegł na wyższe piętro. Paweł zerwał się na równe nogi i podbiegł do wejścia. Było zamknięte. Wypalił więc z pistoletu w zamek i wyważył kopniakiem wejście. Pobiegł za brodaczem na kolejny poziom. Zbieg jednak nie miał zamiaru dać się schwytać. Pędził na sam szczyt wieży, gdzie dopadł go porucznik. Człowiek zrzucił płaszcz i wyciągnął pałasz. To był Ksawery! Paweł również dobył oręża. Obaj przeciwnicy zaczęli zataczać kręgi, trzymając skierowane ku sobie ostrza.

- Czego tutaj szukałeś?! - zapytał Taszczyński.

- Nie twoja to sprawa, Lachu przebrzydły. Po za tym i tak nie zrozumiałbyś... Ale misja ma się powiodła. Kara za nieposłuszeństwo została wymierzona...

- Sądzisz, że jestem tak głupi, że nie zrozumieję intencji waszej organizacji? To Guzunow i Nałęczycki cię tu wysłali!

- Możliwe - sprowokował Rosjanin. - Przynajmniej dziad już więcej nie będzie wchodził w drogę!

- Ale jednak nie znalazłeś tego, czego szukałeś. Powiedz no, czym jest wasza organizacja, kto wami rządzi?

- Guzunow i Nałęczycycki to tylko jedni z moich zleceniodawców. Ich przełożony jest o wiele ważniejszą postacią.

- Niech zgadnę, to Nikołaj Repnin?

- Dosyć Lachu, widzę, że za dużo się dowiedziałeś! - warknął, rzucając się na Pawła.

Jego pałasz byłby przebił serce porucznika, gdyby nie mistrzowskie parowanie szablą - ostrze uderzyło pod kątem prostym o szerszą krawędź szabli. Polak uderzył ręką w broń nieprzyjaciela i skierował ją z dala od swojej osoby. Ksawery kopnął ułana w nogę. Szarpali się tak dobrych kilka minut, zanim porucznik uderzył lewą pięścią w policzek przeciwnika, potem rękojeścią szabli i zwałił przeciwnika na podłogę. Wróg próbował doczołgać się do leżącego opodal pałasza, lecz Taszczyński strącił go nogą z wieży. Chwycił zamachowca za surdut, podniósł i przyłożył zakończenie broni do piersi.

- Mów waść, co chcę usłyszeć, to nie zabiję - rzekł zdyszany Paweł. - Gadaj o bojarze i Repninie! – to powiedziawszy, puścił jego frak, lecz wciąż trzymał ostrze szabli w bliskiej odległości od jego torsu.

Mimo uścisku śmierci, przerażony Ksawery milczał. Pot ciekł mu po policzkach, drgawki przeszywały go na wskroś, oczy wyłupiaste wpatrywały się w porucznika. Nie miał wyjścia. Zmarłby w męczarniach. Przegrany przechylił się do tyłu i zanurkował w powietrzu. Dwie sekundy później zabił się, uderzając głową o kamienny fundament. Paweł oniemiał. Schował szablę i, nim ruszył stopniami na parter wieży, spoglądał jeszcze chwilę na nieżywego przeciwnika, który rozbił sobie czaszkę...

Tadeusza obudziły promienie słoneczne. Złoty kolos powoli wynurzał się zza miejskich budynków, budząc znajdujących się na bruku towarzyszy. Kościuszko otarł oczy i natychmiast wstał. Chwilę później ze snu wyrwał się Mikołaj. Wyszli z bocznej uliczki i spojrzeli na miasto.

- Ranek miał przenieść nadzieję - rzekł Koszczasz, łapiąc się za głowę. - Jak nie było jej, tak i dziś nie ma.

- Chwila panie Mikołaju. Nie od razu Kraków zbudowano. Poczekajmy, zobaczymy co dzień przyniesie, a tymczasem poszukajmy czegoś do jedzenia. Kiszki mi marsza grają, a gdy myślę o jedzeniu na wczorajszym balu to... oh!

- Nie przypominaj mi - przerwał Mikołaj, któremu również burczało w brzuchu. - Dobrze, chodźmy na targ. Tam coś znajdziemy.

Targ w Połocku był organizowany co tydzień. Dzisiejszego ranka rynek był oblegany przez rzesze kupujących. Litwini i Rusini skupywali towary od olbrzymiej liczby straganiarzy. Nie brakowało wśród nich Żydów. Wciskali przechodniom swoje towary w taki sposób, że kupowali oni rzeczy, których w rzeczywistości nie potrzebowali, a kupowali je po mocno wygórowanych cenach. Stragany były bogate w przeróżne produkty. Nie brak było żywności: ryb słodko i słonowodnych, najrozmaitszego zwierza, owoców, warzyw i orientalnych przypraw sprowadzanych z Krymu. Mnóstwo było wytrawnych trunków, zwykłego browaru, a także czystego chmielu. Można tu było zdobyć drogie tkaniny i futra, arrasy. Istniała możliwość zaopatrzyć się w broń i zbroję, nawet pancierz husarski, który pewien młody chłopak próbował sprzedać. Pewnie rodzinna spuścizna...

Tadeusz i Mikołaj przedzierali się w kierunku stoisk z jedzeniem. Woń wędzonego mięsiva, pieczonego chleba oraz aromaty przypraw chwytaly przyjaciół za języki. Wygłodniali towarzysze mieli jednak tylko kilka monet, które Tadeusz znalazł z kieszeni. Nie było mowy o wytrawnym posiłku. Po udanym interesie panowie przysiedli na bruku. Zajadali się ćwiartką chleba i dwoma zielonymi jabłkami. Za napitek służył im sok z owoców. Gdy zjedli, rzucili za siebie ogryzki. Czekali jeszcze dłuższą chwilę, aż głód im nieco odejdzie.

- To co waszmość radzisz teraz? - zapytał w końcu Koszczasz. - Mówiłeś, że do południa będziemy mieć jakiś plan, a tu dziesiąta i dalej nic!

Kościuszko milczał. Nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Spoglądał na przejeżdżające ulicą karety i wozy zaprzęgane w konie. Między powozami majaczyła mu postać mężczyzny niosącego zwinięty w rulon kawałek papieru i młotek pod pachą. Zatrzymał się on obok płotu i wyjął z kieszeni dwa gwoździe. Włożył je sobie do ust, następnie rozwinął, jak się okazało, plakat i przyłożył go do deski. Wziąwszy młotek w dłoń, przybił afisz do drewna. Chwilę później mężczyzna znikł za zakrętem. Zaintrygowany Tadeusz podniósł się i przeszedł na drugą stronę ulicy. Zdziwiony Mikołaj poszedł za towarzyszem. Gdy podeszli do płotu, obaj się uśmiechnęli.

- O tym tobie mówiłem, przyjacielu. Widać los się do nas uśmiechnął - rzekł Kościuszko.

Na plakacie bowiem widniał wydrukowany, pachnący świeżym tuszem napis:

PARADA HUSARSKA. DZIEWIĄTY GRUDNIA, POCZĄTEK PRZED CERKWIĄ MĄDROŚCI BOŻEJ. GODZINA 12.

- Kogo tam spotkałeś? - powtórzył z niedowierzaniem pan Zatopocki.

- Ksawerego - rzekł raz jeszcze Paweł. - Nie będzie nam więcej sprawiał kłopotów. Ważne jest jednak to, że misja jego nie kończyła się na morderstwie starosty. Czegoś szukał w ruinach. Oczy zgromadzonych skupiły się na osobie Aleksandra, który obudził się, kiedy Paweł udał się na spacer. Stary Koszczasz siedział z zamkniętymi oczyma w fotelu i wytężał swe myśli. W końcu przemówił.

- Zamek, z którego dóbr korzystaliśmy przez ostatnie dni, należał niegdyś do zamożnego magnata. Jak mówiłem wcześniej, spotkał go okrutny los, lecz mój przodek, jako jego sąsiad i przyjaciel, uzyskał od niego prawo do tej posiadłości.

- Znaczący, akt własności? - zapytała Karolina.

- Tak, dostawał go każdy następny członek naszego rodu. Aż przybył tu Piotr I... Kiedy to w 1705 roku w czasie krwawej wojny północnej car przybył do Połocka wraz z wojskiem, nadszedł czas długoletniego kryzysu miasta. Piotr udał się do Soboru Świętej Zofii, gdzie rozkazał przeorowi rozwarć tabernakulum. Kapłan nie zgodził się, co przypłacił życiem...

- Podobno car był pijany - wtrącił pan Piekarski.

- Nie wiem czy to prawda, lecz to nieistotne. W każdym razie świątynia została spalona. Wojsko cara rozbiegło się po okolicznych terenach. Jeden z przywódców dotarł do Żęhynia. Był nim Michaił Guzunow.

- Dalszą część już znamy, przejdź proszę do rzeczy - rzekła łagodnie Karolina.

- Dobrze. Gdy bojar przejął nad nami pieczę, zażądał oddania aktu własności wsi i innych należących do mego rodu dóbr. Nie była to jednak rzecz błaha. Podobnie jak i hołdy lenne, przekazanie aktu miało miejsce z niezbędnym ceremoniałem. Mój ojciec oddał mu akt włości: Żęhynia, jednej małej wioski oraz zamku. Rzecz była jednak skomplikowana dla następców Michaiła - oni także musieli otrzymać akt z rąk „lennika”. Tak umówił się bojar z Piotrem, a ten z królem Augustem. Ostatecznie dokumentów związanych z tymi ziemiami ani Nikita, ani jego ojciec Fiodor nigdy nie otrzymali.

- Czy wiedzieli o ich istnieniu? - zapytał Paweł.

- Oczywiście. Początkowo jednak Nikita nie miał o nich pojęcia.

- Dlaczego ten cichociemny poszukiwał aktów w ruinach? Przecie wiadomo było, że ich tam nie trzymacie - zauważył Janusz.

- Rzecz jest bardziej skomplikowana, niż myślicie panowie. Gdy nadciągnęło niebezpieczeństwo ze strony Michaiła, wtedy w 1705, mój ojciec i całe starostwo schronili się w tym zamczysku. Po kilkudniowym oblężeniu załoga skapitulowała. Przekazaliśmy mu wszystkie dokumenty. Dzięki temu spotkała nas łaska Guzunowa. Okazał się być dobrym rządcą.

- Jak to się więc stało, że twierdza popadła w ruinę? - zapytał zdziwiony wachmistrz.

- Gdy zmarł Michaił, Fiodor przybył, by otrzymać ojcowską spuściznę. W tym zamku Michaił umieścił przed śmiercią akt własności wszystkich ziem, aby jego poddani mogli własnoręcznie przekazać jego synowi hołd. Taki ceremoniał był jego zdaniem bardziej chwalebny, aniżeli otrzymanie z ręki konającego ojca. Miało też zacieśniać więzi między poddanymi i feudałem.

W każdym razie po przebyciu Fiodor nie był zbyt miły. W czasie przeglądu zamku...

- No mów waszmość!

- Ktoś podpalił skład amunicji... - dopowiedział młody Koszczasz.

- W ten sposób Fiodor zginął. Akty własności pozostały w jego ruinach, ukryte głęboko w podziemiach, gdzie z pewnością nikt by ich nie szukał. Pozostają tam do dziś, ale teraz przyjdzie nam je stamtąd zabrać.

- Na Boga! Oni mogą je więc znaleźć! Chcieli je znaleźć!

- Więc to był wasz jedyny atut w walce przeciw Guzunowi - odezwał się Paweł

Aleksander pokiwał głową.

- Tak, brawo. Ten, kto posiada akty własności, jest sobie panem. Od kiedy po twierdzy pozostały tylko kamienie, nikt już nie nanosił na mapy tego miejsca.

- A nam Kozacy bojara wmawiali, że bojar ma zezwolenie od króla! Co za brednie!
- przypomniał sobie Zatopocki.

- Piotr przekonał Augusta, aby przekazać te włości bojarowi. Ten nie oponował. Cóż one znaczą wobec olbrzymiej Rzeczypospolitej? - przypomniał Aleksander. - Teraz musimy szybko zabrać z zamku wszystkie dokumenty.

- A kto sabotował zamek? Wie waść? - spytał Zatopocki.

Starosta uniósł głowę.

- Tak, to byłem ja.

Przed Cerkwią Mądrości Bożej gromadziły się tłumy. Ciężko było się przedostać, by znaleźć dogodną dla oka pozycję. Przyjaciołom jednak się to udało. Usiedli na niewielkim murku ponad głowami zgromadzonych, skąd mogli obserwować całe widowisko. Czekali jakieś dziesięć minut, nim w oddali dało się usłyszeć sygnał trębacza i tętent nadjeżdżających koni. Na górę wjechało dwóch dragonów w paradnych mundurach i dwoma sztandarami: połockim, na którym widniała Pogoń na czerwonym tle, oraz narodowym, z herbem Rzeczypospolitej, z ułożonymi jak w szachownicę dwoma orłami i jeźdźcami na koniach, ze znajdującym się w centrum herbem panującego króla - czerwonym bykiem, czyli „ciołkiem”. Kawalerzyści ustawili się naprzeciw sobie, unosząc flagi wysoko ponad głowy. Za nimi nadjechało czterech muzykantów. W dłoniach wszyscy dzierżyli instrumenty, w które po chwili głośno i melodyjnie zatrąbili lub zabębniłi. Po sygnale drzwi świątyni rozwarły się i wyjechał z niej husarz z czerwoną kopią w ręku, którą zaraz oddał pachołkowi[4]. Na jego widok lud oniemiał: przed nimi na rumaku czystej krwi spoczywał najpotężniejszy jeździec w historii świata. Promienie słoneczne odbijały się od lśniącej, stalowej zbroi husarskiej z ornamentami Zakonu Joannitów składającej się z: grzebieniastego szyszaka z ozdobnymi okuciami i opuszczonym nosalem, naramienników, napierśnika oraz nagolenników wzbogaconych o liczne elementy zdobnicze. Na zbroi namiestnika chorągwi znajdowała się owinięta wokół korpusu skóra lamparcia, opadająca na plecach aż na koński zad. Z tyłu pancerza znajdował się zaś legendarny atrybut tej formacji wojskowej: wysokie, okute mosiężną blachą i ozdobione karmazynowym aksamitem skrzydła. Pod zbroją żołnierz miał na sobie granatowy żupan, a na nogach także spodnie i buty z „palonej skóry” z ostrogami. Cały ubiór przyszykowany był podług reformy wojskowej hetmana jmci, pana Michała księcia Radziwiłła z 1746 roku. Rząd koński, turecki, był niezwykle bogaty, suty i nasadzany kamieniami. Kulbaka również. U boku jeździec posiadał niezbędny ekwipunek składający się z pary pistoletów umieszczonej w olstrach, długiego koncerza i najwspanialszego ostrza, jaki ten świat widział: husarskiej, czarnej szabli. Tłum gapiów rozstał się przed majestatycznym jeźdźcem. W stronę centrum miasta ruszyli najpierw dragoni. Chwilę później na plac przed świątynią zaczęły nadjeżdżać dwuosobowe rzędy husarzy, które ruszały w ślad za namiestnikiem, dzierżącym w dłoni nadzieak. Nikt nie był tak dobrze wyekwipowany jak on. Część husarzy miała karaceny, niektórzy przepiękne, skrzydlate szyszaki, pełne kirysy. Czasem na plecach i przy siodle jeźdźców znajdowało się tylko jedno skrzydło. Połowa jeźdźców nie miała żadnych piór, większość tych, które posiadali, zaopatrzone były w jedno skrzydełko przytroczone do siodła, choć paru miało specjalne uchwyty na naplecznikach. Pióra przytwierdzone były również do skrzydlatego szyszaka. Parę skrzydeł posiadali jeno oficerowie. U boku szeregowych zwisały przy kulbakach karabiny. Wśród kawalerzystów, zaopatrzonych w podbite atłasem skóry lamparcie spięte kłamrami i piękne, granatowe, podbite karmazynem

żupany, dostrzec można było twarze w różnym wieku: od buzi młokosów, którzy przyoblekli zbroje po ojcach i dziadach, po stare zmarszczone twarze przebrzmiałych bohaterów, którzy pamiętali czasy wojen saskich i konfederacji tarnogrodzkiej z pamiętną bitwą pod Kowalewem. Tych drugich było jednak niewiele. Raptem trzech.

Ruszyło najpierw dwóch trębaczy, za nimi doboz z kotłami, dopiero później namiestnik, pary towarzyszy z obnażonymi pałaszami i szablami na ramionach. Dalej szła chorągiew, piastowana od starszego z rejestru towarzysza, za chorągwią podążali szeregowi w wilczych tudzież niedźwiedzich skórach. Gdy kolejne szeregi husarskie posuwały się w stronę ratusza, Tadeusz i Mikołaj zeskoczyli na ziemię. Poruszali się wraz z tłumem za jazdą. Gdy żołnierze wjechali pomiędzy miejskie budynki, połączanie wylegli na ulice. Ci, którzy nie mieli tyle szczęścia, wyglądali za husarią przez okna. Fanfary towarzyszyły konduktowi, który dumnie kroczył ulicami miasta. Ale husaria nie była jedynym elementem parady, choć na pewno najważniejszym i przyciągającym największą uwagę. Skrzydlatym towarzyszyli ich druhowie z pola bitwy - petyhorcy odziani w zbroje płytowe i kirysy, z szablami u boku i dzierzonymi w dłoniach proporczykami. Oficerowie paradowali w misiurkach z piórami. Konna orkiestra wojskowa jechała na przedzie.

Przyjaciele z trudem przebijali się w stronę centrum. Nie widząc w pogoni najmniejszego sensu, panowie się zatrzymali. Spostrzegli dwóch strażników miejskich przyglądających się kolegom z wojska.

- Panie sierżancie - zaczął Kościuszko - Gdzie skończy się ta parada?

- Kondukt będzie posuwał się przez ulice miasta, możliwie w linii prostej, aż dojedzie do jego peryferii. Za miastem zakończy się pochód - odparł wąsaty żołnierz.

Tadeusz skinął głową w podzięcie i chwycił Koszcza za ramię. Pociągnął go w jakąś boczną uliczkę, z dala od paradnego zgiełku.

- Najlepiej będzie czekać na nich na końcowym odcinku - zaproponował Tadeusz.

- Jak masz zamiar się tam dostać?

Kościuszko przejechał dłonią po ścianie kamienicy i chwycił drabinę.

- W ten sposób - uśmiechnął się, po czym chwycił dłońmi za pręty.

Po chwili obaj panowie wdrapywali się na dach budynku. Widok z góry był przecudowny. Słońce nad Połockiem było właśnie w zenicie. Kondukt posuwał się udekorowanymi ulicami miasta. Wystrzeliwano fajerwerki, dawano salwy z wiwatówek, odśpiewywano pieśni. Ale nie byli tutaj dla tego widoku. Musieli skupić się na zadaniu.

Przyjaciele wzięli duży rozpęd i skoczyli na sąsiedni blok. Był to dobry sposób na oglądanie takiej parady. Zachowywali się cicho. Nie chcieli przyciągać niepotrzebnej uwagi zwłaszcza, że mogliby wpaść w duże tarapaty. Orszak husarii poruszał się wolno. Nie było więc sensu czekać kilku minut, nim pokona on kolejny zakręt. Kościuszko i Koszczaś udali się na obrzeża miasta, gdzie postanowili się rozdzielić.

- Słuchaj, Mikołaju, mam dla burgrabiego ważny list, pozwól zatem, że go doręcę. Ty czekaj na mnie za miastem w miejscu końca parady.

Spocony Żyd otarł czoło i pokiwał głową. Skoczył na kolejny gmach, Tadeusz zaś zszedł powoli po szczeblach drabiny i pieszo udał się pod rezydencję pana Brzostowskiego. Zmierzając do rezydencji kasztelana, zastał ulice całkiem opustoszałe. Pałacyk Brzostowskiego nie znajdował się bowiem na trasie przemarszu, a większość mieszkańców skupiła się wokół trasy przejazdu wojska. Minąwszy cztery przecznice, dotarł przed gmach urzędowy. W związku z ostatnimi wydarzeniami nie miał ochoty pojawiać się tam ponownie, ani oglądać parchatej twarzy odźwiernego. Ku zdziwieniu Tadeusza na kołatanie do drzwi frontowych zareagował ktoś inny, a dokładniej wysoki młodzieniec o dziewczęcej urodzie. Powitał Kościuszkę przyjemnym uśmiechem i grzecznie zapytał, co go tutaj sprowadza. Młody chorąży wyjaśnił swoją obecność tutaj i natychmiast został zaprowadzony do gabinetu kasztelana. Przybysz skłonił się w podzięce i zapukał lekko do drzwi. W odpowiedzi uzyskał stanowcze: WEJŚĆ i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi. Gabinet zupełnie był niepodobny do pokoju Nałęczycyckiego. Znajdowały się tam tylko niezbędne przybory i meble: biurko dębowe, niewielka biblioteczka, szafa i dwa krzesła dla gości. Na jednym z nich spoczął chorąży. Naprzeciw niego siedział kasztelan miasta, Adam Brzostowski. Był to człowiek średniej postury z założoną na głowie białą peruką. Stanowcza mina i długa blizna ciągnąca się po lewym policzku utwierdzała Tadeusza w przekonaniu, że to człek męski o silnym charakterze.

- Kim pan jest? - zapytał kasztelan, spoglądając na postać niezbyt schludnie wyglądającego żołnierza.

Gość powstał i zasalutował.

- Przyszły chorąży Tadeusz Kościuszko, uczeń Szkoły Kadetów, poseł w służbie jego księżęcej mości wojewody Michała Ogińskiego - odrzekł z dumą.

Kasztelan uśmiechnął się szczerze.

- Dobrze więc, proszę, co cię do mnie sprowadza?

Tadeusz wyciągnął z zanadrza list i położył na biurku. Pan Brzostowski złamał pieczęć na wiadomości, a potem ją otworzył. Zabrał się do czytania. W połowie tekstu

kasztelan zbladł i wyglądał zupełnie jak ta karta, którą właśnie czytał. Po skończeniu obtarł chustą twarz i spojrzał na Tadeusza.

- Skąd to masz? - zapytał, jękając się. - Czy to na pewno list od wojewody?

- Tak, wasza miłość, od księcia Ogińskiego. Czy coś nie tak jest z tą wiadomością?
- odpowiedział nieco zdezorientowany Kościuszko.

Brzostowski podniósł się z krzesła i zamknął na zamek drzwi pokoju. Pochwyił pałasz i wodząc głownią po piersi chorążego, przyparł go do ściany.

- Są dwie możliwości - szepnął z gniewem w głosie. - Albo sfalszowałeś treść, albo zaszantażowałeś wojewodę. A więc, odpowiedz!

Kościuszko zawahał się przez chwilę, nie było jednak co walczyć, bądź odmawiać współpracy.

- Zgoda mości kasztelanie, jest to list podrobiony. Zrobiliśmy to ze względu na to, co działo się ostatnimi czasy w Rzeczypospolitej. Wojewoda nie wierzył w obecność tajemniczego bojara, a rzeczywiście on tutaj jest. Szykuje atak na miasteczko na pograniczu. Otworzyliśmy korespondencję księcia, a to, co tam wyczytaliśmy, złamało nam serca. Chcieliśmy, spostrzegłszy reakcję waszej miłości na treść podrobionego listu, wybadać, czy mamy do czynienia z wrogiem, czy przyjacielem - tu przerwał, wymownie wpatrując się w kasztelana. - Ty i on jesteście kolaborantami, sprzedawczykami, jak inni trzymacie się moskiewskiej kiesy! Wszystko robicie dla zysku! Nawet za cenę Ojczyzny... - to powiedziawszy, z gniewem odtrącił pałasz, pozostając przy ścianie.

Gotów był rozedrzeć mundur i nadstawić gołą pierś do pchnięcia. Brzostowski spojrzał na niego z żalem i politowaniem. Opuścił broń i odrzucił na podłogę. Oparł się dłonią o biurko i spojrzał na wzburzonego chorążego.

- Ty myślisz, że sprzedałem Ojczyznę? - rzekł z smutkiem w głosie, co wprowadziło Tadeusza w zakłopotanie - Oni mnie szantażują. Mają mnie pod ciągłym nadzorem...

- Kto? - wzburzył się Kościuszko - Caryca? Jej poplecznicy?

- Gorzej - wyszeptał pan Adam - Nikołaj Repnin.

Dreszcz przeszył Kościuszkę na wskroś.

- On stanowi większe zagrożenie niż Katarzyna?

Kasztelan pokiwał znacząco głową.

- On się usamodzielnia. Ma plan. Jego ludzie szantażują mnie, innych możnych w Polsce i na Litwie. Mam robić, co mi każe lub...

- Zabije pana?

- Odbierze majątek, zabije rodzinę, mnie wyśle na Sybir. To gorsze od śmierci.

- Jezusie Nazareński... Waszmość więc go słucha!?

- Nie mam wyboru. Podobnie jak i Ogiński. Tak jak inni, którzy po dobroci nie chcieli słuchać ambasadora. Są i tacy, którzy z własnej woli ślepo słuchają rozkazów tego drania.

- Czy Aleksy Nałęczycycki należy do ludzi Repnina?

Na dźwięk tego nazwiska kasztelan się skrzywił.

- To podłe bydle to nie burgrabia, a pies Repnina! Aleksy kontroluje każdy mój ruch. On dba, bym wypełniał wolę ambasadora. To jest syn jakiejś ruskiej ladacznicy!

- Gdzie teraz jest?

- Wrócił wzburzony do miasta mówiąc, że jakiś poseł wręczył mu fałszywy list i wywiódł go w pole. Dzisiaj rano ruszył na północ, do Rosji...

Taaak, był taki list - uśmiechnął się w duchu Tadeusz.

- Dzisiaj wyjechał ponownie, nie powiedział nikomu, gdzie ani kiedy powróci.

- Mamy czas naprawić wszystko. Zbierzcie wojsko kasztelanie, ruszcie z księciem Ogińskim, pozbadźcie się chociażby bojara!

- Jaaa, nie mogę... Zemsta Repnina będzie straszna.

- Rozumiem waszą miłość. A czy może pan udzielić jakiegokolwiek pomocy przeciw bojarowi?

- Nic nie jestem w stanie zrobić.

- A więc przyznaje pan, że wiedział o bojarze i jego zмовie z Repninem?

- Tak..., ale dość już, panie chorąży. Za dużo niepotrzebnych wieści tu padło, za

dużo niesprawiedliwych zarzutów przeciw mnie... Żegnam, ale proszę o dostarczenie właściwego listu. Potrzebuję go - powiedział pan Brzostowski, otwierając drzwi - Jeszcze się spotkamy, mam tylko nadzieję, że w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Mikołaj w dalszym ciągu oglądał paradę z dachów kamienic. Nie spieszyło mu się zbytnio, więc podziwiał maszerujące oddziały skrzydlatych jeźdźców i petyhorców. Wdzięk i elegancja towarzyszy usarskich cały czas zadziwiała pana Koszczasza. Czuł dumę z bycia rusińskim Żydem, mogącym szczycić się takim wspaniałym atrybutem Rzeczypospolitej. Orszak paradny powoli zbliżał się do bram miasta. Mikołaj zeskoczył więc z gmachu pracowni artystycznej na miejskie mury. Tam, uważając, by nie dostrzegł go żaden wartownik, przekradł się na dach wieży, skąd oglądał wyjazd husarski z Połocka. Minęła prawie godzina od rozdzielenia się przyjaciół. Mikołaj zaczął się niepokoić, gdyż ostatnie szeregi konnicy zniknęły za bramą miejską. Co prawda wiedział, że Tadeusz zamierza nakłonić husarzy do bitwy, lecz nie miał pojęcia, jak ich przekona. Nagle jednak dostrzegł sylwetkę chorążego, który skakał z dachu na dach w stronę bramy. Mikołaj pokazał się przyjacielowi, po czym zeskoczył na mur, a następnie przedostał się na ulicę. Gdy obaj panowie się spotkali, zabrali swe konie ze stajni i wyjechali w ślad za konduktem. Gdy husaria minęła pagórek za miastem, gdy żaden z gapiów nie spoglądał już w stronę uczestników parady, kawalerzyści zaczęli zrzucać z siebie ciężkie żelastwo. Chwilę po husarzach, na miejsce dotarli Mikołaj i Tadeusz. Byli zszokowani tym widokiem. Żołnierze nie wyglądali już jak dumni obrońcy Rzeczypospolitej, lecz jak najzwyklejsi... pozerzy! Tadeusz wyszukiwał wśród towarzyszy usarskich namiestnika roty. W końcu go dostrzegł. Jako jedyny pozostał w stanie z czasu parady, siedział na rumaku z opuszczonym nadziakiem, zapatrzony w północ. Jego lamparcia skóra powiewała na wietrze.

- Panie namiestniku! - zawołał Tadeusz.

Jeździec ni drgnął. Kościuszko i Mikołaj zeskoczyli z wierzchowców. Podeszli do komendanta, który był zapatrzony w granice Rzeczypospolitej.

- Panie namiestniku! - powtórzył Tadeusz, wpatrując się w husarza. - Wybacz, że przeszkadzamy, lecz sprowadza nas sprawa niecierpiąca zwłoki.

Komendant powoli zwrócił wzrok w stronę obcych.

- Czego waszmościowie sobie życzą - rzekł flegmatycznym tonem.

- Czemu waść taki osowiały? - zapytał Mikołaj.

- Tego chcieliście się dowiedzieć? - odpalił.

- Nie, proszę wybaczyć. Nazywam się Tadeusz Kościuszko, to mój przyjaciel

Mikołaj Koszczasz - skłonił się młody chorąży - Potrzebujemy waszej pomocy - rzekł prosto z mostu.

- Doprawdy? - zainteresował się, bądź zadrwił husarz. - A czego to panowie ode mnie oczekują?

- Nie tylko od pana, ale i od całej chorągwi. Potrzebujemy waszych szabel! - odparł Tadeusz.

- Słucham? - zdziwił się namiestnik - Szykujecie wojaczkę?

- W pewnym sensie, obronę przed najeźdźcą - rzekł Mikołaj, po czym opowiedział całą historię związaną z Żęhyniem i Guzunowem.

- Rozumiem was, waszmościowie, moja szabla jest do waszej dyspozycji, jeno nie wiem, co z resztą. Widzą panowie co tutaj wyczyniają, jaki jest ich stosunek do naszego dziedzictwa.

Tadeusz zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z tradycjonalistą. Poprosił go o zorganizowanie pewnego rodzaju apelu, na którym z Mikołajem mogli wykazać się jako demagogowie. Mikołaj stanął na niewielkim pniaku naprzeciw trójszeregu złożonego z pięćdziesięciu husarzy - połowy rzeczywistego składu chorągwi, tylu bowiem tylko w rzeczywistości było obecnych żołnierzy. Ci niechętnie stojący na baczność nie wykazywali żadnej żadnego zainteresowania ani, tym bardziej, nie byli skłonni do rozmowy. Dziwił ich widok dwóch obcych żołnierzy w brudnych i śmierdzących ubraniach. Zażenowany postawą żołdaków, Tadeusz rozpoczął swoją orację:

- Żołnierze Rzeczypospolitej! - zadudnił donośnym, wojskowym tonem Kościuszko - Stoję tu dziś przed wami, by prosić was o pomoc! Moskale nadchodzą, chcą sponiewierać miasteczko Żęhyn i jego mieszkańców, gdyż uważają je za swoją własność!

Husarze z Bożej łaski zaczęli szeptać między sobą.

- Zapewne słyszeliście o bojarze grasującym po lasach Białorusi. Wiedźcie, że to prawda, co o nim mówią i to ten sam bojarzyn chce zagarnąć tę ościenną mięścinę! Na tym nie poprzestanie! Przybyłem tu do was, gdyż miałem nadzieję uzyskać pomoc walecznej i wręcz niepokonanej husarii, dotychczasowej dumy naszego Narodu. Ale to, co widziałem w mieście, nijak ma się do tego, co przede mną stoi...!

Psychologiczny zabieg Tadeusza mający na celu wywołanie zażenowania, skruchy, wzruszenia i poczucia godności przyniósł pożądaný efekt. Pierwej niektórzy uczyli się oburzeni wystąpieniem obcego, teraz jednak zaczęli pojmować sens tych słów.

- ...Czy dość już macie nazywania was wojskiem pogrzebowym? Zostawcie kapłanom namaszczenia i ceremoniał, wy nieście zgubę wrogowi na polu bitwy!

Starsi husarze z uśmiechem potakiwali słowom Kościuszki. Pierwsi wyciągnęli szable i skierowali je ku niebu. Z czasem las ostrzy rósł z siłą, wkrótce pięćdziesiąt główni połyskiwało w promieniach słońca.

- Niech żyje wolna Rzeczpospolita! - zawołał namiestnik.

- Niech żyje wolna Rzeczpospolita!!! - wtórowało kilkadziesiąt gardzieli.

Praca wre. Wały są wciąż budowane, okopy i wilcze jamy przygotowane, broń naprawiana. Ludzie w dalszym ciągu uczyli się walki wręcz i strzelania, choć ćwiczenia odbywały się przy użyciu kijów. Rozpoczął się kluczowy etap przygotowań, w którym to trzeba było zadbać o żywność i schron dla kobiet i dzieci oraz, rzecz jasna, o wzmocnienie konstrukcji. Miasteczko zostało otoczone wałem od strony strażnicy. Całe szczęście, że od zachodu miasteczko odgródzone było dużym jeziorem, od wschodu zaś gęstym lasem. Nie byłoby możliwości otoczyć całej osady wałem. Jedynie od „czoła” Żęhynia mógł nastąpić szturm. Kilkudziesięciometrowy odcinek kamiennego murku został zasypany ziemią i gałęziami. Teraz należało obłożyć nasyp drewnianymi belami.

W miejscowym spichlerzu gromadzono żywność. Nie było wiadomo, czy Guzunow weźmie ich od razu, czy też odczeka, aż głód zabije żęhynian od wewnątrz. Przez cały czas gromadzono mąkę, suszono i wędzono mięso, chowano wszelkie piwo i wino, zamykano w beczkach wodę. Trzeba było się liczyć z tym, że niedługo spadną pierwsze śniegi. Po powrocie Pawła mróz się nasilił, zimne powiewy i szron zwiastowały nadejście zimy. A skoro bojar obiecał wówczas wizytę, to trzeba by mu zgotować huczne powitanie! Wszyscy mężczyźni ze starostwa, zdolni do noszenia broni, uczeni komend i powinności muszkietera, brali do ręki broń ułanów i ćwiczyli „suche” strzały. Niestety i tak brakowało broni. Spodziewając się w przeciągu kilku dni pierwszych śniegów, a co za tym idzie, nadejścia bojara, pan Zatopocki zorganizował „przeгляд” „wojska”. Sytuacja była fatalna. W ciągu dwóch dni nie da się nauczyć kogokolwiek czegokolwiek. Dość, że ci ludzie umieją strzelić, ale to też nie wszyscy, bo nie każdy miał możliwość zapoznać się z prawdziwą flintą. Na składzie miasta było pięć beczek prochu strzelniczego, więc nie należało obawiać się jego przedwczesnego zużycia.

Na podwórzu przed rezydencją Koszczaszów w kilku szeregach stanęło siedemdziesięciu pięciu chłopów. Janusz dawał im wskazówki i pouczał, jak przeładować karabin. Nie miał szans nauczyć czegokolwiek o posługiwaniu się prawdziwą szablą. Obrazowi nędzy i rozpacz przyglądał się starosta z małżonką, przyszłą synową i panem Taszczyńskim, którzy przyglądali się popisowi z balkonu. Lustracja przebiegała zgodnie z planem. Jedynie przybyły z zamku posłaniec przerwał widowisko, ale za to doręczył staroście akt własności zamku oraz przyległych ziem i terenów. Dokumenty znajdowały

się głęboko ukryte w piwnicy twierdzy. Aleksander nie przypuszczał, że bojar będzie szukał akt w ruinach nieużytkowanego zamczyska. Teraz schował wszystkie wartościowe papiery pod swoje łóżko.

Do obrońców przyłączyła się służba ze dworu: kilku myśliwych, kamerdynerów i robotników. Kiedy obrońcy przyglądali się, bo uczyli to za dużo powiedziane, jak usuwać kulę przy nieudanym strzale, na podwórze wjechał zdyszany wachmistrz. Zeskoczył z konia i złapawszy oddech, krzyknął do Pawła.

- Panie poruczniku! Słyszeliśmy trębacza, nadciągają jacyś ludzie! - zawołał.

- Ludzie zaczęli mówić między sobą. Paweł się zaniepokoił, lecz starosta i pan Zatopocki pozostali spokojni.

- To na pewno nie bojar, przecież nawet jemu została krztyna honoru. Nie przybędzie przed czasem.

- Może to Mikołaj! - zawołała z nadzieją w głosie Karolina.

- Trzeba by to sprawdzić! - rzekł Paweł, opuszczając taras - Szykować konia! - zawołał z wnętrza budynku.

Chwilę później on, pan Piekarski, Zatopocki i rodzina Koszczaszów zmierzali ku bramie miejskiej. Ranny starosta musiał być przewieziony na furmance, rana bowiem nie dawała mu możliwości dosiadanania konia. Wokół wejścia zebrała się moc kobiet i dzieci. Na wale nadchodzących wojsk wyglądali ułani. Za dużo nie można było dostrzec bowiem zachodziło słońce i już się ściemniało. Słysząc było jednak wyraźnie nadchodzących żołnierzy. Góra pięćdziesięciu. Paweł wyteżył wzrok. Zauważył sylwetkę jeźdźca. Miał jednak coś dziwnego za plecami. Coś jakby... pióra! Tak, to były pióra! Zgromadzeni rozpoznali w tym jeźdźcu husarza, dzięki ciemnemu skrzydłu widocznemu na tle zachodzącego słońca. Za nim ciągnęła kolumna piechoty z karabinami założonymi na ramionach. Cienkie jak igły bagnety tworzyły jakoby jeżozwierza. Żęhynianie zachowywali jednak czujność do czasu, aż oddział stanął pod murami miasta, albowiem swego czasu husaria występowała również i w Rosji. Gdy było już wiadomo, że nie jest to Guzunow z oddziałem, brama rozwarła się przed gośćmi. Naprzód starosta, Janusz i Paweł wyszli na spotkanie przed bramę. Husarz nie raczył jednak zsiąść z konia.

- Witajże waszmość - zawołał Koszczasz - Rad jestem widzieć tutaj legendarnego żołnierza, jak również jego liczny poczet - tu zwrócił się w stronę piechurów.

- Niech mi waść powie, co tutaj robi? - zapytał Taszczyński.

- Przybyliśmy tu na pomoc temu zacnemu miasteczku, gdyż doszły nas słuchy

o niebezpieczeństwie na granicy.

- Dzięki ci panie - skłonił się Paweł z resztą delegatów - Ale racz sam zaszczyścić swym imieniem, byśmy mogli je wspominać przez wieki!

- O, znacie mnie panie poruczniku! - rzekł husarz - Co więcej, uratowaliście mi życie. Mnie - skromnemu szlachcicowi. Jak mógłbym was nie wspomóc, skoro walczyacie teraz o wolność dla naszego Narodu? Przecież to mój szlachecki honor i obowiązek iść na ratunek Ojczyźnie! - powiedział, zdejmując szyszak - Jestem na wasze rozkazy mości Taszczyński! - powiedział pan Zaremba.

Oddział odsieczowy pana Wojciecha został powitany z otwartymi ramionami. Ludzie skwitowali przybyłych żołnierzy jako tych, którzy mogli naprawdę odmienić los bitwy, zwłaszcza, że nie była to zwykła „hałastra” tak jak tutejsi chłopci uzbrojeni w kosy i szable. Tych trzydziestu piechurów mogłoby spokojnie rozgromić wszystkich zebranych obrońców. Przeszli gruntowne szkolenie pod okiem najsławniejszych pułkowników w Rzeczypospolitej, byli zdyscyplinowani i świadomi losu żołnierza. Posiadali najnowocześniejszy sprzęt wojenny i eleganckie mundury. Szkolona wedle wzorców francuskich, ta garstka żołdaków знаła różne manewry, typy pozycji i taktyki. Pole bitwy było ich żywiołem. Przy zgromadzonych w Żęhyniu ludziach Zaremby pospolite ruszenie ze starostwa wyglądało jak mięso armatnie.

Po serdecznym powitaniu pan Wojciech skierował się ze starostą i Pawłem do gmachu Koszczasza. Usiadłszy wygodnie na sofie, pan Zaremba od razu przeszedł do konkretów.

- Słyszałem o zbliżającej się bitwie, dlatego przybyłem najszybciej jak się da. Kiedy można spodziewać się wroga i jaki macie plan? - zaczął prosto z mostu

Zgromadzeni opowiedzieli szlachcicowi o „obietnicy” bojara oraz o wznoszonych fortyfikacjach i pułapkach na Rosjan. Mieli zamiar ostrzeliwać nieprzyjaciół z murów i okopów, a w ostatecznej fazie bitwy, zaatakować przy użyciu ułanów. Na wypadek ataku konnicy wybudowali wilcze jamy najeżone od środka palami z drewna. Oprócz informacji na temat obwarowań, Paweł i Janusz zapoznali przyjaciela z najnowszymi wieściami na temat tajnej rosyjskiej organizacji oraz jej udziale w życiu Żęhynian poprzez Michała, Fiodora i Nikitę Guzunowych.

Usłyszawszy to wszystko, pan Zaremba ponownie zabrał głos:

- Plan jest dobry, ale wróg będzie miał zdecydowaną przewagę liczebną. Mogą przecie zająć nasze pozycje od tyłu.

- Nie ma możliwości, aby większe siły przedostały się przez ten grząski i zalesiony

teren. Bojar na pewno skupi się na wyważeniu głównej bramy.

- Pozwólcie zatem, by moi ludzie zajęli pozycje w okopach. Tam będą długo bronili wejścia i uniemożliwią rozstawienie drabin. Czy macie jakieś wsparcie z zewnątrz?

Nastało głucho milczenie.

- Wysłaliśmy dwóch posłów do Połocka, do wojewody, ale nie wrócili - rzekł w końcu Paweł.

- Najeżyli trakty patrolami, by nikt nie zawiadomił wojewody - zwrócił się do Wojciecha pan Zatopocki - Musimy się liczyć z tym, że mogli nie przeżyć - ściszył głos Janusz.

Na niewiele się to zdało, gdyż Karolina od razu zalała się gorzkimi łzami. Gdy pani Koszczasz wyprowadziła ją z pomieszczenia, kontynuowano naradę wojenną. Paweł zgromił przyjaciela spojrzeniem.

- Co jeśli przyprowadzą armaty? - zapytał Zaremba.

- Miejmy nadzieję, że ich nie wezmą. W przeciwnym razie bylibyśmy skazani na klęskę - zauważył pan Zatopocki.

- Nie chcę was straszyć, mości panowie - powiedział smętnie pan Zaremba - Ale nasze położenie jest fatalne. Z tego, co mi mówiliście, Guzunow należy do Lejb - Gwardyjskiego Pułku Huzarów. Zasadniczo mógłby przybyć tu ze wszystkimi przyjaciółmi.

- To wiemy. Proszę więc wszystkich tu zebranych, aby nie dzielić się takimi informacjami z żołnierzami. Zwłaszcza, że zbliża się bitwa.

Panowie skinęli głowami. Opuścili salon. Gdy Pani Koszczasz przygotowała dla Wojciecha sypialnię, on i reszta towarzystwa zapadła w błogi sen. Żołnierze szlachcica zajęli się jednak tłumaczeniem podstaw walki. Każdego piechura słuchało dwóch lub trzech chłopów. Do północy. Później infanteria wspomogła kowala.

Noc minęła spokojnie. Wszyscy we dworze wyspali się nader dobrze. Paweł niechętnie otworzył oczy, chciałby jeszcze pospać, lecz promienie słońca padały mu prosto na twarz przez odstępy między firankami. Przeciągnął się i wstał z łóżka. Wówczas zauważył, że w pokoju jest bardzo zimno. Podeszedł więc do okna i rozsunął zasłony, by sprawdzić, czy było ono domknięte. Gdy spojrzął na las ciarki przeszły mu po plecach. Na dworze bowiem prószył śnieg! Paweł ubrał się szybko, obmył ręce i twarz i biegiem udał się do salonu, gdzie czekali już wszyscy inni. Twarze mieli ponure, jednak rysowały

się na nich duma, nadzieja i odwaga. Nikt nic nie powiedział dopóty, dopóki nie odezwał się sam starosta.

- Dotarcie do miasta zajmie mu niecały dzień, o ile nie czekał już z wojskiem na granicy. W tym drugim przypadku nadejdzie tutaj około godziny trzeciej.

- Nie ma więc na co czekać! - rzekł ostentacyjnie pan Zaremba - Rozdzielmy zatem obowiązki i uformujmy oddziały.

To powiedziawszy, Paweł, Wojciech, Janusz i wachmistrz Piekarski opuścili gmach starosty i ruszyli pod mury. Tam zastali krzątających się mężów, którzy zobaczywszy białe płatki zwiastujące bitwę, ładowali broń, rozdzielali proch i formowali oddziały. Gdy naczelni wodzowie wjechali na główny plac, w kilku szeregach stanęło na baczność ponad stu ludzi. Pan Zatopocki się wzruszył, widząc tylu zdolnych do największego poświęcenia. Nie łatwo jest oddać życie za ojczyznę, dom, rodzinę... Nastąpiła długa chwila milczenia. Przerwał go pewien huk. Zgromadzeni zwrócili wzrok w stronę wału, zza którego dobiegł niepokojący dźwięk. Dało się słyszeć kolejny wystrzał, tym razem donośniejszy. Z każdą chwilą liczba wystrzałów się zwiększała. Wszyscy udali się na mur. Ułan podał Pawłowi lunetę, przez którą spojrział w stronę horyzontu. Dostrzegł kolumnę jeźdźców, jednak nie rozpoznał nic więcej, gdyż promienie słoneczne odbijały się od lśniących zbroi, oślepiając Pawła. Gdy kolumna kawalerzystów zbliżyła się nieco do miasta, ujrzeli orszak husarzy dumnie kroczący ku bramie miejskiej. Mężczyźni na wale patrzyli na ten widok w osłupieniu. Przed miastem stanęło pół chorągwi doborowej jazdy Rzeczypospolitej. Kolumna rozstała się przed dwoma, jadącymi na tyłach jeźdźcami. Nie byli to jednak skrzydlaci. Byli to Tadeusz i Mikołaj! Uradowany na ich widok pan Zatopocki począł płakać i śmiać się zarazem jak dziecko. Wszyscy mieszkańcy i ułani wiwatowali na ich cześć, podzucając nakrycia głowy, kiedy dumnie wjechali do miasta. Gdy tylko przekroczyli bramy, zsiadli z koni i przywitali się z przyjaciółmi. Paweł przyjacielsko objął Tadeusza, a pan Zatopocki gratulował Mikołajowi. Po hucznym powitaniu całe wojsko Żęhynia ruszyło do gmachu starosty zrobić Koszczaszom bardzo miła niespodziankę.

Z pieśnią na ustach ruszono przez las. Długa kolumna najrozmaitszego żołnierza szła za powracającym w chwale Mikołajem. Gdy wojskowi zbliżyli się do gmachu, Koszczaszowie i służba wyjrzeni przez balkon. Ku ich zdziwieniu, przed drzwiami tłoczyło się prawie dwustu zbrojnych pragnących złożyć śluby przed starostą i Bogiem. Nagle wśród licznych głów Karolina dojrzała narzeczonego. Początkowo oniemiała, popędziła po schodach na podwórze. Matce Mikołaja zakręciła się w oku łza. Objęła stojącą obok niej służkę i poczęły dziękować za Boskie wstawiennictwo. Ojciec uśmiechnął się do syna i dał znak głową, co wedle Aleksandra znaczyło największą pochwałę, jaką ojciec mógł nagrodzić syna. Mikołaj odwzajemnił uśmiech i chwycił w objęcia biegnącą narzeczoną. Wszystkie troski minęły, byli nareszcie razem! Przytulił swoją miłość do piersi i pocałował. Świadomość tego, że gdzieś, choćby na krańcu świata,

znajduje się osoba, która myślami i sercem jest zawsze przy tobie, napawać mogła wielką radością... Paweł znów poczuł się bardzo samotny.

Nadszedł jednak czas na sprawy wymagające największej powagi i skupienia. Oto właśnie tłoczący się ludzie stanęli na baczność w swoich oddziałach, a na przód wystąpili dowódcy. Pierwszy przemówił pan Wojciech Zaremba.

- Mości Aleksandrze Koszczaszu, panie tego miasta i starosto tych ziem, włodarzu zamku Żęhyń, przyjmij mnie i mych ludzi na służbę, byśmy mogli wywiązać się z obietnicy danej panu Taszczyńskiemu i bronić Ojczyzny oraz jej wszystkich mieszkańców. Nikt bezkarnie nie najedzie Rzeczypospolitej. Tak mi dopomóż Bóg! - powiedział, przykładając dłoń do piersi

Dalej wystąpił namiestnik husarski.

- Za Ojczyznę i mieszkańców. Przysięgamy nie dopuścić żadnego Moskala do tej bramy! Tak mi dopomóż Bóg! - schylił głowę.

Na koniec wystąpili Paweł, Janusz i Tadeusz.

- Przysięgamy na Boga żywego, że nie opuścimy was w potrzebie. Będziemy trwać na pozycjach, aż śmierć we własnej osobie po nas nie przybędzie, a gdy przyjdzie, przyjmujemy ją ochoczo!

Aleksander wysłuchał wszystkich, nie powiedział jednak ani jednego słowa. Spojrzał tylko uważnie na zgromadzonych mężów. Swoisty kampament składający się z husarii, ułanów, infanterii oraz milicji robił nieodparte wrażenie.

- Biada niech będzie temu, kto się nam, rycerzom Rzeczypospolitej przeciwstawi!
- krzyknął donośnym głosem, a za nim wszyscy zaprzysiężeni.

Rozdział piąty: Stowarzyszenie upadłych patriotów

Kanclerz Nikita Panin siedział w swoim biurze w Sankt Petersburgu, bębniąc palcami w blat stołu i spoglądając na rozlewające się wody Newy. Pomimo dużej odległości od portu i zamkniętego szczelnie okna, smród martwych ryb docierał aż do nozdrzy Panina. Zdawał się jednak nie zwracać na niego uwagi. Natarczywie świdrował wzrokiem drzwi, czekając, aż klamka opadnie. Wybiła godzina czwarta po południu, dnia piątego grudnia *anno* 1766. Gdy zegar zatykał po raz ostatni, drzwi otworzyły się i wpadł do pokoju Nikołaj Repnin. Panin bez słowa wskazał ambasadorowi miejsce.

- Jakie wieści z Rzeczypospolitej przynosisz? - zapytał kanclerz.

- Ta przeklęta szlachta wystrychnęła mnie na dudka! - Repnin uderzył pięścią w stół.

- To już wiem od samej Katarzyny - odparł spokojnie Nikita - Powiedz mi coś więcej.

Repnin nieco się uspokoił i zabrał się do opowieści:

- Zgodnie z rozkazami carycy zasugerowałem projekt równouprawnienia innowierców, co, rzecz jasna, zaowocowało otwartym sprzeciwem. Mimo to ci sascy zwolennicy zawarli ze mną na tym sejmie przymierze, dążyliśmy bowiem do cofnięcia reform. Łudziłem ich detronizacją, więc ochoczo do mnie przystali, a na dysydentów przymknęli oczy. Mamiłem ich, że dysydenci to jedynie straszak na króla. Rozwiązano konfederację Familii, pozbyliśmy się kilku niewygodnych konstytucji, lecz niewielu. Niby udało się wyłączyć spod zasady decydowania większością głosów sprawy powiększania starych i uchwalania nowych podatków, ale z drugiej strony wprowadzono tę zasadę na wszystkich sejmikach w województwach koronnych. Podobnie ze sprawą dysydentów. Tylko kilka mało znaczących postulatów zostało zrealizowanych. Myślałem, że uda się wszystko za jednym sejmem! A jakby tego było mało, Czartoryscy i Poniatowski także nie poparli sprawy różnowierców. Król nie zgodził się, mimo iż kuśiłem go likwidacją *liberum veto*. Twierdził, że jest samodzielnym władcą, a że i tak traci sprzymierzeńców, musiał się sprzeciwić temu projektowi. A sądził, że caryca i ja pomożemy mu umocnić się na tronie. Lackie ścierwa... Wszyscy tacy chytry! Wyszło na to, że każdy uczestnik tego sejmiku wykorzystał mnie jak tanią dziwkę!

- Cóż za ironia... - mruknął Panin - Role się odwróciły, sam chciałeś ich wykorzystać. Mówisz, że Familia odmówiła? Zbyt wiele daliśmy jej swobody. Napiszę list upominający. Jeżeli nie przystaną na nasze żądania, zagrozę im okupacją. Teraz siadź

ze mną - wskazał miejsce rozjuszonemu ambasadorowi - Najważniejsze, że król jest osamotniony. Jego wujowie go opuścili. Teraz napijemy się herbaty i zadecydujemy, co czynić dalej.

Pogoda była potworna. Duże płatki śniegu i ciężkie krople deszczu spadały z pluskiem do znajdujących się niemal wszędzie kałuż. Trakt był cały w błocie i topiącym się śniegu. Nie sposób było w nim przejechać jakimkolwiek wozem. Wodnista breja napływała do bocznych rowów, mimo to droga znajdowała się w wielu miejscach pod wodą. Do tego dął porywisty, mroźny wiatr i trwał nieustający deszcz. Idealna noc na podróż!

Co jakiś czas opady stawały się nieco rzadsze, poprawiając widoczność. Tylko dzięki temu można było przedostać się w jakiś sposób przez nieokiełznane puszcze moskiewskie. Księżyc był prawie w całości przysłonięty granatowymi obłokami, gwiazd nie sposób było dojrzeć, a to nie sprzyjało podróży. Strudzeni jeźdźcy brnęli do przodu na oślep. Jako że orszak podążał na północ Imperium, a podróżowali slalomem po błotnistej ścieżce, potrzebowali mieć nad sobą Wielką Niedźwiedzicę. W razie zboczenia z drogi głównej stanowiłaby punkt orientacyjny, tyle że ciemne obłoki prawie w całości przysłaniały nocne niebo. Pomimo tych uciążliwych warunków pogodowych drużyna złożona z czterech jeźdźców sunęła dalej. Pierwszych dwóch jeźdźców podążało gęsiego, dwaj pozostali tworzyli tylną straż. Około jedenastej w nocy dwunastego grudnia orszak dotarł do rozwidlenia dróg. W tej bezkresnej ciemności nie było mowy nawet o odczytaniu napisu na drogowskazie. Kawalerzysta zeskoczył z konia i podszedł do znaku. Cały był obsypany śniegiem. Przejechał dłonią po drewnianej tabliczce, odrywając litery cyrylicy. Prawa droga wiodła do Petersburga, trakt na lewo - do Pskowa. Poczёт ruszył na zachód. Niestety, im dalej się posuwali, tym konie bardziej grzęzły w mule i śniegu na drodze. Z trudem przedzierały się przez wyznaczony gościniec. Po upływie kwadransa, ujrzeli w oddali emanujące od świateł domostw, zarysy Pskowa. Choć żołądek i podświadomość prowadziły podróżnych w stronę miasta, skręcili oni w boczną ścieżkę. Tutaj zaczęły się komplikacje. Konie obciążone masą jeźdźców i spowolnione przez morze błota nie mogły iść dalej. Przemoczeni podróżni musieli zeskoczyć w szlam i prowadzić odporne, zmęczone zwierzęta przez las. Mułu, śniegu i wody było na tyle dużo, że breja nalała się do, sięgających ponad kolana, cholew butów. Miejscami wpadali w wezbrane kałuże tak, że woda sięgała im po kolana. W końcu znaleźli się na skraju puszczy i ujrzeli przed sobą wielkie Jezioro Pskowskie. Śnieżyca ustała. Księżyc wyjrzał zza chmur. Jego poświata rozlewała się po zamarzającej wodnej toni. Światło odbijające się od wody oświetlało pobliskie tereny, w tym niewielką wioskę rybacką usytuowaną na małym półwyspie. Kompani dosiedli koni i ruszyli błotnistą drogą po zaśnieżonym wrzosowisku w stronę miejsciny. Otoczona była drewnianym wałem. Dwóch wartowników odzianych w zimowe mundury stało na wieży nad bramą wjazdową. Z karabinami na plecach zataczali koło na wartowni. Bez słowa przepuścili podróżnych. Na ulicy nie zastali prawie nikogo. Wszyscy rybacy pochowali się w swoich domach i karczmie. Kilka kobiet zaganiało do chałup bawiące się na śniegu dzieci. Jeźdźcy ruszyli

tonącymi w błocie ulicami w kierunku dużego kamiennego budynku pokrytego strzechą, z nad którego unosiła się ledwie dostrzegalna smużka dymu. Na głównym bulwarze biegało kilka świni i ryło w poszukiwaniu resztek. Dalej na nadbrzeżu łódzie rybackie i tratwy kołysały się na falach przypięte linami do rozpadającego się mola, spowitego próchnicą i nadbrzeżnym zielskiem. Pod drewnianymi belami, z topiących się lodowych stalaktytów, skapywały kropelki wody.

Przed zajazdem podróżni przywiązali konie do pali, a następnie wkroczyli do tawerny. Ciepło biło od kominka, w którym trzaskając, tańcował czerwono - pomarańczowy ogień. Wnętrze było dość ubogo zagospodarowane. Kilkanaście stolików i po trzykroć więcej siedzeń, obecnie zajętych przez karczemnych gości. Podłoga z drewnianych desek posiadała liczne dziury i pęknięcia. Ugięła się i trzeszczała pod zaśnieżonymi buciorami podróżnych. Nagle ucichły śmiechy i wszelkie rozmowy. Wszyscy zgromadzeni w karczmie gniewnym wzrokiem spojrzeli na przybyszy. Kompani jednak zbyt wiele sobie z tego nie zrobili. Dwaj z kapturami zasłaniającymi im twarze oraz pozostali z kapeluszami i wysokimi kołnierzami, podeszli do lady szynkarza. Zza kontuaru powitał ich na w pół łysy, brodaty Moskał. Pomimo śledzącego spojrzenia tłumu, dowódca poczty przeszedł do rzeczy.

- My do pana Nikołaja - odpalił z grubej rury. - Zaprowadź nas do niego - rzekł zdecydowanym tonem przybysz.

Karczmarz spokojnie czyścił kufel po trunku. Odstawił go powoli na półkę i oparł się o blat. Nachylił się do przybysza.

- Pierwsze drzwi na lewo - rzekł ściszym głosem, zabierając się do kolejnego naczynia. Splunąwszy na nie, otarł ślinę poszarzałą chustą.

Mężczyzna skinął głową i ruszył we wskazane miejsce. Otworzył drzwi i z towarzyszami wszedł do wnętrza pokoju. Gdy zamknęli je za sobą, rumor i zgiełk karczemny na nowo zawitał w oberży. Mieszkańcy wsi byli sceptycznie nastawieni do przybyszów, których dość dużo ostatnio znalazło się w ich wiosce.

Pokój był kompletnie pusty. Nic godnego uwagi, oprócz dwóch beczek moskiewskiego browaru. W górnych narożnikach pomieszczenia znajdowało się mnóstwo pajęczyn. Przez malutkie okienko przybysze spostrzegli narastającą śnieżycę.

Drewniana podłoga była mocno zakurzona. Nie zdziwiło to jednak kompanów. Dowódca obszedł izbę, stukając butem o deski. W końcu natrafił na charakterystyczny dźwięk kłapy. Przykucnął i otarł kurz z podejrzanego miejsca. Znalazł klamkę i pociągnął ją do góry. Dojrzał prowadzące do piwnicy schody i podziemny, ziemisty korytarz. Wraz z towarzyszami ruszył do piwnicy. Tunel nie był długi. Oświetlony dwoma pochodniami, długi na parę metrów, ciasny na półtora metra, prowadził do kolejnych drzwi. Po chwili

przybysze zastukali do wejścia. Na wysokości oczu rozsunęła się klapka i wyrzał zza niej pewien jegomość, a właściwie jego piwne oczy i opryszczony nochal.

- Kto tam? - zapytał opryskliwie.

- Aleksey Nałęczycycki! Otwieraj natychmiast - odezwał się przybysz, ściągając przemoczony kaptur.

Stare, drewniane drzwi otwały się ze skrzypem. Kurz i opilki drewna posypały się na podłogę. Aleksey i jego ochroniarz wkroczyli do ciasnej sali, dwaj pozostali czuwali przy drzwiach po stronie korytarza. Nad tajnym pokojem znajdowała się sala karczemna, słychać było wyraźnie pijanych marynarzy i rybaków, przez szpary między deskami przedostawały się nikłe ilości światła, które oświetlały unoszący się w podziemiu kurz. Mimo to pan burgrabia dostrzegł siedzących za stałem jegomościów. Zdjął z siebie przemoczony płaszcz i podał go towarzyszowi. Ten sam zdjął swoje nakrycie i razem z odzieniem Nałęczycyckiego powiesił na sąsiednim wieszaku. Był to nie kto inny jak garbaty odźwierny z rezydencji kasztelana. Na jednej ze ścian widniała duża stalowa tarcza z namalowanymi: węgielnicą oraz cyrklem, a wewnątrz tych przyrządów - systemem budynków Kremla, symbolizujących Świątynię Salomona[5] oraz wschodzącym słońcem[6] ponad złotymi kopułami siedziby moskiewskich carów.

Obaj panowie zajęli miejsca. Na drugim końcu stołu pewien osobnik zapalił świecę. Był to ubrany w czarny kontusz, brodaty mężczyzna. Odziana w zielony żakiet postać ustawiła go na środku spróchniałego stołu. Osoba tą był Nikołaj Repnin - człowiek średniego wzrostu, którego głowę zdobił biały, nieco za duży tupecik. Tajemniczy uśmiezek i złowieszczy wyraz twarzy kreowały go na postać przebiegłą i chytrą. Wsparł się dłońmi o stół i wskazał miejsce przybyłym członkom Towarzystwa. Światło świecy oświetliło również twarze i sylwetki pozostałych zebranych. Po obu stronach pana Nałęczycyckiego spoczywali na siedzeniach przedstawiciele tajnego zgromadzenia. Byli wśród nich Piotr Swierdłow, Borys Molecyjicz, Władimir Zajtcew, Michaił Jurowski, ataman Kryemko oraz bojar Nikita Guzunow. Słudzy burgrabiego: odźwierny i zabójca stali w kątach z założonymi rękoma. Wszyscy wpatrywali się w posła carycy. Jako przywódca tego zgromadzenia miał otworzyć je specjalną formułą. W końcu Repnin podniósł się z krzesła. Przyłożył dłoń do piersi i pochylił głowę. Pozostali poszli w jego ślady.

- Niechaj prowadzi nas wszystkich wiara i miłość do naszej ojcowizny, a prześwietni Rurykowicze mają wgląd w nasze starania - rzekł, a następnie zgromadzeni powtórzyli chórem jego słowa.

Gdy Nikołaj spoczął na siedzeniu, członkowie spotkania również zajęli miejsca. Rozpoczęły się obrady.

- Drodzy przyjaciele - zaczął poseł - Został obmyślony nowy plan mający podporządkować Rzeczpospolitą naszemu Imperium. Jest on wielce skomplikowany, jego realizacja zajmie co najmniej rok. Caryca wyznaczyła mnie i naszego sojusznika Nikitę Panina do opracowania planu mającego na celu uczynienie z Rzeczypospolitej protektoratu. Mam znaleźć kogoś, kto poprosi carycę o traktat gwarancyjny. Gdy nam się to uda i te tereny staną się własnością Matki Rosji.

- Co takiego nakazała ci zrobić? - zapytał Michaił Jurowski.

- Mam wywołać zamęt w ich kraju. Nie powinno być to trudne... Po części już to zrobiłem, gdyż na ich sejmie nakłoniłem innowierców, aby rościli pretensje w związku z niepełnymi prawami politycznymi. Teraz wystarczy dać im nieco pieniędzy na wszczenie konfederacji. Jako, że Poniatowski sprzyja po trosze dysydemtom, w kraju wybuchnie zamęt. To będzie doskonały moment na uderzenie. Zwrócę się za pośrednictwem kilku moich klientów do nowych „przyjaciół” - zaakcentował ostatnie słowo - Republikanci chętnie dopomogą w walce z królem i tłumieniem dysydemtów.

- Sprytne posunięcie, jak na Katarzynę - zauważył Swierdłow - Najlepiej niech Polacy i Litwini sami się wykończą, wtedy zaatakuje caryca - stwierdził - Oni zawsze woleli walczyć między sobą.

- Jakże to chytre - skwitował Molecyjicz.

- To był pomysł Panina. Caryca jedynie wydała nam polecenie.

- W związku z tym moje działania rozpoczną się w marcu następnego roku - oznajmił Repnin - Chcę, byście panowie byli w gotowości. Wasze wojska, kontakty i wpływy w Rzeczypospolitej i Rosji mogą okazać mi się bardzo pomocne. Wczekujcie dalszych instrukcji.

- A co jeżeli się nie uda? - zapytał Zajtcew - Polacy przejrzą na oczy i wybuchnie wojna!

- Dlatego też w razie niepowodzenia moich rozkazów wczekuje czterdziestotysięczna armia od Katarzyny - powiedział Nikołaj - Cała skupiona w moich rękach.

- Co planujesz, gdy już caryca podporządkuje sobie Rzeczpospolitą? - zapytał Jurowski.

- Wiem tyle, że będziemy dążyć do reorganizacji naszego kraju. Gdy to się uda, przywrócony zostanie ład i porządek w Imperium, a waszmościowie dostąpią najwyższych zaszczytów.

- Powiedz więcej o poczynaniach z Rzeczpospolitą - prosił Jurowski.

- Niedługo tam ruszam. Jeszcze raz poprę prawosławnych i protestantów, przy czym namówię ich do zawiązania konfederacji. Gdy do tego dojdzie, na czele katolików ruszę „tłumić rebelię” i obiecuję zdetronizować Poniatowskiego. Gdy cała szlachta zbierze się w jednym miejscu, będę miał ich w garści.

- Jak ty w ogóle zamierzasz zebrać katolików, skoro wiedzą oni, że to ty podburzyłeś innowierców? - pytał ataman Kryemko.

- Nie zrobię tego osobiście, panowie - uśmiechnął się złowieszczo Repnin - Mówiłem, wykorzystam do tego sterroryzowanych przeze mnie szlachciców i pewnego magnata skazanego dotychczas na banicję. Poza tym wybaczą mi, o ile przyobiecuję im detronizację. To jest dla republikantów priorytet. Bądźcie pewni przyjaciele, że wszystko pójdzie po naszej myśli.

Repnin wyciągnął z kieszeni surduta monetę, którą pokazał zgromadzonym i zaczął obracać między palcami.

- Zapamiętajcie panowie - powiedział, wpatrując się z błyskotką - Dzięki temu można osiągnąć cele będące poza zasięgiem, wkupić się w łaskę osób nieprzychylnych, zdobyć przyjaciół, którzy mimo to uznawali cię dotychczas za wroga. Podstawowa rządzi człowieka, na której opierają się imperia. Za garść czerwonońców można kupić nawet życie...

Około drugiej w nocy obrady dobiegły końca. O tej porze, jak umówione było z wtajemniczonym w sprawy Towarzystwa karczmarzem, z oberży wyproszono wszystkich gości. Gdy pijani klienci opuścili gospodę i pozamykali się w swoich domach, wszyscy członkowie Towarzystwa wyszli z karczmy. Kiedy znaleźli się na werandzie, Repnin podał karczmarzowi miseczek pełen złotych rubli. Rosjanin otworzył go i wyciągnął jedną, błyszczącą monetę. Skłonił się bez słowa Nikołajowi i zamknął na klucz swój przybytek. Skrycie zacisnął monetę między zębami i udał się do domu. Pocztowi Jurowskiego i Swierdłowa dotychczas stacjonujący poza miastem, o omówionej porze podstawili rumaki dla swoich panów. Podobnie z pozostałymi. Pożegnawszy się, ruszyli w swoją drogę. Śnieg zaczął ponownie prószyć. Guzunow stanął na molo i wpatrywał się w olbrzymie jezioro, gdy po chwili podszedł do niego pan Nałęczycycki.

- W swoim raporcie - zaczął Aleksy - wspomniałeś o jakiejś grupie Polaków, która zaatakowała twoje włości opodal Połocka. Mógłbyś dokładnie opisać mi jej skład i opowiedzieć, jak się na nią natknąłeś?

- Po raz pierwszy spotkałem tych Lachów na moście prowadzącym do Żęhynia. Posadzali mnie o gwałty i rabunki na Białorusi. Puścili jednak wolno, żeby, jak się potem okazało, złapać mnie na gorącym uczynku. Mieszkańcy i polscy ułani w liczbie około trzydziestu jeźdźców zaatakowali moich ludzi. Wyrznęli ich w pień, a potem doszło do walki między mną a ich przywódcą. Pokonałem go, kazałem wynosić się i nigdy tam nie wracać, lecz wątpię, by ów Polak usłuchał. Teraz obstawiłem ludźmi tereny wokół Żęhynia.

- Był u mnie ostatnio pewien poseł. Miał wiadomość dla kasztelana połockiego. Był dość podejrzliwy.

- Co to ma wspólnego z tym Polakiem?

- To - odparł Nałęczycycki - że wysłałem go z pewną korespondencją! Najprawdopodobniej właśnie do tego miasteczka!

- Jak to: najprawdopodobniej?

- Ten poseł wywiódł mnie w pole, wziął skądś nasz medal i napisał samemu list. Ostemplował go przy pomocy naszego odznaczenia. Już za pierwszym spotkaniem wydawał mi się dziwny... Chciałem go przesłuchać, ale nie dał się zaskoczyć. Wręczył mi wiadomość, w której był rozkaz stawienia się w Mińsku. Wyruszyłem natychmiast i straciłem tylko czas..., ale nie mogłem ryzykować! Po powrocie dotarła do mnie prawdziwa wiadomość od Repnina, abym pojawił się tu dzisiejszego dnia. Tak czy siak, dałem Polakowi jakiś list, nie patrzyłem jaki. A przy okazji, zniknęła korespondencja, którą za dnia przynieśli od wojewody. Dranie musieli ją wykraść!

- Trzeba będzie mieć na niego oko. A medal... jeżeli to ta sama osoba, to wzięła go ode mnie. W czasie jednego z moich wypadów straciłem nasz emblemat, lecz ten wścibski Lach go odnalazł, ale jest z powrotem w moich rękach.

- Naraziłeś nas!

- Tak samo jak ty. Jakimś sposobem dowiedział się, że TY też jesteś uwikłany w sprawy Towarzystwa?

Nałęczycycki, choć nie miał bladego pojęcia, nie zdążył się wytłumaczyć, gdyż na pomoście pojawił się jego płatny zabójca.

- Panie mój - skłonił się nisko burgrabiemu, a następnie bojarowi - Muszę się do czegoś przyznać.

- Mówże, o co chodzi, Ksawery - odpalił Aleksy.

- Kilkanaście dni temu wysłałeś mnie do wojewody wileńskiego. Miał on niecodzienny problem wynikający z wścibskich Polaków, którzy dowiedzieli się o bojarze. Zgodnie z instrukcjami, ci którzy przypadkiem dowiedzieli się o istnieniu Towarzystwa, mieli zostać uciszeni. Targnąłem się na życie jednego z dwóch podejrzanych Polaków. Niestety zawiodłem...

- Co?? - wpadł w szal Nałęczycy - Do kogo mierzyłeś? Wiedział, że to był zamach?

Sługa opowiedział przełożonemu całą historię. Burgrabia nie mógł opanować złości.

- Każę cię obdrzeć ze skóry! - ryknął - Po nieudanym strzale spokojnie wróciłeś do Połocka?

- Następnego dnia ruszyli z drużyną na północny - wschód. Nie miałem jak podjąć kolejnej próby zabójstwa.

- To byli ci sami Polacy, którzy cię widzieli, otrzymali list od Ogińskiego i obu nas wywiedli w pole - zwrócił się do bojara Nałęczycy - Są podstępni i niebezpieczni. Musisz się z nimi rozprawić.

- Taki mam zamiar - odparł Nikita - Wprzódę chcę jednak się z nimi zabawić. I dokonać zemsty....

- Chciałbym się zrehabilitować - bąknął Ksawery - Dopomogę bojarowi.

- Ja zadecyduję o twoim losie - warknął Aleksy - Czekać cię będzie surowa kara...

- Użycz mi go - poprosił Guzunow - Zrobię z niego dobry użytek. Jeśli mu się nie powiedzie, kara go i tak osiągnie. Możesz być tego pewny. A właśnie, jak miał ten twój Polak na imię?

- Nie pytałem się go... A ten twój?

- Paweł Taszczyński.

Guzunow i Nałęczycy przedstawili Repninowi swoje raporty, w których uwzględnili postać tajemniczego Lacha. Obaj członkowie Towarzystwa postanowili uporać się ze sprawą Żęhynia. Nałęczycy od dawna wspierał bojara w kwestii zwierzchnictwa nad starostwem żęhyniowskim, dopiero jednak w liście do Aleksandra Koszczasza ujawnił swoje stanowisko względem Żyda. Burgrabia zaproponował Nikicie, aby zdobył w końcu dokumenty nadania ziemi. Okazja ku temu się nadarzyła, gdy zabito

posła zmierzającego do Połocka. Mimo ostrzeżeń Guzunow wezwał na pomoc grupę zabójców pracujących dla Repnina i Towarzystwa, którzy raz na zawsze mieli pozbyć się uporczywego Żyda oraz zdobyć dla bojara akt własności. Niestety, nikt nie powrócił.

Od tej pory zwiadowcy bojara uważnie przyglądali się poczynaniom żęhynian. Z dnia na dzień przybywało fortyfikacji, dawna strażnica stała się wieżą nad nową miejską bramą. Dziesiątego grudnia kalendarza gregoriańskiego spadł w połockiem pierwszy śnieg, jednak wojska Guzunowa nie był gotowy do wymarszu. Prywatne zaciągi nie zostały ukończone. W tym czasie szpiedzy bojara obserwowali bacznie poczynania żęhynian, on sam przebywał pod Pskowem. Dwunastego grudnia wał miasteczka został ukończony. Mimo niepełnego składu regimentów, po powrocie ze spotkania Towarzystwa, Guzunow ruszył na wroga i w granice Litwy wkroczył czternastego grudnia. Była to tylko część sił, jakie jeszcze trzydziestego listopada dojrzały podstępne Lachy.

Kanclerz Panin wysłał do Czartoryskich pojednawczy list, w którym jasno postawił starym książętom ultimatum: albo Familia przystanie na projekt równouprawnienia dysydentów, będzie w przyjaźni z carycą, albo zerwane zostaną stosunki między dworem a Rosją. Czartoryscy odmówili.

- To był błąd! - wieszczył im potem kanclerz.

W następnych dniach caryca rozkazała Paninowi i Repninowi sporządzenie chytrego planu, który ukarałby w jakiś sposób zuchwałego króla Poniatowskiego i rozwiązałby niedokończoną sprawę dysydencką. Po kilkudniowych rozmyślaniach, Panin wpadł na genialny plan.

- Biorąc pod uwagę rozbudzone nadzieje prawosławnych i protestantów, proponuję, abyś nakłonił różnowierców do stworzenia własnych konfederacji. Rozzłoszczeni do białości łacinnicy sięgną za broń. Nie spodziewam się jednak, aby były to związki potężne. Pełnić będą rolę przynęty. Gdy rozruchy dysydentów ogarną kraj, nakłonisz swoich „polskich przyjaciół” - Podoskiego, Radziwiłła i innych, aby głosili chęć walki przeciw dysydencom. Zbiorą masy republikantów, z którymi zrobisz, co zechcesz. Do tego dorzucisz szlachcie detronizację i protekcję złotej wolności. Gdy zbierzesz w jednym miejscu dostatecznie dużo ludzi, wyjawisz im nasze prawdziwe intencje....

- Wszystko to zapowiada się znakomicie, nie mniej jednak Prusy nie będą zachwycone kontynuacją sprawy różnowierczej. Król Fryderyk obawia się o rozruchy poddanych we własnym państwie.

- Powiadomię Berlin o naszych poczynaniach, ale na razie musi to pozostać między nami. Nikt nie może dowiedzieć się o tym planie - tu Panin przerwał i uśmiechnął się

z lekka - wiesz, że ten plan może pociągnąć za sobą konsekwencje, nawet dla naszego Towarzystwa. Rzecz jasna, pozytywne.

Panin natychmiast wysłał do Rzeczypospolitej odpowiedź dla Familii w formie czterdziestu tysięcy wojska na czele z księciem Nikołajem. W tym samym czasie, w styczniu, zawarte zostało porozumienie w sprawie polskich dysydentów pomiędzy Prusami a Rosją. Repnin zaczął zbierać szlachtę różnowierczą ze wszystkich prowincji, które ostatecznie zebrały się w Słucku oraz Toruniu tego samego dnia, dwudziestego marca. Pod osłoną wojsk rosyjskich generał Jan Grabowski zebrał w mieście na Rusi Białej dyzunitów ruskich oraz litewskich protestantów, a sam został marszałkiem. Dostał na to od Repnina 8000 czerwonych złotych. Dokładnie w tym samym czasie w Wielkopolsce Jerzy Wilhelm Goltz zebrał koronnych protestantów z obu prowincji. Za osobę pełniącą funkcję skryby obrano znakomitego prawnika gdańskiego, Gotfryda Lengnicha, który spisując wywody skarg dysydenckich, naliczył ogółem 573 głosy. Tylko tyle zebrał Repnin i Panin, a trzeba wiedzieć, że wśród podpisów wiele było należących do młodzieży nieletniej oraz ludzi kupionych, za 12000 repninowskich monet. To była połowa planu ukartowanego przez rosyjskich książąt i choć nie przebiegła tak jak sobie to wymarzyli, otrzymali zamierzony efekt. Teraz trzeba było zebrać do kupy nieskorą do jakiegokolwiek zespołowej pracy łacinnicką, starszszlachecką szlachtę i wielmożów, którzy aż rwali sobie włosy ze złości. Od początku roku rolę pomagiera Repnina po części pełnił ksiądz referendarz koronny Gabriel Podoski, który sprzedał się Repninowi w zamian za stołek prymasa, który to za gorliwą służbę otrzymał dnia siedemnastego lipca.

Już dwudziestego szóstego marca caryca Katarzyna publicznie ogłosiła, iż popiera dążenia dysydenckie oraz potępia stanisławowskie zapędy reformatorskie. Ogłosiła również, iż uważa republikantów za prawdziwych patriotów.

Kandydatem Nikołaja Repnina na głównodowodzącego opozycją katolicką został Karol Stanisław Radziwiłł zwany „Panie Kochanku”, aby, mówiąc o tym waszmościu, wiadomo było, że nie o świętej pamięci kanclerza litewskiego chodzi. Mimo iż dwa lata wcześniej Radziwiłł toczył z Rosjanami i Familją boje, ochoczo przystał na propozycję Repnina w ogóle nie myśląc, jaki ukryty cel ma w tym pan ambasador. Będący przez dwa lata na wygnaniu w saskiej stolicy, dostał on od Nikołaja ofertę nie do odrzucenia: otrzyma swe włości i tytuły z powrotem, dopełni zemstę na znieawidzonych Czartoryskich, o ile stanie na czele opozycji katolickiej w celu detronizacji Poniatowskiego i rozprawy z dysydentami. Tak więc przystał na propozycję Nikołaja, złożył księciu rosyjskiemu cyrograf bezwzględного posłuszeństwa dwudziestego ósmego lutego 1767 roku. Radziwiłł ruszył z Drezna i przez Brandenburgię się przeprawivszy, przejechał przez niemiecką część Pomorza. Gdy pojawił się w Prusach Królewskich, hucznie go witano najpierw w Gdańsku, a później jeszcze i Królewcu. W końcu, na czele okazałego pochodu, eskorty w postaci czerwono umundurowanego oddziału Kozaków carskich, wjechał Karol Stanisław do Wilna. Księża powitały armaty rosyjskie

i piechurzy carscy, których czterdzieści tysięcy Katarzyna wezwała do Rzeczypospolitej po zawiązaniu konfederacji w Słucku i Toruniu. Na jego i Katarzyny cześć, w dniu urodzin carowej, zwanej „Semiradą Północy”, zorganizował drugiego maja wielki bal na 3000 masek, gdzie samego szampana 1000 wypito butelek. Dużo musiano wznosić toastów...

Michał Kazimierz Ogiński spoglądał przez okno w swoim gabinecie na plac przed kwaterą wojewody, gdzie tłumnie zebrali się ludzie Radziwiłła i wojska rosyjskie. Bynajmniej nie był on zachwycony widokiem moskwiczów w tym miejscu, podobnie zresztą jak i wszyscy wilnianie, którzy pamiętali wizytę Pawła Taszczyńskiego i plotkę, która głosiła wojnę z Rosjanami. Raptem ktoś zastukał do drzwi gabinetu.

- Wejść! - odezwał się wojewoda.

Do gabinetu wkroczył dość zdenerwowany odźwierny.

- Miłościwy panie, ktoś do waszej książęcej mości... - powiedział, jękając się.

- Powiedz, że nikogo nie chcę teraz widzieć - nakazał konsjerżowi Ogiński.

- Sądzę, że ze mną się jednak zechcesz zobaczyć - odezwał się pewien głos zza drzwi.

Wojewoda odwrócił się do drzwi i zobaczył Repnina odtrącającego odźwiernego. Przerażony chłopak umknął z pomieszczenia, gdy Nikołaj w towarzystwie „Pana Kochanku” i carskich piechurów wkroczył do gabinetu. Żołdacy Repnina zamknęli i obstawili drzwi. Wojewoda przełknął ślinę.

- Czego chcesz? - zapytał Ogiński.

- Nie takim tonem do mnie - warknął Nikołaj.

- Tak jest, panie Replinie - poprawił się książę wojewoda.

- Tak lepiej - pochwalił ambasador, wskazując Radziwiłłowi miejsce. Gdy i Repnin zajął siedzenie, Rosjanin zezwolił zająć miejsce wojewodzie. Ogiński usiadł na majestacie za biurkiem.

- Czemuż zawdzięczam tę wizytę? - zapytał najmilej, jak pozwalały mu na to zszargane nerwy - chyba nie zamierzasz, panie Replinie, zastąpić mnie nim - wskazał na Radziwiłła.

- Nie, przyjacielu, przynajmniej na razie. Przybyliśmy do ciebie, gdyż muszę mieć

pewność, że poprzecz nasze działania.

- To znaczy?

- Masz uroczyście ogłosić, że popierasz moje dążenia do detronizacji, rozprawy z dysydentami oraz ochrony wolności szlacheckiej. Pójdiesz dziś wieczór ze mną i wygłosisz orędzie do katolików wileńskich, aby ruszyli z Radziwiłłem. Gdy cała katolicka szlachta zbierze się w jednym miejscu, a wybraliśmy na nie Radom, będę chciał ruszyć do Warszawy i cofnąć reformy zeszłego roku i decyzji z sejmu konwokacyjnego. Rozprawimy się z dysydentami i zdeponujemy Poniatowskiego.

Ogiński nie wierzył własnym uszom.

- A czego oczekujecie ode mnie? - zapytał - Mości panowie... - dodał po sekundzie.

- Abyś przybył najrychlej jak to możliwe, gdy znajdziemy się z Radziwiłłem i innymi katolikami w Warszawie. Będziemy chcieli zwołać sejm. Czy możemy na tobie polegać?

- Oczywiście, panie Repninie - Michał spuścił wzrok i odparł drżącym głosem, nie wierząc w to, że godzi się na takie rzeczy.

Ambasador powstał.

- A zatem - uśmiechnął się ambasador - Do miłego zobaczenia.

Domokrażcy opuścili gabinet wojewody. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, przyłożył dłonie do twarzy i wręcz... zaszlochał.

- Do czego to doszło - mówił do siebie - Aby wrogu pomagać, przeciw ojczyźnie działać. Aby Rzplita nijak się mogła obronić! Boże coś Polskę i Litwę opuścił. Ratuj nas!

Polska, choć nieraz dała się Wszechmogącemu zauważyć, była pozbawiona jego łaski. Bóg odwrócił się od rządzących, którzy z własnej woli pozostawili Rzeczpospolitą i jej mieszkańców na pastwę nieprzyjaciół. Tchórzliwych bogaczy, dla których utrata majątku stanowiła najgorszą z możliwych kar i niedoli, nie zamierzał wspierać. Wszechmogący pomaga wtedy, kiedy człowiek daje z siebie wszystko. Jeśli pozostaje głuchy na płacz śmiertelników, znaczy że ludzie mają jeszcze siły...

Repnin spotkał się dziś wieczór z Ogińskim z przedstawicielami szlachty katolickiej z terenów Litwy i doszedł z nimi do porozumienia. Wojewoda uroczyście poparł ambasadora i zachęcał do przyłączenia się do nasilającego się buntu. Jako że Nikołaj odwrócił się od innowierców, którzy w żaden sposób nie mogą już przysłużyć się

Rosji w podporządkowaniu sobie całej Rzeczypospolitej, począł bratać się z łacinnikami, którzy ochoczo zawiązywali konfederacje i lokalne związki. Był to jednak ukartowany przez Panina i Nikołaja plan... Łacinnicy przyłączyli się za sprawą hasła, jakim szastał ambasador rosyjski, jakby był nie wiadomo kim: obrony katolicyzmu i złotej wolności. Przyobiecował też Repnin cofnąć wszystkie rodzinne reformy, nawet ludzi zrzuceniem króla z tronu. Zapał niezmierny ogarnął szczyty i tłumy, upragniona detronizacja zdawała się być tuż, tuż. Republikanci zaczęli planować projekt, który miał stawiać w sercu Warszawy pomnik ku czci Katarzyny II, dokładnie kolumnę i to taką, jaka zdobi Rzym. Wszystko szło zgodnie z planem Repnina. Miał pod sobą około siedemdziesiąt tysięcy szlachty katolickiej, więcej nie było mu potrzebne, aby przeciwstawić się królowi. Nakazał wszystkim ruszyć do Radomia, gdzie wraz z „Panem Kochanku” stawił się trzynastego czerwca 1767 roku.

Rozdział szósty: Chwytaj waszmość szablę!

Ranek był wilgotny i mglisty. Zewsząd miasto otaczały gęste i ciężkie opary grozy i strachu siejące wśród żołnierzy niepokój. Dał silny, porywisty wiatr, który niósł z sobą dźwięki wydawane przez zbliżających się Rosjan. Mimo tego złowrogiego nastroju, mieszkańcy Żęhynia z podniesionymi głowami oczekiwali na zbliżającą się batalię. Na nowo wybudowanych miejskich murach czy raczej wałach, wrogich celów wyczekiwało przeszło siedemdziesięciu mieszkańców z całego starostwa, uzbrojonych w muszkiety, szable, niekiedy także w kosy. Za murem, w odległości trzech metrów od bramy, w długiej linii okopów wroga wyczekiwało trzydziestu zaprawionych w boju piechurów od pana Zaremby, skrytych za pasmem wbitych głęboko w ziemię pali obronnych, chroniących infanterię przed szarżą wrogiej jazdy. Zamknąwszy bramę na cztery spusty, cały Żęhyń wystawił lufy muszkietów i karabinów w oczekiwaniu na nadejście bojara. Nikita Guzunow nie spieszył się jednak zbyt, dopiero około godziny jedenastej piętnastego grudnia *anno Domini* 1766, kiedy mgła już prawie w całości opadła, na północy, na skraju lasu, obrońcy dostrzegli sylwetki rosyjskich żołdaków. Nikita sprowadził około tysiąca żołnierzy z prywatnych zaciągów. Ludzie z niepokojem spoglądali za wał, skąd nadciągały krocie napastników wszelakiej maści: Kozaków pieszych i konnych, huzarów, piechurów, puszkarzy. Spełniły się ich najgorsze oczekiwania. Ci ostatni wzbudzili wśród ludzi niemały strach, zwłaszcza że nie byli oni przygotowani na starcie z artylerią. Piechota, jazda - tych mogli ostrzelać z murów i okopów, szarżować z pomocą jazdy. Na rury ziejące żywym ogniem nie mieli jednak sposobu, tym bardziej, że mury były wykonane w dużej mierze z drewna.

Obleżenie rozpoczęło się z chwilą, gdy pułki rosyjskie ustawiły się w szyku kilka metrów od wytoczonego szeregu armat bojara. Wtedy to w mieście zrobiło się gwarno. Wszyscy mężczyźni dotychczas stojący na wałach zeskoczyli, by pożegnać się z żonami i dziećmi. Płacz i rozgoryczenie towarzyszyło miastu przez następny kwadrans, nim udało się rozdzielić, często siłą, płaczące dzieciątka i niewiasty od ich dzielnych mężów i ojców, i zabarykadować je w miejscowym kościele, gdzie następne dłużące się w ogniu walki godziny miały spędzić na gorliwej modlitwie. Tak samo stało się z Mikołajem Koszczaszem i jego narzeczoną. Wziąwszy ją w ramiona i tuliwszy przez pół minuty, spowiadał się jej ze wszystkich swoich sekretów i myśli z nią związanych, obiecując, że przeżyje i powróci w chwale. Jego ojciec przerwał te namiętności. Widząc całe zajście, Paweł posmutniał. Przed nim droga ku *glorii* lub śmierci na polu bitwy, po której nikt nie będzie go opłakiwać i wspominać. Co prawda w pamięci mieszkańców Żęhynia pozostanie jako bohater, podobnie jak i u swoich wiernych przyjaciół: pana Janusza i Tadeusza, lecz byli to druhowie nie tacy, co by mu wiernie towarzyszyli przez całe życie. Ale i oni mogli tego dnia nie przeżyć...

Pożegnawszy rodziny i przyjaciół, obrońcy powrócili na swoje pozycje. Pan Mikołaj nałożył na siebie przygotowany na czas bitwy ekwipunek: stalową kolczugę, na którą narzucił swoją niebieską koszulę i czerwoną kamizelkę. Później uzbroił się w przygotowany przez ojca oręż: rodową batorówkę, która nieraz ocaliła skórę przodkom Koszczasza, a także dwie pary pistoletów: jedną, którą wsunął za skórzany pas oraz drugą, którą umieścił w kieszeniach na końskim grzbiecie. Kiedy gotowy do walki Mikołaj stanął przed swymi rodzicami, nastał dla niego czas pożegnania. Skłonił się przed swoim sędziwym ojcem oraz matką. Podziękował za ich dozągonną miłość i prosił o przebaczenie, gdyż nie chciał iść na tamten świat i stanąć przed Jahwe jako grzesznik i niegodziwy potomek swojego znamienitego rodu. Uzyskawszy błogosławieństwo od rodziców, młody Koszczasz dosiadł swojego najlepszego, wiernego ogiera i wraz z gotową do walki husarią oraz panem Zarembą, opuścił Żęhyn od strony lasu, by zanieść miastu odsiecz, niczym dzielny król Jan, który zasłynął swą szarżą i zyskał ogromny szacunek w oczach całej Europy.

W tym momencie na północy, z obozu oblegających, wyruszył u boku samego Nikity Guzunowa jeździec z białą flagą. Paweł i jego kompani prędko weszli na mury.

- Не стреляйте[7]! - krzyknął poseł - Bojar Nikita Guzunow, pan tego miasta i teje ziemi przybył w gości do mości starosty...

- Wraz ze swoją tysięczną strażą przyboczną? - krzyknął zza muru ojciec Mikołaja
- Powiedz mu, że nie damy mu się sponiewierać nigdy więcej! Nie ma żadnych praw do tych ziem!

Ów bojar zachowywał się pyszałkowato i dumnie. Nakazał sobie przekazać słowa Koszczasza, aby zademonstrować swoją wyższość. Raptem dojrzał na murach Pawła Taszczyńskiego i wtedy to wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Wyciągnął swą szablę i skierował jej ostrze w stronę Polaka.

- Mówiłem ci, że jeśli tu zostaniesz, to cię ZABIJĘ! Nie warto było okazywać ci łaskę, teraz naprawię swój błąd, możesz być tego pewien! - zagrzmiął jak burza Guzunow.

Po tych zuchwałych słowach, bojar zawrócił konia i powrócił do obozu.

Rozpoczęła się bitwa.

Przy akompaniamencie werbli i piszczałek, pierwsze szeregi nieprzyjaciół ruszyły mozolnym krokiem w stronę murów. Rosyjska piechota, w rozrzuconym szyku powoli zbliżała się w stronę Żęhynia. Mimo to pan Janusz Zatopocki zabronił ostrzeliwać wrogów bez wyraźnego rozkazu. Kiedy Rosjanie znaleźli się w odległości dwudziestu metrów od muru, stanęli w szyku i zdjęli broń z ramion. Wtem ozwał się trębacz z obozu oblegających. W jednej chwili spod murów miasta wystrzeliło dwudziestu rosyjskich

grenadierów, zadając niewielkie straty obrońcom na wałach. Kule przeszły drewniane bele i poraniły kilkoro obrońców. Całe to zajście było jednak tylko nieczynym fortem bojara. Po salwie Rosjan, zza murów wychyliły się liczne głowy obrońców. Żęhynianie mieli zamiar rozprawić się z agresorem wiedząc, że przeładowując broń, jest bezbronny. Zdziwili się, gdy ujrzeli cofających się piechurów. Zatopocki domyślił się, co planuje bojar.

- Padnij! - wrzasnął na całe gardło Janusz, było jednak za późno.

Jego komendę zagłuszyły wystrzały artyleryjskie.

Na znak Guzunowa wszyscy rosyjscy i kozaccy puszkarze ozwali się ze swych armat. Rozpoczął się długi ostrzał z granatów, który niczym ogromne gradobicie, niszczył pozycje obrońców. Nim obrońcy schylili się za drewnianymi umocnieniami, pociski rozprysły się nad ich głowami i wyprawiły wielu na tamten świat. Zginęło ponad dwudziestu obrońców, a wał został podziurawiony jak ser. Po nawale artyleryjskiej przyszedł czas na cięższy kaliber. Do dział załadowano kule wielkości melona, które po chwili wystrzelono w stronę miasteczka. W całym tym zajściu była jednak jakaś Boska ingerencja. Pierwszy ostrzał był niecelny, kule bowiem nie trafiały w wał, większość przelatowała ponad głowami obrońców uderzając w miejskie budynki. Pociski przebijały się przez kamienne dachy, ściany czyniąc spustoszenie. Na szczęście, żaden człowiek nie ucierpiał. Widząc nieskuteczność ostrzału i zdając sobie sprawę z niewielkiej ilości prochu i amunicji, Guzunow nakazał kolejnym pułkom ruszyć w bój. Tym razem ze zdwojona siłą, rosyjscy grenadierzy i muszkietrzy ruszyli w luźnym szyku pod mury. Zanim jednak ustawili drabiny, dzięki którym mieli dostać się na dość stromy wał, z okopów przed bramą wyłonili się żołnierze Wojciecha. Na rozkaz podoficera, muszkiety piechurów Zaremby wystrzeliły. Moskale legli na pokrytej cienką, śnieżną pierzyną, trawie. Zatopocki dał sygnał swoim ludziom do strzału. Z góry również dano salwę z karabinów, która położyła pokotem kilkunastu Rosjan. Pozostali przy życiu żołdacy zaczęli się cofać. Nawet oficerowie nie kazali podkomendnym chwycić leżących na ziemi drabin, widząc, że lada moment ludzie w okopach będą gotowi do oddania kolejnych strzałów. Zatopocki chwycił jeden z muszkietów i wycelował do oficera. Strzelił i zwałił go z nóg. Moskale złękli się jeszcze bardziej i pewnie wycofali się w stronę własnego obozu. Pierwszy szturm został odparty.

Mężczyźni na murach zaczęli wiwatować. Janusz Zatopocki, który wydawał rozkazy z wału, nie był tak entuzjastycznie nastawiony. Po tym pierwszym ataku przeciwnika, połowa spośród siedemdziesięciu ludzi padła nieżywa lub ranna. Służba z dworu zajęła się okaleczonymi i prędko zabrała zranionych z wału.

Tymczasem Mikołaj i jego husaria oflankowali pozycje rosyjskie. Z powodu gęstego lasu, z trudem jeźdźcy przedostali się pomiędzy drzewami, jakoby Lasu Wiedeńskiego. Pod osłoną narastającej burzy śnieżnej drużyna dotarła na wschodni

kraniec pola bitwy. Oddział stanął na skraju kniei, skąd doskonale słyszał, a miejscami nawet widział, znaki bitewne - błyski strzelających, od czasu do czasu, armat. Husaria ustawiła się w pięciorzędowym szyku bojowym, w każdym po dziesięć szabel i koncerzy. Na czele oddziału odsieczowego trzydziestu anielskich wojowników stanął sam pan Zaremba, w stroju takim, jak i pozostali rycerze, tyle że zamiast narzuconej na zbroje skóry niedźwiedziej, przyoblekał on lamparcią powłokę, jak przystało na dowódcę. U boku pana Wojciecha, także w stroju husarskim lecz bez skrzydeł, stał dzierżący flagę Rzeczypospolitej z jej herbem pacholek Mikołaja, który w decydującym momencie bitwy miał dać husarii sygnał do ataku. Trzeci husarz znajdował się również przed szeregiem. Był to główny namiestnik husarski, który na czas bitwy odstąpił tę funkcję panu Wojciechowi i Mikołajowi. Oddział oczekiwał na dalszy przebieg bitwy, aby w decydującym momencie móc rozgromić siły nieprzyjaciela.

Gdy Mikołaj przegrupowywał się ze swoimi ludźmi, Rosjanie przypuszczali trzeci już z kolei szturm na mury, tym razem pod osłoną artylerii. Brawurowy atak piechoty rosyjskiej, wspierany przez bitnych chłopów z Zaporozża oraz znad Donu zakończył się sukcesem. Drabiny zostały rozstawione, piechurzy kolejno wchodzili na mury. Żołdacy Guzunowa jeden po drugim wdrapywali się na wał, gdzie następnie po oddaniu strzałów, rzucali się do krwawej potyczki na bagnety i rapiery. Ręce świerzbiły pana Janusza, który gdy tylko dojrzał łeb rosyjskiego żołdaka, wypalił mu z pistoletu. Zatopocki dobył białej broni. Przebijał na wylot głównią ostrza rosyjskich piechurów, tak że krew tryskała tam strumieniami. Oczywiście pod wałem miejskim wciąż toczyły się boje, bowiem ludzie pana Zaremby stawiali w okopach zaciekły opór. Transzeje powoli zamieniały się w kałuże krwi wyglądające jak fosa wypełniona posoką. Choć z powodu gęstego dymu prochowego, walczący powyżej nie byli w stanie tego dostrzec. Kozacy rzucali się między palami na infanterię z nadstawionymi bagnetami i rapierami. Czasem przyduszali wroga kolbą, innym razem walili pięściami po głowie.

Widząc skuteczność natarcia, bojar nakazał ruszyć do walki kolejnym oddziałom. Wkrótce pod murami Żęhynia znalazło się ponad trzy czwarte wojska najeźdźcy. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta i niebezpieczna, dlatego też pan Zatopocki dał ułanom dźwiękowy sygnał do ataku. Usłyszawszy trębacza, Kościuszko i Paweł, dotychczas walczący wręcz, zeskoczyli z murów i przyszykowali konie. Stanąwszy przed bramą wraz z ze wszystkimi swoimi ludźmi, porucznik Taszczyński oczekiwał na rozwarcie się furt. Pan Janusz dmuchnął ponownie w swą trąbkę tak głośno, że aż w samym Połocku było słyhać jej echo, a wojewoda i kasztelan poczuli ucisk w żołądkach.

Brama otworzyła się ze skrzypem, niczym klatka dzikiego zwierza, który czeka wygłodzony na swą ofiarę. Gdy tylko drzwi otwarły się na oścież, Paweł i jego ludzie ruszyli na Rosjan. Porucznik spiął konia ostrogami, i wyciągnąwszy przed siebie prawicę z dobytą szablą, ruszył na czele kompanii. Jeźdźcy kolejno przekraczali dwójkami bramę i zamaszystymi ruchami oraz perfekcyjnymi cięciami szabel wysyłali wrogów na tamten świat. Lance zwieńczone proporcami roztrzaskiwały się w starciu z wrogimi żołnierzami.

Po odrzuceniu złamanych drzewców, sięgnawszy po pistolety i białą broń, ułani bili ich tak okrutnie, że najlepszy w swym fachu kat nie zniósłby skomlenia i jęków samej śmierci. Ułani rąbali tak zaciekle, jak nigdy dotąd. To była jedna wieka rzeź... Bojar nie widział, co dzieje się pod miastem, albowiem śnieżycą się nasilała i nikt nie był w stanie dojrzeć tej masakry, którą Guzunow i jego ludzie słyszeli tak dokładnie, że wielu żołnierzy na sam dźwięk tego ludobójstwa traciło całego ducha walki, rzucało broń i rejterowało. Bojar jednak nie dawał za wygraną. Rzucił do walki ostatnie kompanie piechoty, które ze strachem zagłębiły się w bezkresną biel śnieżnej nawały. Do marszu nakłaniali ich stojący za plecami oficerowie, którzy subtelnymi metodami zagradzali podwładnym ucieczkę. Gdy któryś z żołdaków zwalniał, czuł na plecach dotyk ostrza szpontonu tudzież szpady oficera.

Widząc, iż szala zwycięstwa przechyla się na stronę obrońców, pan Zatopocki raz jeszcze zadał w instrument, dając sygnał husarii. Usłyszawszy drugi sygnał trębacza, Mikołaj wyciągnął swą szablę i jeden z pistoletów. Dał znak panu Zarembie, który opuścił nosal szyszaka i pochwycił wbitą dotychczas w ziemię kopię. Husarz z chorągwią Rzeczypospolitej także dmuchnął w swój róg, aby obrońcy mieli pewność, że odsiecz nadchodzi. Zadał głośno, rycerze dobyli koncerzy i wyciągnęli je przed siebie. Stępem, drużyna powoli ruszyła przed siebie.

Piechota rosyjska szła naprzeciw obrońcom, zbierając po drodze rozbite oddziały i zawracając ponownie przeciw wrogowi. Nie spodziewała się jednak ataku ze strony wymarłej formacji husarskiej. Nagle usłyszała tętent końskich kopyt. Złękła się, że to atakują ich kawalerzyści spod miasta. Odruchowo więc infanteria zebrała się w jedną grupę i nadstawiła bagnety w oczekiwaniu na szarżę od frontu. Tymczasem jednak z ich lewej strony, z białej jak kobyłe mleko śnieżnej burzy, wyłoniła się grupa uskrzydłych jeźdźców. Jeden z Rosjan obrócił głowę w lewo. Usłyszał rzenie konia, dostrzegł wyłaniającego się z bieli okutego w stal rycerza, za nim kolejnych, którzy koń w koń galopowali w stronę przeciwnika. Żołnierz widział, jak kilku jego towarzyszy wznosi muszkiety i strzela w stronę kawalerii. Usłyszał krzyki swych kompanów. Sam nie zdążył wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Zobaczył jedynie orle skrzydła, ciało lwa i głowę człowieka, a nad tym mitycznym monstrum trzepoczącą karmazynowo - białą flagę z Orłem i Pogonią...

Mikołaj i jego ludzie z impetem, niczym górska nawałnica zwałająca się na bezbronne sosny, natarli na oszołomionych Rosjan. Atak trwał kilka sekund. Wszyscy żołdacy zostali wybici w pień w czasie tej jednej nieujarzmionej szarży husarii. Piechurzy nadziali się na ostrza nawet dwójkami, tak była to niesamowicie potężna siła. Ale to nie broń husarska wyrządziła tu największe szkody, a bestie, które rycerstwo ujeżdżało. Konie tratowały piechurów kopytami, gryzły szczękami, kopały kończynami. Nic nie było w stanie ich powstrzymać. Pan Zaremba złamał koncerz i wystrzelił do uciekającego Kozaka z pistoletu.

Po udanym napadzie Mikołaj dał sygnał do odwrotu. Skrzydlaci jeźdźcy, nazywani później przez ocalałych Rosjan Jeźdźcami Apokalipsy, znowu skryli się w lesie na zachodzie, by móc ponownie uderzyć na ludzi bojara.

Obrońcy na murach wyteżyli słuch w oczekiwaniu na kolejnych przeciwników, jednak wrogich jednostek się nie doczekali. Chwilę radowali się z pomocy Mikołaja, jednak po dziesięciu minutach poczęli dziwić się, czemuż to bojar nie atakuje ponownie.

- Może się zniechęcili? - wołali na wale - Może odeszli, pobici i pokonani? - mówili inni.

Okazało się jednak inaczej. Zanim Rosjanie przystąpili do ostatecznego uderzenia, przeczekali niekorzystne warunki. Gdy śnieżycą nieco osłabła, oczom oblegających ukazał się przerażający widok: na polu przed linią okopów, a także i za nią, rozciągała się olbrzymiej długości mogiła, w której spoczywała siła nieboszczyków, głównie, rzecz jasna, rosyjskich. Przykryci warstwą śniegu zmieszanego z krwią wzbudzali po obu stronach konfliktu rozgoryczenie i strach. Duża część żołnierzy była zmasakrowana przez jeźdźców, inni nieboszczycy spoglądali z przerażeniem w oczach, gdyż taki grymas twarzy pozostawał w chwili śmierci. Wśród ludzi Guzunowa mowa była nawet o dezercji, zwłaszcza że morale Rosjan diametralnie opadły. Bojar miał jednak jeszcze moc kawalerii, którą pozostawił na ostatek bitwy. By przywrócić ducha swojej armii, Nikita postanowił sam poprowadzić ludzi do walki. Wsiadłszy na koń, wraz z atamanem, Kryemko szykował jazdę do boju. Uszykował ją w trzy równe linie. Po przeciwnej stronie, do starcia szykowali się Paweł i Tadeusz, którzy czekali na odpowiedni moment do ataku wraz z ułanami stacjonującymi przed pasem okopów. Mając setkę huzarów i blisko trzydziestu jeźdźców kozackich, bojar pocwałował w kierunku miasta. Obracając szablą w dłoni, wyklinając Pawła i wszelkich Lachów oraz Litwinów, miał zamiar uderzyć i zabić porucznika Taszczyńskiego, bez względu na straty i możliwość śmierci. Było to jego ostatnie pragnienie, które chciał zrealizować. Niespodziewanie konie rosyjskie zaczęły zapadać się pod ziemię! Wpadli w wykopane przez obrońców wilcze jamy, których sporządzenie nakazał pan Zatopocki, spodziewając się ataku konnicy. Huzarzy kolejno wpadali do rowów wypełnionych drewnianymi palami, uszczuplając tym samym siły Guzunowa do tego stopnia, że nad wyruszającymi naprzeciw ułanami mieli już nieznaczną przewagę liczebną. Zanim jednak doszło do starcia obu kawalerii, z lewej strony wyłoniła się husaria Mikołaja. Pomimo, iż stanowiła większe zagrożenie, aniżeli ułani, rozwścieczony bojar dalej cwałował ku Pawłowi i jego żołnierzom. Część ludzi Guzunowa zawróciła konie w obawie o życie. Z murów dano salwę w kierunku pędzących Rosjan. Odległość była jednak zbyt duża, aby zaszkodzić żołnierzom bojarzyna. Pomiedzy nadciągającymi jeźdźcami wymieniono się ogniem. Kilka koni i jeźdźców padło po obu stronach. W końcu obie potęgi spotkały się: żołnierze wpadli na siebie nawzajem i wymieszali niczym Wisła wpadająca do słonego Bałtyku. Ludzie ginęli od lanc, szabel i koncerzy, pistoletów, karabinów i muszkietów. Rosjanie bili w morderczym szale: siekli, ubijali, roztrzaskiwali łby o trzonki broni. W tej sytuacji nie

było co liczyć na wsparcie ogniowe z okopów i murów - wojska były tak wymieszane, że po jednej salwie muszkietarów trafiłoby się swoje, jak i wrogie jednostki. Sytuacja zmieniła się wielce, gdy Mikołaj i pan Zaremba przyprowadzili zastępy anielskie, które rozbiły się o walczących, niczym toń morską o kadłub galeonu. Wprawili Rosjan w popłoch, nie było dla Moskali szans na ucieczkę. Wróg znalazł się w kleszczach. Konie i jeźdźcy wyli, gdy husarze zwalili się na nich jak lawina. Po tej ostatecznej szarży wiadomo już było, że Guzunow przegrał tę batalię. Do *victorii* pozostała jednak jeszcze jedna rzecz: zabić bojara. Ten ciał najzacieklej: przedzierał się przez tłumy obrońców i wielu sam zabił, nim napotkał Pawła. Odnalazłszy go, rzucił się na niego jak lew na ofiarę. Wymienił z nim kilkanaście uderzeń, nim Guzunow usieknął ukochanego konia pana porucznika, który dosłownie parę godzin wcześniej stanął na nogi, od czasu pierwszej potyczki z Nikitą. Taszczyński jednak nie był dłużny: wyciągnął zza pazuchy pistolet i wystrzelił w łeb bojarskiego rumaka. Zwierz przewrócił się i przygniótł cielskiem bojarzyna. Ten jednak pomimo ogromnego ciężaru uniósł ciało ogiera, jakby posiadał potęgę samego Heraklesa i odrzucił je w bok. Otarł swą twarz z końskiej krwi i wyciągnął szablę bojarską. Ruszył na Pawła, jednak ten uskoczył jak toreador przed bykiem. Dalsza część pojedynku była niczym batalia tytanów. Obaj uderzali wzajemnie, mając nadzieję, że to będzie już ostatni zamach, wierząc w ostateczne zwycięstwo i tryumf. Walka jednak się przeciągała. Kiedy to obie armie powoli traciły siły, ci dwaj jako nieliczni nacierali na siebie ze rosnącą wściekłością. Cięcia szabel i świst niecelnych uderzeń towarzyszył obu szermierzom przez długi czas. W końcu siły Pawła zaczęły słabnąć. Nikita wykorzystał zmęczenie i nieuwagę, tnąc ostrzem szabli udo swego wroga. Porucznik zawył i zachwiał się, jednak pozostał na nogach. Dalsza część pojedynku polegała jedynie na odpieraniu ataków bojara, który niespodziewanie powalił pana Taszczyńskiego swym potężnym cielskiem. Młody ułan upadł na ziemię, lecz wciąż dzierżył w ręce szablę. Kiedy więc bojar pchnął ostrze w leżącego przeciwnika, w ostatniej chwili porucznik zebrał resztki swych sił i obrócił się w prawo, godząc ostrzem Rosjanina w bok. Guzunow przez chwilę utrzymał się jeszcze na chwiejnych nogach, nim krew wypłynęła mu z ust i oblicze śmierci zamajaczyło przed jego grzeszną postacią. Wyraz twarzy sugerował, że samego diabła zobaczył. Jęknął on tak jakby go kto chłostał, opadł na ziemię niczym potężny, wiekowy dąb, na którego wreszcie nadeszła pora...

Widząc upadek swojego dowódcy, Moskale rzucili się do odwrotu. Husaria i ułani ruszyli w pogoń za uciekającymi, rozbitymi pułkami. Teraz, gdy wszystko było już dla Rosjan stracone, po raz ostatni zagrzmiały armaty bojarskie, niczym trąby jerychońskie. Wszystkie one jednak chybiały, jakby sam Bóg chronił prawych wojowników przed wrogim ostrzałem. Widząc zbliżających się jeźdźców, puszkarze rzucili się do ucieczki. Ostatni, wierni bojarowi żołnierze rzucili granaty w stronę cwałujących kawalerzystów. W obliczu nieodzownej nieuniknionej klęski, jednak i ci miotacze salwowali się odwrotem. Było już jednak za późno: pozostali wrogowie ginęli stratowani przez konie, sieczeni szablą i rapierem, nabijani koncerzami jak na pal...

Wszystko było skończone. Ludzie wiwatowali na cześć dowódców, śmiali się

i płakali, strzelali ku niebu na część zwycięstwa, które jeszcze parę dni temu wydawało się być niemożliwe do osiągnięcia. Bojar był pokonany, armia nieprzyjaciela rozbita, a klęska przeciwnika druzgocąca. W mieszkańców Żęhynia wstąpiła nadzieja. Nadzieja, która rozpowszechniona jako Dobra Nowina wśród wszystkich mieszkańców Rzeczypospolitej, przyniosłaby narodowi chęć walki, a co za tym idzie: utraconą pewność siebie i hegemonię.

Jeszcze tego samego dnia żęhynianie i reszta uczestników bitwy zebrali się na głównym placu miasta. Zgromadzeni otoczyli piedestał, na którym znajdowała się szubienica. Przez zwisającą obręcz ze sznura wystawała umazana w zakrzepłej krwi głowa Guzunowa. Ledwo żywy, wciąż ogłuszony, powoli zbierał myśli. W uszach słyszał jedynie szum, jednak nie trzeba było słuchu, aby zrozumieć intencje mieszkańców ze srogimi minami, rozwartymi ustami i wytykającymi palcami. Tuż obok bojara, na dwóch innych stryczkach znajdowali się ataman Kryemko i dowódca artylerii. Ten drugi rozpaczliwie spoglądał ku niebu i wymawiał słowa modlitwy, Kozak zaś z kamienną twarzą, bez jakiegokolwiek skruchy posyłał ku żęhynianom nienawistne spojrzenia. Nikita powoli odzyskiwał słuch. Usłyszał nagłą zmianę w zachowaniu tłumu. Wszyscy zaczęli wiwatować, bowiem na plac przybyli wodzowie obrońców: starosta i jego rodzina, Zaremba, Taszczyński, Kościuszko, Zatopocki i namiestnik husarski. Rozjuszony do niedawna lud miasta Żęhyń rozstał się przed nadjeżdżającymi. Gdy zsiadli z koni, tylko Aleksander, Mikołaj i Paweł stanęli na podwyższeniu. Bojar spoglądał na zwycięzców z obojętnością, Kryemko kipiał nienawiścią, po policzkach trzeciego skazańca popłynęły gorzkie łzy. Zwycięzcy stanęli odwrócenymi plecami do więźniów. Rozpoczęli swoje przemówienie do mieszkańców, w którym dziękowali Bogu za wstawiennictwo, opatrność i błogosławieństwo. Dziękowali za poświęcenie obrońców i czcili pamięć poległych wojaków, których było niemało. W końcu nadszedł moment, w którym starosta wspomniał imię Guzunowa. Wskazał ręką, jak on to określił, ucieleśnionego szatana i począł oczerniać go na wszelkie możliwe sposoby. Wymienił zarzuty wyjaśniające jego obecność w tym miejscu oraz jednogłośny wyrok - śmierć przez powieszenie. Lud ożywił się, wyklinał Moskali i ich żądze władzy. W końcu cała trójka odwróciła się w stronę oskarżonych. Ojciec Mikołaja dał synowi znak, po czym chłopak podszedł do dźwigni i chwycił ją mocno. Własnoręcznie miał wypełnić wyrok na gardle Guzunowa. Chwilę się wahał. Ta jednak chwila dała skazańcom życie. Paweł doskoczył do Mikołaja i przytrzymał wajchę. Żęhynianie zamarli. Koszczasz pomyślał, że porucznik sam chce to skończyć, więc bez sprzeciwu się odsunął. Ten jednak nacisnął dźwignię, lecz w odwrotną stronę i roztrzaskał ją na kawałki. Trzymaną w dłoni część cisnął w powietrze. Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem, może nawet z oburzeniem.

- Bądźmy lepsi niż oni! - krzyknął, wskazując na Rosjan - Będziemy napawali się ich porażką i cieszyli się ze śmierci? Dopiero co się przed nią uchroniliśmy, a teraz będziemy się z niej radować?

Paweł odwrócił się do Moskali i podszedł do atamana. Zdjął mu z szyi pętlę,

a następnie to samo zrobił z Rosjaninem. Nadszedł czas na Guzunowa. Spoglądał mu w oczy, jednak nie dostrzegł krzty przebaczenia, dobra czy skruchy. Westchnął głęboko, spojrzął ku niemu i zdjął mu z szyi obręcz.

- Życie za życie - skwitował porucznik.

Trzej Moskale opuścili plac. Artylerzysta rzucił się do stóp Pawłowi i począł całować jego zabrudzone oficerki, okazując wdzięczność za ułaskawienie. Przez całą drogę do wrót Moskale byli wytykani palcami, popychani i poniżani. Nie dostali żadnego rumaka. Odziani w skórzane wory, szli piechotą do najbliższej wsi, w której skradli konie. Skierowali się na granicę, po której przekroczeniu ruszyli powiadomić o zejściu Nikołaja Repnina.

Odparcie nieprzyjaciela uratowało Żęhyń i jego mieszkańców przed surowymi konsekwencjami. Mimo zwycięstwa, samo miasto mocno ucierpiało na ataku. Wał projektowany przez pana Zatopockiego przeszedł swoją próbę, ale został poważnie uszkodzony. Pociski wystrzelwane przez bojara spowodowały liczne szkody w budynkach miejskich. Wiele dachów uległo zawaleniu, gruzy, odłamki kamienia i drewna porozrzucone były po całym miasteczku. Po raz kolejny mieszkańcom przyszło sprzątać po bojarze. Naprawy trwały dwa tygodnie, później zajęto się fundowaniem pomnika upamiętniającego poległych obrońców, których krocie zginęły podczas dwukrotnej obrony.

Po zwycięstwie nad prywatną armią bojara, Mikołaj i Karolina zaczęli snuć plany o swojej przyszłości. Do czasu pojawienia się kompanii ułanów wielokrotnie rozmyślali na temat ślubu, jednakże ciągłe najścia bojara uniemożliwiały im jego realizację. Cała społeczność starostwa była święcie przekonana, że ostatnia porażka odroczy zagrożenie i zahamuje zuchwałość Guzunowa co najmniej na kilka lat. Wielkie zwycięstwo, obecność nowych przyjaciół i cudowna atmosfera były sprzyjającymi ożenkowi okolicznościami. Przez następny tydzień zajmowano się sprawami organizacyjnymi dotyczącymi miasteczka i jego mieszkańców. Chowano poległych obrońców, odbudowywano budowle, zaopiekowano się armatami i sprzętem bojara. Tadeusz Kościuszko, z powodu nauki, musiał powrócić do Warszawy, jednak obiecał przybyć na ślub.

Mimo, iż miasteczko nie zostało do końca uporządkowane, przed samymi świętami Bożego Narodzenia mieszkańcy starostwa powrócili do swych wsi. Pan Zaremba i jego ludzie opuścili miasto. Zabrali ze sobą armaty bojara. Husarzy również wynagrodzono łupami. Ci także powrócili do Połocka. W miasteczku pozostała jedynie kompania Pawła, która te radosne dla chrześcijan dni spędziła w gronie nowych bliskich, dalej wspierając swych przyjaciół w wysiłkach mających na celu przywrócić Żęhyniowi świetność. Pan Taszczyński i ułani spędzili Boże Narodzenie w dworze Koszczaszów. W uroczystości wzięli nawet udział gospodarze, choć byli innego wyznania i z ciekawością nasłuchali się

wiele na temat chrześcijańskich zwyczajów. Po 24 grudnia przyszedł Dzień Świętej Rodziny i Nowy Rok. Świętowali wszyscy, mając nadzieję, że będzie lepszy od poprzedniego...

Minęły dwa miesiące. Mróz zaczął odpuszczać. Biały puch dalej zalegał w mieście, ale starosta zaczął planować uroczyste wesele. Kiedy śniegi odeszły, była już połowa marca. Zaczęto dekorować ulice, rozstawiać stoły i krzesła, szykować tradycyjne żydowskie dania z jagnięciny. Ceremonia ślubna miała mieć miejsce w miejscowej synagodze. W przeddzień zawarcia małżeństwa wszyscy mieszkańcy i goście zostali wezwani do świątyni, gdzie Mikołaj odczytał przy wszystkich haftarę. Gdy kazanie zostało przeczytane, para młoda sporządziła również Ketubę, czyli akt małżeństwa w języku aramejskim. Dzięki temu, nawet w razie wypadku śmierci Mikołaja, Karolina miała zapewniony byt do końca życia. Jak nakazywał zwyczaj, w spisie tego dokumentu mieli brać udział dwaj, niespokrewnieni z młodymi świadkowie. Dzięki naleganiom panny młodej, towarzyszyli im Paweł i Janusz. Był to koniec przygotowań do ceremonii. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nic ani nikt nie zakłóci iluminacji.

Zgodnie z żydowskimi zwyczajami para młoda zaniechała spotkań aż do samego obrzędu. Miało to na celu wzmoczenie uczuć i podjęcie ostatecznej decyzji, która ważyła o całym życiu. Tego samego dnia, pod wieczór, powrócił ze stolicy Kościuszko. Nastrój jeszcze bardziej dopisywał Tadeuszowi, gdyż dwudziestego grudnia został oficjalnie nominowany na chorążego.

Nazajutrz nastał niedzielny poranek i całe miasto zbudziło się z paniem koguta. Mieszkańcy zerwali się z łóżek, dokładnie umyli i przyodziali tradycyjne żydowskie stroje. Wszyscy byli podenerwowani zbliżającą się uroczystością. Nie był to w końcu byle ślub, żenił się syn starosty! W dworku Koszczaszów panowało największe zamieszanie. Jeszcze przed świtem tupot nóg, głośnie rozmowy i przedmioty wypadające z podenerwowanych rąk obudziły Pawła. Nie tracąc czasu, Taszczyński rozciągnął się, obmył dokładnie, uczesał włosy i nałożył na głowę ułankę. Do paska przypiął swoją szablę, pistolet pozostawił na stoliku. Westchnął głęboko, patrząc na siebie w lustro, widząc eleganckiego i przystojnego oficera. Czuł się samotny i niedoceniony. Zawsze przedkładał dobro ogółu nad swoje własne, przez co dużo go w życiu minęło. Nie był to jednak dobry dzień na zamartwianie się. W końcu jego przyjaciele mają zawrzeć związek małżeński! Młody ułan wyszedł na korytarz. Krzątało się tam mnóstwo kobiet, które szykowały dla Karoliny łaźnię żydowską. Zgodnie z panującym u Żydów zwyczajem panna młoda musiała przejść swego rodzaju oczyszczenie, nim stanie na ślubnym kobiercu. Musiała wziąć kąpiel w mykwie, przy obecności rodziny i znajomych płci żeńskiej.

Nie było tu dla niego nic do roboty. Zszedł po schodach do salonu, gdzie przy nakrytym stole siedzieli już jego przyjaciele i starosta. Wszyscy jedli skromne śniadanie, nie licząc Mikołaja, który musiał pościć. Powitawszy zebranych, porucznik zajął miejsce

u boku pana młodego. Siedział ze spuszczone głową i splecionymi dłońmi. Wiadome było, że się denerwuje, nikt jednak niczego nie powiedział. Jako przyszła głowa rodziny musiał umieć radzić sobie z emocjami i być zawsze opanowany. Ojciec więc wystawiał syna na próbę. Gdy nastał świt i promienie słońca wdarły się przez okna, zebrani podnieśli się z siedzeń i ruszyli do wyjścia. Wsiadłszy na konie, Mikołaj i jego najbliżsi ruszyli do miasta. Gdy przekroczyli bramę, tłumy zebranych zaczęły machać i uśmiechać się do przyjezdnych. Pan młody i jego towarzysze odwzajemnili przyjazny gest. Gdy zajechali przed synagogę, oddali konie stajennym. Mikołaj i jego ojciec zaczęli sprawdzać, czy wszystko zostało przygotowane jak należy. Efekt oględzin był zadowalający. Zbliżała się godzina siódma, planowany czas zawarcia związku, toteż goście zaczęli zbierać się po obu stronach karmazynowego dywanu, rozwiniętego na długiej drewnianej kładce wiodącego do drzwi świątyni. Ostały się śnieg z terenu miasteczka został w miarę możliwości zgarnięty na kilka hałd, które pod wpływem wysokiej temperatury ulegały stopniowemu kurczeniu się. Były to ostatnie przejawy minionej pory roku. Było już ciepło i co ważniejsze - sucho. Nad wrotami synagogi rozpościerał się jedwabny baldachim - chuppa. Pod nim miało dojść do zaślubin. Kwadrans przed rozpoczęciem ceremonii goście ustawili się w oczekiwaniu na pannę młodą. Byli wśród nich mieszkańcy całego starostwa, obrońcy Żehynia. Przybył pan Zaremba, namiestnik husarii z oddziałem. Nie każdy był jednak wyznania mojżeszowego. Przybysze byli głównie chrześcijanami. Jednak, aby okazać szacunek przyszłej parze, wszyscy mężczyźni mieli na sobie okrycia głowy. Tuz obok ołtarza, pod baldachimem znajdował się specjalny przedział dla najbliższej rodziny i przyjaciół. Zasiedli tam ojciec Mikołaja, Paweł i jego przyjaciele. Wszystko było gotowe. Brakowało tylko panny młodej.

Gdy wybiła godzina siódma, zebrani usłyszeli nadjeżdżający powóz. Brama rozwarła się przed pojazdem, który wjechał na teren miasta. Karoca, usłana płatkami róż, zaprzężona w dwa piękne rumaki zajechała przed synagogę. Wysiadła z niej Karolina ubrana w olśniewającą ślubną suknię. Jej głowa zasłonięta była płowym welonem, jej czarne włosy splecione były w warkocz. Szła u boku matki Mikołaja i kilku „dwórek” sypiących za nią suszone płatki kwiatów. Po obu stronach dywanu honorową wartę pełnili husarze. Trzymali przed oczyma obnażone szable. Panie kroczyły dywanem ku ołtarzowi, na którym czekali już na nich Mikołaj i siwobrody rabin. Gdy dotarły pod chuppę, towarzyszki rozeszły się na dwie strony, a matka Mikołaja zajęła miejsce obok męża. Pawłowi mocniej zabiło serce, gdy zobaczył pannę młodą i uśmiechnął się szczerze do Karoliny. Janusz spojrział na przyjaciela i zamyślił się.

Młody Koszczasz stanął obok swej wybranki i wziął jej dłoń. Rozpoczęła się ceremonia. Wewnątrz synagogi rozbrzmiał dźwięk instrumentów, grających ślubne melodie. Wziąwszy do ręki Torę, kapłan udzielił parze młodej błogosławieństwa. Rabin odczytał, po czym Paweł powstał z krzesła i podał im na czerwonej poduszce złotą obrączkę. Był zapatrzony w Karolinę, która również wpatrywała się w niego niezwykłym wzrokiem. Paweł prędko się opamiętał i wrócił na miejsce, choć w tym momencie w życiu zarówno jego, jak i Karoliny, coś się zmieniło.

Pewny już siebie Mikołaj wziął prawicę swojej ukochanej, gdy tylko okrążyła go siedem razy. Nadano im dwa błogosławieństwa: pierwsze nad winem, drugie to błogosławieństwo ślubu. Później para młoda skosztowała alkoholu. Następnie Mikołaj odebrał obrączkę i założył ją na wskazujący palec prawej ręki Karoliny. Przyglądali się temu dokładnie świadkowie. Chatan odmówił słowa przysięgi małżeńskiej: Oto jesteś mi zaślubiona wedle prawa Mojżesza i Izraela. Kala uśmiechnęła się do niego, nie mówiąc nic. Oznaczało to zgodę. Żydowski goście odpowiedzieli głośno: *mekudeszet*, znaczy zaślubieni. Na tym jednak nie kończyła się ceremonia, o nie! Mimo iż wszyscy chrześcijańscy goście chcieli już bić brawo Koszczaszowi, była to dopiero połowa uroczystości. Gdy pierścień został nałożony, rabin zabrał się do odczytania kontraktu małżeńskiego, czyli ketuby. Gdy skończył, wszyscy zebrani odmówili siedem błogosławieństw. Nadszedł czas na wielki finał. Aleksander Koszczasz powstał ze swojego miejsca i podszedł do młodej pary, trzymając w dłoniach srebrny kielich z winem. Podał go swojemu synowi, który upił z niego dwa łyki, a następnie przekazał swojej prawie - że - małżonce. Ona poszła w ślady Mikołaja. Gdy wypła resztę zawartości, oddała go panu młodemu. Ten uniósł naczynie najwyżej jak umiał, jakby chciał cisnąć nim w ziemię. Faktycznie chciał to zrobić, lecz nieoczekiwanie rozległ się huk wystrzału. Przedziurawiony na wylot kielich wypadł z ręki Mikołaja, ten zaś chwycił ją drugą dłonią. Wszyscy goście zerwali się na równe nogi. Spojrzeli za siebie i ujrzeli grupę kilkunastu jeźdźców. Jeden z nich trzymał w ręce dymiący pistolet. Był to nie kto inny, jak ataman Kryemko! Paweł, Kościuszko i Zatopocki skoczyli na przód ołtarza. Wszyscy goście cofnęli się ku drzwiom synagogi. Pan młody wystąpił naprzeciw agresorom.

- Nie byliście zaproszeni! - odpalił atamanowi Mikołaj - Czego tu szukacie, ścierwa!

Kozak włożył pistolet za pas.

- Twojego nieszczęścia... - odparł Kozak, wyciągając szablę.

Po nim uczynili to pozostali najeźdźcy. Mikołaj cofnął się o krok.

- *Nie mam broni!* - uświadomił sobie pan młody.

Ataman i jego drużyna ruszyli w stronę Mikołaja. Przerażony tłum zaczął umykać do wnętrza świątyni. U boku młodego Koszczasza stanęli jego przyjaciele, ułani a także pan Zaremba. Husaria zniknęła, gdyż wedle planu, miała wziąć udział w dalszej części uroczystości przed dworem Koszczaszów. Wszyscy zebrani wyciągnęli szable. Jedynie Mikołaj pozostał nieuzbrojony.

- Zabawmy się - uśmiechnął się nieszczemnie Kryemko i ruszył z oddziałem na

wrogą mu grupę. Paweł i reszta skierowali szable naprzeciw nadjeżdżającym koniom.

- W takich chwilach żałuję, że nie biorę ze sobą pistoletu - pomyślał Paweł.

Z każdą sekundą odległość między przeciwnikami się zmniejszała. Kryemko wymachiwał szablą w krwawym szale, rzeź jednak nie była jego głównym celem... Wierzchowce Rosjan startowały obrońców. Skończyło się to silnym poturbowaniem i kilkoma obiciami. Gdy konie rosyjskie znalazły się za plecami obrońców, prędko zebrali się z ziemi i przypuścili atak. Część kawalerzystów ruszyła naprzeciw kontratakującym, reszta spieszyła się i zaczęła pustoszyć ołtarz, stoły z jedzeniem i wszystko co było przygotowane na weselisko. Gdy Mikołaj na czele swego „oddziału” natarł na Rosjan, szable poczęły ciąć i rumaki, i Moskali. Konie kolejno padały na ziemię, która po kilku sekundach nasiąkała posoką. Rosjanie rzucili się do walki. W tłumie walczących ataman dostrzegł Mikołaja. Ruszył w jego stronę, lecz ten w porę dojrzał przeciwnika i zablokował jego cios dopiero co zdobytym ostrzem. Odepchnął napastnika i zamachnął szablą w poziomie. Ataman uskoczył przed wrogiem. Następnie przypuścił kolejny atak, także mistrzowsko sparowany przez Mikołaja. Nagle Kryemko dostrzegł wśród walczących Pawła. Zagapił się i nie dostrzegł kontrataku Koszcza, który uderzeniem łokcia obalił Kozaka na ziemię, tuż obok, ociekającej wodą, góry śniegu. Ten nabrał białego, lepkiego puchu w garść i cisnął nim w Żyda. Powstał i powalił Mikołaja, otrzepującego śnieg z twarzy. Nie dobił go jednak, tylko ruszył w stronę Taszczyńskiego. Porucznik walczył z dwoma przeciwnikami na raz. Blokował cięcia szabel huzarów, cofając się w stronę stołu. Schylił się przed zamaszystym ruchem Rosjanina i jednym perfekcyjnym ciosem okazał swoją wyższość nad moskiewskim żołdakiem. Drugi żołnierz nie dał się tak łatwo zaskoczyć. Zręczny ruch nieprzyjaciela wytrącił Pawłowi broń z ręki. Prędko przeskoczył przez stół. Rosjanin uderzył szablą w blat. Porucznik pochwycił znajdujące się opodal krzesło i zamachnął się na przeciwnika. Uderzając o głowę Moskala, roztrzaskał stół w drobne drzazgi. Wtedy dostrzegł biegnącego ku niemu Kryemkę. Celował do niego z pistoletu. Ataman pociągnął za spust i ołowiana kula poszybowała w stronę głowy Pawła. Nie zdążył przed nią umknąć... Chwilę później porucznik zdjął ze swej głowy przedziurawioną ułankę.

- Tego było za wiele! Najpierw przerywacie ślub moich przyjaciół, teraz niszcycie mi czapkę!

Widząc wciąż pędzącego Kozaka, porucznik zainterweniował. Błyskawicznym ruchem przewrócił stół i schował się za nim, jak za okopem. Ataman nie zdążył wyhamować i przeleciał ponad Pawłem. Zarył w śnieg. Polak powstał. Dojrzał swoją szablę i podniósł ją z ziemi. Ruszył na atamana, który również podniósł się i szykował się do zamachu. Z kocią zwinnością Kozak doskoczył do porucznika. Wymierzył kilka cięć i uderzeń, jednak przeszły tylko powietrze. Taszczyński postanowił zastosować niezbyt czyste zagranie. Gdy ich szable skrzyżowały się, kopnął Rusina prosto w krocze. Siła, z jaką przeciwnik pchał swoją szablą, zaczęła maleć. Paweł chciał to zakończyć. Uderzył

rękojeścią swojej broni w policzek atamana. Kozak ciężko opadł na ziemię z krwawiącą twarzą. Strużka, prawie że czarnej, krwi popłynęła z kącika ust, podobnie jak i ze szramy na policzku. Zaporoziec splunął zębem. Kryemko podniósł się ziemi i spojrział dookoła. Harmider i pobojuwisko narobione przez jego oddział były ogromne. Widząc padających Rosjan, ataman włożył palce do ust i dał, gwizdząc, rozkaz do odwrotu. Kilku huzarów, których konie przetrwały czas bitwy, pochwyciło w galopie pieszych towarzyszy broni, w tym atamana Kryemkę. Wszyscy ruszyli w stronę bramy. Nim jednak Kozak ją przekroczył, wymierzył do Pawła z ostatniego pistoletu. Była to ostatnia rzecz jaką młody ułan widział, nim opadł nieprzytomny w błoto...

Porucznik ocknął się następnego dnia, lecz nie zdawał sobie sprawy, jak długo pozostał zemdłony. Znajdował się w swoim pokoju. Otoczony przez przyjaciół.

- Myśleliśmy, że się już nie obudzisz - odetchnął z ulgą pan Zatopocki.

- Ile czasu minęło od ataku Kryemki? - zapytał Paweł.

- Jeden dzień i cztery godziny - odpowiedział Mikołaj - Dobrze, że nic ci nie jest - dodał.

- Gdzie dostałem? - zapytał porucznik, oglądając zabandażowaną rękę.

- To tylko cięcie szabli - odparła Karolina, wskazując opatrunek - Rana postrzałowa jest na prawym boku.

- Kilka centymetrów wyżej i przebiłby ci płuco - zauważył Kościuszko - Jesteś prawdziwym szczęściarzem.

- Prawdziwym szczęściarzem jest dziś nasz drogi Mikołaj - uśmiechnął się Paweł - Ożeniłeś się!

Towarzystwo pochmurniało. Karolina nieco się zawstydziała.

- Ceremonia ślubna nie zastała w pełni zakończona - wytłumaczył Aleksander - Mikołaj miał rzucić opróżniony kielich i go zgnieść. Dopiero wtedy związek zostałby zawarty.

- Najwyraźniej Bóg tak chciał... - orzekł niedoszły mąż.

Paweł zadrżał i skupił swój wzrok na spochmurniałej Karolinie. Nastąpiła chwila milczenia. Porucznik nie mógł w to uwierzyć. Przygotowania były żmudne i męczące, ale wszyscy zrobili co w nich mocy. Żęhyń pracował w pocie czoła, aby ceremonia była na jak najwyższym poziomie. I nagle cała praca została zniszczona przez barbarzyńców ze

wschodu. Miał już tego dosyć!

- Musimy opuścić miasto - zwrócił się do Janusza i Tadeusza - Ten atak to nasza wina. Bojar nie spocznie, dopóki mnie nie dopadnie, a ja nie chcę, by przez ze mnie cierpieli niewinni ludzie.

- Sądysz, że napaść nie miałaby miejsca, gdyby ciebie tu nie było? - rzekł zaskoczony Mikołaj.

- To, co działo się tu w przeciągu ostatnich miesięcy było tylko i wyłącznie moją winą. Ściągnąłem na was gniew Guzunowa. Najpierw sprawa na Białorusi, odkrycie związku między nim, a Repninem i Nałęczycyckim, spotkanie na moście, pojedynek i obrona Żęhynia. On chce dopaść mnie nie tylko z powodu osobistej zemsty, ale i podejrzeń wobec niego. Tak więc postanowiłem: ruszamy dzisiaj po południu. Szpiedzy bojara muszą dojrzeć nasz wyjazd.

Przyjaciele przytaknęli. Pomimo próśb i nalegań Karoliny oraz matki Mikołaja, Paweł nie zmienił decyzji. Aleksander i jego syn nawet nie protestowali. Wiedzieli, że ma rację, ale zbyt wiele mu zawdzięczali. Tak więc tego dnia ułani szykowali się do wymarszu. Nie było jeszcze wiadomo, dokąd się udadzą, jednak jak najdalej od Żęhynia. Około piątej zastęp dwudziestu ułanów czekał na placu miasta. Gdy pojawił się kuśtykający Paweł i jego towarzysze, całe miasto wyległo na ulice chcąc podziękować im raz jeszcze za pomoc. Trwało to dobrych kilkanaście minut, nim uwolnili się z siodeł wdzięcznych wielbicieli. Wymieniwszy uściski z panem Zarembą, Mikołajem i Aleksandrem, pozostało im pożegnać się z Karoliną i matką Mikołaja. Kolejno podchodzili, całowali dłonie i życzyli wszystkiego dobrego. Nadszedł czas na Pawła.

- Dzięki ci, waćpano, za wasza gościnę i opiekę nade mną - tu wskazał na opatrunek - Oby ci się poszczęściło z Mikołajem i żeby wszystko wam się w życiu udało! Życzę ci jak najlepiej!

Łzy popłynęły jej po policzkach. Przytuliła porucznika i pocałowała w policzek.

- Dziękuję waćpanu, za wszystko, coś dla nas uczynił - powiedziała, rozluźniając ręce.

Porucznik z trudem odwrócił wzrok i odszedł w stronę wierzchowca. Spojrzał jednak raz jeszcze za siebie i wbił swój wzrok w Karolinę. *Żegnaj, najdroższa* - rzekł w myśli młody bohater

Pawłowi serce się krajało, że musiał opuszczać to miejsce, ale nie było innego wyjścia. Z pomocą przyjaciół, Taszczyński wgramolił się na konia i wraz z ułanami i husarią ruszył w stronę lasu.

Kilkudziesięciosobowy orszak zmierzał w kierunku Połocka. Zarówno Paweł, Janusz jak i Tadeusz rozpamiętywali chwile związane z wydarzeniami mającymi miejsce na trasie pomiędzy obiema miejscowościami. Kościuszko wspominał to nieco inaczej, opowiedział dokładnie raz jeszcze, w jaki sposób umknął przed posterunkami Rosjan i zwerbował husarzy. Ułani wysłuchali tej opowieści z zapartym tchem, żalowali jedynie, że nie mogą jej słuchać z flaszą w dłoni. Chcieli jeszcze jeden raz wypić za poległych w boju towarzyszy...

Pawłowi z trudem szło prowadzenie konia. Co jakiś czas przysypiał, wzmagał się ból i uniemożliwiał mu jazdę. Doszło do tego, że jego koń musiał zostać przywiązany do siodła Tadeusza i prowadzony przez chorążego.

Porucznik siedział w siodle zapatrzony w niebo. Wzdychał głęboko. Podjechał do niego pan Zatopocki:

- Nie myśl już o niej.

- O kim niby? - zdziwił się Paweł, unosząc głowę.

- O Karolinie. Widziałem przez trzy miesiące, jak na nią spoglądasz. Radzę ci o niej zapomnieć. Nie jest ci pisana.

- Ja wcale...

- Proszę cię, nie udawaj. Obaj wiemy, że jesteś w niej zakochany, ale ona ma już męża.

- W zasadzie nie ma...

- W zasadzie, radziłbym ci znaleźć inny obiekt westchnień. Oszczędzisz zgryzot sobie i innym - odpalił Zatopocki - Użyj rozumu Pawle, nie podążaj ślepo za uczuciem...

- Łatwo ci mówić, bo nigdy nie doświadczyłeś podobnego uczucia. Nie wiesz jak to jest. Nie wiesz, że samo spojrzenie tej osoby sprawia, że świat zdaje się być piękniejszy. Nie wiesz, jak bardzo pragnie się jej dobra, ani jak zmienia się sposób patrzenia na otaczającą nas rzeczywistość!

- Wiem, że pragnąc Karoliny, postępujesz wbrew sobie, a więc wbrew przyjacielowi oraz Bogu!

- Gdybym kierował się namiętnością, nie uczuciem, owszem. Chcę jej dobra, a jeśli ona znajdzie je przy innym, mogę mieć tylko nadzieję, że dokonała najlepszego dla

siebie wyboru. Za nic w świecie nie wystąpiłbym wbrew Mikołajowi, ani nie rozerwałbym tego, co nasz Pan raz połączył. Za kogo ty mnie masz?

- Za ślepcę – odpalił nieprzekonany oracją przyjaciela architekt. - Martwię się o ciebie, przyjacielu, chcę więc ci pomóc. Użyj rozumu Pawle, nie podążaj ślepo za uczuciem... ono cię zniszczy.

Około siódmej kompania dotarła na przedmieścia Połocka. Po raz kolejny witali w tym prorosyjskim mieście. Tym razem mieli tu zamiar sownie wypocząć. Gdy zajechali do centrum, orszak podzielił się na dwie części: husarzy, którzy ruszyli w stronę swoich osobistych kwater oraz części złożonej z niedobitków kompani Pawła. Porucznik zdecydował: dziś każdy może robić, co zechce!

Podwładni zareagowali na to stwierdzenie z aprobatą, jednakże ostatnie wydarzenia pozostawiły na nich dotkliwie piętno i zmieniło się podejście ułanów do życia. Nastąpiła w nich wewnętrzna przemiana, która objawiała się w pokorze, akceptacji i dojrzałości. Nie oznaczało to jednak, że nie przestaną być gorliwymi degustatorami alkoholu, o nie! Napoje wysokoprocentowe są przecież najlepszym lekarstwem na cokolwiek, a ułani na ciele i umyśle czuli się mimo wszystko niezbyt dobrze...

Po odprawie ułani rozeszli się po karczmach i innych pijalniach. Taszczyński i jego przyjaciele postanowili spędzić wieczór podobnie. Cała trójka wybrała się do najlepszej i najdroższej oberży w mieście. Gdy przekroczyli próg zajazdu, zastali dwa tuziny rozhulanych szlachciców i mieszczan. Na szczęście udało im się dostrzec pusty stolik. Gdy zajęli miejsca, podszedł do nich wąsaty karczmarz. Złożyli zamówienia na najlepsze trunki, jakie były dostępne w tej gospodzie. Dzisiaj nie mieli żadnych oporów, aby upić się do nieprzytomności! Nie minęła minuta, jak szynkarz powrócił z trzema olbrzymimi kufłami klarownego, chmielowego trunku. Pociągnęli pierwszy łyk, pozostawiając na brodach białą pianę i delektując się w ciszy smakiem. Pili w milczeniu aż do połowy kufła. Przyglądali się zacnemu towarzystwu. Większość biesiadników była już podchmielona, bądź całkowicie rozpita, co przytomniejsi klienci gawędzili o najnowszych wieściach. Paweł podsłuchał rozmowę przy sąsiednim stoliku. Miał nadzieję usłyszeć coś nowego o polityce, w końcu dość długi czas znajdował się na odludziu. Rumor w gospodzie był jednak przeogromny. Co chwila grupka szlachty wybuchała gromkim, histerycznym śmiechem, przez co Paweł dosłyszał tylko co któreś słowo z kolei. Ze wyrazów kluczy udało mu się wyłapać: konfederacja, dysydent i Rosjanin. W związku ze swoim zainteresowaniem, co do poczynań Moskali i jego książęcej mości ambasadora, odwrócił się do drugiego stolika, przy którym także mówili o owej sprawie.

- Wybacz waszmość, że się wtrączę - zaczął pewnego starszego szlachcica - Ale o co się rozchodzi z tą konfederacją?

- Gdzie waść bawił ostatnie miesiące! - wzburzył się siwowłosy mężczyzna.

- *No cóż...* - uśmiechnął się w duchu Paweł.

- Toż w Słucku i Toruniu do rebelii doszło!

Usłyszawszy to Tadeusz i Janusz odstawili naczynia.

- Od miesięcy było wiadome, że innowiercy szykują bunt. Chcą tych samych praw co nasza szlachta. No i nic dziwnego! Gdybym był wspierany przez carycę, też byłbym taki odważny! Jakby protekcja Katarzyny nie wystarczała, sytuację komplikowała jeszcze działalność Melchizedeka.

- Kiedy ogłosili konfederację? - zapytał zaciekawiony pan Zatopocki.

- Parę dni temu, to znaczy - zamyślił się starzec - dwudziestego marca. Równocześnie w obu miastach! Mówię waćpanom, to już nie przelewki. Rosjanie szykują dla nas coś specjalnego! - powiedział, po czym odwrócił się do swojego towarzysza. Paweł znów do niego zagadał.

- Ale jak dokładnie się sprawa ma? - zapytał porucznik.

- Coście panowie przez ostatnie tygodnie porabiali, że nie wiecie, co się w kraju dzieje? - zapytał towarzysz siwego mężczyzny.

- Bo to gołowasy, im jeno białogłowe i wojaczki we łbach. Przeto ich polityka nie interesuje - stwierdził staruszek - Ale skoro chcecie wiedzieć to was oświecimy: w Słucku ewangelicy i dyzunicy pod laską Jana Grabowskiego zawiązali konfederację. W tym samym czasie w Toruniu tamtejsi ewangelicy w sile bodajże sześciuset szabel na czele z Jerzym Goltzem uczynili to samo. Zarówno jedni, jak i drudzy nakłonieni przez pana Repnina, w swoich postulatach zawarli w pierwszym punkcie zapewnienie pełnych praw politycznych. Dzisiaj caryca ogłosiła publicznie, że dążenia reformatorskie swego kochanka potępia, stronników saskich nazywa „prawdziwymi patriotami”, w przeciwieństwie do spalonej już Familii, a równocześnie wspomaga dysydentów czterdziestoma tysiącami żołnierza!

- Nie może być! - krzyknął poruszony pan Tadeusz

- Może i tak się stało. W kraju stacjonuje teraz armia, a Repnin zmienia fronty i szuka porozumienia z katolickimi fanatykami! Tak przynajmniej mówią.

- Jakże to tak? Z republikantami?

- Jako żywo! Mówię waćpanom, to już nie przelewki - powtórzył szlachcic.

- Co wy na to panowie? - zapytał Paweł - A więc nasze przeczucia się potwierdziły - to robota Repnina!

- Nie byłbym tego taki pewien. Ale na pewno jeszcze o nim usłyszymy, odnośnie tego buntu - stwierdził pan Zatopocki - On to z woli Katarzyny wszystko wyczynia...

- W każdym razie nasze śledztwo wciąż trwa - rzekł uradowany porucznik.

Kościuszek uśmiechnął się ponuro. Pociągnął łyk piwa i spuścił głowę, jakby nad czymś rozmyślał.

- Coś cię trapi przyjacielu? - zapytał Paweł - Dziwnie wyglądasz.

- Aa, chodzi o to - powiedział powoli - że nie będę mógł z wami ruszyć w dalszą drogę.

- Co się stało? - zapytał zaskoczony Paweł.

- Zbyt długo zabawiłem poza szkołą. Powinienem wracać do Warszawy. I tak nie chcieli mnie puścić na ten ślub. Dali mi kilka dni...

Pan Zatopocki złapał się za głowę.

- Prawda! Przez tę ciągłą walkę i snucie teorii o planach Repnina zupełnie zapomnieliśmy o twojej szkole! Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Najszybciej jak się tylko da. Planowałem jutro z rana. Przy odrobinie szczęścia byłbym w stolicy w kilka dni.

Przyjaciele skinęli głowami na znak zgody.

Posiedzieli jeszcze wspólnie przy karczemnym stole do czasu, aż senność dała o sobie znać. Wypiwszy do dna gorzkawą ciec, zapłacili karczmarzowi za napoje i spytali o wolne łóżka w gospodzie. Na szczęście jako jedni z pierwszych postanowili zadbać o miejsce do spania. Znalazły się dla nich odpowiednie pokoje na piętrze. Jako że z samego rana Kościuszek zamierzał odjechać, przyjaciele uścisnęli go na drogę już teraz. Po pożegnaniu wszyscy udali się do swych kwater, gdzie po niespełna kilku minutach zapadli w twardy sen.

Nazajutrz Paweł i Janusz obudzili się około dziesiątej. W obu pokojach, w których spędzili tę noc, powietrze było obciążone oparami alkoholu. Obu doskwierał potworny

ból głowy.

- *To wczorajsze piwsko było przednie, ale nieźle dawało w kość* - tak twierdził każdy, kto spróbował karczemnego specjału, w tym porucznik i Zatopocki.

Gdy tylko udało się im przełamać niechęć i powstać z łóżek, zabrali się za poranną toaletę. W obu pomieszczeniach znajdowały się duże misy wypełnione chłodną już wodą. Obok leżały kawałki płótna do wytarcia twarzy. Gdy Paweł się wytarł, stanął przed lustrem i wyciągnął swój nóż. Obtarł jego klingę umoczył w misce. Przyłożył go sobie do policzka i zręcznym ruchem pozbył się dotkliwego zarostu. Nie obyło się niestety bez zacięć. Mała strużka krwi popłynęła porucznikowi spod nosa. Paweł zaklął po cichu i przyłożył materiał do rany. Gdy już zatamował wylew krwi, nałożył koszulę, a na nią mundur. Założył na głowę zacerowaną ułankę, przypiął do pasa szablę, nóż schował w cholewie. Zszedł schodami na parter, gdzie przy ladzie czekał już jego przyjaciel. Razem zapłacili karczmarzowi za nocleg i opuścili gospodę.

- Co planujesz, Pawle - zapytał pan Zatopocki - Wyruszamy do Warszawy? Na pewno, jeżeli coś będzie się działo w związku tymi konfederacjami, to zapewne w stolicy, nieprawdaż?

- Oczywiście, ale najpierw chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego buntu. Trzeba by znaleźć jakiś prorosyjskich jegomościów i zapytać się, co o tym sądzą i czy mogą nas w ten temat lepiej wprowadzić. Znasz takich ludzi?

- Jedyne osoby to nasz burgrabia. Sądysz, żeby go zapytać?

- Oczywiście, winien jest nam przecież wynagrodzenie za ten... list, który doręczyliśmy kilka miesięcy temu...

Przyjaciele udali się pod rezydencję kasztelana miasta. Byli pewni, że wiedział już o konflikcie Pawła z bojarem. Nigdy nie mieli okazji przedstawić się panu Nałęczycykiem. To dawało im przewagę. Burgrabia nie wiedział, że poseł, którego wysłał do Żęhynia mógł być przeciwnikiem ich organizacji, choć Nałęczycycki na pewno to podejrzewał. Gdy Paweł i Janusz dotarli do siedziby kasztelana, nowy odźwierny, którego spotkał wcześniej Kościuszko, wpuścił ich bez problemu. Bez komplikacji umówiono się na audiencję. Nie czekali zbyt długo. Poproszono ich do gabinetu po niespełna dziesięciu minutach.

- *To w tym gabinecie Tadeusz odnalazł symbol z Repninem* - pomyślał Paweł, rozglądając się za portretem Aleksego wśród masy obrazów.

- Witam was z powrotem. Dawno się nie widzieliśmy - odrzekł chłodno Nałęczycycki. - Z tego co pamiętam, rozstaliście się ze mną jako moi posłańcy.

- Tak jest, mości burgrabio - odparł Paweł. – Przesyłka została dostarczona!

- Przypomnijcie mi, dokąd była zaadresowana?

- Do Żęhynia, wasz miłość. Prosimy o wybaczenie, że o dostarczeniu listu informujemy tak późno. To przez to, że nie dostaliśmy odpowiedzi - tłumaczył się młody ułan.

- *To już bez znaczenia* - Paweł odczytał to z myśli Aleksego, który wbił w porucznika swój wzrok.

- No cóż, mogą waszmościowie się wytłumaczyć: dokąd to się z Żęhynia udali? To zachowanie niegodne takiego pośła jak pan...

Dreszcz przeszedł Taszczyńskiemu po plecach.

- *On jest przekonany, że to my. Szuka jedynie dowodu!*

- Mieliśmy wrócić do Wilna, do księcia Ogińskiego, odebrać należne pieniądze za dostarczenie listu do kasztelana... poprzez ręce waszmości. Spędziliśmy tam ponad trzy miesiące. Na szczęście przypomniałem sobie o korespondencji z Żęhynia.

- Po waszym wyjeździe list, który dostarczyliście mi, znikł... a następnie trafił do kasztelana. Umiecie mi waszmościowie to zajście wyjaśnić?

- Nie, panie burgrabio, nie myśli pan chyba, że to my? - Paweł doskonale udawał zaskoczonego owym oskarżeniem - Tłumaczę waszej miłości, że byliśmy w Wilnie.

Burgrabia westchnął i podniósł się z krzesła. Podeszedł do swojej szafy, otworzył ją i wyciągnął z niej niewielką, skórzaną sakiewkę wypełnioną dzwoniącymi srebrnymi monetami. Rzucił ją na biurko z pogardą, jakby niechętnie oddawał psu resztki z obiadu. Paweł nieśmiało chwycił mieszek i podał przyjacielowi.

- Czy wie pan może, mości burgrabio, o co dokładnie chodzi, z tymi buntami: słuckim i toruńskim? Słyszeliśmy wiele plotek, żadnej jednak pewnej informacji...

- Dysydenci wystąpili z roszczeniami do króla - odparł Nałęczycycki - Chcą takich samych praw, co katolicka szlachta.

- To prawda, że obie konfederacje zostały zawiązane pod protektorem carycy? - zapytał Zapotocki.

Aleksy spojrział na niego przenikliwym wzrokiem.

- Tak, dobrze się stało, że zareagowała. Wszystkim to wyjdzie na lepsze.

- Nawet panu? - zapytał agresywnie Taszczyński.

- To początek wielkich zmian, moi drodzy. Odmieni się życie każdego mieszkańca tych dwóch, wielkich państw.

Nastała chwila milczenia. Paweł i Janusz zauważyli, że ostatnie zdanie burgrabiego wprowadziło go w pewnego rodzaju stan euforii. Uśmiechnął się ni to złowieszczo, ni to przyjaźnie.

- Cóż... - przerwał ciszę Paweł - Zatem raz jeszcze prosimy o wybaczenie za zwłokę i dziękujemy za waszą wyrozumiałość.

To powiedziawszy, obaj skłonili się i uszli do drzwi.

- Zaczekajcie - rozkazał im Nałęczycycki - Wielokrotnie się już widzieliśmy, ale ani razu nie przedstawiliście się.

- Ja jestem Michał Krzaczewski, a to jest mój przyjaciel, Adam Malewski - skłamał Aleksemu Paweł.

- Miło było robić z wami interesy - uśmiechnął się szyderczo, siadając na krześle.

Gdy znaleźli się poza zasięgiem nikczemnego burgrabiego, przyjaciele odetchnęli z ulgą. Nie dość, że udało im się uniknąć rozpoznania, a tym samym dalszych kłopotów z tajną organizacją, uzyskali kilka przydatnych informacji. Rzec pierwsza, towarzystwo Repnina było zamieszane w konfederację bezpośrednio bądź pośrednio. Rzec druga, dowiedzieli się, iż Nałęczycycki popiera dysydentów, co nie działałoby na jego korzyść, gdyby znalazł się w otoczeniu opozycji. Był sposób na usunięcie go z urzędu... w przyszłości. W końcu rzecz trzecia, jak zaczerpnąć języka, to tylko u dygnitarzy!

Przyjaciele skierowali się w stronę schodów. Ku ich zdziwieniu, na terenie rezydencji panował ogromny harmider. Na placu obok fontanny roiło się od zbrojnych mężów domagających się widzenia z kasztelanem. Tego Paweł i Janusz dostrzegli wychodzącego z gabinetu. Pamiętali, co Tadeusz powiedział im na temat rozmowy z Brzostowskim, postanowili więc spróbować zapytać go o coś jeszcze.

- Mości kasztelanie - zawołał Paweł, podbiegając do jegomościa - Czy mógłby nam pan poświęcić kilka minut. Nasz przyjaciel, Tadeusz Kościuszko, był u pana z listem od księcia Ogińskiego.

- To ty go podrobiłeś?! - wybuchnął ściszoneg głosem - Wchodźcie! - rozkazał, otwierając drzwi do gabinetu.

Zamknął je dokładnie na klucz i odwrócił się do przybyszy.

- Cóż przyjacielu, zakładam że przybyliście po resztę odpowiedzi? - zaczął łagodnym tonem.

- Tak, mości kasztelanie, na wstępie prosimy o wybaczenie za nietrafny osąd i zachowanie kwalifikujące się do Trybunału.

- Na waszym miejscu też bym ta pomyślał - powiedział, gładząc blat biurka - Ten skorumpowany kraj jest niemalże we władaniu carycy, a raczej Repnina!

- Jak to? Skąd takie przypuszczenie? - zapytał pan Zatopocki.

- Szykuje coś wielkiego, gromadzi swoich popleczników, którzy szantażują konkurentów politycznych, w tym mnie.

- Chodzi o burgrabiego...? - zapytał Paweł.

- Nie inaczej, choć jest on jednym z wielu. On sprawuje faktyczną władzę nad miastem. Ja, jako że jestem ważną osobistością w kraju, nie mogę zostać zabity. Sam nie mogę bezpośrednio kolaborować z ambasadorem. Wojewodowie, król, inni kasztelanowie - wszyscy ci, którzy jeszcze nie zostali przekabaceni przez tego Moskala, mogliby się o tym zbyt łatwo dowiedzieć. To by oznaczało koniec dyskrecji i „cichej okupacji”, na których Repninowi tak bardzo zależy. Pozostaje im tylko szantaż i groźby pod moim adresem.

- Ich działania nie umknęły jednak naszej uwadze - zauważył z dumą Paweł.

- Tylko na co się wam to zdało...

- Coś w związku z panem planują? - zapytał Janusz.

- Nałęczycycki na bieżąco podaje mi instrukcje od Repnina. Mam określony czas na realizację jego zachcianek.

- Czy jest on wykonawcą woli Katarzyny?

- Tego nie jestem pewien, po części na pewno...

- A co teraz rozkazał waszmości burgrabia? - odezwał się Janusz.

- Nakazał szykować oddziały, które w razie potrzeby miałyby stłumić bunt - odpowiedział kasztelan - Chętnych nie brakuje. Od rana oblegają moją posiadłość...

- Niech zgadnę: zagorzali i fanatyczni łacinnicy? - spytał Paweł.

Kasztelan pokręcił znacząco głową. Podeszedł do okna i odsłonił aksamitną kotarę. Na placu przed posesją znajdowała się rzesza krzyżowców gotowych ruszyć na niewiernych. W tym wypadku też wchodziła w grę nagroda, nie jednak kosztowności: srebra i klejnoty, a szlachecka, stokroć cenniejsza, złota wolność.

- Za pozwoleniem waszej książęcej mości - wtrącił Taszczyński - Czy moglibyśmy ruszyć z panem?

To pytanie wstrząsnęło zarówno Januszem, jak i Brzostowskim.

- A po waść chce się mieszać w tę sprawę? - zapytał zdumiony kasztelan.

Z miny pana Zatopockiego Paweł wywnioskował to samo pytanie.

- Będziemy panu towarzyszyć, chronić - odparł porucznik - Chcemy dowiedzieć się, co knuje Repnin, a na pewno znajdzie się on na waszej drodze, mości kasztelanie. Ma na swoich usługach potężne osobistości w Rzeczypospolitej. Robi się bardzo niebezpieczny. Chcemy też panu zrekompensować fakt, iż wasza miłość nie otrzymał listu na czas. Informacje w nim zawarte odnoszą się do obecnie zachodzących wydarzeń - to powiedziawszy, podał Brzostowskiemu wiadomość, którą otrzymał pierwszego grudnia z rąk wojewody wileńskiego.

- Rozumiem - odpowiedział kasztelan. - Całe szczęście, w tydzień po przybyciu waszego przyjaciela otrzymałem kolejne pismo, tym razem od samego Nikołaja. Rad jestem, że chcecie mi towarzyszyć. Wśród tej pazernej, tak zwanej szlachty, miło będzie mieć pod bronią kilku zaufanych ludzi, zwłaszcza prawdziwych patriotów.

- Dziękujemy za pochlebstwa, wasza książęca mość - skłonił się Paweł wraz z Januszem. - Kiedy mamy się zgłosić?

- Za kilka dni panowie, na razie muszę zająć się sprawami organizacyjnymi. Niebawem otrzymam kolejną wiadomość od Repnina. Wtedy po was pośle. Do tego momentu bądźcie obecni w mieście.

- Tak jest - zsalutował Paweł, po czym wyszedł z gabinetu wraz z panem Zatopockim. Rzecz jasna Janusz nie był zachwycony pochopną decyzją Pawła, lecz

rozumiał jego intencje i sam w końcu doszedł do wniosku, że to dobry pomysł. Sam fakt, że nie zapytał go o zdanie był dla niego nie do przyjęcia, ale zdążył się już do tego przyzwyczaić.

Gdy zeszli na podwórze, z trudem przedarli się przez oczekujących na audiencję u kasztelana. Taki widok mógłby wielkiego hetmana zaskoczyć i uradować, ale biorąc pod uwagę cel wyprawy, była to czysta nietolerancja ze strony tych ludzi. Dziś Paweł i Janusz przesiedzieli kolejny raz w karczmie. Za pieniądze burgrabiego zaopatrzyli kompanię w żywność, wypłacili żołd, a za resztę pili do północy. Koło dwunastej wieczorem, idąc w stronę wartownicy, dostrzegli wokół posesji kasztelana morze płonących pochodni zlewających się w olbrzymie ognisko.

*- Jest ich dwukrotnie więcej niż kilka godzin temu! - pomyślał załamany porucznik
- Strach pomyśleć, co stanie się, jeżeli wyprawa zostanie opóźniona.*

Niestety, przeczucia Pawła okazały się trafne. Gdy nastał pierwszy maja kasztelan i jego „armia” wciąż znajdowali się w Połocku. Kilka dni wcześniej Paweł i Janusz zostali wezwani i wraz z oddziałem znajomej husarii - mieli pełnić straż przyboczną kasztelana. Repnin dał sygnał do mobilizacji! Tego dnia na placu przed rezydencją kasztelana Brzostowskiego zjawiała się potężna grupa zbrojnych i szlachty, która, zgodnie z instrukcjami Nikołaja, miała udać się w stronę Warszawy. Przez całe miasto ciągnął sznur wojska, który wkrótce przekroczył granicę Połocka. Maszerowały wojska prywatne, służba, szlachta i inni fanatycy, co chcieli pozbyć się innowierców i króla.

Rozpoczynała się wojna domowa!

Rozdział siódmy: Krucjata

Morze konnych i pieszej czeladzi zalało równiny białoruskie. Na czele z kasztelanem Adamem Brzostowskim podążało ku stolicy dwa i pół tysiąca żądnych krwi katolików mających za cel zdławienie rebelii dysydentów. Od zaściankowej szlachty po wpływowych magnatów - tak reprezentowała się mozaika sarmacka kasztelana połockiego, który wiodł wojsko na życzenie Repnina, wbrew zwyczajom staropolskim[8]. Nie było mowy o ugodzie. Ci ludzie czuli się zagrożeni, mogli stracić swój największy skarb. Na to nikt z uczestników wyprawy nie chciał pozwolić! Aż strach było myśleć, jak wielu katolików przystąpi jeszcze do opozycji, skoro z samego Połocka i okolic zebrało się prawie trzy tysiące krzyżowców. Wojska litewskiego było tu jednakże niewiele.

Pod przybranym imieniem i nazwiskiem, porucznik Taszczyński jechał u boku kasztelana połockiego. Ten, choć katolik, nie chciał przelewać chrześcijańskiej krwi. Nie mógł jednak zbyt wiele poradzić na, rozwijającą się w niebezpieczny sposób, sytuację polityczną w kraju. Wraz z panem Brzostowskim, w ramach jego kontrolera, wyjechał burgrabia Nałęczycy, który pośród zgromadzonych łacinników posiadał własnych, posłusznych mu ludzi.

W samo południe orszak zatrzymał się na rozległej równinie kilkanaście staj milowych od Głębokiego. Olbrzymich rozmiarów błonie porosły setkami białych, wysokich na dwa metry namiotów. Na niewielkim wzniesieniu, z dala od zgiełku obozowego, rozstawiony został namiot kasztelana oraz kwatery straży przybocznej i kuczka będąca miejscem posiedzeń oficerów. Gdy obozowisko zostało w pełni przygotowane, grupy katolickich awanturników zebrały się w większe skupiska, by wspólnie nastawiać się przeciw dysydentom. Zdesperowany kasztelan patrzył na to z płaskowyzu i rozpaczliwie kręcił głową. Powrócił do swego namiotu, otoczonego przez pełniących straż ułanów oraz dwóch spieszonych husarzy znajdujących się po obu stronach wejścia, trzymających dłonie na rękojeściach szabel. I Paweł był zniesmaczony widokiem fanatyków religijnych, choć w rzeczywistości szlachta ta nie miała zbyt wiele wspólnego z krzyżem na piersi i hostią na języku. Chodziło o zwykłą chciwość, pogardę wobec mniejszości, złość, a dla Pawła fałszywą, wolność. Stawali przeciw królowi - ojcu narodu, któremu wierność przed Bogiem przysięgali.

Maszerując pomiędzy namiotami, porucznik usłyszał wiele na temat tego, co możni Rzeczypospolitej sądzą o sprawie innowierców, i jaki mają do niej stosunek. Często słyszał jeno co drugie słowo, bo ci katolicy zatapiali je w miodzie i winie. Z odrazą Taszczyński przyglądał się zbiorowisku, aż w końcu odurzony oparami alkoholowymi, powrócił do obozu kasztelana. Tam został wezwany do jego namiotu. Gdy husarze przepuścili porucznika, ten odsłonił kotarę i wszedł do środka. Znalazł się w skromnym, jak na

kasztelana, pomieszczeniu. Znajdowały się tu tylko biurko, krzesło, rzecz jasna łoże oraz mała szafka. Całe wnętrze było rozświetlane przez srebrny świecznik z dogasającymi już świecami znajdujący się na blacie stołu. Zastygłe plamy wosku otaczały podstawę.

- Czy wasza miłość mnie wzywał? - odezwał się Paweł.

- Tak poruczniku, potrzebuję waszej pomocy - odrzekł znużony kasztelan, podtrzymując głowę dłonią opartą o biurko - Będę musiał czekać z dalszym wznowieniem marszu aż do czasu przybycia mojego krewnego, Stanisława Brzostowskiego...

- Pułkownika i starosty bystrzyckiego? - przerwał Taszczyński.

- W rzeczy samej - odparł kasztelan - Ale zanim przybędzie ze swoją zgrają szlachty, muszę zwołać naradę wojenną.

- Czy domaga się tego burgrabia? - zapytał porucznik.

- I on, ale nie tylko. Moi pułkownicy chcą dokładnie widzieć, na czym będzie polegać nasza kontr - konfederacja. Sam jeszcze nie wiem, czy będę musiał stłumić tę rebelię szablą, czy też może pojąć albo dojść do porozumienia z buntownikami na sejmie skonfederowanym. Tak czy siak, wojskowi nie będą zadowoleni. A żeby nie zdezerterowali, co byłoby jednoznaczne z surowymi konsekwencjami ze strony Repnina, potrzebuję jakiegoś zaplecza. Musisz popierać mnie w każdym działaniu Pawle, nawet jeżeli są niezgodne z twoimi, nie... NASZYMI przekonaniem.

- Jak sobie wasza miłość życzy - odparł Taszczyński.

Audiencja się zakończyła. Jako że zbliżała się pora obiadowa, powrócił do swojego namiotu i wziął z niego duży bochen chleba. Skierował się do kuchni polowej i zapłacił kwatermistrzowi za posiłek. Ten podał mu przysługujący na kolację kawałek upieczonego na rożnie udźca odyńca. Wziąwszy jedzenie, udał się wyżej, ponad namiot kasztelana i zajął się pałaszowaniem posiłku. Uciął sobie nożem myśliwskim dużą pajdę chleba, posmarował ją smalcem i wepchnął prawie w całości do ust. Zagryzł to kawałkiem mięsa. Żuł tę mieszankę długo, aż w końcu przełknął. Mięso było dość ostre, a nie miał przy sobie nic do splukania gardła.

- *Napiję się na koniec!* - postanowił.

Jadł z apetytem, bowiem zdążył od rana porządnie zgłodnieć. Nim się obejrzał, z przydzielonej mu części mięsa pozostały jedynie ścięgna i kości. Obgryzł dokładnie resztki. Chleba pozostało mu pół bochenka. Włożył go do kieszeni kamizelki, a kość chwycił w dłoń. Zszedł ostrożnie ze skarpy i rzucił pozostałość po posiłku, przywiązany do pala, dwóm psom myśliwskim kasztelana. Ruszył w stronę obozu, gdzie miał nadzieję

dostać kufel piwa. Gdy dotarł do kwater kucharzy, stanął w długiej kolejce po trunek. Po kilkunastu minutach czekania nadeszła jego kolej.

- Czy ja cię już nie obsługiwałem? - zapytał kuchcik, mrużąc oczy.

- Jako żywo, że nie! - odparł zdziwiony porucznik.

Kwaternistrz nie spuszczał z niego wzroku. Mruczał coś i kręcił swoje długie krzaczaste wąsy.

- Widzę, że nie dam rady pana udobruchać - powiedział zirytowany Paweł - Jeżeli coś to da, to jestem z osobistej gwardii kasztelana. Michał Krzaczewski! Lejże do pełna i nie marudź!

Kuchmistrz uniósł brwi.

- W takim bądź razie należy się za służbę porządna porcja - odparł dziwnie uszczęśliwiony, znikając za rozstawionym szynkwasem.

Kucharz, pełniący rolę kwaternistrza konfederatów, nabrał z dużej beczułki kufel złotego trunku i podał Pawłowi. Ten nie zauważył jednak, że coś jest w tym napoju nie tak. Taszczyński pociągnął duży łyk, po którym się nieco skrzywił.

- Odzwyczailem się od żołnierskich napojów - stwierdził, sącząc pianę.

Z kuflem w ręce ruszył w stronę swojego namiotu, gdy nagle zauważył burgrabiego wychodzącego z jednego z połowych domków. Od razu dostrzegł Pawła i ruszył w jego stronę.

- To pan, panie Krzaczewski? - zawołał zdumiony Nałęczycycki. - Nie sądziłem, że tu pana spotkam, panie Michale. Źle pana oceniałem, widać, żeś prawdziwy patriota!

- *W przeciwieństwie do ciebie, szumowino* - odparł w myśli Paweł.

- Należę do osobistej gwardii kasztelana - odparł Paweł. - To zaszczyt służyć takiemu człowiekowi - rzekł z dumą porucznik.

- Oby tak dalej panie Michale, ale proszę uważać, los może się obrócić przeciw tobie. Nasze autorytety czasami nas zawiodą... - rzekł z nutą tajemnicy i grozy, po czym ruszył w swoją stronę. - Życzę smacznego, to naprawdę przednie piwo - rzucił z oddali.

- *Mam nadzieję, że i ty zdajesz sobie sprawę z podobnego, ciężącego nad tobą niebezpieczeństwa* - pomyślał Paweł.

Z każdym kolejnym łykiem szum w głowie stawał się donośniejszy. Słyszał głosy w swojej głowie, sam począł się nieco chwiać, gdy nagle do jego uszu dotarła dosyć nietypowa rozmowa.

- *Kazał nam go zlikwidować...*

- Jesteś tego pewien? - odparł drugi głos. - Przecież należy do przybocznych kasztelana. Możemy go nastraszyć! Może zrezygnuje...

- Rozkaz to rozkaz! - zagrział jeden z rozmówców. - Jeżeli nie dostarczymy mu jego głowy, to nasze wylądują na jego stole! Czekaj... patrz, czyyy, to nie on? - wskazał na Pawła.

- Tak, to on. Nie wywinie się nam! - rzekł jeden z zamachowców dobywając szabli.
- Za towarzysza Repnina!

Niefortunnie się złożyło, że Taszczyński znalazł się w części obozu prawie całkowicie opustoszałej przez dzierżawców namiotów. Wszyscy znajdowali się w centrum obozowiska, gdzie trwały dyskusje i liczne libacje. Paweł pozostał sam. Ku niemu sunęły dwie niewyraźne postaci, trzymające w dłoniach długie przedmioty. Porucznik nie wiedział, co robić. Wyciągnął szablę, ale chwiejnym krokiem odsuwał się od napastników. Gdy jeden znalazł się w odległości metra od Pawła, ten uderzył go w głowę trzymanym w lewicy kuflem. Przeciwnik opadł na ziemię, trzymając się za głowę i klnąc. Drugi napastnik chciał mu rozplatać głowę ostrzem szabli. Zamachnął się, lecz Taszczyński sparował uderzenie. Cofnął się o dwa kroki, lecz stracił równowagę i opadł na miękką trawę. Napastnik miał już wydać wyrok na żywocie upitego żołnierza, gdy nagle dostrzegł dwie postaci wyłaniające się zza narożnika namiotu.

- Do następnego spotkania - warknął, uderzając ułana pięścią w twarz.

Gdy się wreszcie obudził, dojrzał przez zamglony obraz dwie niewyraźne osoby stojące naprzeciw Pawła. Przetarł oczy i rozpoznał wachmistrza i pana Zatopockiego.

- Budzi się! - Andrzej trącił Janusza w bok.

- Witaj przyjacielu, chyba za dużo dziś wypiliśmy - rzekł pobłaźliwie pan Zatopocki.

- A tego lima gdzie się nabawiłeś? - zapytał Piekarski, wskazując na dużą fioletową obwódkę wokół prawego oka. - Dopowiedziałeś coś szczerego po pijanemu, czy może kto inny zaczął? - uśmiechnął się wachmistrz.

- Ja... nie pamiętam... - przyznał się Paweł, pocierając dłonią bolące czoło. -

Pamiętam, że ktoś... chciał mnie zabić... rzucił się na mnie z szablą!

- Niby kto chciałby pana zabić - roześmiał się wachmistrz. - Co prawda znaleźliśmy obok ciebie nagą szablę, roztrzaskany kufel, ale to pewnie jakaś zwada z tutejszymi warchołami. Sam mówiłeś, panie poruczniku, że ci to szukają sposobności do bijatyki o byle co.

- Na pewno? Ale ja wypilem tylko jedną porcję, niemożliwe, że się tak spiłem!

- To, co wydają kucharze, jest tak mocne, że niejeden szlachcic poległby od połowy kufła, panie poruczniku. I tak wykazał się pan umiejętnościami, jak na żołnierza przystało! Trzeba było więcej moich specjałów kosztować! Na pewno się panu wydawało, nikt by nie porwał się na pana, panie Taszczyński. Proszę pamiętać, że takie bitki to u nas norma.

- On ma racje - przyznał pan Zatopocki. - Jesteś przybocznym kasztelana, nikt nie byłby na tyle głupi, by targnąć się na twoje życie!

Pan Taszczyński nie był do końca przekonany, lecz nie miał ochoty dalej spierać się z przyjaciółmi. Uznał sprawę za zbędną do roztrząsania. Powrócił z pomocą przyjaciół do własnego namiotu, ale po drodze rozglądał się na wszystkie strony. To był pierwszy raz, gdy Paweł naprawdę obawiał się o własne życie.

Następnego dnia porucznik został zbudzony około godziny dziewiętej przez jednego z ludzi kasztelana. Ospały ułan przywdział stosowne na obrady ubranie i ruszył do namiotu, w którym miała odbyć się narada wojenna. Przekroczywszy próg kuczki, porucznik znalazł się wśród największych osobistości wojskowych z całego województwa połockiego. Prócz kasztelana i burgrabiego, było tu wielu pułkowników i kapitanów, słowem - oficerska śmietanka. Na dużym stole, wokół którego stali wojskowi, leżały raporty zwiadowców oraz rozłożona mapa Rzeczypospolitej.

- Witaj Pawle, dobrze, że do nas dołączyłeś - rzekł Brzostowski. - Podejdź bliżej, mamy wiele do omówienia.

- A więc, mości kasztelanie - zaczął jeden z pułkowników - Jak prezentuje się dalszy plan naszych działań? Czy ruszamy do Słucka zdławić bunt u nasady, czy może zmusimy ich do kapitulacji drogą szantażu i gnębienia przeciwników?

- Doskonale rozumiem wasz zapał, panie Protocki, jednakże powinniśmy upewnić się najpierw, czy sam król udzieli nam poparcia.

- Nonsens! - zawołał jeden z oficerów - Wszyscy wiemy, że Poniatowskiemu zależało na równouprawnieniu dysydentów! Mimo tego teraz nawet caryca go potępiła.

Nie ma sojuszników, ani nie jest zdolny do działania.

- Przypomnę, że król nie stoi po stronie innowierców, jedynie, w przeciwieństwie do innych, rozumie ich i nie żywi do schizmatyków żadnych uprzedzeń... - wtrącił Paweł.

- Rozważę twe słowa - uspokoił wojskowego kasztelan, puszczając uwagę porucznika mimo uszu. - Jednakże na pewno nie zaatakujemy ani Słucka, ani Torunia.

Ta wedle oficerów, pochopna i dziwna decyzja, wielce ich wzburzyła.

- To co proponujesz, wasza miłość? - zapytał pułkownik Abramowicz. - Na próżno zwoływaliśmy taką wielką zgraję? Taka wielka koncentracja po nic?

- Oto mi właśnie chodzi, pułkowniku - odparł Adam Brzostowski. - Musimy zebrać dostatecznie wielkie siły. Mając po swojej stronie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, obejdzie się bez stosowania przemocy. Dysydenci przystaną na wszelkie nasze żądania, padając do naszych stóp na sam widok naszej potęgi! Niech dostrzegą zjednoczoną brać katolicką. Musimy powołać konfederację! Najlepszym miejscem będzie na to Warszawa.

Tą oto sugestią kasztelan podzielił oficerów na dwa różne stronnictwa: grupę przechylną poczynaniom kasztelana, czy raczej Repnina, oraz Protockiego i jego zwolenników.

- Veto! - krzyczano po stronie antagonistów.

- To nie jeden z waszych parszywych sejmików! - ryknął kasztelan - Głosujmy! Ci, którzy są za siłą grupy, niech przystaną do mnie. Ci, co wolą krew braterską przelewać i wbrew woli większości postępować, proszę do imć pana Protockiego!

U boku kasztelana stał Paweł, Abramowicz, namiestnik husarski, burgrabia i paru innych kapitanów. Po stronie pułkownika Protockiego stanęło pięciu oficerów. Głosowanie zakończyło się zwycięstwem kasztelana.

- Mam nadzieję, że honor oficerski nie pozwoli wam porzucić służby Ojczyźnie wobec racji większości tych, którym na losie Rzeczypospolitej zależy - rzekł kasztelan.

Nie odpowiedzieli na to pytanie, tylko opuścili namiot nadąsani. Kasztelan odwrócił się do swych popieczników.

- Rad jestem, że stanęliście po mojej stronie. Obiecuję, że nie ominie was nagroda, gdy wszystko dobrze się skończy.

Oficerowie skłonili się w podzięcie i opuścili namiot.

- Nie powinien szastać obietnicami, których nie jest w stanie dotrzymać - stwierdził Abramowicz po wyjściu z kuczki. - Widać, że ma spore problemy. Zapomniałem w ogóle przedstawić się waszmości - powiedział, przystając obok Pawła. - Nazywam się Mirosław Abramowicz, pułkownik artylerii w służbie kasztelana połockiego.

Widać było po nim, że musiał siedzieć w jakiejś ciężkiej robocie. Abramowicz był to krzepki chłop, wysoki na dwa metry z, jak to się później okazało, dużym poczuciem humoru, którym był przepełniony aż po same zwisające na wysokości brody rude wąsy. Paweł przedstawił się swym przybranym imieniem i nazwiskiem, a następnie uściśnił jego żelazną dłoń, zginając się, gdy ten potrząsnął jego prawicę i poklepał przyjacielsko po ramieniu.

- Czemu opowiedziałeś się, waszmość, po stronie kasztelana?

- Mógłbym zapytać oto samo - odparł pułkownik.

- Prawda, mnie jednak wiążą z nim pewne układy... i nie mam tu na myśli przekupstwa.

- Nie śmiałybym tak przypuszczać - odrzekł Abramowicz. - Dla mnie Brzostowski to dobry człowiek, lecz wielce zagubiony. A co do mojego wyboru, ufam, że decyzje kasztelana są przemyślane i mają na celu nasze dobro. W końcu jestem żołnierzem, a dobry żołnierz nie wymawia służby, gdy tylko dojdzie jego uszu trudny i niezrozumiały rozkaz. Dobrze, że nie ruszyliśmy na wroga, skoro w całej Litwie dla obrony słucczan Repnin zorganizował 6000 wojska pod generałem - lejtnantem Nummersem.

- Pokazałby waść swoją domenę? - zmienił temat Paweł. - Chętnie obejrzę te zabawki. Dawno już nie miałem do czynienia z artylerią.

- Przyprowadziłem ze sobą jeno puszkarzy, ale na cóż oni, jak armat brak.

- Zawsze to jakaś kompania, jest z kim do kielicha zajrzeć - uśmiechnął się porucznik.

- Racja to. Z waszmość panem również byłoby kiedyś miło gardło spłukać.

- Nie omieszkałbym takiej okazji - zapewnił go Taszczyński. - Teraz proszę o wybaczenie, ale muszę się udać do kasztelana.

Paweł rozstał się z nowopoznanym oficerem. Wciąż jednak powtarzał w głowie wypowiedź pułkownika na temat pana Adama. On naprawdę miał wysokie mniemanie na temat Brzostowskiego. No cóż, kasztelan był dobrym człowiekiem, ale zastraszanym.

A może nie był dobrym, ponieważ dał się zastraszyć? Całe szczęście, że Abramowicz o tym nie wie. Rozmyślając tak nad postawą pułkownika, Paweł zawitał do namiotu kasztelana.

- Dobra nasza, poruczniku! - powitał go serdecznym uściskiem. - Bardzo żeś mi dzisiaj pomógł. Nie zapomnę ci tego do końca mych dni.

- Cała przyjemność po mojej stronie, wasza miłość. Nic jednak szczególnego nie uczyniłem, jeno wywiązałem się ze złożonej obietnicy - odparł Paweł. - Co zamierzasz robić dalej, mości kasztelanie?

- Za kilka dni dotrze tu starosta bystrzycki. Do tego czasu część ludzi, czego jestem pewien, mnie opuści. Niejeden będzie starał się wpłynąć na moją decyzję, zapewne różnorodnymi metodami. Muszę być gotowy na wszystko. Gdy przybędzie Stanisław, będę czuł się pewniej. Wtedy ruszymy w stronę Warszawy...

- A potem?

- Dostane kolejne instrukcje od burgrabiego. Nie jestem pewien, czy na pewno założymy sztab w stolicy.

- Rozumiem. Czy czegoś jeszcze wasza miłość sobie życzy?

- Tak, Pawle - odparł ściszym tonem. - Uważaj, uważaj na siebie i na mnie. Kilka następnych dni będzie bardzo napiętych. Możliwe, że dojdzie do burd, a ja będę potrzebować pomocy. Ty jesteś mi bardzo potrzebny.

- A co potem? - przerwał Taszczyński - Co, gdy wypełnisz zadanie Repnina? Spocznieś na laurach? Dostaniesz nagrodę? Do końca życia będziesz psem burgrabiego i Nikołaja?

- Najprawdopodobniej, gdy nastaną ich nowe rządy... będą chcieli mnie zabić...

Zakończenie całej tej historii wydawałoby się oczywiste, nikomu jednak z wtajemniczonych w intrygi Repnina nie przyszło do głowy, że po wykonaniu zadania zgładzi swojego niewolnika. Janusz wydał się równie zaskoczony co i Paweł, obaj więc wraz z ułanami robili wszystko co w ich mocy, by dopomóc kasztelanowi. Przez następny tydzień w obozie wybuchło kilka konfliktów, które zakończyły się rozpedzeniem malkontentów przez ułanów i ludzi wiernych kasztelanowi. Dni miały nieznośnie długo, wlokły się, godzina za godziną. Majowy upał i towarzystwo nieobliczalnych opozycjonistów z Protockim na czele nie pomagały przetrwać tych kilku, jakże ważkich dla kasztelana dób. Zwolennicy Prockiego nie opuścili szeregów armii, pozostali, gnębiąc i nachodząc kasztelana, by ten przystał na ich warunki. Nieraz dochodziło do

użycia przemocy, zawsze jednak szabla Pawła spisywała się wręcz znakomicie i odgradzała kasztelana od jego nieprzyjaciół. Jedenastego maja koszar się skończył. Przybył pułkownik Stanisław Brzostowski prowadzący posiłki. Opozycja została w tej chwili zdławiona. Cała grupa przybyła do obozu kasztelana była przychylna poczynaniom Adama Brzostowskiego, z racji pokrewieństwa między dwoma przywódcami. Tego samego dnia obóz został zwinięty. Większość malkontentów opuściła obóz, gdy stało się jasne, że do zbrojnego rozstrzygnięcia nie dojdzie. Czy mieli oni na myśli starcie z dysydentami, czy z kasztelanem, który urósł do rangi przeciwnika jednomyślności, ciężko orzec. Dość powiedzieć, że swawolne kupy żołdactwa rozbiegły się po Wielkim Księstwie, zapewne niebawem rozbite przez Moskali Nummersa.

W rezultacie na placu boju pozostało koło czterech tysięcy mężów, których droga wiodła ku stolicy. Potężna armia wznowiła swą wędrówkę. Z licznych starostw i województw docierały niewielkie grupki katolików, które usłyszawszy o wielkiej krucjacie, ogłosiwszy manifest lokalnych konfederacji, dołączyły do Brzostowskich. Konfederaci podążali dalej na południe. Mieli jeden, wyznaczony przez Repnina cel – przywrócić szlachecko-katolicką supremację.

Niekiedy korowód zwalniał, aby za chwilę znów przyspieszyć. Ze wszystkich stron, nadchodziły posiłki, które wzmacniały szeregi łacinników. Niczym Wisła zwalnająca w meandrach, przyspieszająca na długich odcinkach, wzmacniana wieloma dopływami w jej wędrówce.

W przeciągu paru dni armia znalazła się w miejscowości Głębokie. Zebrano stamtąd ochotników, po czym wojsko przekroczyło granice województwa połockiego. Grupa podążała dalej na południe, wzdłuż granicy z wileńskim. Tydzień później, na horyzoncie dostrzeżono zarysy Słucka, jednak zgodnie z postanowieniem kasztelana ominięto to miasto szerokim łukiem. W trakcie drogi rozbito jeszcze jeden obóz. Szybko jednak został zwinięty z powodu uciążliwych komarów i wilgoci. Całe województwo nowogrodzkie, w którym się wówczas znajdowali, położone było na mokradłach.

W miarę jak kawalkada podążała dalej na południe, lasy ustępowały równinom. Prędko minęli Podlasie, a trzeci i ostatni już obóz rozbili niedaleko Brześcia Litewskiego. Wtedy to właśnie za pośrednictwem burgrabiego, Replin przekazał kasztelanowi kolejne rozkazy: Miał wraz z całą ekspedycją ruszyć do Radomia, gdzie w obecności niejakiego Karola Stanisława Radziwiłła „Panie Kochanku”, miało dojść do zawiazania generalnej konfederacji. Cóż, nie ma nic prostszego, niż skierować czterotysięczną armię do innego miasta! Tyle, że była to kolejna zmiana planów, która wywołałaby niezadowolenie ze strony szlachty. Brzostowski nie miał jednak wyboru. Musiał przekonać przywódców do zmiany trasy. Miało do tego dojść na kolejnej naradzie w towarzystwie starosty oraz oficerów. Adam Brzostowski uważał, że należy skoncentrować wszystkie siły katolików nieopodal stolicy. Miało to być zwiastowanie potężnej burzy, która przeraziłaby króla i zmusiła do ustępstw. Argumenty kasztelana były dość logiczne, jednakże znaleźli się

tacy, co przeciwstawili się Brzostowskiemu. Uważali, że zanadto już zwlekali, że ich szable chcą już przybrać barwę ciemnej czerwieni. Nie obeszło się bez kłótni i rękoczyn, ale ostatecznie i tym razem większość poparła kasztelana. Także pułkownik Abramowicz. Dzień po odbytych kole szeregi dezertarów opuściły armię, by działać na własną rękę. Było ich, na szczęście, znacznie mniej niż przy ostatniej rejteradzie z udziałem Protockiego. I tym razem los uśmiechnął się do kasztelana. Jednak zaufanie i oddanie żołnierzy zostało wystawione na ciężką próbę. Nawet Abramowicz nie był zachwycony decyzją o zmianie kwatery głównej. Mimo humorów, armia ruszyła dalej.

Piętnastego czerwca dotarła ona na przedmieścia Radomia. Raz jeszcze ziemia sandomierska miała stać się teatrem, w którym wystawić miano kolejną, znaną już tutaj sztukę - konfederację. Tutejsza szlachta miała głębokie tradycje rokoszowe począwszy od roku 1606, przez 1655, a skończywszy na 1704.

Na obrzeżach Radomia rozstawionych było mnóstwo namiotów należących do uboższej szlachty, zbrojnych pachołków i luźnej czeladzi. Im bliżej ku centrum, tym bardziej majestatyczne kuczki można było dostrzec. Należały do bogatych panów i oficerów, dla których, niestety, nie znalazło się miejsce na kwaterze w jakimś pałacu. Radom stał się największym skupiskiem szlachty, jaki kiedykolwiek widział Paweł. To powodowało, że ciężko było dostać się do głównej kwatery, w której mieli się spotkać wszyscy wojewodowie oraz kasztelanowie przybyli na wezwanie „Panie Kochanku”.

23 czerwca Brzostowscy wyprawili świtę składającą się głównie z oficerów i urzędników – w tym burgrabiego. W jej skład weszli również Janusz i Paweł. W sumie dziesięć osób. Delegacja z północnych województw wkroczyła do głównej kwatery umiejscowionej w radomskim ratuszu. Weszli schodami na drugie piętro, po czym wkroczyli do obszernej sali pełnej szlachciców. Przybyli jako ostatni. Drzwi zamknęły się za przybyszami bezdźwięcznie i zostały obstawione z obu stron kilkoma żołnierzami z nabitymi karabinami.

- *Coś tu jest nie tak* - stwierdził Paweł, rozglądając się po pomieszczeniu.

W narożnikach stali żołnierze odziani w żółto - granatowe mundury. Kilku czaiło się za zasłonami okien. Łącznie około piętnastu. Tyłu na razie naliczył porucznik, choć wojska było tu pewnie znacznie więcej. Nie byli to żołnierze Korony, ani milicjanci. Chciał ostrzec kasztelana i dowiedzieć się, co tutaj robi wojsko, gdy nagle zadzwonił dzwon, zupełnie jak na mszę. Innymi drzwiami na salę wkroczyło kilka znanych w Rzeczypospolitej osobistości: Karol Stanisław Radziwiłł - litewski banita, Celestyn Czaplic oraz... Nikołaj Repnin i jego zaufany człowiek - pułkownik Wasilij Karr. Paweł odruchowo złapał za rękojeść szabli. Miał już ją wyciągnąć z pochwy, gdy Zatopocki powstrzymał jego rękę. Porucznik skinął przyjacielowi w podzięcie i wciąż zdenerwowany, zaczął przyglądać się przebiegowi wydarzeń. Na wysokim podwyższeniu stanął przybyły przed chwilą były wojewoda wileński Radziwiłł. Spasły jak świnia, łysy

jak kolano, z rudymi wąsami i niewielkimi oczkami - tak prezentował się były uchodźca - „Panie Kochanku”. Podniósł swe ręce, by uciszyć rozgadany tłum. Zdziałało jak zaklęcie, wspomagane przez rosyjskich przyjaciół...

- Zebraliśmy się tutaj! - zaczął grubym głosem - aby przywrócić dawny porządek w naszym kraju! Winniśmy przegnać precz dysydentów, pokazać im ich miejsce w świecie!

Tłum wiwatował.

- Zebraliśmy prawie siedemdziesiąt tysięcy braci - katolików, którzy mieli pomóc nam w oczyszczeniu ziemi z niewiernych. Rad jestem, że tak wielu zechciało dopomóc - tu Radziwiłł spojrział na Repnina - Ale skoro udało się zjednoczyć przeciw wspólnemu wrogowi i łączy nas słuszna sprawa, proponuję inne, równie prawe rozwiązanie równie dotkliwego konfliktu.

Część szlachciców bardzo się wzburzyła na te słowa.

- Proponuję - ciągnął Radziwiłł - abyśmy pojednali się z dysydentami! Pod wspólną protekcją Katarzyny, unieważnimy decyzje Familii i króla, postawimy mu żądania, po których będzie mógł pozostać na tronie!

Połowa zebranych szlachciców i magnatów zaczęła wiwatować oraz klaskać na cześć mówcy. Pozostali chwycili kurczowo za kolby pistoletów i szable.

- Przybyliśmy tutaj na próżno! - krzyknął Michał Krasiński. - Zamiast walczyć z naszym wrogiem, pogodzimy się z nim! Nie zgadzam się na taki obrót sprawy! Mieliśmy detronizować króla, pozbyć się różnowierców, a nie spoufalać się z nimi! Oszukano nas! Zdrada! – to powiedziawszy, rzucił piernacz do nóg Radziwiłła.

Po nim oznaki godności oficerskich rzuciło kilku innych oficerów. Część obnażyła szable. Także i Paweł chciał tego dokonać, lecz znowuż powstrzymał go jego przyjaciel.

- To wasza ostateczna decyzja? - zapytał bynajmniej nieporuszony Radziwiłł.

- Tak - odparł zdecydowanie Krasiński - Nie po to tutaj przybyliśmy, aby króla szantażować i poddawać się woli Rosjan, którzy tę komedię zmyślnie zaaranżowali, ale raz na zawsze pozbyć się problemu i ocalić swój honor!

Radziwiłł westchnął. Znajdujący się na sali żołnierze okrążyli buntowników i wycelowali w nich swoje karabiny.

- Jeżeli nie będziecie uczestniczyć w moim... naszym przedsięwzięciu z własnej,

nieprzymuszonej woli, znajdziecie się na to inny sposób. Wyprowadzić ich! - krzyknął książę, dając znak strażnikom, by otworzyli drzwi.

Wszyscy, którzy nie byli na tyle odważni, by przystać do Krasieńskiego i ci, co uważali słowa Radziwiłła za słuszne, teraz stali przerażeni i przyglądali się tej zdradzie... Tylko kto kogo zdradził... Czy oni sami, poprzez swe buntownicze tendencje, nie byli zdrajcami?

Paweł podbiegł do okna i odsunął kotarę. W całym mieście wyszli z ukrycia żołnierze Repnina, którzy w tej właśnie chwili zajęli się rozbijaniem ludzi Krasieńskiego oraz innych, którzy nie mieli zamiaru przystać na żądania Radziwiłła. Historia kołem się toczy - sto lat temu również przedstawiciel tego litewskiego rodu zmusił szlachtę do wypełnienia swojej woli, też z pomocą zagranicznych protektorów i za cenę wolności Ojczyzny.

Paweł nie mógł jednak zrobić nic, aby temu zaradzić.

- *Prawdopodobnie i moich ludzi zaaresztują* - pomyślał porucznik, nie odrywając wzroku od okna.

- Drodzy przyjaciele - kontynuował „Panie Kochanku” - Dobrze wybraliście. Dzięki poparciu posła carycy, Nikołaja Repnina i jego wojska, wkrótce dopniemy swego. Wróci nie złota, lecz już diamentowa wolność szlachecka! Od tej pory caryca będzie dbała o dobro naszego kraju. Wiwat Katarzyna Wielka, wybawicielka Rzeczypospolitej!

- Niech żyje! - krzyczała szlachta po trzykroć.

Po aplauzie na cześć carycy, Karr podszedł do Radziwiłła ze zwojem i laską w ręce.

- Czcigodny Radziwille - rzekł łamaną polszczyzną - rad jestem mieć takiego zacnego sprzymierzeńca na czele tego, godnego pochwały i naśladownictwa, ruchu. Obiecujemy dopomóc bratniemu narodowi waszemu, aby mógł cieszyć się tą samą wolnością, co i wasz braterski naród rosyjski. Niniejszym wręczam ci panie ten oto gotowy manifest konfederacji oraz laskę na dowód naszej otwartej działalności. Przyjmijcie panie tytuł marszałka konfederacji radomskiej!

- Składam podziękowania waszmości - powiedział „Panie Kochanku” - Obiecuję dobrze piastować swoje godności. *W imieniu zgromadzonych tu patriotów naszych polskich i litewskich wiążemy się przy wierze świętej rzymskiej katolickiej panującej i całości onej nieskazitelnej, przy prawach, wolnościach, swobodach i prerogatywach (...) obiecując i przyrzekając sobie wzajemnie (...) że dotąd nie rozwiążemy, dokąd nam sejm ekstraordynaryjny przy gwarancji protekcji i wsparciu Najjśniejszej Imperatorowej Jmci (...) dla utrzymania praw i wolności naszych wieczyście, tudzież formy rządów*

Rzeczypospolitej, nie przywróci dawnych swobód, wolności, prerogatyw i praw naszych.

Tegoż *journee des dupes*[9] wszyscy ważniejsi szlachcice i księża podpisali się pod manifestem, raz z przymusu raz z przekupstwa. Przy okazji podawali deklaracje członkostwa swoich podwładnych. Ci, którzy z osobistych względów nie mogli stawić się dziś w Radomiu, przysyłali akcesy na piśmie, w tym brat Michała Hieronima, Adam Krasieński, Kajetan Sołtyk oraz Sierakowski. W sumie uzyskano siedemdziesiąt pięć tysięcy członków. Marszałek generalny Radziwiłł przyjął na służbę Marcina Matuszewicza, który pełnił rolę jego sekretarza. Konfederację rozpoczęto od ukonstytuowania generalności. Prześwietni radomianie, wśród których znalazło się wiele „inteligentnych” i „światłych” umysłów, poczęli działalność od zaprzysiężenia na wierność wszystkich jurysdykcji, od zawieszenia w obowiązkach wielu stronników Czartoryskich i od zaprowadzenia sądów, które rzuciłyby terror na każdego opornego. Pozostaje jedynie dodać:

Książ... zmiłuj się nad sobą, zmiłuj się nad nami...

Rozdział ósmy: Ultimatum

Dwudziesty trzeci dzień czerwca 1767 na zawsze odmienił losy Rzeczypospolitej. Ponieważ konfederacja radomska stała się jawnym spiskiem przeciw obranemu królowi, a także w dotychczasowym mniemaniu radomian dysydentem, Radziwiłł, a raczej Repnin, zdecydował, by przenieść siedzibę do Warszawy. Naprzeciw Stanisławowi Augustowi ruszyło ponad siedemdziesiąt tysięcy konfederatów, przy wsparciu armii Cesarstwa Rosyjskiego, sile czterdziestu tysięcy ludzi. Moskwa dźgała bagnetami ociągających się panów szlachciców.

Stało się. Repninowi nie chodziło wcale o zbrojną walkę z dysydentami. Była to kwestia mało istotna, która podburzyć miała społeczeństwo katolickie. Chciał zebrać ewentualnych opornych, by mieć ich pod swoim czujnym okiem i wykorzystać do własnych celów. Cały dwuletni dorobek Ciołka miał zostać zniweczony, przy czym Stanisław August zrzucony z tronu. Tak przynajmniej sądzili konfederaci, którzy jeszcze przed otrząśnięciem 23 czerwca snuli plany wydelegowania posłów na dwór drezdeński. Teraz ambasador wyłożył karty na stół - zrówna się dysydentów z łacinnikami, króla nauczy posłuszeństwa, a Polskę otoczy rosyjskim, „ochronnym” parasolem. Teraz, jak przed kilkudziesięciu laty na Sejmie Niemym, pod osłoną Moskali, ustanowi się pewnie to i owo dla zadowolenia Rosji i udobruchania szlachty na kolejnych kilkadziesiąt lat. Ach, cóż za straszne rzeczy dzieją się z tym krajem, w którym największe wartości przedkładane są nad dobra materialne! Nie godzi się szlachetnie urodzonym sprzeciwiać się woli ojca narodu. Chamy, czerń kozacka - ich zachowanie się jeszcze zniesie, stłumi rebelie i wbije uczestników na pal, lecz co z tą arystokracją o sarmackich korzeniach!? Uchowaj ją Boże!

Konfederaci radomscy, zajęchawszy do Warszawy, ujrzeni w Saskim Ogrodzie namioty i działa tysiąca ośmiuset piechurów rosyjskich. Nie tylko jednak tutaj. W całym mieście, w ważniejszych i słabiej bronionych punktach rozłożyli się na żołdacy moskalscy. Rosjanie zajęli kwatery w całej Warszawie, zwłaszcza w możniejszych domach arystokratycznych. Na warszawiakach ciążył obowiązek utrzymania okupantów. Kozacy i Rosjanie rozstawili posterunki w stolicy, przylegających jurydykach i u wylotów aglomeracji. Mysz by się nie przecisnęła. Kozły hiszpańskie zagradzały drogę komukolwiek, przebywanie poza domem o określonej porze wiązało się z surowymi konsekwencjami.

W tych nadzwyczajnych okolicznościach, pod wężłem konfederacji, poczyniono starania o zwołanie sejmu, który miał przejść do historii jako sejm repninowski. Ambasada rosyjska stała się najlepiej chronionym i najważniejszym miejscem w całej Warszawie. Stała się faktycznym „gmachem Rzeczypospolitej” w miejsce zamku. Król

nie miał nic do powiedzenia. W jego złotej klatce lądowały konstytucje, które musiał podpisać. Byłby już dawno rozszarpany przez republikantów, gdyby nie stanowczość Repnina, który trzymał za sznurki butną szlachtę, jak i samego Ciołka. Nadszedł czas rozpocząć przedstawienie!

Sejm jednak nie został przez ambasadora rosyjskiego zwołany od razu. Osiemnastego lipca król przyjął audiencję delegacji radomskiej i wysłuchał z łaskawą twarzą protestów konfederatów. Nakazano zwołać sejm walny. Zanim jednak uroczyste go otworzono, minęły prawie dwa miesiące. Paweł miał więc nieco czasu, aby przemyśleć plan działania. Pierwszą rzeczą, jaką przyszło mu zrobić, to spotkać się z Tadeuszem Kościuszką. Paweł i Janusz udali się pod wieczór tego dnia do Szkoły Rycerskiej, gdzie mieli spotkać się z przyjacielem. Musieli czekać jednak dość długo, gdyż jako instruktor podbrygadier miał Tadeusz wiele pracy i nie mógł stawić się o umówionej porze. W końcu zjawił się i uściskał z przyjaciółmi na powitanie.

- Rad jestem was widzieć przyjaciele, jeno przykro, że w takich strasznych okolicznościach - powitał ich Tadeusz.

- I ciebie przyjacielu. Jak ci minęła tamta podróż? - pytał Janusz. - Przy okazji: czy Orłowski dostarczył list królowi?

- Znośnie. Była bardzo męcząca. Ale i tak bez porównania z tym, co czekało mnie tutaj - uśmiechnął się, spoglądając za Korpusem Kadetów. - Tak, dostarczył i oddaje Pawłowi sygnet poselski - powiedział, sięgając do kieszeni po pierścień. - A teraz mówcie mi panowie: jak doszło do tej przeklętej awantury?!

Młody ułan rozejrzał się dookoła, czy nie ma gdzieś w okolicy jakichś gapiów.

- Repnin zjednął sobie grono szlachty katolickiej. Głosił, że będzie chciał zrzucić króla z tronu, cofnąć reformy i zająć się dysydentami!

- To już wiem z plotek i gazet - oznajmił Kościuszko.

- Poczekaj. Kiedy wyruszyłeś do Warszawy, udaliśmy się do burgrabiego poinformować o dostarczeniu listu do Żęhynia. Wiesz, tego w którym zastraszał starostę.

- Przypominam sobie - Kościuszko zmrużył oczy.

- Wy tłumaczyliśmy mu, dlaczego tak długo nie wracaliśmy i odebraliśmy pieniądze. Były nam potrzebne na zaopatrzenie drużyny. Burgrabia zachowywał się bardzo podejrzliwie. Musiał się wszystkiego domyślać, jednak nie miał dowodów na nasze zamieszanie w sprawy ichniego Towarzystwa. Wychodząc, napotkaliśmy kasztelana i całą masę szlachciców dobijających się do jego drzwi! Po rozmowie

dowiedzieliśmy się, jako on i Ogiński wypełniają wole Repnina, nakazał on ruszyć z konfederacją do Radomia. Uznałem, że to możliwość, aby dowiedzieć się czegoś więcej, więc ruszyłem z kasztelanem. Na miejscu okazało się, że Repnin kierujący swymi nowymi „sprzymierzańcami” chce wymusić na królu ustępstwa, a sprawa dysydencka była jedynie pretekstem by poderwać szlachtę i zgromadzić ją w jednym miejscu!

- Sądziś, że skoro Nikolaïj należy do tej organizacji rosyjskiej, to ich przywódczynią jest caryca? I że to ona kazała mu uczynić tę maskaradę?

- Nie inaczej. Ale wszystkiego dowiem się wkrótce od samego Repnina - odpowiedział Paweł.

- Planujesz go porwać? - zawołał Janusz - To samobójstwo! Wiesz, jaką ma on protekcję?!

- Na pewno nie jestem jednym, który ma go dość. Prędzej czy później nadarzy się sposobność. Czas pokaże.

Sejm zawiązany pod węzłem konfederacji radomskiej rozpoczął się piątego października. Zatwierdził on siły rosyjskie obecne w Rzplitej jako *posiłkowe i prawdziwie Narodowi pomocne*. Do dnia uroczystego otwarcia zdążyli już zniknąć ze sceny radomskiej konfederacji: Szczęsny Czacki - wprowadzony dwudziestego drugiego sierpnia oraz Franciszek Koźuchowski - Po tym słuch zaginął jeszcze we wrześniu. Marszałkiem całej imprezy sejmowej został nie kto inny jak Karol Radziwiłł. Nie był on jednak posłem, co wzbudziło powszechny sprzeciw, lecz na nic się on zdał wobec przekonujących argumentów żołnierzy rosyjskich, których pełno było na wszystkich sesjach sejmowych. Dosłownie każde posiedzenie zaszczycał obecnością oficer rosyjski, aby mieć pewność czy punkty dotyczące równouprawnienia nie zostaną przez parlamentarzystów pominięte. Wielu było jednak ludzi, którzy za nic mieli sobie moskalskie pogrożki. Tak oto już na posiedzeniu trzynastego listopada biskup Kajetan Sołtyk zaczął sprzeciwiać się jawnie błędom i bezprawiu konfederacji, planowanemu równouprawnieniu innowierców, a także prośbie o rosyjską gwarancję, którą złożyli przed Katarzyną wyłonieni i wystosowani delegaci radomscy: Józef Ossoliński, Ludwik Pociąg, Józef Potocki, Michał Wielhowski i w roli sekretarza, Szymon Kossakowski. Delegaci stanęli przed carycą z prośbą o gwarancję ustrojową, w zamian za co mieli uznać projekt dysydencki.

- *Do tych, któremi się niegdyś prawowierni republikanie Machabejczykowie w nieszczęśliwych ojczyzny swej czasach utwierdzili: Niechaj nam Bóg będzie miłosierny! Niepożytecznie byłoby nam mości panowie - wołał Sołtyk - odstąpić sprawy i interesu Boskiego. Teraz więc obstawiajcie przy prawie i dajcie dusze wasze za zakon ojców waszych, a nabędziecie chwały wielkiej i mienia wielkiego!*

Podniosła, patetyczna mowa poruszyła sejmujących. Od początku sejmu walnego

to właśnie biskup Kajetan zdawał się być najbardziej zaaferowanym parlamentarzystą. Przypominał sobie, jak ważna jest obrona kościoła, najgłośniej ze wszystkich kolegów - biskupów protestował, nawet bardziej był głośny od samego nuncjusza Angelo'a Durini'ego. Ten jednak swoimi działaniami wcale Polakom nie pomagał, choć na pewno robił na nich wrażenie. Nazywał wszystkie bezprawne czyny w Warszawie działaniami, na które żaden katolik nie powinien się godzić. Wzywał do walki, w innym wypadku po zatwierdzeniu takich podłych projektów groziły klątwy ze strony papieża.

Jako że już od dawna Repnin miewał kłopoty z osobą wielmożnego pana biskupa krakowskiego, spotkał się z duchownym posłem na osobności.

- *Bacz na słowa biskupie, albowiem z księcia siewierskiego uczynię ciebie sybirskim!* - cedził przez zęby ambasador, mając dosyć samowoli klechy, który jak dotąd był „wygranym” rozgrywek na sejmie.

- Nic mnie już twe pogrożki nie obchodzą - prychnął pan Sołtyk - Senatorem jestem! Nietykalnym! *Na nic się zdadzą groźby czy też przekupy. Ja o dobro ojczyzny dbać będę! O wiarę katolicką walczę!*

Mniej kłopotów miał z samym nuncjuszem, który był dyplomatą zagranicznym, ale reprezentował kraj, z którym żadne już państwo, nawet najmniejsze księstwo włoskie, nie liczyło się wcale.

Konfederacja radomska, od samego początku zawiązania, podzieliła się na dwa obozy, choć niemal wszyscy konfederaci byli republikantami: na tych posłów i radomian, co nie baczyli na groźby ze strony Repnina oraz tych, co posłusznie, za pieniądze bądź grożący strycek ambasadora, gotowi byli uczynić wszystko, czego pan Nikołaj oczekuje. Już w dniu konfederacji objawiła się ta różnica - jedni bez jakichkolwiek obiekcji złożyli podpis, inni protestowali.

Michał Krasiński, choć pierwiej protestujący, powrócił do łask Repnina, ale wciąż bacznie obserwowany, został członkiem sądu konfederacji.

Ambasador pociągnął duży łyk koniaku z kielicha. Założył nogę na nogę. Spoglądał przez okno gmachu ambasady rosyjskiej na panoramę warszawską. Mimo okupacji miasto tętniło życiem. Dziesiątki karoc wielmożów jechało ulicami stolicy, ludność, choć zastraszana i często sama przerażona, starała się wieść normalne, jak przed rozpoczęciem sejmu, życie. Kwaterowani Rosjanie przysparzali jednak kłopotów finansowych. Żołdacy rosyjscy nieraz upijali się do nieprzytomności i wszczynali na ulicach burdy z porządnymi obywatelami, zawsze jednak to oni wychodzili zwycięsko z utarczek. Tak jak Moskale, tak i Kozacy oddawali się uciechom w domach publicznych, które podczas obecności w Warszawie wojsk carskich bez przerwy pozostawały przepełnione. Interes kwitł.

Z tyłu, za jego plecami, z wypiętym brzuchem i rozpiętymi na nim guzikami, wręcz leżał na krześle „Panie Kochanku”. Nieprzytomny już prawie, z dziwnym szumem we łbie, przykładał do ust butelkę z winem.

- Do kroćset - warknął Repnin. - Musimy coś uczynić z tym Sołtykiem, inaczej wkrótce cała konfederacja stanie przeciw mnie.

Repnin zawsze wyolbrzymiał najdrobniejsze problemy.

- Przecież mamy całą armię - odezwał się, czkając, Radziwiłł.

Repnin odwrócił się, podszedł do stołu i walnął pięścią w blat.

- Głupiś matole! Wszakże da mi co sejm bez posłów! He? Pomyśl czasem, chyba że przerasta to twoje możliwości! Chcesz walczyć? Rzym straszy klątwą, ja wojskiem i Poniatowskim. Cała ta zgraja jest teraz nieobliczalna. Ciężko będzie trzymać ją w ryzach.

Reprimendę dla pijanego magnata przerwało pukanie do drzwi.

- Wejść! - rozkazał nabuzowany Repnin, poprawiając surdut.

Do pokoju wkroczył rosyjski piechur z torbą kurierską.

- Wasza książęca mość, list dla waszej miłości.

- Do mnie? - zdziwił się Radziwiłł, odwracając głowę.

- Do mnie imbecyłu... - mruknął Nikołaj, odbierając poszarzałą wiadomość.

Piechur zasalutował i wyszedł z pokoju.

- To jest od kanclerza Panina - wyjaśnił Repnin.

Nikołaj rozerwał pieczęć i zaczął czytać na głos:

Teraz, gdy już szelmostwa pomienionego biskupa przekroczyły wszelką miarę i gdy już macie pozwolenie użycia przeciw niemu środków przymusowych, oczekuję niecierpliwie wiadomości, coście z nim uczynili, a zdaję mi się, że już czas dać za jego pośrednictwem innym fanatykom nauczkę i wsadzić jego Wielebność do kozy.

- To jest myśl! - w oczach Repnina pojawił się błysk – Zastraszyć! Dla przykładu!

Kilku ważkich oponentów uprowadzimy i publicznie to oznajmimy. Wtedy drżąca ze strachu opozycja przycichnie i wyłonimy delegatów. Ale gdzie my ich wywieziemy? - myślał Repnin, gładząc się po podbródku.

- Może, do któregoś z moich zamków? - zaproponował Radziwiłł.

- Nie. Co prawda w zeszłym liście proponował mi Panin wysłać kilku przeciwników do twojej twierdzy, ale miało być to w skrytości. Jeżeli chcemy, aby opozycja się przeraziła, musi być to jawna manifestacja naszej siły i miejsce, z którego na pewno się nie wraca. Musi to być większa liczba posłów niż ta, którą uprowadziłem spośród agitatorów katolickich końcem lata.

- Do Rosji! - sugerował „Panie Kochanku”.

- To jest to. Już wiem! - Repnin wpadł na pomysł - Do Kaługi! - zbył wcześniejszą uwagę marszałka.

- Dobra myśl - odparł Radziwiłł, złościąc ostatnie krople z flaszki i spoglądając jak dziecko na pustą butelkę.

- Teraz muszę uprowadzić kilku ważnych opozycjonistów i zadbać o to, aby wieść o ich porwaniu rozeszła się po wszystkich konfederatach. Rzecz jasna podkoloryzujemy przebieg porwania. Gazety nam w tym na pewno dopomogą. Tak, tak, to musi się udać! - zacierał ręce ambasador.

- Trzeba ostrożnie wybrać cele. Najlepiej by było, gdyby to byli ci domniemani ludzie, co szykują własną rebelię przeciw nam - zasugerował Karol Stanisław.

- Domyślam się, którzy do nich należą - poinformował go Repnin - Straż! - zawołał

W drzwiach stanął żołdak rosyjski.

- Tak panie?

- Wołaj mi tu pułkownika Osipa. Mam dla niego zadanie.

Wieczorem 13 października, pragnąc podziękować za dotychczasowe wsparcie, Adam Brzostowski zaprowadził Janusza i Pawła na bal, a następnie zafundował im możliwość gry w bilard i w karty w jednej z warszawskich kawiarni. Paweł był jak najbardziej wdzięczny za dobroć okazaną przez swego obecnego zwierzchnika, lecz mógł w ogóle bawić się i cieszyć rozrywką w tak trudnych chwilach. Nawet tu, w miejscu, gdzie wedle zamierzeń kasztelana miał odprężyć się i zabawić, przez unoszące się w powietrzu chmury dymu z cygar oraz opary alkoholu, dostrzec mógł gęby

moskiewskich oficerów zabawiających się polskimi kobietami, polskim alkoholem i tytoniem, ludzkim kosztem i nieszczęściem...

Nie mogąc znieść okoliczności, Paweł opuścił kawiarnię. Gwieździsta, bezchmurna noc zapanowała nad Warszawą. Latarnie swym lekkim światłem rozjaśniały fragmenty ulicy Długiej, którą kierował się na kwatere porucznik. Szedł środkiem, kopiąc fragment rozkruszonego bruku, aż dotarł pod numer 29 - ambasadę rosyjską. Nad dwupiętrowym budynkiem wznosiło się sześć kominów umiejscowionych symetrycznie, po dwóch stronach poddasza znajdującego się na środku dachu. Ściany tej okazałej budowli zdobiły wąskie, lecz wysokie jak dwóch mężów okna. Nad głównymi drzwiami piętrzyło się do samego poddasza sześć kolumn.

Nagle z dwóch bocznych wejść wybiegło kilku żołnierzy rosyjskich. Paweł dostrzegł karetę zmierzającą przed ambasadę, przed którą się po chwili zatrzymała. Porucznik wykonał kilka kroków w tył i przyczaił się w cieniu kamienicy. Drzwi głównego wejścia otworzyły się, oświetlając trzy stopnie. Z wnętrza budynku wyszli dwaj elegancko ubrani mężczyźni w białych perukach w towarzystwie Repnina. Paweł znalazł się w odległości dziesięciu metrów od niego. Chwycił za pas, ale znowu nie wziął pistoletu. Porucznik zaklął pod nosem. Znowu. Lokaj otworzył drzwi powozu. Poseł rosyjski wszedł do wnętrza i usadowił się z towarzyszami na siedzeniach. Posrebrzana karetą ruszyła w stronę, z której nadchodził porucznik. Żołdacy Repnina powrócili do gmachu ambasady. Taszczyński pospieszył w stronę Wisły. Karetą ambasadora szybko zmierzała w stronę Pragi. Paweł musiał biec, aby nie stracić jej z oczu. Gdy porucznik mijał lokal, do którego został zaproszony, przez szybę dojrzał go pan Zatopocki. Zbliżywszy się do okna, wsparł się rękoma o szkło i spojrzał, gdzie biegnie jego przyjaciel. Czym prędzej narzucił na siebie swój niebieski płaszcz, założył trikorn i wybiegł z kawiarni. Powóz ambasadorski zatrzymał się nad rzeką, gdzie czekało na niego kilku jegomościów. Zdyszany Paweł zdołał dobiec i spostrzec, w którą stronę będzie się dalej kierował Repnin i zgromadzeni. Gdy Nikołaj i dwaj pozostali pasażerowie wyszli z karocy, pozostali uczestnicy spotkania skłonili przed Replinem głowy. Ambasador ruszył pierwszy. Po kamiennych schodach zszedł z towarzyszami na przystań. Paweł przyglądał się grupie z bezpiecznej odległości, gdy nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił głowę i spostrzegł Janusza. Ten wyciągnął zza pazuchy pistolet i wręczył przyjacielowi. Taszczyński skinął głową i wskazał zejście, jednocześnie pouczając o zachowaniu ciszy.

- Repnin? - szepnął Zatopocki.

- Tak, musimy dowiedzieć się, co knuje. Domyślam się, że o tej porze to nie będzie żadna sesja sejmowa.

- Trzeba by zawiadomić Tadeusza - zaproponował

- Nie wiem, czy zdążymy - odparł Paweł. - Chodź, dowiemy się, dokąd zmierzają. Przyjaciele podeszli do krawędzi i spojrzeli w dół. Repnin i jego ludzie wsiadali do łodzi, która po chwili wyruszyła w stronę Pragi. Wśród panujących ciemności tylko ona, dzięki latarni na dziobie, była widoczna na rzece. Gdy łajba się oddaliła, Paweł i Janusz zeszli na przystań. Tylko jedna łódka była przywiązana do pomostu. Gdy tylko się do niej zbliżyli, za plecami usłyszeli czyjś głos.

- A cóż to jaśnie panowie wyprawiają?

Mężczyźni odwrócili się i dostrzegli siedzącego na zwoju liny starszego, brodatego mężczyznę. Zmieszani, nie potrafili wydobyć z siebie dźwięku.

- Potrzebujemy łodzi - odparł w końcu Paweł.

- O tej porze? Po cóż wam ona? - zdziwił się rybak.

Znowu nie potrafili mu odpowiedzieć. Nagle z ciemności wyłoniła się kolejna postać.

- Czybyście śledzili Renina? - zadał pytanie kobiecy głos.

Panowie zdziwili się na te słowa, tym bardziej, że padały z ust niewiasty.

- Kim jesteście? - zapytał Zatopocki.

Postać zbliżyła się do pomostu.

- Nazywam się Anna, to mój ojciec Józef - odparła kobieta niskiego wzrostu, o bujnych blond włosach. - Mówicie, że potrzebujecie łodzi?

- Istotnie, chcemy dostać się na Pragę - odparł Paweł, unikając odpowiedzi na wcześniejsze pytanie. - Możecie jej nam użyzyć?

- Jeżeli chcecie dowiedzieć się, z kim spotyka się Repnin, musicie nas zabrać - odparła bez ogródek.

Nie chcąc tracić czasu, Paweł przystał na propozycję, odkładając wyjaśnienia obu stron na później. Janusz zajął się odwiązywaniem łodzi, Józef udał się do budki obok, wracając po chwili z pakunkiem broni na rękach. Pani Anna chwyciła leżące na moście wiosło i rzuciła Pawłowi. Gdy Janusz przygotował łajbę do drogi, pan Taszczyński pomógł wsiąść kobiecie do łodzi. Po tym, jak zajęła miejsce, porucznik odebrał z rąk Józefa żelastwo, które umieścił na tylnym siedzeniu. Gdy wszyscy znaleźli się w środku, łódź odbiła od brzegu. Janusz wiosłował, raz z jednej, to z drugiej strony, dosyć cicho,

aby nikt się nie zorientował o ich obecności. Młody ułan i Józef zajęli się szykowaniem moderunku. Po rozwinięciu opakowania, ujawniła się jego zawartość: sztylet, szabla, rapier, para pistoletów i muszkiet. Cała ta sytuacja oraz uzbrojenie w rękach mieszczan dziwiła zarówno Pawła jak i Janusza. Józef przystąpił do nabijania broni. Będąc w połowie drogi, Zatopocki dostrzegł w bliskiej odległości łódź. Na jej pokładzie znajdowali się żołdacy rosyjscy. Jeden z nich stał na dziobie, trzymając w rękach lampę i rozglądając się wokół. Cała czwórka legła w łajbie, unikając światła. Nagle jeden Rosjanin dostrzegł jakoby pustą łódź na środku rzeki. Moskale podpłynęli do statku - widmo. Gdy tylko się do niego zbliżyli, Paweł i Janusz, dzierżąc w dłoniach sztylety, rzucili się do wrogiej łodzi i uciszyli Moskwiczów. Jak tylko zagrożenie minęło, panowie wrócili z udanego abordażu, zostawiając palące się światło na zdobytym statku. Łajba ruszyła dalej. Jak tylko zbliżyła się do brzegu, pasażerowie dostrzegli na nadbrzeżu dwóch żołnierzy w długich płaszczach. Łódź podpłynęła tak, aby nie została zauważona przez rozmawiających ze sobą Rosjan. Paweł i Janusz, a za nimi dzierżawcy statku wyszli na brzeg i ukryli się za schodami. Pan Zatopocki wyciągnął rapier, poręcznik szablę. Na ustalony sygnał obaj wyskoczyli na zaskoczonych Rosjan i dwoma szybkimi ruchami ogłuszyli oponentów. Ciała wrzucono w odmęty Wisły. Cała czwórka stanęła naprzeciw wejściu do kanalizacji, zakratowanemu tunelowi, z którego wydobywał się bardzo nieprzyjemny zapach.

- Myślicie, że to tutaj wszedł Repnin? - Anna zasłoniła nos ręką, przed wydobywającym się odorem.

- Na pewno - odpowiedział Paweł, chwytając za pręt kraty.

Pociągnął go, otwierając wejście. Zajrzeli z Januszem do środka. Było ciemno, wilgotnie i śmierdziało. Repnin nie ułatwił im zadania.

- Pozostanę tu pilnować łodzi - zaoferował Józef. - Weźcie pistolety.

- Pani niech też tu zostanie - zwrócił się do Anny Janusz, wkładając broń za pas.

- Nalegam, abyście mnie wzięli.

- To niebezpieczne! Panie Józefie...

- Ona o tym wie. Nieraz nadstawialiśmy karku - odparł Józef. - Proszę, weźcie ją.

Paweł i Janusz spojrzeli po sobie.

- Zgoda, ale proszę się nas trzymać - nakazał Taszczyński, stawiając pierwszy krok na śliskiej nawierzchni kanału.

Paweł, jego kompan i Anna szli, kierując się śladem stóp utrwalonych w ściekowym szlamie. Choć nie były one zbyt wyraźne, kierowały ich w stronę Repnina. Podążali nimi dobre dziesięć minut. Nagle trop się urwał. Kanał bynajmniej nie kończył się w tym miejscu, nie widać było jednak, aby Repnin szedł dalej wzdłuż korytarza. Paweł kucnął i przyjrzał się śladom dokładniej. Zauważył, że ostatnie odciski butów są zwrócone w stronę ściany. Przejechał dłonią po pokrytej mchem i wilgocią cegle. Nagle poczuł coś pod palcami. Zdrapał narośl i spostrzegł niewielki otwór w ścianie, na grubość dłoni. Wewnątrz znajdowała się metalowa gałka. Paweł chwycił ją i pociągnął z całej siły ku sobie. Odkrył tajne wejście. Janusz pospieszył z pomocą przyjacielowi. Razem z nim, po uchyleniu wejścia, szarpnął za krawędź drzwi, które z trudem, ale otworzyły się. Cała trójka weszła z pochylonymi nad niskim sklepieniem głowami. Za ukrytymi drzwiami dalej ciągnął się korytarz. Był on jednak stosunkowo schludny. Na jego końcu mieścił się kolejny, który zataczał krąg wokół znajdującej się piętro niżej sali. Paweł i reszta podeszli do kamiennej balustrady. Ukryci za nią, wyjrżeli w dół przez zardzewiałe kraty. W okrągłym pomieszczeniu znajdował się stół, a na nim duża ilość papierów. Do murowanych ścian przyczerpione były liczne pochodnie. Wokół pomieszczenia porozstawiani byli żołnierze. Dwóch innych znajdowało się na tym samym poziomie co Paweł i jego towarzysze. Nimi należało się też zająć, gdyż patrolowali oni całe piętro i zbliżali się właśnie w stronę nieproszonych gości. Na sali pojawił się Repnin w towarzystwie pięciu innych jegomościów. Zajęli miejsca przy stole. Po prawicy ambasadora Paweł i Janusz dostrzegli burgrabiego Nałęczycyckiego.

- Panowie - zaczął Repnin - wszystko idzie zgodnie z planem. Już wkrótce w Rzeczypospolitej zapanuje porządek. Niestety, aby do tego doszło, będę musiał poczynić radykalne kroki.

- Wrogowie Polski i Najjaśniejszej Imperatorowej uniemożliwiają działania sejmu. Aby zapobiec rozruchom, musimy ukarać przywódców opozycji - kontynuował Repnin.
- Jeszcze dzisiaj wieczora aresztujemy Sołtyka, Rzewuskiego i innych krnąbrnych Polaków - tutaj spuścił wzrok. - Z bólem decyduję się na ten desperacki ruch, ale warto jest mniejsze zło dla większego dobra.

Paweł i Janusz słuchali słów Repnina z przestachem, gdy nagle usłyszeli zbliżającego się żołnierza. Był tuż za rogiem, gdy do ich uszu dotarł głuchy dźwięk. To Anna ogłuszyła niepostrzeżenie strażnika. Panowie byli pod wrażeniem. Zajęci zaistniałą sytuacją zapomnieli o Repninie, który dalej informował i instruował swoich podkomendnych.

- A co z tym Polakiem, który przysporzył wam tyle kłopotów? - zapytał jeden ze zgromadzonych ubrany w beżowe odzienie, z białą peruką na głowie, przypominający sędziego.

- Jest tu, w Warszawie. Będziemy musieli go odszukać. Zbyt wiele wie. Stanowi

dla mnie i dla was, moi drodzy, duże zagrożenie.

- Jakie są w takim razie twoje polecenia, panie - zapytał z kolei inny członek zgromadzenia, wysoki mężczyzna w średnim wieku, ubrany w mundur warszawskiej straży miejskiej.

- Moi drodzy - zaczął Repnin - tłumcie rewolty, upubliczniajcie wyroki, wykorzystujcie prasę w dobrym celu, karzcie śmiercią tych, którzy przeciwstawiają się sejmowi i jego uchwałom – poinstruował. - Nie chcę, aby i warszawiacy byli dla mnie problem. Ten biskup Sołtyk i tak sprawia mi dostatecznie dużo kłopotów - ambasador uderzył pięścią w stół.

Podniósł wzrok i spojrzał na nieco przestraszonych klientów. Uniósł oczy wyżej, dostrzegł jednego spośród dwóch patrolujących piętro strażników. Uśmiechnął się i kontynuował:

- Dlatego dzisiejszego wieczora opozycja zazna kary. Zapłaci za swoje zachowanie. Za chwilę moje wojska wkroczą do domostw biskupa Sołtyka, Feliksa Turskiego i hetmana Rzewuskiego. Uprowadzimy ich do Kaługi, zasadzimy się również na księcia Krasińskiego. Niech każdy wie, co czeka naszych wrogów. Niech żyje Rosja... i jej sojusznicka... najjaśniejsza Rzeczpospolita...

- Wiwat! - odpowiedzieli po trzykroć Polacy.

Schyleni za balustradą Paweł, Janusz i Anna z trwogą słuchali rozkazu Nikołaja. Porucznik byłby ukazał się i pobiegł rozsiekać Repnina, gdyby nie Janusz, który dwiema rękoma przytrzymał przyjaciela na miejscu. Słuchali, jak goście i ludzie ambasadora opuszczają salę. Janusz wyjrzał i spostrzegł wychodzącego innym przejściem na piętrze strażnika. Na dole nie został nikt.

- Dobrze więc - szepnął Paweł. - Anno, ja i Janusz zejdziemy przeszukać komnatę, ty czym prędzej biegnij ostrzec biskupów o planowanym porwaniu. Nie czekaj na nas, odpłyńcie z Józefem jak tylko możecie najszybciej!

- Bądźcie ostrożni - powiedziała na pożegnanie.

Dziewczyna ruszyła w drogę powrotną. Paweł i Janusz zdarli po kawałku odzienia i sporządzili sobie chusty zakrywające twarz. Ruszyli po kręconych schodach biegnących wzdłuż ściany. Stąpali ostrożnie dotykając rękoma kamienia. Pusty parter wciąż oświetlony był przez płonące pochodnie. Odgłosy trzaskającego ognia zagłuszały i tak ledwo słyszane kroki. Paweł podszedł do stołu, na którym rozłożone były rosyjskie dokumenty, w większości ostemplowane sygnaturą dwugłowego orła, niekiedy tylko pieczęcią Repnina. Jeden z papierów zwrócił uwagę ułana, bowiem w dolnym rogu

widniała jutrzejsza data - czternasty października. Zaraz przekazał dokument Januszowi do odczytania. Ten zaczął czytać na głos. *Oddziały Jej Cesarskiej Mości, mej władczyni, przyjaciółki i aliantki Rzeczypospolitej aresztowały biskupa krakowskiego, biskupa łuckiego, wojewodę krakowskiego i starostę Dolińskiego oraz Adama Krasieńskiego z powodu ich prowadzenia się...*

- ... uwłaczającego godności Jej Cesarskiej Mości, podważającego czystość jej zbawiennych, bezinteresownych i przyjaznych intencji w stosunku do Rzeczypospolitej - dokończyła stojąca w wejściu postać, Nikołaj Repnin.

- Podoba wam się? Długo nad tym pracowałem - Rosjanin zbliżył się do stołu, Polacy zaś sięgnęli po broń.

- Nie sądzicie, że zbyt bezpośrednio? Opinie tych zachłannych Polaczków nie były zbyt satysfakcjonujące. Powtarzają słowo w słowo to, co chcę usłyszeć, jakby się mnie bali!

Repnin spojrzął z politowaniem na zasłonięte twarze, których brwi i oczy zdawały się mówić wszystko o ich intencjach, gdy tylko ci wymierzili ostrza w jego kierunku.

- Czy mam przyjemność - kontynuował Repnin - z tymi Lachami, którzy po dwakroć pobili mojego przyjaciela Guzunowa, wystrychnęli na dudka burgrabiego połockiego i nie dopuścili do zamachu na życie starosty żehyniowskiego?

- Widzę, że zainteresowała cię nasza działalność - odpalił Paweł. - Czy bardzo pokrzyżowaliśmy twoje plany?

- Na tyle, aby zmienić mój stosunek do Polaków i plany względem Rzeczypospolitej.

- Widzę, że caryca przestraszyła się kilku bojowników.

Usłyszawszy to Repnin nic nie odpowiedział. Splótł ręce za plecami i zawołał coś po rosyjsku. Żołnierze wkroczyli do sali z trzymanymi przed sobą karabinami i otoczyli przyjaciół.

- Umrzecie w niepewności, ze świadomością rychłego upadku waszej republiki. Teraz wybaczcie, ale mam kilku senatorów do porwania.

Ambasador wziął kartkę z odezwą do warszawiaków i wyszedł z pomieszczenia, zostawiając skazańców. Paweł i Janusz obejrzeni się wkoło. Sześciu Moskali naciągnęło kurki i wycelowało broń w skazańców. Ci weszli na stół, mierząc szablą i rapierem we wrogów. Zetknęli się plecami.

- No cóż - powiedział niespokojnie inżynier - to chyba nasz koniec Pawle - odwrócił się do przyjaciela.

Taszczyński wyciągnął rękę do pana Zatopockiego i mocno uściśnął. Spojrzeli po sobie, czekając na śmierć.

Nagle na piętrze pojawiła się postać z muszkietem. Prędko wycelowała i oddała strzał do jednego z piechurów. Pozostali momentalnie odwrócili się i na komendę dali ognia do skrytobójcy. Paweł i Janusz nie dali wrogom czekać. Zeskoczyli ze stołu i pchnęli dwóch najbliższych stojących Rosjan. Reszta rzuciła się z bagnetami na Polaków, gdy padł z drugiej strony piętra kolejny strzał. Moskał wygiął głowę za siebie i z otwartymi ustami osunął się na kolana. Dwóch pozostałych przy życiu wojowników rozpoczęło pojedynek. Paweł sparował szablą wszystkie uderzenia kolby muszkietu i ostrza bagnetu, Rosjanin spychał go jednak do ściany. Gdy tylko dotknął plecami wilgotnego kamienia, uchylił się przed pchnięciem przeciwnika. Taszczyński chwycił pochodnię, Moskał dobył zaś szpady. Przeciwnik zatrzymał, uniesioną do cięcia, rękę ułana, chwytając go za przegub. Dłonią, w której dzierżył broń, zadał oponentowi cios w udo. Porucznik zasyczał z bólu i odepchnął kopniakiem oponenta. Z krwawiącą nogą, wsparł się dłonią o mur. Rosjanin ponownie natarł, a gdy tylko ostrza się skrzyżowały, Paweł z całej siły uderzył palącym się kijem wroga. Ogień zaproszył się na jego kapeluszu, on sam zemdłał, upadając na stół. W tym czasie Zatopocki nie dawał swojemu przeciwnikowi szans na wygraną. Kilka skutecznych bloków i kontrataków ze strony sapersa posłało Rosjanina na tamten świat. Wytrącił żołnierzowi szpadę z ręki i pchnął go w serce. Paweł, ranny i zmęczony, osunął się na ziemię. Janusz wsparł się zdyszany o szpadę. Postaci, które ocaliły porucznika i Janusza zeszły prędko do komnaty. Nie był to nikt inny jak Anna i Józef. Rybak podał rękę panu Zatopockiemu, Anna podbiegła do porucznika, którego nogawka zabarwiła się na czerwono. Zdjęła zaimprovizowaną chustę z twarzy Taszczyńskiego i prędko zawiązała wokół rany.

- Musimy czym prędzej powiadomić biskupów - wycedził z bólu przez zęby Paweł, gdy towarzyszka zajmowała się opatrunkiem.

- Jak tylko się stąd wydostaniemy i wrócimy na drugi brzeg - obiecała - Może pan chodzić, panie Januszu? - zwróciła się do Zatopockiego.

Inżynier przytaknął, uwalniając się z ręki Józefa.

- Ruszajmy - zakomenderował, ruszając schodami w drogę powrotną. Osłabły Paweł wsparł się o ramiona pozostałej dwójki.

Gdy wszyscy dotarli do łodzi, rannego i obitego ułana złożono na dnie. Anna zajęła przy nim miejsce, Janusz i Józef odcumowali łajbę i skoczyli na nią po chwyceniu wiosł.

Wiosłowali ile sił, byle jak najprędzej dostać się do Warszawy.

Repnin z laską pod pachą wyszedł z karocy, naprzeciw budynku ambasady. Wkroczył do środka i wyszedł na jej tyły, do kompleksu ogrodniczego. Tam oczekiwało go czterech rosyjskich oficerów.

- Wiecie, co macie robić? - zapytał ambasador, wyciągając cztery listy.

- Uprowadzić, przyprowadzić do waszej książęcej mości i wywieźć do Smoleńska
- wyrecytowali zgodnym głosem, odbierając pisma.

- Dobrze - pochwalił Repnin. - Pułkowniku Igelström, pójdziecie do Pałacu Saskiego i weźmiecie w areszt biskupa Sołtyka. Gdyby go tam nie było, śledzić i uczynić z nim to samo, gdziekolwiek by nie był. Wy, podpułkownik Rosen i Stackelberg, uprowadzicie hetmana polnego i syna jego, starostę dolińskiego. Unikajcie starcia z koroniarzami. Mają ich trochę w pałacu. Zróbcie to samo, co panu Osipowi nakazałem. Wy zaś, kapitanie - zwrócił się do młodego Rosjanina - macie odnaleźć Krasieńskiego. Możecie na miejscu zabić – dodał. - Te wiadomości okażcie, gdyby biskupi wyrazili sprzeciw.

Oficerowie zaszalutowali i wyszli przed ambasadę, gdzie zgromadziły się rosyjskie oddziały. Wprzód wysłano watahy kozackie, które miały zlokalizować cele i nie dopuścić, aby zniknęły im z oczu. Dalej ciemnymi ulicami ruszyły kolumny wojsk carskich. Regularny tupot żołnierzy zwiastował nieszczęście. Każdy, kto go dosłyszał, uciekał z ulicy i barykadował własne mieszkanie...

Repnin stanął w drzwiach uśmiechnięty i pociągnął łyk ulatniającej się whisky.

- Wasz książęca mość - odezwał się za plecami obecny podczas wydawania rozkazów Sałtykow, generał planujący przez cały dzień porwanie - jesteście pewni, że wasze działania pozostaną bez echa?

- Nie pozostaną, panie generale, nie pozostaną.

Gdy łódź dobiła do brzegu, dochodziła godzina dziesiąta. Janusz i Józef pomogli podnieść się porucznikowi, który był na skraju omdlenia. Byłby się wykrwawił, gdyby nie Anna uciskająca opatrunek w zranionym miejscu.

- Dokąd nas zabieracie? - zapytał Zatopocki, gdy ręka Pawła spoczęła na jego ramieniu.

- Zabieramy was do naszej kryjówki. Jest w pobliskiej kamienicy - odpowiedziała Anna.

- Ostrzeżcie... biskupów... - mamrotał, ze zwieszoną głową, ułan.

- Nie ma czasu do stracenia. On może się lada chwila wykrwawić - Janusz spojrział na czerwoną opaskę.

Prowadzeni przez Annę ruszyli, unikając światła tłących się latarni i niepożądanych przechodniów. Wkrótce dotarli na kompletnie ciemny skwer. Anna przyłożyła palce do ust i głośno zagwizdała. Chwilę później pojaśniało okno kamienicy, otworzyły się drzwi i wybiegło z nich dwóch ludzi. Pomogli wnieść Pawła do środka. Gdy wszyscy znaleźli się we wnętrzu, rannego przeniesiono do piwnicy. Przestronne pomieszczenie przypominało magazyn, bowiem znajdowało się w nim mnóstwo beczek i skrzyń. Niewielkie okna zasłonięte były szmatami. Na środku znajdował się stół, nad nim paliła się lampa. Nie oświetlała całego pomieszczenia, kąty piwnicy pozostawały spowite w ciemnościach. Znajdujący się we wnętrzu ludzie czym prędzej przyszykowali stół, na którym położono Pawła. Józef wyciągnął ze skrzyni pudełko z utensyliami leczniczymi i sporą ilością bandażu. Wszyscy zgromadzeni otoczyli stół. Zatopocki delikatnie odwiązał całkowicie nasiąkniętą krwią chustę i rzucił gdzieś w kąt. Dwoch mężczyzn rozwinęło nowy bandaż, ucięty po chwili przez Annę. Kolejny obmył ranę chłodną wodą. Następnie Józef delikatnie unióś nogę Pawła. Anna zaczęła owijać materiałem udo, na koniec mocno zacisnęła bandaż i zrobiła supeł. Porucznik syknął. Robota była skończona. Józef podał porucznikowi trochę wody, którą łapczywie wypił.

- Dziękuję - rzekł zdyszonym głosem.

Zatopocki usiadł zmęczony na kufrze i rozejrzał się dookoła.

- Dobrze - zaczął - Skoro wszyscy jesteśmy cali i zdrowi, może powiedzie nam, kim jesteście i gdzie się znajdujemy?

- Wszyscy tu zgromadzeni jesteśmy warszawskimi mieszczanami. Jesteśmy niezadowoleni z powodu grabieży Rosjan i Kozaków, którzy nas doprowadzają do ruiny. Gromadzimy się w swego rodzaju tajnym cechu - wyjaśnił Józef - Znajdujemy się w jurydycie Mariensztadt - dodał

- To my najbardziej cierpimy z powodu tej waszej konfederacji, nie szlachta - rzekła Anna.

- Konfederacja jest jednym wielkim nieporozumieniem, gwałtem i oszustwem. Gdy skończy się ten przeklęty sejm, Repnin uzyska to, co chce. Pozbawi całą Rzeczpospolitą wolności - odezwał się wciąż leżący Paweł - Urąga c a ł e m u narodowi.

- A jaką my do tej pory cieszyliśmy się wolnością? - zapytała się Anna. - Tylko

herbowi dostępowali zaszczytów i głosu, kiedy to chłopci i mieszczenie - podwalina społeczeństwa - pracowali na rzecz kraju, nie dostając nic w zamian. Kiedyś na nas spadnie odpowiedzialność za to, co dzieje się w tym kraju.

- Stawiam sobie to samo pytanie od bardzo dawna - odparł Paweł - Nie wińcie nas za czyny większości i nie mylcie wolności z zaszczytami. To one krępują ludzi. Miałem już okazje przekonać się o bezsilności rządzących spowodowaną ludzkimi słabościami...

- Czujemy to samo, co wy - odezwał się Janusz. - Ubolewamy nad losem kraju i jego mieszkańców...

- Ale staramy się coś z tym zrobić - dokończył porucznik. - Jeśli jest to w naszej mocy - dodał, nie chcąc urazić warszawiaków.

- Co dokładnie udało się wam do tej pory zrobić? - zapytała postać z rogu piwnicy.

Janusz i Paweł zwrócili się ku kątowi, gdzie w ciemnościach, na beczce przesiadywała cały ten czas pewna postać. Zeskoczyła na ziemię i podeszła do światła. Był to młody chłopak, może szesnastoletni. Miał na nogach dziurawe trzewiki, ubrany był w beżowe lniane spodnie, wytartą kamizelkę. Na głowie spoczywał stary i poszarpany na rondzie, nieco za duży, trikorn. Spod kapelusza wydostawały się jasne loki. Choć osoba miała twarz młodzieńczą, nie widniał na niej uśmiech. Widać było, że dzieciak był zmarnowany, doświadczony przez swoje krótkie życie.

- Jak masz na imię chłopcze? - spytał Janusz.

- Nazywam się Walenty - odparł - Ale wołają mnie Barani Kozuszek.

Kwadrans przed godziną dziesiątą, zmordowany sesją prowincjonalną, biskup krakowski książę Kajetan Sołtyk pozostawił wszystkich gości, tj. posłów i senatorów w swej rezydencji w Pałacu Saskim. Do niedawna była to siedziba królów polskich. Dość już miał biskup szarogęszenia się carskich na posiedzeniach sejmowych, gdzie obejmowali „protekcję” nad wolnymi Narodami. Sołtyk wiedział, że tylko dzięki jego trzeźwemu umysłowi nic jeszcze książę Repnin nie wskórał na tym sprowokowanym przezeń sejmie. Opuszczając pałac, Kajetan Sołtyk spojrział w gwieździste niebo, nad którym zbierały się burzowe chmury. Miał na szczęście w karecie płaszcz. Pojazd czekał już podstawiony na życzenie duchownego. Dworzanin otworzył przed jego eminencją drzwi. Biskup wszedł do środka i umieścił się wygodnie na tylnym siedzeniu.

- Dokąd, wasza ekscelencjo? - zapytał paż przed zamknięciem drzwi.

- Do Pałacu Mniszchów, do marszałka koronnego - odparł z uśmiechem młodzianowi.

Chłopak schylił głowę i zamknął drzwi karety. Pojazd ruszył w eskorcie kilku konnych.

Jadąc przez Warszawę, biskup spostrzegł liczne grupy Kozaków zaopatrzonych w długie rohatyny oraz konnych oficerów. Duchowny pochmurniał na ten przykry dla Polaka widok. Zaczął padać deszcz. Biskup spojrział na własne odbicie, gdy nagle mała struga deszczu spłynęła po policzku jego oblicza na szybie pojazdu. W końcu kareta zajechała przed dwór marszałka Franciszka Wielopolskiego. Ten sam paź otworzył drzwi powozu. Biskup nałożył przed wyjściem płaszcz i schyliwszy głowę wysiadł z karocy.

- Bądźcie po mnie przed jedenastą - zakomenderował.

Straże otworzyły przed biskupem wrota. Kajetan Sołtyk wszedł do środka z paroma dworzanami. Ruszył schodami na piętro i przez garderobę wkroczył do pokoju marszałka. Ten był już w robdeszan ubrany i szykował się spać.

- *Mam pełny dom mój zgromadzenia prowincji małopolskiej, a wszystkich porzuciwszy przyjeżdżam tutaj, żebym mógł za pół godziny jeść, a przed jedenastą trzeba mi się wrócić dla czasu, bo ja zawsze o trzeciej z rana wstaję* - rzekł cały ociekający wodą.

- Oczywiście - odparł marszałek. - Zaraz rozpalę w kominku i każę przyszykować jadło. Rozgość się - wskazał na pokój obok.

Wielopolski puścił gościa przodem, wcześniej dał słudze mokre odzienie biskupie. Kajetan dodał do kominka kilka drew, kolejny paź rozpałił płomień. Palenisko zajęło się ogniem. Duchowny przysunął stolik i krzesło bliżej paleniska. Usiadł obok strzelającego ognia i wyciągnął z kieszeni dwa pisma - swoje mowy: jedną, którą wygłosił wczorajszego dnia oraz tę, którą miał przedstawić podczas dzisiejszej, wtorkowej sesji. Gdy przyniesiono posiłek dla gościa, marszałek rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko biskupa i z kubkiem gorącej kawy zaczął słuchać mów Sołtyka. Ten mówił podniośle, dumnie. Marszałek słuchał go uważnie. Wsłuchiwał się w każde słowo. Duchowny był wielkim demagogiem, a jego oracje mogłyby zrobić wrażenie na największych mówcach Imperium Rzymskiego. Gdy ten skończył, Wielopolski cicho przyklasnął. Biskup posłał po swojego pazia i dał mu mowy, aby zabrał je do drukarni. Wtedy zaczął jeść nieco ostygłą już kolację.

Chłopak ubrał się ciepło, schował za pazuchę mowy i opuścił pałac. Wyszedł boczną furtką i miał już ruszyć w stronę zakładu, gdy jakieś mocarne ręce chwyciły jego ramiona i pociągnęły za sobą. Paź nie zdążył nawet krzyknąć - znalazł się w zaułku przed wysokim, eleganckim oficerem z fajką w kąciku ust. Za nim zgraja stała Kozaków i mnóstwo grenadierów z opadłymi czapkami.

- Na czyich usługach jesteś, chłopcze? - zapytał oficer po rosyjsku, zapalając ściśnięty w fajce tytoń.

- Jego emminnecjiii biskupa krakowwwskiegooo - odparł, jękając się paż.

- Jest tam jeszcze? - zapytał Osip Igelström, nie podnosząc wzroku na chłopaka.

- Tak... - odparł cicho młodzieniec

- Długo tam jeszcze pozostanie?

- Nie wiem pppanie, nie powiedział mi.

- Dobrze, możesz iść - oznajmił pułkownik

Humor się duchownemu poprawił. Rozmawiał na przeróżne tematy z marszałkiem, gdy ten w końcu poruszył dość nieprzyjemną, aczkolwiek poważną kwestię.

- Wiesz dobrze, że naraziłeś się Repninowi - powiedział, gdy biskup przerwał rozmowę po wzięciu kęsa. - Boję się, czy nie zrobi ci czegoś.

- Nie ma obawy - odparł po przełknięciu. - Jestem absolutnie pewien, że nie może nic uczynić. Jedynie carscy mogą naprzykrzać się w moim biskupstwie - odparł, machając lekceważąco ręką. - Uprowadzić mnie nie mają prawa.

- Rosjanie nie cenią sobie prawa... - odparł gospodarz, który bał się zbyt wielkiej pewności gościa.

Biskup przerwał, bo kawałek mięsa utkwiał mu między zębami. Podniósł wykałaczkę ze stołu i dyskretnie zajął się problemem.

- Jutro muszę pracować nad ułożeniem projektu, co ma przeciw dysydem i gwarancjom być ogłoszony.

- Nie sądzisz, że tylko ambasadora sprowokujesz?

- Trzeba to moskiewskie natężenie odwrócić, wiary i Ojczyzny bronić.

Nagle biskup zorientował się, że już po jedenastej.

- Matko - powstał zdenerwowany biskup - Jak już późno!

Do pokoju wpadł oficer dragoński, informując księcia biskupa, że karetą już od kwadransa go oczekuje.

- Już idę - odparł biskup, sięgając po płaszcz.

- Jest jeszcze coś - odezwał się dragon, zdejmując nakrycie głowy i umieszczając je pod pachą - Od Marywilu, jak jechaliśmy, na ulicach pełno Moskwy i Kozaków.

Marszałek wstał zaniepokojony i wyjrzał zza firany przez okno. Za wrotami na ulicy stało kilku jeźdźców.

- Niech ich będzie jak najwięcej, to wiem, że nie na mnie - odparł pewien siebie kapłan, zakładając płaszcz.

- Niedobrze mi to wygląda - rzekł zaniepokojony Wielopolski, ale biskup nie słuchał.

Gotowy do drogi szedł już do sieni. Przed samym wejściem zatrzymali go jego dworzanie, którzy mówili, że niebezpiecznie jest wychodzić z dworu.

- Nie należy bynajmniej wierzyć, że to wszystko na mnie - rzekł do niespokojnej służby - Niech kilku z was tam wyjdzie, wróci i zda mi raport - odparł po chwili namysłu

Biskup cofnął się do pokoju marszałka, niecierpliwie oczekując powrotu swoich ludzi.

- Przecież to niemożliwe, aby na mnie taką obławę szykowali. Musi być jakaś inna przyczyna tej koncentracji - mówił do marszałka, nieco już poddenerwowany.

Po kwadransie służby Sołtyka powrócili do eminencji i poinformowali, że nikogo nie przepuszczą: ni karet, ni konnych.

- Panie Winkler - powiedział biskup - Idźcie raz jeszcze, spytajcie się, dlaczego nie pozwolą opuścić domu, tylko nie mówcie, że ja o to pytam.

- Może przyjdzie mi tutaj nocować - rzekł po chwili do marszałka, gdy odprawił dworzanina.

Wielopolski odpowiedział skinieniem głowy.

- Lepiej to będzie, niż się eksponować - dodał, po czym powstał, aby przyszykować gościowi miejsce do spania.

Biskup wyrzął przez okno, na ulicy coraz więcej kłębiło się Moskwy. Już wiedział, że to po niego. Książę zdjął z palców złote pierścienie. To samo uczynił z grubym, srebrnym krzyżem, który zwykł nosić na szyi. Odłożył go starannie na stoliku i pogładził palcem.

Nagle powrócili niespokojni marszałek z kamerdynerem.

- Rosjanie forsują bramę! Chcą dostać się do dworu!

- A więc panowie, na naszych oczach upada *Rei Publicae* - odparł bynajmniej niezaniepokojony biskup. - Natychmiast otwórzcie drzwi, aby Moskale dobrze wiedzieli, że nikt tu nie trwoży się przed Repninem.

Kamerdyner rozwarł drzwi do pokoju gościnnego na oścież. Marszałek łapał się za głowę w niedoli, że takie rzeczy w jego własnym domu się przytrafiają i on biedny nie jest w stanie nic zaradzić. Bardziej bał się o pałac i gości, niż myślał o tym akcie bezprawia, jak ostatecznym upadku Rzeczypospolitej, jak to rozumował jego gość.

Dwie minuty później do pokoju wpadli ludzie biskupa, w tym oficer dragoński z informacją, że Moskwa wpada na dziedziniec. Sołtyk z anielskim spokojem odprawił świętę, po czym zajął miejsce przy kominku, tuż obok wspierającego się o obudowę paleniska pana Wielopolskiego.

- *Sis animo forti* - rzekł książę Sołtyk. - Sprawa Boska, Pan Bóg, Bóg... - mrucał pod nosem po kilkakroć.

Z parteru dał się słyszeć tupot wyważającej drzwi infanterii, która rozbiegła się po całym dworze.

- Zachowaj wać godność! - upomniał srogo gospodarza Sołtyk, widział bowiem łzy na policzkach marszałka. Nie minęło kilka minut, gdy przez garderobę wkroczył do pokoju Osip Igelström.

Oficer zdjął kapelusz i skłonił się nisko jego eminencji. Wielopolski zdjął z głowy czapkę nocną i tymi oto słowami przemówił do Szweda:

- W tak spóźnionym czasie, mości panie pułkowniku. I cóż to ma znaczyć?

Dowódca uniósł głowę.

- Wybacz, mości panie marszałku - rzekł, odwracając się do Sołtyka - Mam rozkaz waszą książęcą mość wziąć w areszt.

Wielopolski spojrział w oczy Kajetanowi, jakby chciał odrzec: „a nie mówiłem”.

- Mości panie pułkowniku, jestem biskup i senator wolnego narodu. Z jak największym respektem, kłaniając się nisko dla najjaśniejszej imperatorowej jmci wielkiej monarchini i jej deklaracji, co mówię i co czynię, to według obowiązków przysięgi mojej i senatorskiej powinności mówię i czynię co mogę dla wiary i ojczyzny. Spodziewając się zaś tego nieszczęścia dla siebie wcalem zdecydowany iść dokąd mnie wzięć i prowadzić chcecie, i przygotowany w tę podróż. Niechże nie będę brany w pałacu jp. marszałka, ale w moim, gdzie wyznaczyłem i rzeczy i ludzie, i powozy, co z sobą wezmę przeciw dla wygody mojej.

Wtem paż Szujski, wierny jego eminencji sługa wyciągnął pałasz, oddał go na ręce jednego z Kozaków i zadeklarował pułkownikowi gotowość, aby i on mógł iść w areszt i swemu panu dalej wiernie służyć.

- Mam czekać godziny? Będę mieć rezolucję - pokręcił głową Osip. - Może wasza eminencja wzięć swoją karete, ale ty i k o biskupa mam rozkaz wzięć z sobą.

- To mnie waszmość pan chcesz wzięć samego jak palec? - odparł żywo biskup.

- Tak jest, samego - odparł natychmiast pułkownik, wskazując ręką wyjście.

- Cóż za nieszczęście w moim domu! - biadolił Wielopolski.

Kajetan Sołtyk powstał i odebrał od sługi płaszcz. Nałożył kapelusz i wzięł tabakierkę. Podszedł i uściskał serdecznie Wielopolskiego.

- Żegnam, mości panie marszałku.

Ten, niemalże szlochając, odpowiedział mu:

- Nie cię Bóg wspiera, mości książę!

Zaraz oficerowie carscy otoczyli duchownego, który opuścił salon. Za nimi ruszył pułkownik z Kozakami. W pokoju zostało jeno czterech Rosjan, którzy zagrodzili wyjście marszałkowi.

- Panowie, za waszym pozwoleniem, tylko księcia chcę odprowadzić.

Ci skłonili się i przepuścili pana Wielopolskiego, który podążył za eskortą biskupa. Cały dom pełen był Moskwy. Na każdym piętrze stało po dwóch lub czterech grenadierów, każde drzwi i przejścia obsadzone były wartownikami. Przed biskupem szedł ubrany w futra Kozak z lampą w dłoni, która oświetlała jego krzaczastą brodę. Przez

ramię miał przewieszony za flintpas karabin. W hallu stał już z obnażonym i zwróconym ku podłodze rapierem pułkownik Osip, który uniósł broń i wskazał przez otwarte drzwi, oczekującą biskupa karetę.

Marszałek przeciskał się między żołnierzami, lecz gdy dobiegł do sieni pałacowej, dostrzegł już biskupa wsiadającego do karety. Drzwi do powozu zatrzasnęły mocno jeden z Kozaków. Obok Wielopolskiego wychodzili z pałacu kolejni żołnierze z karabinami w dłoniach. Na dziedzińcu było ich w sumie ze trzystu. Ostatni wyszedł z domu marszałka Igelström.

- Żegnam pana, mości marszałku - odezwał się pułkownik, wkładając kapelusz ze złotymi galonami i ruszając w stronę swojego wierzchowca.

- Niech cię Bóg ratuje, bywaj zdrow - powiedział cicho Wielopolski, kierując te słowa do przyjaciela.

Osip i reszta oficerów dosiadła koni. Widząc, iż mnóstwo ludzi biskupa wybiega z pałacu i że wielu gapiów z okna dworu wygląda, zaraz nakazał piechocie zagrozić karecie. Stanąwszy w trzech szeregach, utrzymywała na dystans szlochających ludzi Sołtyka. Igelström chciał już jechać, gdy okazało się, że brama została zamknięta, a że nikt nie mógł znaleźć klucza, wyprowadził księcia furką i zaraz usadowił więźnia w innym pojeździe. Ten ruszył z pułkownikiem w stronę ambasady. Marszałek w końcu znalazł zbuntowanego sługę, co nie chciał przekazać Kozakom klucza do bramy. Gdy tylko ją otwarto, całe wojsko z kareta biskupią opuściło teren pałacu. Było już po pierwszej w nocy i mrok nieprzenikniony spowił Warszawę. Zaraz potem ludzie biskupa wybiegli, by dowiedzieć się, dokąd zabrano ich pana. Wielopolski stanął na ulicy w samej koszuli nocnej i czapce, strugi deszczu spływały mu po twarzy. Deszcz przybrał na sile. To Rzeczpospolita uroniła swe łzy...

- Kogo o pomoc prosić, komu się zwierzyć?

Podpułkownik Rosen stanął w strzemionach i spojrzął w stronę pałacu hetmana. Po jego prawicy znajdował się pułkownik Stackelberg, po lewicy major Kikin. Za nimi stali huzarzy i piechurzy z bronią nabitą. Pułkownik dał dłonią znak do rozpoczęcia akcji. Na teren pałacu wojewody krakowskiego od różnych stron wtargnęły oddziały carskie. Kozacy wpadli na podwórze boczną furką, część piechoty siekierami i drągami wyważyła główną bramę. Inni przedarli się przez drewnianą oficynę. Rosen wjechał pospiesznie przed pałac. Piechota uszykowała się przed wejściem do pałacu w kilku szeregach i nasadziła bagnety. Oficerowie powstrzymali swawolne kupy kozackie przed przedwczesnym szturmem. Rosen wysłał wpierw prawie całą infanterię na kwatery piechoty z chorągwi węgierskiej Buławy Polnej Koronnej. Moskale wpadli z hukiem, a zanim zdeorientowani Polacy zdążyli chwycić za broń, zostali otoczeni i przyparci do muru. Dano ich Kozakom pod straż. Pułkownik ruszył do pokoi hetmańskich z oficerami

i resztą wojska. Wszystkie drzwi i piętra obstawiono żołnierzami, straże hetmańskie rozbrojono i w areszt wzięto. Od jednego wartownika Rosjanie dowiedzieli się, że hetman już śpi, na co Rosen nakazał iść do synów wojewody. Przerażeni zaistniałą sytuacją, udali się potulnie pod gabinet ojca.

Seweryn zapukał do drzwi. Jako że nie było odzewu, zakołatał głośniej.

- Co się dzieje? - zapytał z wewnątrz przebudzony hetman.
- Ojcze - jękał się młody Rzewuski - mogę wejść? Jest sprawa niecierpiąca zwłoki.
- Wejdz synu - odpowiedział wojewoda.

Bracia weszli do pokoju ojca i powiedzieli mu o Moskwie w pałacu.

- Natychmiast ich wprowadźcie! - zakomenderował dzieciom Rzewuski.

Do sypialni hetmana wszedł Rosen z oficerami.

- Mamy ordynans - zaczął Rosjanin, wyciągając z torby pismo ambasadora - aby wziąć waszmość pana w areszt, zatem racz się jaśnie wielmożny panie ubrać, jest tu i karetka od księcia Repnina przysłana, w której jaśnie pan pojedziesz - oznajmił chłodnym tonem Rosen.

- To hańba - krzyknęli synowie i stanęli u boku ojca, gotowi go bronić.

Sędziwy magnat powstał z łoża. Jego długa, siwo - ruda broda sięgała mu aż do klatki piersiowej. Hetman ściągnął czapkę nocną z pozbawionej włosów głowy. Wojewoda stanął dumnie naprzeciw pułkownika, który nawet nie raczył zdjąć kapelusza.

- Bardzo dobrze, chętnie poniosę życie moje na ofiarę, choćbyście mnie waszmość panowie nawet i zabili, miło mi będzie za wiarę i ojczyznę życie moje położyć. Moi synowie! - zwrócił się do dzieci - Winnicie dziękować Panu Bogu, że mi taki los wyznaczył, spodziewać się trzeba, że choćbym ja za wiarę świętą i wolność zginął, to wam to Pan Bóg sownie błogosławieństwem wynagrodzi.

- Więc niech waść prędko się ubiera - rozkazał butny podpułkownik, zamykając za sobą drzwi.

Synowie udali się na kwatery generała adiutanta, aby żadnych burd z Moskalami nie wszczynali. Ręce jednak każdego hajduka czy oficera świerzbiły, by Moskwie porządnie przetrzepać skórę. Chwilę potem z sypialni wyszedł gotów do drogi hetman. U wyjścia z pałacu na korytarzu tłoczyli się już Rosjanie, stali też synowie wojewody.

Wacław Rzewuski ucałował każdego z synów i nakazał unieść wysoko głowę, gdy jednak uściskał Seweryna, starostę dolińskiego, odezwał się komendant rosyjski.

- Z tym tu chłopakiem nie musisz się żegnać. Jedzie z nami.

Żołnierze chwycili za ramiona juniora, ten nie oponował.

- Jestem gotów ponieść karę, choć wiem, że jestem bez winy.

- Pozwól waszmość lekarza i pazia z nami wziąć - prosił wojewoda.

Rosen skinął głową. Zaraz obaj więźniowie, cyrulik i pazik zostali umieszczeni w powozie. Przez okna karety dostrzegli stojących pod murem piechurów węgierskich i kozaków z wycelowanymi w nich muszkietami i grotami spis.

- Naprzód! - rozkazał pułkownik i karoca w asyście huzarów ruszyła w drogę powrotną do ambasady Repnina. Gdy powóz zniknął za zakrętem, reszta wojska puściła wolno koroniarzy i również opuściła posesję. Trzy karety: Sołtyka, Rzewuskich i biskupa Załuskiego zajęły na ulicę Długą. Było już po godzinie trzeciej. Czwórkę uprowadzonych zaprowadzono do ogrodu, gdzie oczekiwał ich ambasador. Pachółków z domu Rzewuskich odprawiono z powrotem do pałacu.

Repnin zganił najpierw pułkownika Osipa, którzy zamiast biskupa łuckiego, ojca Turskiego, przyprowadzili mu kijowskiego, Załuskiego. Ten w żaden sposób nie był związany z opozycją, bo twardo stał przy Czartoryskich. Nie miał jednak zamiaru go wypuszczać, uznał, że i Familiję jest w ten sposób w stanie zastraszyć.

- Gwałciciel, szubrawca! - krzyczeli aresztowani.

Biskupi wyklęli ambasadora. Ten uśmiechnął się i odwrócił do senatorów.

- Szkalowaliście imię najjaśniejszej Imperatorowej Katarzyny, dlatego spotka was zasłużona kara... - Repnin splótł ręce za plecami. - Chyba że publicznie okażecie skruchę i będziecie błagać o przebaczenie.

- Prędzej ukorzyłbym się przed psem! - odpalił hetman, spluwając pod stopy ambasadora.

- W takim razie najbliższe miesiące spędzicie na Sybirze - oznajmił Nikołaj - Gdzie Adam Krasieński? - spytał swoich oficerów.

- Szykujemy na niego obławę - odparł Rosen - Niedługo wjedzie do Warszawy.

- No cóż, Barani Kozuszkę - zaczął Paweł - czy będziecie mogli nam pomóc powstrzymać Repnina?

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić? - zapytał w imieniu grupy.

- Dlatego, że znienawidzony przez was Replin zamierza uprowadzić jedynych ludzi, którzy również mają go dosyć, a którzy mają jeszcze coś do powiedzenia w tym kraju - odpowiedział porucznik.

Wszyscy zgromadzeni spojrzeli po sobie. Chłopak uśmiechnął się.

- Pomożemy - zadeklarował.

Powoli dochodziła północ. Mgła unosiła się nad nurtem Wisły i niczym woda rozlewała się nad jej brzegami, a dalej sunęła po warszawskich ulicach. Deszcz przestał padać. Mokry bruk lśnił w świetle dogasających latarni. W jurydyce ordynackiej zgromadzili się warszawiacy z Januszem i kulejącym Pawłem. Co jakiś czas przybiegał do nich mieszczanin z informacjami.

- Wszyscy zostali uprowadzeni - relacjonował zasapany posłaniec. - Poza biskupem Krasieńskim, ale on będzie dopiero wjeżdżał do Warszawy.

- Całe miasto jest obsadzone Moskalami - powiedziała Anna. - Na pewno szykują się, aby go przechwycić.

- Jeśli będziemy chcieli wydostać się z Warszawy, sami zostaniemy aresztowani - zauważył Janusz. - Chyba, że zrobimy to po naszymu - zwrócił się do Pawła.

- Nie! Nie możemy dopuścić do strzelaniny - odparł Walenty, jakby czytał w myślach inżyniera.

- Wymyślimy coś, gdy znajdziemy się w zasięgu szpady - zasugerował Paweł. - Wiemy, skąd nadciągnie biskup?

- Od południa. Powinniśmy już ruszać, piechotą długo będziemy iść.

Dziesięcioosobowa grupa ruszyła ku obrzeżom miasta. Raz tylko groziło im spotkanie z Kozakami. Udało się jednak szczęśliwie ominąć posterunek nieprzyjaciela. Grupa dotarła w końcu do granic Warszawy. Znajdował się tam rosyjski posterunek, którego nijak nie dało się ominąć. Wyjazd ze stolicy wyznaczała droga biegnąca między kamienicami, które ciągnęły się bardzo daleko.

- Czy macie broń? - zapytał na wszelki wypadek Janusz.

Barani Kożuszek pokazał inżynierowi niewielki pistolet trzymany za kamizelką. Paweł zbliżył się do posterunku, aby się mu przyjrzeć. Drogę zastawiały kozły hiszpańskie, w drewnianej budce siedziało paru Moskali, w tym jeden oficer.

- Niespostrzeżenie nie uda nam się wydostać - powiedział zirytowany Walenty.

- Spójrzcie! - zawołała cicho Anna - Nadjeżdża jakiś powóz!

Istotnie, w stronę posterunku zmierzała kareta. Gdy tylko zbliżyła się do miasta, żołdacy rosyjscy wyszli jej naprzeciw. Dwóch piechurów z karabinami i jeden oficer podeszli do powozu, który zatrzymał się przed zaporą. Oficer zaczął rozmawiać z woźnicą, chwilę potem zajrzał do wnętrza pojazdu.

Nagle Paweł i reszta spostrzegli nadciągający sześćoosobowy oddział rosyjski na czele z konnym. Wszyscy wiedzieli, że miał on zaaresztować tego podróżnego. Mieszczanie przygotowali się do starcia.

- Barani Kożuszk, może i jesteś temu przeciw, ale zamierzam siłą powstrzymać Rosjan. Nie oczekuję od ciebie pomocy, ale niech twoi przyjaciele mnie wesprą.

- Zgadzam się - odparł Józef, na co Anna i pozostali również zadeklarowali pomoc.

Walenty nie oponował. Pan Taszczyński spostrzegł, że woźnica został przez Moskali usunięty, tak więc biskup kamieniecki oczekiwał już na przybycie eskorty. Kapitan rosyjski był oficerem wysłanym przez Repnina w celu porwania biskupa Krasieńskiego. W razie problemów, mógł go zabić. Repnin widział w nim głowę spisku, jaki szykowany był od czasu *Dnia Dudków*[10].

Rosjanin pokonywał tę samą drogę, co wcześniej Paweł i reszta. Jechał konno, zanim szło w dwuszeregu sześciu piechurów. Nagle spostrzegł na środku drogi mężczyznę. Było ciemno, nie widział, kim on był. Jego nogi spowite były we mgle. Widać było, że coś nie tak jest z jego kończyną. Był nienaturalnie pochylony. Zdziwiony oficer zatrzymał się i wbił wzrok w postać. Nie spostrzegł on, że inne osoby poruszając się wzdłuż ścian kamienic, otoczyły jego oddział. Nagle człowiek stojący na ulicy sięgnął po coś za pas. Oficer nie widział jednak co, lecz szybko zorientował się, gdy mężczyzna wycelował w niego lufę pistoletu i nacisnął za spust. Ogień, który buchnął od kurka, ujawnił oblicze napastnika. Rosjanin mógł spojrzeć w oczy swemu zabójcy. Kapitan spadł z konia. Podwładni natychmiast przyjęli postawę bojową i wycelowali do Pawła, który padł na zamglony bruk. Nagle z obu stron ulicy wystrzeliły kolejne pistolety. Zdezorientowani żołnierze carscy zaczęli oddawać strzały na oślep. Usłyszawszy to żołnierze z posterunku wprowadzili biskupa do wnętrza budki. Moskale salwowali się ucieczką, na co część warszawiaków rzuciła się za nimi w pogoń. Paweł ruszył

z Januszem w stronę drewnianego budynku. Dwóch Rosjan wystrzeliło do nich z okna, ale chybili. Barani Kozuszek, Józef i Anna skryli się za rogiem kamienicy. Zajęli się przeładowaniem broni. Taszczyński poczekał, aż oficer zużyje ostatnią kulę i ruszył z Januszem w stronę budki. Przyjaciele dobiegli do ściany posterunku i do niej przylegli.

- Poddajcie się! - zażądał po rosyjsku pan Zatopocki. - Chcemy tylko biskupa. Będziecie mogli stąd odejść!

W odpowiedzi na to oficer strzelił przez ścianę, o mały włos nie godząc inżyniera w głowę.

- Trzeba ich stąd wykurzyć - zaproponował Paweł, spoglądając na drewnianą konstrukcję pokrytą strzechą. Paweł dojrzał kątem oka latarnię wiszącą wewnątrz budynku. Wskazał ją palcem Zatopockiemu, na co on wyciągnął pistolet i przymierzył się do strzału. Gdy nacisnął spust, latarnia spadła i stłukła się na podłodze. Ta momentalnie zajęła się ogniem. Rosjanie próbowali zdeptać płomienie, ale na nic się to zdało. Zrozumiawszy plan, Krasieński strącił butelkę z alkoholem. Ogień wezbrał jeszcze bardziej, a nie widząc szans na jego stłumienie, oficer zakomenderował opuszczenie posterunku. Gdy tylko Rosjanie wyszli, krztusząc się dymem, powystrzelali ich mieszczanie. Biskup zrzucił z siebie płonący płaszcz i prędko oddalił się od budynku. Paweł i Janusz poszli za Krasieńskim, Walenty i reszta ruszyli uspokoić konie, które na widok ognia zaczęły mocno wierzgać.

Biskup wsparł się o ścianę kamienicy i osunął na bruk.

- Wasza eminencjo! - krzyknął Paweł. - Nic waszej wielebności nie jest?

- Dziękuję - odparł Krasieński. - Jestem zdrow. Cóż to za prowokacja?

- Repnin nakazał aresztować waszą świętobliwość. Załuski, Rzewuscy i Sołtyk są już w jego pałacu! - odrzekł Taszczyński. - Nie mogliśmy dopuścić, aby i was ten sam los spotkał - kontynuował porucznik.

- Na miły Bóg! Co mam teraz zrobić?

- Musicie natychmiast opuścić Warszawę i trzymać się od niej z daleka. Najlepiej wyjedźcie za granicę.

- Tak uczynię - odparł Adam Krasieński.

- Zmieńcie szaty - zasugerował Janusz. - Nie poruszajcie się karetą, a konno.

Józef i Anna uspokoiли wierzchowce i odczepili od nich karetę. Przestraszony

woźnica podbiegł do swego pana.

- Jeźdźcie do granicy tureckiej - rzekł Walenty, podając biskupowi swoją kamizelkę i inne ubranie. Nie mogą was poznać.

Chwilę potem biskup i woźnica dosiedli rumaków.

- Kimże jesteście, moi dobrodzieje? - spytał przed odjazdem duchowny.

- Wiernymi sługami Ojczyzny - odparł Paweł - Ruszajcie!

- Czekaj, mój chłopcze - powiedział biskup - wraz z wieloma przyjaciółmi szykowałem tę konfederację, która miał przywrócić świetność domu drezdeńskiego. W efekcie mamy gwałt rosyjski. Proszę, weź to - Adam podał mu swój pierścień biskupi - moi współpracownicy cię odkryją i wprowadzą w nasze szeregi - Krasieński zacisnął porucznikowi w dłoni błyskotkę - Szeregi tych, którzy chcą walczyć przeciw Rosji i Repninowi.

- Za wiarę i wolność - rzekł na pożegnanie duchowny.

- Za wiarę i wolność - wtórował mu Paweł.

Biskup kamieniecki ruszył, a za nim jego towarzysze. Chociaż jemu udało się uniknąć losu pozostałych...

Taszczyński i jego nowi przyjaciele gotowali się do drogi powrotnej. Strzały i płomienie pobudziły mieszkańców, których okna zaraz pojaśniały i wyjrzały z nich głowy gapiów. Było tylko patrzeć, aż carscy zjawią się tutaj i zrobią porządek. W wyniku starcia nikt z warszawiaków nie ucierpiał. Dziesięcioosobowa grupa ruszyła w stronę Wisły, aby idąc wzdłuż rzeki, bezpiecznie dotrzeć na Marienstadt. Kwadrans po zajściu, przy posterunku zjawili się pierwsi Kozacy, którzy zaraz pojechali powiadomić Repnina o masakrze Rosjan. Paweł, Janusz i pozostali byli już wtedy daleko od miejsca zbrodni, ale wciąż nie byli bezpieczni. Dla własnego dobra grupa rozdzieliła się. Mieszczanie rozeszli się spokojnie do swoich domów, Paweł, Janusz, Barani Kozuszek, Józef i Anna ruszyli wzdłuż Wisły ku swojej kamienicy. Mieli już dobiec na plac przed kryjówką cechu, gdy nagle zza zakrętu wyłoniła się grupa konnych Dońców. Wszyscy stanęli jak wryci.

- Zachowajcie spokój - poinstruował pan Zatopecki - Nie okazujcie lęku!

Łatwiej było jednak powiedzieć niż zrobić. Sześciu Kozaków podjechało ku grupie przechodniów. Gdyby tylko ruszyli szybciej, było pewne, że Paweł i reszta rzuciłaby się do ucieczki. Kozacy ubrani w kozuchy i futrzane czapy, ze spisami przewieszonymi przez

ramię otoczyli podejrzanych. Jeden z Rusinów podjechał znacznie bliżej. Był to dowódca patrolu.

- Co tutaj robicie o takiej późnej porze? - odpalił po rosyjsku Kozak.

- Wracamy do domu - odparł Janusz.

- Ciekawe, co mogą porabiać dwaj szlachcice w towarzystwie mieszczan - dopytywał się Doniec.

Zatopocki nie wiedział, co odpowiedzieć. Spojrzał na bezradnie na Pawła. Nie miał logicznego wyjaśnienia.

- Puśćcie nas wolno! - prosił po chwili inżynier.

- Niby czemu? - spytał jeździec. - Nie wiecie, że do morderstwa doszło? Ja wam powiem: wiecie i jesteście w nie zamieszani! Aresztować ich! - zawołał po rosyjsku.

Paweł chwycił za nogę najbliższego Kozaka i pociągnął w dół. Żołnierz spadł z konia. Janusz i reszta ujęli konnych za ręce i tułowia, aby zrzucić wrogów z wierzchowców. Został im jednak dowódca, który przymierzył się do ciosu szablą. Rozległ się strzał. To Walenty wystrzelił do Kozaka i stał teraz z dymiącym pistoletem. Wypuścił broń z ręki. Oko zaczęło mu drgać. Jeden z leżących oponentów chciał przyłożyć do ust gwizdek, ale Józef w porę zadał mu kopniak w głowę. Każdego Rusina kolejno ogłuszano i ukryto w zaułku między kamienicami. Po zatarciu śladów, piątka popędziła do kamienicy, gdzie zamknawszy wszystkie drzwi i okna, weszła do piwnicy i odetchnęła z ulgą. W podziemiu czekali pozostali członkowie eskapady, lecz nie wszyscy.

- Józefie, Walenty! - zaczął zdenerwowany warszawiak, ten, który wcześniej opatrzył z Anną Pawła - złapali Bartłomieja i Andrzeja!

- Boże... - jęknął Józef, a Anna zakryła twarz w dłoniach.

W eskorcie Kozaków karoca więzienna z biskupami i resztą senatorów odjechała sprzed ambasady rosyjskiej. Na pożegnanie pomachał im sam Repnin. Konwój ruszył na Pragę dalej pojechał w kierunku Wilna, skąd przez Smoleńsk miał zawitać w Kałudze. Był to omen zwiastujący w Rzeczypospolitej wiele zmian...

Ambasador wrócił do gabinetu. Był usatysfakcjonowany, lecz doniesienia o napadzie na jego pułkownika i ucieczce Krasińskiego go wzburzyły. To pewne, że to sprawka tych Polaków! Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Osip Igelström z Kozakami, prowadząc zakrwawionych obdartusów.

- Wasza miłość - zaczął oficer - ci dwaj brali udział w zbrodni przeciw wojsku Najjaśniejszej Imperatorowej. Potwierdzili to gapie. Czy zarządzić tortury?

- Nie trzeba - machnął ręką poseł. - Dobrze wiem, kto dokonał tego bestialstwa. Tych dwóch tutaj - wskazał na trzęsących się ze strachu warszawiaków. - Wystarczy, że oddasz sędziemu i jutro z rana powieszysz, by ich charczenie zbudziło nazajutrz w warszawiakach resztki rozumu, jak kur na co dzień budzi ich do ich nędznej egzystencji.

Następnego dnia, tj. czternastego października, głośno było w stolicy o brawurowym uprowadzeniu senatorów. Tłum wrzał. Spekulowano, że gdyby brat Michała, biskup Adam Krasiński był owej nocy w Warszawie, to podzieliłby los uprowadzonych. Na szczęście jednak w porę dowiedział się o wypadku, zawrócił konia i uciekł za granicę - przez Turcję do Drezna. Miał szczęście, że uniknął obławy, bowiem musiał wpłynąć jeszcze na los Rzeczypospolitej... Michał potępił publicznie brata, aby nie znalazł się on w kręgu podejrzanych, a co ważniejsze, nie zajął miejsca krewnego...

Paweł i Janusz spędzili noc w kamienicy na Marienstadt'cie. Walenty był zdruzgotany. Odebrał człowiekowi życie, ponadto jego przyjaciele zostali pojmani. Józef, Anna i reszta warszawiaków obmyślała przez noc plan odbicia towarzyszy. Byli pewni, że ich przyjaciół nie czeka nic innego jak śmierć na szubienicy. Musieli działać energicznie, jeśli chcieli ocalić Andrzeja i Bartłomieja.

Obaj skazańcy spędzili noc w więzieniu. Skuleni w kątach kamiennej celi, ze skutymi kostkami oczekiwali na wzejście słońca i nadchodzącą egzekucję. Mieli szczęście, że uniknęli tortur. W końcu, wyczerpani wydarzeniami zeszłego wieczora zmrużyli oczy. Obudził ich strażnik, który hałasował, otwierając skrzypiące drzwi celi. Wszedł do środka i odpiął aresztantów. Ci, nawet nie starali się uciekać. Posłusznie dreptali w kierunku wyznaczonym przez żołnierza. Opuścili kordygarde[11]. Zostali zaprowadzeni na rozprawę w gmachu Izby Sądowej. Sprawiedliwość wymierzyć miał klient Repnina, którego zeszłej nocy dostrzegli przy ambasadorze Paweł z Januszem, sędzia Mateusz Wilczak. Wyroku można było się spodziewać - śmierć przez publiczne powieszenie za dopuszczenie się zabójstwa oficera i żołnierzy Imperatorowej oraz umożliwienie ucieczki poszukiwanemu biskupowi. Po zatwierdzeniu wyroku, czterech warszawskich milicjantów zaprowadziło straceńców do pokoju, w którym mieli oczekiwać na przygotowanie szubienicy. Niecały kwadrans później, ci sami żołnierze wyprowadzili skazańców przed Izbę Sądową, gdzie czekał już zabójczy piedestał. Przed budynkiem zaczęli gromadzić się mieszczanie. Plac otoczony został przez kilkunastu spośród 25 warszawskich milicjantów, *ubranych po polsku w żółte żupany, w błękitne katanki do kolan długie, z wyłogami żółtymi, guzikami białymi cynowymi. Czapki na głowach mieli z czarnym baranem wysokim, z żółtym wierzchem, boty na nogach czarne polskie, z podkówkami, spodnie błękitne, pas rasowy błękitny. Moderunek to ładownica*

czarna skórzana, z pasem takimże. Uzbrojenie stanowiły: szabla przy boku w czarnych pochwach skórzanych, w żelazo oprawna, z paskami wąskimi z rzemienia kręconego, karabin bez bagneta[12].

Więźniów zaprowadzono po stopniach przed oblicze samej śmierci. Muskularny kat postawił ich na pniach drewnianych i delikatnie założył im pętle na szyje, a następnie zacisnął. Na podwyższenie wkroczył sędzia Wilczak, herold oraz dowódca milicji warszawskiej, również obecny zeszłej nocy u Repnina. Przed sobą mieli kilkudziesięciu gapiów, którzy z przestachem spoglądali na biednych Polaków i urzędników z sercami z kamienia. Herold wystąpił naprzód i rozwinąwszy pismo, zaczął głośno oznajmiać:

- W imieniu reprezentanta Izby Sądowej miasta Warszawy oraz Rzeczypospolitej, Mateusza Wilczaka, skazuje się tych oto dwóch włóczęgów i zawadiaków warszawskich na śmierć przez powieszenie, za dopuszczenie się zbiorowego morderstwa na żołnierzach Imperium Rosyjskiego oraz umożliwienie ucieczki poszukiwanemu biskupowi Krasińskiemu. Niech Bóg zlituje się nad ich duszami... - rzekł, po czym zwinął dokument.

Paweł, Janusz, Józef oraz Anna stali w tłumie ludzi słuchających wyroku. Całej czwórce serca biły jak szalone, nie wiedzieli bowiem, co mają uczynić. Nie było możliwości ocalenia ich przyjaciół. Pośród gapiów stało mnóstwo milicjantów gotowych bez wahania oddać strzał do tych, którzy odważą się przeciwstawić arbitrażowi. Gdy wyrok został w pełni ogłoszony, a herold zwinął w rulon pismo, Anna chciała wyciągnąć pistolet, który ukryty miała w fałdach sukni. Józef i Paweł nie pozwolili na to. W tym czasie kat stanął między skazanymi, którzy widzieli w tłumie przyjaciół. Ludzie byli zbyt przerażeni, aby cokolwiek wykrzykiwać. Nagle Paweł złapał Janusza i Józefa za ramię.

- Wynośmy się stąd! - zakomenderował, po czym cała czwórka, choć niechętnie, oddaliła się z miejsca egzekucji.

Oprawca kopnął jeden, a potem drugi pniak. Kobiety pisnęły. Bartłomiej i Andrzej spadli. Pętle zacisnęły im się momentalnie na szyi. Chwilę potem przestali się wierzgać. Zapłakana Anna wtuliła się w ojca. Janusz zdjął kapelusz, a Paweł z pogardą spojrział na sędziego.

- Czemu kazałeś nam się oddalić - spytała szlochająca mieszcza.

- Dlatego - odparł Paweł, wskazując na wkraczających na plac Rosjan, którzy momentalnie otoczyli zgromadzonych i zagrodzili drogę mieszczanom.

- Repnin na pewno domyślał się, że ktoś będzie próbował ich uwolnić - dodał porucznik. - Wszystkich tych ludzi dokładnie przesłuchają.

Po powrocie do kamienicy zapanowała grobowa atmosfera. Wszyscy siedzieli

w milczeniu, modląc się w myśli, wspominając straconych towarzyszy. Nikt nie miał wątpliwości, że do tragedii doszło z powodu Pawła i Janusza. Oni wiedzieli o tym najlepiej.

- Drodzy przyjaciele - przerwał ciszę ułan - wiem, że śmierci Bartłomieja i Andrzeja jest winny nikt inny jak tylko ja sam. To przeze mnie doszło do strzelaniny i uprowadzenia waszych towarzyszy. Nie wybaczę sobie tego do końca mojego życia... Teraz opuścimy was razem z Januszem. Przyjmijcie to - tu Taszczyński rzucił na stół mieszek - jako wyraz wdzięczności za okazanie pomocy. To nie zwróci życia waszym towarzyszom, ale pomoże przetrwać trudne czasy.

Bez słowa ze strony warszawiaków, przyjaciele opuścili ich kamienicę i ruszyli w drogę powrotną na własną kwaterę. Po powrocie, chcąc odreagować, obaj zapadli w błogi sen. Nie trwał on jednak długo, gdyż obudził ich w pilnej sprawie pacholek kasztelana połockiego.

Wszyscy członkowie sejmu i pozostali ważniejsi konfederaci, w tym Paweł i Janusz jako eskorta Brzostowskiego, zostali wezwani na sesję prowincjonalną litewską[13], która odbyła się w Kościele św. Anny. Jak tylko oburzona szlachta i duchowieństwo zajęli miejsca w łóżach obok organów i na parterze, rozpoczęły się obrady. Chcieli przekonać sędziwego kanclerza litewskiego Czartoryskiego, aby bezzwłocznie udał się do króla z prośbą o uwolnienie uprowadzonych. Nagle na ambonie pojawił się ambasador rosyjski, w towarzystwie Radziwiłła i jego zastępcy, tj. generalnego marszałka litewskiego Stanisława Brzostowskiego. Krewny kasztelana połockiego często zastępował nietrzeźwego Radziwiłła. Na podwyższeniu pojawił się również zagorzały konfederat radomski Gabriel Podoski, którego Nikołaj uczynił prymasem Rzeczypospolitej.

Gdy złowrogie postaci ukazały się przybyszom, wszyscy zamilkli. Czartoryski usunął się z drogi Nikołajowi. Ambasador wsparł się dłońmi o drewnianą poręcz, pochylił nad amboną i rozejrzał się po głównej nawie.

- Zapewne dotarła do was wieść o porwaniu kilku senatorów - nie czekając na odpowiedź, Repnin kontynuował - Niech będzie to dla was przestroga! Byli to zdrajcy, którzy wątpili w naszą sprawę, a jednocześnie dokonali zniewagi majestatu Cesarzowej Rosji - krzyknął tak głośno, aż echo niosło się przez dłuższy czas. - Choć delegaci nasi radomscy byli u niej z prośbą o protekcję w zamian za równouprawnienie innowierców, znalazł się taki człowiek jak Sołtyk, który nie dość, że nie godził się z decyzją reszty radomian, to jeszcze uwłaczał Imperatorowej Katarzynie! Tego płazem puścić nie mogłem - rzekł z nutą ubolewania w głosie, spuszczaając wzrok. - Jeszcze na samym początku sejmu, od laski marszałka powstał pewien projekt... Nie chciałem się na to godzić, ale nie pozostawiliście mi wyboru... Aby sejm dotrwał do końca i podjął jakieś działanie nim rozpadnie się od anarchistów i buntowników postanowiłem! - tu na chwilę

zamilkł, by podnieść napięcie - że dalsza część sejmu walnego zostanie przeprowadzona przez specjalną, powołaną przez nas delegację!

Zgromadzeni przyjęli to z lekkim oburzeniem. Nic jednak nie mogli zrobić, gdyż działa mierzyły w strop kościelny, a piechurzy rosyjscy porozstawiani byli pod ścianami świątyni.

Już piątego października, kiedy to zaczął się sejm, pan Radziwiłł wspominał coś na temat chęci wyłonienia delegacji, aby łatwiej było ładu w kraju przywrócić. Notował to Lubomirski:

Projekt do konstytucji (...) wyznaczający komisarzów, z zupełną mocą i władzą z księciem jmcią Repninem tak względem dysydentów i dyzunitów jako i innych okurencji negocjować, taktować, podpisywać i wszystko (...) czyli do formy rządów; czyli innych poprawiać, przemieniać, znosić i ustanawiać (...) z zupełną mocą wszystko konkludować oznaczający; sejm zaś ad tempus królowi jmci benevisum limitujący.

- Delegacji przewodniczyć będzie wielebny prymas Gabriel, który odczyta zaraz listę sześćdziesięciu sześciu osób, będących w składzie reprezentacji sejmowej. Każdy z tej sali, kto rozstanie zaraz wyczytany, proszę niech wystąpi na środek.

Podoski wysunął się naprzód. Rozwinął trzymany przez siebie rulon i zaczął odczytywać imiona i nazwiska osób, które wychodziły przed ołtarz świątyni.

Adam Brzostowski stojący z Pawłem i Januszem na półpiętrze przed organami, modlił się wręcz, aby nie został wytypowany. Jako że prymas odczytywał nazwiska w porządku alfabetycznym, największy stres dla kasztelana był na samym początku. Niestety, pomimo usilnych modlitw, Brzostowski został wyznaczony przez Repnina.

- *Kiedy to się wreszcie skończy!* - myślał pan Adam, schodząc po schodach kościelnych.

Paweł i Janusz nie mieli tu nic do roboty. Zmierzali już do wyjścia, gdy nagle porucznik dosłyszał, z ust Podoskiego, nazwisko wojewody wileńskiego. Młody ułan odwrócił się w stronę, gdzie ludzie przepuszczali zmierzających w stronę ołtarza. Dojrzał swego mentora, pana i przyjaciela. Księżę wojewoda dostrzegł go przez ułamek sekundy i widział rozpacz i niedowierzanie w jego oczach. Janusz nie zwrócił uwagi na wymawiane nazwiska, toteż nie zatrzymał się. Podszedł do wyjścia i rozwarł drzwi kościoła. Część szlachciców i duchownych znajdujących się na tyłach usłyszała zgrzyt drzwi i poczuła powiew świeżego powietrza. Szlachcice odwrócili się i spojrzeli na śmiałka. Nie można było bowiem opuszczać sali bez wyraźnego pozwolenia ambasadora. Skrzyżowane karabiny rosyjskich żołdaków zagroziły Zatopockiemu drogę.

- Dokąd to się wybierasz? - wycedził Moskał. - Nie wolno opuszczać sesji, jeżeli książę Repnin nie wyraził na to zgody! - wykrzyknął Moskwiczanie.

- Dobrze już, dobrze. To się więcej nie powtórzy - obiecał Zatopocki unosząc ręce do góry. - Już wracam!

- Wrócisz, gdy z tobą skończę! - krzyknął żołnierz, chcąc uderzyć kolbą muszkietu nieposłusznego Lacha.

Ten jednak wykonał unik. Niebieski płaszcz zafalował, odsłaniając przytroczony do pasa pistolet.

- On ma broń, on ma broń! - krzyknął drugi Moskwiczin.

- O tym rozporządzeniu też nie słyszałeś? - pytał ironicznie żołdak, obezwładniając z innymi pana Zatopockiego.

Paweł odwrócił się, słysząc hałas na podwórzu. Zobaczył, jak żołnierze wloką gdzieś Janusza. Chciał wybiec, lecz ktoś chwycił go za ramię w przedsiönku. Z ciemności wyłoniła się postać - pan Abramowicz. Pokiwał głową na znak, że nie jest to najlepszy pomysł.

- Jeżeli też masz broń - szepnął Mirosław - radziłbym ci jej nie pokazywać, a tym bardziej nie próbować stąd wyjść. Na razie nic nie możesz zrobić.

Chwilę później Rosjanie zamknęli kościół od strony zewnętrznej do czasu, aż sam ambasador nie zezwolił na opuszczenie świątyni. Wola ambasadora stanowiła prawo...

Jakby po nabożeństwie, o godzinie trzeciej wychodzili tłumnie z kościoła wszyscy członkowie sejmu i pozostali radomianie. Abramowicz zaprowadził Pawła do kasztelana, z którym wspólnie opuścili świątynię. Dojrzał ich również książę Ogiński, który mimo wstydu wobec porucznika, podszedł do znajomych twarzy.

Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Taszczyński też nie był skory do rozpoczęcia rozmowy. Wyglądało to tak, jakby rodzic czekał na okazanie skruchy przez swoje dziecko i przyznanie się do błędu.

Ogiński zaczął więc od czegoś najbardziej oczywistego i jak najbardziej odpowiedniego:

- Wybacz mi Pawle, że cię okłamywałem - wojewoda wiedział dobrze, że skoro porucznik przebywał w towarzystwie kasztelana, to ten zdążył się już dowiedzieć o różnorakich więziach między nim, a Brzostowskim oraz Repninem. - I wybacz mi, że

nie mogę nic zrobić dla ratowania ojczyzny od skazy rosyjskiej.

Paweł spuścił wzrok.

- Ja przepraszam, żem odczytał wiadomość waszej miłości dla pana kasztelana, wasza książęca mość...

- Twoje wścibstwo nieraz przynosiło mi pożytek. Ufam, że zrobisz coś, aby ratować kraj.

- Wasza książęca mość - odezwał się Paweł - Wiedziałeś wtedy o bojarze, prawda?

- Tak, ale nie mogłem podejmować jakichkolwiek kroków wobec Rosjan. Mógłbym narazić się Repninowi.

- I naraziłbyś się. Repnin i bojar są w zмовie - teraz zwrócił się do pana Brzostowskiego. - Mój przyjaciel Janusz został uprowadzony przez Rosjan. Uwolnisz go?

- Nie mogę, poruczniku. Wzbudziłbym podejrzenia w Repninie, prosząc o ułaskawienie buntownika.

- Jak w ogóle mielibyśmy ratować ojczyznę, kiedy wszyscy boicie się działać?! - krzyknął wręcz Paweł, odwracając się na pięcie. Nie wiedział wtedy, że przechodzący opodal Michał Krasiński słyszał jego słowa...

Także i zaszokowani mieszkańcy Warszawy, którzy nie słyszeli słów Repnina na zgromadzeniu litewskim, mogli dowiedzieć się, jakimi pobudkami kierował się ambasador, decydując się na tak haniebny i gwałtowny krok. Nikołaj napisał deklarację usprawiedliwiającą porwanie senatorów polskich, którą drukarnie publicznie rozpowszechniły m.in. w „Kurierze Warszawskim” oraz w „Wiadomościach Warszawskich” Franciszka Bohomolca i Stefana Łuksiny. Odezwa brzmiała tak:

Oddziały Jej Cesarskiej Mości mej władczyni, przyjaciółki i aliantki Rzeczypospolitej aresztowały biskupa krakowskiego, biskupa kijowskiego [14], wojewodę krakowskiego i starostę dolińskiego, z powodu ich prowadzenia się, uwłaczającego godności Jej Cesarskiej Mości, podważającego czystość jej zbawiennych, bezinteresownych i przyjaznych intencji w stosunku do Rzeczypospolitej.

Niżej podpisany powiadomił najjaśniejszy Sejm, pozostający pod protekcją Jej Cesarskiej Mości, o stanowczych i uroczystych zapewnieniach kontynuacji tej opieki oraz pomocy i wsparciu Jej Cesarskiej Mości dla zachowania praw i wolności Rzeczypospolitej, z ukróceniem wszystkich nadużyć, które wśliznęły się do rządu, sprzecznych z prawami kardynalnymi państwa.

Jej Cesarska Mość pragnie tylko dobrobytu Rzeczypospolitej i nie zaprzestanie udzielać jej swego wsparcia dla osiągnięcia tego celu, bez żadnej zapłaty, pragnąc tylko bezpieczeństwa, szczęścia i wolności narodu polskiego, co już zostało jasno wyrażone w deklaracjach Jej Cesarskiej Mości, które gwarantują Rzeczypospolitej jej obecne posiadłości, jak również prawa, formę rządu i przywileje każdego.

Nikołaj księżę Repnin

Ambasador tryumfował. Od tej pory sejm miał już tylko prosperować po myśli Repnina. Delegaci sejmowi rozpoczęli swoje działania już wkrótce. Poczęli wdrażać w życie projekty konstytucji związanej z traktatem gwarancyjnym, równouprawnieniem dysydentów oraz cofaniem reform Poniatowskiego. Największą radość sprawiało Rosjaninowi dbanie o interesy innowierców, a to przez fakt, że czynił tym Polakom największą przykrość. Mimo iż początkowo powstawały zamysły detronizacji Stanisława Augusta, od kiedy w czasie trwania sejmu powrócił do łask carycy i poprzysiągł jej być wiernym i spełniać jej żądania, zaniechano tego projektu. Radomianie czuli się z dnia na dzień coraz bardziej uciskani i żądni sprawiedliwości. Delegaci wpieryw zajęli się sprawą różnowierców. Na zamku królewskim spotykali się wyłonieni przedstawiciele, wśród których znajdowali się ludzie kupieni i zastraszeni przez Repnina, jak również Czartoryscy, których ambasador specjalnie usadził wśród delegatów, aby i oni w przyszłości odpowiadali za rzeczy, które na tym sejmie miał zamiar ustanowić Nikołaj. O stosunkach wyznaniowych dyskutowali kanclerz Czartoryski i prymas Podoski wraz z posłami angielskimi, skandynawskimi, a także Benoitem, Repninem i marszałkami konfederacji różnowierczych. Po długiej dyskusji stanęło na tym, że katolicyzm zostanie religią panującą. Różnowiercy będą mieli swobodę kultu, budowy szkół i świątyń, uczestnictwa w państwowych urzędach. Dalej jednak królem mógł zostać jedynie katolik.

W sprawach małżeństw postanowiono, że synowie związków mieszanych będą wyznawać religię ojca, córki zaś matek. Ustanowiono sąd mieszany. Akt limity powstał 19 października. Za nowy system ustrojowy państwa wziął się Podoski. Obmyślał szereg ustaw i kodeksów, które zawarto później w tzw. *Prawach Kardynałnych*.

Paweł nie omieszkał poinformować Tadeusza o porwaniu przyjaciela. Razem głowili się nad sprawą jego wydostania z niewoli rosyjskiej, lecz w dwójkę nie mieli żadnych szans. Musieli więc liczyć na opatrność Boską, bo o pomoc Baraniego Kozuszka i warszawiaków, Paweł nie miał czelność prosić.

Podczas spotkania przyszło poruszyć temat bliższy chorążemu, albowiem dopytywał się porucznik o jego studia. Z powodu niezamożności rodu Kościuszeko, Tadeusz nie mógł pozwolić sobie na studia, jak sam wyjaśniał. Nie oznaczało to jednak, że nie chce pobierać nauk, o nie! Miał inny, dość skomplikowany i niepewny sposób. Starał się być jak najlepszym uczniem i liczyć, że dostanie stypendium od Korpusu

Kadetów. I rzeczywiście tak się stało. Gdy rok po tej rozmowie patronem Szkoły Rycerskiej został Adam Kazimierz Czartoryski, za wyróżnienia w nauce on i jego przyjaciel Józef Orłowski wyruszyli na studia artystyczne do Francji, do Paryża. Niepozornie wyglądający kadeci Szkoły Rycerskiej zniknęli w roli statystów ze sceny, jaką była Rzeczpospolita. Nikt wówczas nie przypuszczał, że pojawią się znowuż, tym razem w rolach głównych.

Burgrabia połocki, Aleksy Nałęczycycki, po odbytej w kościele naradzie udał się w stronę swojej kwatery. Usłyszawszy wołanie o pomoc i tupot maszerujących żołnierzy, odwrócił się i dojrzał Adama Malewskiego, ciągniętego przez żołdaków Repnina w stronę Krakowskiego Przedmieścia.

Okularnik się doigrał - pomyślał Nałęczycycki. - Ale chwila! To ten przyjaciel Krzaczewskiego, co Guzunow sądzi, że jest tak naprawdę porucznikiem Taszczyńskim!

Burgrabia niezwłocznie ruszył za żołnierzami. Dyskretnie. Gdy Moskale wprowadzili pojmanego do budynku, Aleksy poszedł za nimi. Żołdacy Repnina prowadzili jeńca do podziemi. Strażnik, siedzący przy klatce schodowej, otworzył im zakratowane wejście do piwnicy. Chwilę potem otworzył również Nałęczycykiemu. Po drewnianych, spróchniałych i gnijących od wilgoci stopniach, Aleksy wszedł do podziemi. Ujrzał kilka dużych cel, w których wielu było lokatorów. Krzyczeli oni i bluzgali na Rosjan. Nałęczycycki stanął w cieniu i czekał. Pan Zatopocki dojrzał w celi husarzy oraz ułanów więzionych jeszcze od dwudziestego trzeciego czerwca.

- Spójrzcie! - krzyknął do kompanów wachmistrz Piekarski. - Pojmali Janusza!

Wszyscy ucichli i zwrócili wzrok ku dwójce żołnierzy, która prowadziła pana Zatopockiego do celi. Tymczasem stojący w ukryciu burgrabia wyjrzał z cienia. Kroczył w kierunku cel z uśmiechem na twarzy.

- Dobra robota, panowie - zwrócił się do dwóch Rosjan, trzymających inżyniera za ramiona. - Pojmaliście niezwykle niebezpiecznego przeciwnika ambasadora. Zostaniecie za to sowicie nagrodzeni.

Rosjanie nisko się uklonili. Osłupiały pan Zatopocki nie wiedział, co począć. Poznał jego tożsamość!

- Ty skurwysynu! - wyrwał się wachmistrz. - Zobaczysz, pożałujesz zdrady Ojczyzny i zniewolenia nas tutaj! Paweł się z tobą rozprawi! Ty chędożona moskiewska ladacznico! Bodaj byś cierpiał najsrozsze męki, sukinsynu, Judaszu, tfu!

To już koniec... - pomyślał w duchu Janusz, słuchając kwiecistego języka Andrzeja. Nałęczycycki zatrzymał się i odwrócił do butnego wachmistrza. Uśmiechnął się z lekka,

widząc ciężko dyszącego żołnierza, który raptownie chwycił za pręty.

- Kto taki? - zwrócił się do Piekarskiego burgrabia.

Nie czekając na odpowiedź, dopowiedział.

- Porucznik Paweł Taszczyński?

- Bodaj was Rosjan... Tfu! - Piekarski splunął mu na but.

Strażnicy już chcieli rzucić się na celę i rozprawić z krnąbrnym Lachem, lecz Nałęczycycki ich powstrzymał.

- Spokojnie przyjaciele. To będzie zbyteczne. Ja i Repnin osobiście się nimi zajmujemy.

Aleksy podszedł bliżej kraty na odległość wyciągniętej ręki. Metalowe pręty wiązały w tej chwili pana Andrzeja.

- Zapamiętaj sobie - wycedził - nie jestem Rosjaninem.

Wachmistrz rzucił się na niego i chwyciwszy za szalik, przyciągnął do siebie. Aleksy uderzył twarzą w kraty. Moskale nie wytrzymali i przez kraty ugodzili wachmistrza kolbami karabinów. Kawalerzysta oparł się obolały o ścianę. Burgrabia chwycił się za obolałą szyję.

- Z nieodpartą przyjemnością przeprowadzę twoje kaźnie, osobiście - zapewnił.

Po powrocie z posiedzenia Repnin zaczął świętować. Wszystko układało się po jego myśli. Delegacja została wyłoniona, do uchwalenia planowanych projektów było tuż, tuż. Siedział w gabinecie, oblewając swój sukces. Winszowali mu oficerowie rosyjscy, prymas Podoski, Stanisław Brzostowski, uczyniony wojewodą inflanckim, a także marszałek sejmowy „Panie Kochanku”. Wszyscy cieszyli się z pomyślnego przebiegu zdarzeń i tu, w kularach, planowali dalsze przedsięwzięcia, jak tu tylko zagarnąć najwięcej dla samych siebie, kosztem tego sejmu. Nagle do sali wtargnął burgrabia.

- Repninie, musimy pomówić – oznajmił.

Nikołaj przeprosił towarzystwo i opuścił salon. Ruszył korytarzem z panem Aleksym.

- Oby to było coś ważnego - rzekł książę, upijając łyk wina.

- Pamiętasz raporty moje i Guzunowa? - zapytał burgrabia. - W obu była wzmianka o Polaku, który dość podejrzanie się zachowywał.

- Tak, przypominam sobie. Ale tożsamość Lacha, który ciebie nawiedził, jest nieznana. Sam miałem z nim do czynienia i wiem, że jest w Warszawie.

- Właśnie o tym chciałbym pomówić. Przy wyjściu z kościoła aresztowano jednego konfederata. Był to towarzysz tego Polaka, który zaciekał się naszą organizacją i spotkał mnie w Połocku.

- Do rzeczy - ponaglił Nałęczycyckiego Repnin.

- Przedstawiał mi się jako Malewski, Adam Malewski. Lecz gdy trafił do celi, jeden z ludzi nazwał go Januszem. Tak miał na imię towarzysz Lacha, który mocno załazł za skórę Guzunowi. Co więcej, tamten więzień groził mi, że P a w e ł się mną zajmie.

- Taszczyński?

- Dokładnie.

Repnin uśmiechnął się szyderczo.

- A więc wiemy, gdzie szukać naszego wścibskiego Polaka. Mają rację przyjacielu, że najciemniej jest pod latarnią...

- Istotnie, należał do osobistej straży kasztelana połockiego. Byłem prawie pewien, że to ta sama osoba, która załazła za skórę Guzunowi. Zbyt wiele faktów do siebie pasowało. Zorganizowałem nawet na niego zamach! Nieudany...

- To było głupie posunięcie z twojej strony. Masz szczęście, że rzeczywiście się nie powiodł. Zabójstwo przybocznego kasztelana, który wiodł katolików w moją pułapkę, mogłoby doprowadzić do walki i rozpadu związku z Połocka!

- Wybacz moją pochopną decyzję, panie. Chciałem w ten sposób ukrócić samowolę Brzostowskiego, który ostatnimi czasy stał się bardziej niezależny ode mnie... Czy teraz, kiedy mam absolutną pewność, że sługa kasztelana i Paweł Taszczyński to ta sama osoba i nasz wróg, mam go znaleźć i aresztować?

- Nie trzeba przyjacielu, nie trzeba. Niebawem on sam do mnie przyjdzie. Wtedy policzymy się z nim. Napiszę list do Guzunowa. Osobiście go mu doręczysz.

- Jak sobie życzysz.

Trzydziestego listopada Nikołaj Repnin wyprawił burgrabiego z listem do Nikity Guzunowa. Nałęczycy ruszył na północ, gdzie przekroczył granice rosyjską i udał się do siedziby bojara w Zawołoczach. Oddał bojarzynowi wiadomość, której treść była taka:

Aleksy Nałęczycy potwierdził informacje o Polakach, którzy rok temu pojawili się w Połocku, i używszy odznaki Twojej, wywiedli w pole burgrabiego. Lachy te, to w rzeczywistości te same osoby, z którymi przyszło ci walczyć w Żęhyniu. W związku z tym otrzymujesz następujące instrukcje: ruszysz wyrównać rachunki, udasz się do Warszawy, lecz wcześniej załatwisz sprawę w Żęhyniu. Ten Taszczyński to szczwany lis. Gdyby mi uciekł, chcę, by miał dalsze powody, aby z nami boje toczyć i by wyszedł nam naprzeciw. Ruszaj!

Guzunowi nie było trzeba dwa razy powtarzać. Nałożył kolczugę, na nią futro, przytroczył szablę i z drużyną złożoną z huzarów i kozaków dońskich i zaporoskich, zostawiwszy burgrabiego na namiestnika miasta, ruszył w kierunku granicy.

Wieczór był dość mroźny. Strażnicy na murach Żęhynia w swoich białobłękitnych mundurach trzymali dłonie blisko pochodni, by żar bijący od płomieni ich nieco ogrzał. Pan Zaremba pozostawił swoich ludzi w gródku Koszczaszów, gdzie wojsko zamieszkało w specjalnie wybudowanej kwaterze. Mimo zwycięskiej batalii obawiano się, że Kozacy mogą pojawić się w Żęhyniu, jak to miało miejsce podczas nieudanego ślubu. Wojciech objął dowództwo nad uformowaną strażą miejską. Mimo iż był dość zamożnym szlachcicem, przyjemne mu było popracować uczciwie i pobyć z dala od miejskiego zgiełku. Całe dni przesiadywał we dworze Koszczaszów, rozmawiając z Mikołajem i jego narzeczoną, o ile pozwalały mu na to obowiązki. Mieszkał w swoich włościach, ale jak tylko mógł, wizytował miasteczko osobiście parę razy w miesiącu.

Z młodym Żydem wiele miał wspólnych tematów. Szczególnie pochłaniała ich rozmowa na temat zarządzania włościami, w końcu Wojciech Zaremba był bogatym szlachcicem, a i Mikołaj niedługo miałby przejąć obowiązki ojca i zarządzać Żęhyniem. Co do starostwa, nie było pewności. W końcu to nie od Aleksandra zależało, choć król dawno pewnie zapomniał o istnieniu tego rubieżnego starostwa. Tak czy siak, szlachcic mile był tutaj widziany i nie chciał się z nim rozstawać. Niestety, los zgotował mu co innego...

Mgła zalegała na całej długości polany rozciągającej się przed główną bramą miasteczka, dlatego żołnierze na wałach nie dostrzegli nadciągającego zagrożenia. Kozacy i grenadierzy sunęli po cichu z drabinami. Ominąwszy okopy, niemal bezszelestnie rozstawili sprzęt oblężniczy. Kilku Dońców podłożyło pod bramą beczułkę prochu. Kiedy żołnierze rosyjscy powoli wchodzili po szczeblach, jeden jeździec, którego koń zaczął mimowolnie rzeć, rzucił granat w stronę bramy. Gdy ogień strawił lont, bramą wstrząsnęła eksplozja. Strażnicy na murach padli pokotem. Chwilę później dało się słyszeć pierwsze strzały i krzyk nacierających Kozaków. Ludzie pana Zaremby powstali

i rozpoczęli zażartą walkę z wielokrotnie liczbiejszymi napastnikami, którzy wdarli się do miasta po drabinach. Konni wpadli przez wylom w bramie i rozlali się po ulicach mieściny. Wszyscy chłopcy i mężczyźni chwyтали za broń, wyciągali nabite karabiny spod łóżek, szable z szaf, żegnali się przed progiem domu i ruszali przepędzić wrogów. Z chmury pyłu i dymu wynurzyły się sylwetki jeźdźców, którzy z uniesionymi ostrzami ruszyli na żęhynian. Walka zapowiadała się na mocno nierówną, jednakże wielce zaciętą.

W dworku Koszczaszów dał się słyszeć nagły wybuch. Śpiący w fotelu przed kominkiem Mikołaj zerwał się i chwycił wiszącą na ścianie szablę. Nałożył kolczugę na ubranie i wyszedł do hallu. Tam zastał nadbiegających mężczyzn ze służby, pana Zarembę w zbroi husarskiej. Słowa nie były potrzebne. Uzbrojeni wyszli do stajni, gdzie pacholkiwie szykowali już konie. Nagle Mikołaj dojrzał na schodach pędzącą ku niemu Karolinę. Rzuciła się mu na szyję.

- Ukryj się, ale gdy przyjdzie to walcz. Jesteś silna, z tobą sobie poradzą - wskazał na swoich rodziców i czeladź. - Kocham cię - pocałował ją namiętnie w usta.

- Wróć z tarczą - szlochała Karolina, po czym odwzajemniła gest.

Mikołaj wybiegł z dworu i dosiadł konia. Pan Zaremba odebrał koncerz od sługi. Ten przypiął mu jeszcze skrzydło. Wojciech spiął konia ostrogami. Spojrzał na Mikołaja i skinął głową. Husarz przeżegnał się. Jeźdźcy ruszyli w stronę Żęhynia. Już stąd, mimo mgły, dojrzeli ogień wznoszący się ponad miasteczkiem.

Kozacy siekli szablami stawiających opór. Żołnierzy Wojciecha już wszystkich wybito. Mury zostały stracone a przez bramy wjeżdżało coraz więcej wrogich żołdaków. Kule armatnie przelatywały ponad murami miasta. W walkę zaangażowali się prawie wszyscy mieszkańcy. Wiedzieli, że i tak zginą... Salwa dana z muszkietów milicjantów zwała pięciu szarżujących na główny plac huzarów. Pozostali jednak wytrwali i zdobyli go. Domy wokół placu głównego były barykadowane, mieszkańcy strzelali z okien do dobijających się Kozaków. Nagle z chmury dymu i iskier wyłoniła się postać Mikołaja, a za nim husarza i dziesięciu innych jeźdźców. Konie zarżały. Mieszkańcy usunęli się z drogi szarżującym. Po oddaniu przez kawalerzystów salwy z pistoletów, kopyta końskie, szable i koncerz husarski wyparły napastników z placu. Dalej zebrawszy się z powrotem w formację, jeźdźcy ruszyli w stronę bram, gdzie również stratowano wielu napastników. Po drugiej udanej szarży poprowadzonej przez Mikołaja, koncerz Zaremby utkwiał w ciele wroga. Sięgnąwszy po szablę, Wojciech ruszył cwałem w stronę centrum. Stratował kilku Kozaków, lecz nagle tuż koło jego wierzchowca spadła kula artyleryjska. Koń stanął dęba i husarz zwał się na ziemię. Chwilę później eksplodował za nim fragment wału. Odłamki kamieni i kawałki drewna uderzyły husarza, lecz zbroja jego nieco złagodziła obrażenia. Pan Zaremba dostrzegł masę żołnierzy z nasadzonymi na muszkiety bagnietami, nacierających na Żęhyn. Chwilę potem zemdłał...

Gdy wybuch rozsadził część muru, Koszczasz i reszta jeźdźców zawróciła na plac. Za nimi ruszyło w pogoń stu piechurów, którzy z wojennym okrzykiem na ustach zabijali każdego na swej drodze. Chwilę później Dońcy, Zaporozcy i Moskale zalali ponownie centrum miasteczka.

Mikołaj starał się wyprzeć Rosjan z głównego placu. Nadciągających przeciwników było jednak kilkakrotnie więcej niż obrońców, toteż odwlekali tylko to, co nieuniknione. Obecność Mikołaja dodawała jednak otuchy mieszkańcom. Ci walczyli wręcz na placu, a z okien budynków zasypywali Rosjan gradem ołowiu. Nagle Mikołaj dostrzegł wśród walczących atamana Kryemkę. Ten trzymał za włosy młodą dziewczynę i chwilę potem szybkim ruchem szabli rozplątał jej krtań. Krew obryzgała czarciego wojownika. Nie otarł jej z twarzy. Ociekała, czuł jak posoka spływa mu z policzków do kącików ust. Lubił jej słodki smak. Zwłaszcza, gdy krew ta należała do jego wroga.

Wciąż konno młody Koszczasz zbliżył się do kozackiego przywódcy. Ataman sparował jednak potężne uderzenie, ledwo utrzymując się na nogach. Wyciągnawszy pistolet, strzelił do Mikołaja. Kula przedarła się przez kolczugę i utkwiała mu w ramieniu. Żyd zawył. Nie utrzymał się na koniu, który spłoszony, przyspieszył. Mikołaj spadł w błoto. Zobaczył Rusina, który stanął nad nim, wspierając szablę o obojczyk. Uniósł broń do cięcia, lecz Mikołaj leżąc, kopnął go w nogę i zwałił również na ziemię. Skoczył na atamana i chwycił jego gardło oburącz. Ścisnął przez dziesięć sekund. Silny Kozak, ani myślał dać się zabić. Wierzał, twarz jego zrobiła się cała czerwona z braku powietrza. Sięgnął po sztylet i uniósł do góry, lecz duch jego zaczął ulatywać. Mimowolnie ręka zaczęła opadać, sztylet wypadł z dłoni, nad którą ataman stracił władzę. Chwilę później wydał ostatnie tchnienie. Mikołaj wziął głęboki wdech, lecz nagle ktoś pociągnął go za ramiona. Dwaj żołdacy rosyjscy przytrzymywali krwawiącego Koszczasza, który klęczał teraz naprzeciw Guzunowi. Bojar na swym rumaku dumnie spoglądał na płonący Żęhyń. Bez słowa wyciągnął zza pazuchy pistolet, a dźwięk opadającego kurka był ostatnim, jaki Mikołaj usłyszał na tym świecie.

Damska część służby, wraz z Koszczaszami i Karoliną zabarykadowała się w dworku, czekając na rozstrzygnięcie bitwy. Gdy tylko strzały ucichły, w oddali nie słychać było bitewnego zgiełku. Wiadome już było, jak skończyła się ta potyczka. Narzeczona Mikołaja rzuciła się na fotel, łkając i przycisnęła poduszkę do swojej twarzy. Matka młodego Koszczasza wsparła głowę o ramię męża. Służki splotły dłonie na piersiach i opuściły wzrok. Nagle wszyscy dosłyszeli tętent kopyt, a już po chwili strzały i dźwięk rozbijanych pociskami okien. Wszyscy zebrali się razem na półpiętrze, wpatrując się w drzwi wejściowe i modląc się o cud. Słudzy podstąpili z bronią gotową do strzału do okien, lecz nim zdążyli wystrzelić, padli martwi ugodzeni pociskami z zewnątrz. Wejście zostało wyważone. Do gmachu wpadło kilku Kozaków, którzy rozbiegli się po pokojach na parterze. Część wycelowała lufy muszkietów w przerażonych domowników. Chwilę później do domu wkroczył Guzunow. Dostrzegłszy Koszczaszów rzucił:

- Tak płaci się za nieposłuszeństwo wobec pana - rzekł do Aleksandra bojarzyn. - Mogę wam jednak darować winy, o ile ukorzycie się przede mną!

- Ty gnido! - rzuciła zapłakana Karolina. - Ty szelmo! Pożałujesz tego, co nam zrobiłeś. A możesz być pewien, że nikt tu nie ulęknie się przed śmiercią.

- A więc to wasza odpowiedź?

Koszczaszowie pokiwali znacząco głowami. Służba mimo niepewności i paraliżującego strachu podzieliła zdanie starosty.

Nagle do Nikity podbiegł żołnierz trzymający w dłoniach papiery, które wyciągnął z kufra pod łóżkiem Aleksandra. Bojarzyn odebrał z rąk „należne” mu akta własności.

- Możecie więc być pewni, że śmierć byłaby dla was najłżejszą z możliwych kar...

Gdy wszelkie kosztowności łącznie z aktem włości zostały zabrane przez żołdaków Nikity, a więźniowie połączeni więzami i przywiązani do wozu, Guzunow kazał puścić z dymem całe domostwo. Kozacy rzucili płonące pochodnie przez wybite okna. Minutę później cały dom stał już w płomieniach, dym i iskry wydostawały się wszystkimi oknami. Jeńcy ze łzami w oczach patrzyli na tę scenę. Nawet stanowczy i niewylewny starosta uronił kilka kropli. Pozostawiając za sobą niszczonej dom, więźniowie ruszyli, ciągnięci przez jadący dość szybko wóz, wypełniony po brzegi drogocennymi przedmiotami.

Ledwo żywy pan Zaremba, przygnieciony ciężkimi odłamkami muru, leżący w głębokiej kałuży krwi i błota, widział, jak ocaleli z pogromu mieszkańcy Żęhynia, ruszyli gęsiego eskortowani przez żołnierzy Guzunowa. Nad miastem piętrzyły się obłoki czarno - szarego dymu, budowle miasteczka zajęły się ogniem. Piekące, duszne opary podrażniały Wojciechowi oczy. Tuż obok niego wlatywały iskry, które lada chwila mogły zapalić wysychające z błota pióra na husarskim skrzydle.

Kto mądry wymyślił coś takiego!? - wołał w myśli Wojciech

Po niespełna kilkunastu minutach Żęhyń opustoszał. Wojciech zbierał siły, aby móc podnieść się i usunąć ciężące kamienie. Niestety, był mocno raniony, krew opuszczała jego ciało i mocno go to osłabiło. Ogień zbliżał się do niego. Nagle iskry zaproszyły płomień na piórach przytwierdzonych do naplecznika! Pan Zaremba zaczął się modlić. Gdy skończył trzecią zdrowaśkę, usłyszał grzmot. Pomyślał, że to może jakaś armata jeszcze wystrzeliła. Chwilę później poczuł chłodne krople padające mu na dłoń. Przez chmury pyłu i sadzy przedostawały się krople deszczowe.

- Święci pańscy! Burza! Chwała Najświętszej Paniencie - wołał głośno pan

Zaremba, śmiejąc się jak obłąkany.

Postanowił wykorzystać moment. Zebrał resztki sił, które mu zostały i podniósł się z kałuży. Kilogramowe odłamki muru i drewno stoczyły się po zbroi. Ledwo trzymając się na nogach, szlachcic wsparł się o duży odłam muru. Ciężko dysząc, zaczął rozmyślać, jak dalej postąpić. Nagle usłyszał wewnątrz miasta niespojone rżenie jakiegoś konia.

Cóż za zbieg okoliczności - pomyślał Wojciech, człapiąc w kierunku, z którego dochodził ten odgłos.

Na głównym placu wierzgał rumak Mikołaja. Jego cugle zaplątały się o stertę gruzu, dlatego też nie mógł uciec z płonącego miasta. Wojciech kulejąc, powoli podszedł do konia. Wyciągnął ku niemu dłoń, lecz zwierzę przebierało kopytami, uniemożliwiając zbliżenie się. W gruzach pan Zaremba dostrzegł kawałek materiału, dokładniej obrus. Wyciągnął go z gruzowiska i narzucił zwierzakowi na głowę. Koń rzucał się jeszcze przez chwilę, lecz wigor zwierza w końcu ustał. Wojciech zabrał się do rozplątywania „więzów”. Pogładził konia po karku, aby czuł się nieco spokojniejszy. Poczul gęsią skórę na torsie zwierzęcia. Aby pokazać mu, że jest wolny, chwycił Wojciech cugle i poprowadził konia w stronę zniszczonej bramy. Konik posłusznie ruszył za nowym właścicielem. Nagle pan Zaremba dostrzegł leżącego w kałuży Mikołaja. Puścił zwierzaka i w te pędy rzucił się do nieboszczyka. Wsparł jego głowę na dłoniach, rozpaczliwie wołał do niego, lecz na nic. Miał dużą dziurę w kolczudze: i na obojczyku, i na piersi, gdzie krew jeszcze nie zakrzepła. Wojciech zamknął Mikołajowi oczy. Nie wiedział dalej, co z nim począć. Mimo bólu, wykopał na środku placu duży rów, ale z powodu deszczu nie było to łatwe przedsięwzięcie. Owinął Mikołaja znalezionym materiałem i złożył do improwizowanego grobu. Zakopał prędko, bo woda wlewała się do wgłębienia. Na koniec wziął dwa kawałki drewna i związawszy je ze sobą na kształt krzyża, wbił w ziemię ponad grobem. Tylko tyle mógł zrobić dla tego bohatera. Kiedy pochówek został zakończony, pan Zaremba dosiadł rumaka.

- Będziesz mi potrzebny - zwrócił się do wierzchowca, który chyba rozumiał powagę sytuacji.

Szlachcic zastanawiał się, co dalej robić. Przecież do niewoli dostało się mnóstwo mieszkańców miasteczka, których trzeba było uratować! Sam nie mógł nic zrobić. Spiał konia ostrogami i ruszył na poszukiwanie Pawła.

Rozdział dziewiąty: Droga ku wolności

Ktoś przyłożył Pawłowi dłoń do twarzy. Młody ułan obudził się i podniósł się gwałtownie z łóżka. Było ciemno, nic nie widział, a napastnik przyspilił porucznika do łoża. Porucznik starał się uwolnić, do czasu, aż zapalono świecę. Ujrzał Michała Krasieńskiego i kilku innych ludzi w strojach podróżnych, stojących nad jego posłaniem.

- Wybacz nam najście, mości Taszczyński, ale mamy sprawę niecierpiącą zwłoki – zaczął. – Ten służalczy pies – Radziwiłł, jest zdrajcą, jak każdy, kto dobrowolnie obstał za Repninem. Musimy się im przeciwstawić!

- Niech waszmościowie powiedzą mi coś, czego już nie wiem... - odpalił porucznik.

- Uciekamy ze stolicy! - wyjaśnił wprost Krasieński. - Organizujemy powstanie przeciw Repninowi i Rosjanom w Rzeczypospolitej!

- Naprawdę? - zerwał się wyraźnie podniecony Paweł. - Gdzie chcecie się udać?

- Jak najdalej stąd, panie poruczniku, chcemy, byś ruszył z nami! Po orędziu Repnina dojrzałem na pana palcu sygnet mości biskupa Krasieńskiego. Wiedziałem, że to ty go ocaliłeś!

- Tak, niestety tylko jego zdążyłem w porę ostrzec... Ale gdzie dokładnie zamierzacie wyruszyć? - dopytywał się Paweł, powstając z łoża i sięgając po ubranie.

- Na Podole, mój przyjaciel Józef Pułaski z synami czeka na nas w Barze. Zbiera już ochotników. Wraz z nimi i moim bratem organizujemy od dłuższego czasu powstanie przeciw Moskałom i dysydem.

- WY - znaczy kto?

- No ja, Józef i juniorzy Pułascy, mój brat, złapani: Sołtyk i Rzewuski oraz wojewodzina braclawska Anna Jabłonowska...

- Na co jeszcze czekamy? Ruszajmy więc! - zawołał Paweł, przerywając w pół zdania dowiedziawszy się, jak wiele osób przejrzało na oczy i podjęło zdecydowane kroki przeciw Repninowi.

Paweł przytroczył do pasa szablę i zatknął pistolety.

- Jest jeden problem - rzekł pan Michał. - Budynek jest obstawiony wojskiem rosyjskim. Nawet mysz się nie prześlizgnie, a prócz obecnych tu jegomościów nie ma tu naszych stronników.

- To jak niby zamierzacie się stąd wydostać!?

- Masz, zdaje się, pod sobą oddział ułanów, nieprawdaż? Podobno i rota husarska jest tobie wierna. Chcemy, żebyś odwrócił uwagę nieprzyjaciół przy ich użyciu.

- Ale wszyscy są uwięzieni! Musiałbym ich wydostać!

- Moi ludzie pomogą - wskazał siedmiu tęgich mężów. - Zrobimy wszystko, aby stąd uciec i powstrzymać Repnina, zanim skończy się ten przeklęty sejm.

- A więc do dzieła!

Grupa wydostała się z pokoju Pawła. Na korytarzu panowała cisza, przez okna wpadały słabe promienie księżyca oświetlające posadzkę. Na szczęście, nie widać było w pobliżu straży. W skrytości spiskowcy posuwali się wzdłuż ściany, w stronę narożnika. Gdy dotarli, Krasieński wyrżał za róg, wypatrując żołnierzy. Dostrzegł jedynie schody znajdujące się na końcu korytarza. Mężczyźni już mieli wznowić swój pochód, gdy nagle na stopniach pojawiło się słabe światło. Z każdą sekundą przybierało na sile. To strażnik, zaopatrzone w latarnię, patrolował swoje skrzydło. Zmierzał w stronę narożnika. Krasieński wstrzymał pochód ręką. Wysunął po cichu szablę i uniósł ją w oczekiwaniu na nadciągającego straceńca. Gdy jego głowa wyrżała zza zakrętu, Krasieński opuścił oręż w jednym, perfekcyjnym cięciu. Kepi rosyjskiego żołnierza zostało rozcięte na pół... i nie tylko to... Lampa wypadła trupowi z dłoni. Na szczęście Paweł zdążył ją chwycić w locie, nim dźwięk rozbijanego szkła mógł pobudzić wszystkich dookoła.

- Przebieraj się - rozkazał Krasieński jednemu ze swoich ludzi, wskazując na mundur martwego żołnierza.

Gdy pozbawiono Moskala uniformu, jego ciało wrzucono do najbliższej komórki. „Nowy” strażnik wziął od Pawła latarnię i ruszył na czele uchodźców, przy zachowaniu między sobą kilkumetrowego odstępów. Grupka zeszła na pierwsze piętro. Nikogo na tym poziomie nie zastali.

- Panie Krasieński - zagadał Taszczyński - wie pan, gdzie trzymają buntowników? - spytał po cichu.

- Zapewne w piwnicy, urządzili tam cele.

- A zbrojownia? Gdzie się mieści?
- Także pod ziemią.
- Tym lepiej dla nas, ruszajmy - zakomenderował Paweł.

Grupa udała się na parter. Bez problemów przedostała się do sąsiedniego skrzydła, gdzie znajdowało się wejście do piwnicy, a raczej więzienia. Gdy dotarli do wejścia, Krasieński zaklął pod nosem. Krata broniąca dostępu do podziemi była zamknięta na klucz. W normalnych okolicznościach można by odstrzelić zamek, ale na pewno huk wystrzału podniósłby alarm.

- Zawołaj strażników - polecił swojemu przebranemu człowiekowi Michał.

Paweł i pozostali przylegli do ścian po obu stronach wejścia. Przebieraniec zawołał po rosyjsku. Żadnego odzewu. Spróbował głośniejsze. Również nic. Głośniejsze nie chciał, aby nie przykuwać zbytnej uwagi. W końcu wyciągnął z torby kulę karabinu i cisnął ją w ciemną otchłań.

- Idę już, idę! - zawołał po rusku nadchodzący strażnik.

Po schodach maszerował Moskał w średnim wieku. Trzymał w ręku lampę, w drugiej dłoni pęk kluczy. Światło zawiesił ponad głową na wbitym w ścianę gwoździu, po czym zajął się poszukiwaniem właściwego wytrycha. Mruczał coś pod nosem, przypasowując kolejne klucze. Trwało dobrych kilka minut, nim Krasieńskiemu puściły nerwy. Ujawnił się i szybkim ruchem przebił serce Rosjanina. Towarzysz Michała natychmiast zakrył mu usta. Moskał opadł na ziemię, trzymając w dłoni interesujący ich przedmiot. Zakrwawiony pęczek kluczy zabrano z dłoni i szybko odnaleziono właściwy wytrych. Grupa zeszła do podziemi, pozostawiając na czatach dwóch ludzi. Na czele z przebranym żołnierzem ruszyła po stromych stopniach. Nie licząc światła bijącego od niewielkiego okna i kilku zapalonych świec, w piwnicy panowały ciemności. Była ubrudzona, śmierdząca, między nogami co jakiś czas przebiegł szczur. Ściany były wilgotne, drewniane elementy, w tym bele przytrzymujące strop, przegniły. Wilgoć utrzymywała się w powietrzu. Prawą część podziemi stanowiły cele z rdzawego metalu. Po lewej stronie na ścianie zaczepiona była pochodnia, pod nią stały stolik oraz krzesło zajmowane przez, palącego cygaro, żołnierza. Nieopodal znajdowały się żelazne drzwi prowadzące do zbrojowni. Łącznie w piwnicy przebywało trzech żołnierzy rosyjskich. Jeden palił, dwóch patrolowało. Gdy grupa znalazła się w podziemiach, ukryła się w cieniu i obmyślała plan. Po krótkiej naradzie wysłali swojego człowieka w mundurze rosyjskim. Dojrzał on kilkudziesięciu ludzi stłoczonych w pięciu celach.

- Kto to tak natarczywie próbował się tu dostać - spytał jeden z żołnierzy, myśląc, że wrócił ich towarzysz, nie odrywając wzroku od więźniów.

- Ktoś z góry chciał dowiedzieć się, co u nas - odparł płynnym rosyjskim.

Pałacy Moskał wyciągnął ku „gościowi” paczkę z cygarami. W tych ciemnościach nie dostrzegł, że przybyły żołnierz nie jest tym samym, który udał się na górę. Ponadto przebieraniec miał nasuniętą na oczy czapkę, którą zabrał nieboszczykowi. Żołnierz od Krasińskiego podszedł do Rosjanina i zamiast wziąć tytoniowy smakołyk, chwycił strażnika za głowę i uderzył nią o ścianę. Nie czekając na reakcję pozostałych dwóch Rosjan, dobył szabli i ruszył na najbliższego. Gdy szable skrzyżowały się ze sobą, Krasiński i reszta ujawnili się. Paweł wyskoczył wprzód ze swym nożem i rzucił nim w zdezorientowanego strażnika. Ostrze sztyletu wbiło się w czoło. W tym samym czasie przebrany za Rosjanina żołnierz Krasińskiego kopnął przeciwnika w krocze i ściął mu głowę jednym celnym zamachem, nim ten jedną ręką dosięgnął dzwonka. Więźniowie chcieli już wiwatować na cześć oswobodzicieli, lecz ci kazali im zachować ciszę. Paweł i kilku innych zabrało się za otwieranie cel. Byli tutaj wszyscy towarzysze Pawła: wachmistrz z ułanami, husarze, pan Zatopocki, a także kilku ludzi Krasińskiego, którzy wraz ludźmi Taszczyńskiego opierali się Moskałom jeszcze w Radomiu. Po uwolnieniu więźniów wyważono drzwi do zbrojowni, gdyż wśród kluczy nie było żadnego, który pasowałby do zamka. Znalazło się tam mnóstwo niezbędnego dla uchodźców sprzętu: skonfiskowane szable, lance, pistolety, mnóstwo muszkietów i karabinów, kilka beczek prochu, skrzynki z granatami i broje husarskie. Żołnierze prędko się uzbroili i przygotowali do ucieczki. W międzyczasie Paweł i Michał zapoznali ocalonych z planem działania.

- Jak daleko stąd jest stajnia? - zapytał Taszczyński.

- Kilka przecznic, bodajże na Krakowskim - odparł Michał. - Nie uda się do nich dotrzeć bez zawiązania walki!

- Może jednak da. Niech twoi ludzie ubiorą się w mundury tych trzech Rosjan. Pójdą po konie.

- Co potem? - zapytał wachmistrz. - Chyba nie wysadzimy budynku, aby się wydostać?

- Może jednak - w oczach porucznika zabłysła iskierka. - Ustawcie pod ścianą beczki z prochem i kilka grantów. To powinno załatwić sprawę. Czekać jednak na sygnał.

- Jaki to sygnał? - zapytał Krasiński.

- Galop stada rozjuszonych koni - odparł, obracając się w stronę wyjścia.

- A ty dokąd idziesz?

- Mam pewną sprawę do załatwienia - odparł porucznik.

Paweł i czterech żołnierzy przebranych za Rosjan poszli schodami na parter. Ludzie Krasińskiego ruszyli na zewnątrz, udając, że prowadzą Taszczyńskiego jako więźnia. Grupa dywersyjna wysłana przez Krasińskiego bez problemu wydostała się z budynku. Opuściwszy kwaterę, dojrzelili kilka patroli rosyjskich maszerujących po głównej ulicy. Otoczony przez „Rosjan” Paweł wskazał im zaułek, do którego mieli go zaprowadzić. Gdy dotarli we wskazane miejsce, tj. uliczkę między gmachem ambasady rosyjskiej, a kamienicą, ich drogi się rozdzieliły.

Taszczyński dojrzał okienko piwniczne tuż przy ziemi. Wybił szybę sztyletem i przecisnął się przez dość wąski otwór. Ruszył schodami na parter. Znalazłszy się wewnątrz ambasady, ruszył na poszukiwanie Repnina...

Dywersanci ruszyli w stronę stajni, na prawo, na Miodową. Później ruszyli na Przedmieście. Kilka kamienic na lewo od willi Krzysztofa Zygmunta Paca, którą jeszcze tego roku zakupił król Stanisław, mieściły się stajnie. Z wnętrza dochodził hałas rżących koni. Żołnierze prędko udali się przed budynek. Ulicę i samą stajnię patrolowało dwóch moskalskich żołdaków.

- Jak je stąd wyprowadzimy? - zapytał jeden z ludzi Krasińskiego.

- Najlepiej byłoby upozorować wypadek - podpalimy stajnię, konie wypuścimy i skierujemy w stronę ambasady rosyjskiej.

Wszyscy zabrali się do pracy. Dwóch dywersantów weszło do stajni, a pozostali dwaj zajęli się Rosjanami. Podeszli do nich i poczęstowali cygarami zabranymi z więzienia. Moskale ochoczo wzięli wyroby tytoniowe w usta. W tym samym czasie, jeden z przebierańców ugodził obu wrogów szabłą. Żołdakom zatknęto twarze, aby ich krzyki nie obudziły miasta. Chwilę później Moskwiczanie osunęli się na ziemię. Zabrano trupy, a dywersanci zajęli ich miejsca. Co chwilę, bowiem, zza zakrętów wyłaniały się patrole obserwujące okolicę.

Paweł sunął bezszelestnie po gładkiej posadzce. Znajdował się już na trzecim piętrze, na którym, według niego, powinien znajdować się apartament Nikołaja. Za swoimi plecami pozostawił już trupy trzech strażników. Miał nadzieję, że więcej nie przyjdzie mu zabić. Na końcu lewego skrzydła dostrzegł wyróżniające się drzwi, chronione przez dwóch Moskali. Nie miał jak zakraść się do nich. Dzielila ich kilkunastometrowa, niczym nieosłonięta przestrzeń. Wiedział, że tam na pewno jest Repnin! Pozostało mu więc tylko jedno. Przygotował oba pistolety do strzału. Przeżegnał się, wziął głęboki wdech i wyskoczył zza rogu. Pobiegł ile sił w nogach w stronę Rosjan.

Ci, zdziwieni tym aktem samobójczym, ściągnęli z pleców muszkiety. Wycelowali je w Pawła, lecz ten uprzedził ich dwoma celnymi strzałami. Przeciwnicy osunęli się na ziemię, pozostawiając na kremowej ścianie dwie smugi krwi. Taszczyński jednak nie zaprzestał biegu. Wziął jeszcze większy rozpęd i kopniakiem wyważył drzwi. Przed nim stał ubrany w surdut, uśmiechnięty Nikołaj Repnin. W rękę trzymał wycelowany w ułana pistolet.

Stojące między uliczkami kozły hiszpańskie ustawiono tak, aby tworzyły barykadę uniemożliwiającą galop koni na lewą stronę. Wszystkim rumakom nałożono na grzbiety siodła i odwiązano od beli. Trwało to dość długi czas, lecz w końcu żmudna praca dobiegła końca. Bramka została otwarta, a żołnierz wziął żarzącą się świecę i cisnął nią w wysuszone siano. Zabłysł ogień. Konie wierzgały. Gdy dym podszedł pod sufit i ogiery zaczęły się dusić, zerwały się momentalnie i wybiegły ze stajni. Zgodnie z założeniem, skierowały się w stronę ambasady. Ludzie Krasieńskiego podnieśli alarm, aby nie zostali uznani przez nadjeżdżających Kozaków za sprawców pożaru. Jak dotąd wszystko szło po myśli spiskowców. Rusini zagwizdali głośno, przebrani dywersanci pobiegli „po pomoc” za koźmi.

Paweł stał osłupiały. Po raz pierwszy nie wiedział, co ma robić. Naprzeciw stał jego najzagorzalszy wróg, poseł Nikołaj Repnin, którego tak bardzo pragnął schwytać. *Venator* został ofiarą.

- Proszę, proszę. Toż to porucznik Paweł Taszczyński we własnej osobie - powiedział Repnin - Długo czekałem na to, by poznać osobę, która tak bardzo zainteresowała się działalnością mojej organizacji.

- Wreszcie się spotykamy twarzą w twarz. Przynajmniej możemy porozmawiać w cztery oczy - odparł Polak, mając na uwadze incydent w kanałach. - Ale sądziłem, że to ja będę mieć cię na ostrzu noża.

- Naprawdę sądziłeś, że mnie schwytasz? - zaśmiał się Repnin. - Naiwny Lachu...

- Ten naiwny Lach zdołał już nieraz wyrwać się z objęć śmierci. Ostatnim razem na Pradze, pamiętasz?

- Sprytu i inteligencji ci nie brakuje, to fakt - przyznał Rosjanin, naciągając kurek - dosyć dobrze kryłeś swą prawdziwą tożsamość przed Aleksym. Było jasne, że ty i wróg Guzunowa byliście tą samą osobą, ale bezpodstawne zabójstwo oficera Rzeczypospolitej nie uszłoby uwadze możnych kręgów na Litwie.

- Cóż, ktoś już raz podjął próbę zamachu na moje życie. Bardzo cieszę się, że mu się nie udało i mogę tobie osobiście donieść o tym niefortunnym incydencie. Obyś odpowiednio skarcił burgrabiego za tę pochopną decyzję - odparł jak gdyby nigdy nic

Paweł, ukrywając w tej wypowiedzi pogardę dla swoich wrogów i uświadamiając Repninowi, jak wiele już wie - Bardzo niekompetentnych ludzi zatrudniacie jako najemnych zabójców...

- Przynajmniej strach o twój własny los spędzał ci sen z powiek... - ripostował ambasador. - Teraz bez skrupułów będę mógł pozbyć się szlachcica, który wtargnął do mojej rezydencji w celu zgładzenia mnie - uśmiechnął się Nikołaj

- Jeżeli masz zamiar mnie zabić, to zrób to teraz - Paweł powiedział to takim tonem, jakby przyznawał swemu rywalowi, że okazał się być lepszy w tej swoistej grze.

Nie miał złudzeń, że dał się wyprowadzić w pole Repninowi. Obaj doceniali siebie nawzajem.

- O nie, mój przyjacielu. Choć chętnie bym to zrobił, obiecałem tę przyjemność komu innemu.

- A mianowicie? - Paweł uniósł brew.

- Guzunow chciałby dokończyć to, co nie udało mu się w Żęhyniu.

- *Do trzech razy sztuka* - pomyślał Paweł - Skąd w ogóle się znacie?

- Jego dziad, Michaił Guzunow był podwładnym mojego - Anikity Repnina[15].

- Skoro i tak zginę, może zechcesz opowiedzieć mi coś o waszej organizacji. Czy to tajna gwardia powołana przez carycę?

- Sądzisz, że działamy z polecenia Katarzyny? - prychnął Repnin. – Może nie jesteś tak inteligentny, za jakiego cię miałem. Myślałeś, że spełniamy jej wolę i umacniamy jej władzę?

Paweł nic nie odpowiedział.

- Słyszałeś kiedyś o wolnomularzach?

- Masonach?

- Deszcz pada[16] - mruknął Repnin. – Wiesz, na czym polega działalność wolnomularzy?

Taszczyński pokręcił przecząco głową.

- Cóż, w takim razie zginiesz w tej niewiedzy. Wiedz jeno, my nie chcemy tyrana.

- Co? Zamierzacie obalić carycę?

- Jeśli nie ją, to jej następcę: cara bądź carową. Jedno jest pewne. Prędzej czy później Romanowie stracą władzę. Przejdzie ona w NASZE ręce.

- A wówczas wy staniecie się tyranami, których staraliście się obalić...

Nikołaj uśmiechnął się szyderczo.

- Może tak, może nie.

- Więc po co siejecie zamęt w moim kraju? Zajmijcie się Pałacem Zimowym...

- Jednej rzeczy nie rozumiesz, panie Taszczyński - odparł Repnin.

- Mianowicie?

- To już nie jest twój kraj...

Krasiński i reszta czekała gotowa do odpalenia ładunku wybuchowego. Nasłuchiwali. Czekali na sygnał. Trwali tak w ciszy dobrych kilkanaście minut, nim usłyszeli dźwięki wydawane przez tabun zbliżających się zwierząt. Nie zwlekając, wszyscy cofnęli się na drugi koniec piwnicy tudzież skryli w zbrojowni. Pan Michał wziął potężny zamach i rzucił palącą się pochodnię w stertę granatów i otwartych beczulek prochu. Eksplozja wstrząsnęła budynkiem. Niemal wszyscy ludzie w promieniu stajani milowej zerwali się z łóżek. Krasiński i reszta zaczęli krztusić się pyłem i dusić dymem. Gdy kurz opadł na uciekinierów, strzepali go z ramion. Wybuch zniszczył trzy pierwsze cele, zburzył część muru, zrobił duże wgniecenie w drzwiach zbrojowni. Ochroniły jednak ludzi przed eksplozją. Krasiński i reszta wybiegli z okrzykiem na ustach i rozpoczęli walkę zbrojną z rosyjskimi patrolami na ulicach starającymi się uspokoić spłoszone wierzchowce.

Wybuch był odczuwalny w pokoju Repnina. Ten, najwyraźniej zdziwiony, stracił swój szyderczy uśmieszek.

- Moi przyjaciele - wyjaśnił wyraźnie zadowolony Paweł - Powiedz mi tylko, co oznacza skrót NTR? - zapytał, uznając, że ich gra trwa dalej...

- Narodowe Towarzystwo Rosyjskie - odparł zdezorientowany.

- A SOC...?

W tym momencie do sali wkroczył bojar. Spojrzał na Pawła gniewnie i wyciągnął szablę. Nie było już co czekać. Taszczyński wiedział, że Repnin go nie zabije, więc pobiegł w stronę okna. Za sobą słyszał odgłosy wydawane przez rozwścieczonego Moskala. Nie miał wyboru. W bezpośrednim starciu na pewno by przegrał. Rzucił się więc przez okno, chroniąc głowę i wyskoczył przez nie, kalecząc dłonie i łokcie odłamkami szkła. Udało mu się doskoczyć na sąsiedni budynek. Zwiślał, trzymając się parapetu kamienicy. Nie był to jednak najmądrzejszy pomysł. Bojar chwycił pistolet Nikołaja i wyjrzał przez wybite okno. Wycelował w Pawła, lecz ten puścił się krawędzi w momencie, gdy Guzunow pociągnął za spust. Bojarzyn chybił. Młody ułan chwycił się niższego parapetu. Stamtąd mógł spokojnie spaść na ulicę, bez niebezpieczeństwa złamania kości. Tak też uczynił. Choć krwawiący i obolały, rzucił się w tłum walczących żołnierzy. Rosjanie napływali na plac, lecz ułani i ludzie Krasińskiego dzielnie stawili opór liczebnemu oddziałowi Moskali. Osłaniali husarzy, którzy pod silnym ostrzałem starali się dosiąść spłoszonych rumaków. Nie było to wcale łatwe przedsięwzięcie, biorąc pod uwagę ciężar husarskiej zbroi. W końcu jednak im się udało. Dosiadłszy koni, husarze skierowali się z dala od strzelaniny.

Walka rozgorzała! Ułani strzelali i siekli rosyjskich grenadierów i muszkieterów. Całej „burdzie” przyglądało się kilkadziesiąt przerażonych gapiów, spoglądających z okien kamienic. Żołnierzy rosyjskich i królewskich przybywało. Buntownicy zaczęli padać. Byliby zginęli, gdyby nie zmasowany atak husarii. Nagle z Krakowskiego Przedmieścia wyłoniła się grupa trzydziestu jeźdźców z koncerzami nadstawionymi do szarży. Pędzili na wrogie oddziały, które nie miały szans wobec szeregu jeźdźców szerokiego jak cała ulica. Niektórzy naiwni żołnierze nadstawili bagnety, sądząc, że powstrzymają natarcie kawalerii. Husarze tratowali pod kopytami swych wierzchowców każdego Moskala, bądź zdradzieckiego Polaka, którego napotkali na swej wojennej ścieżce. Cóż to był za impet, jaka potęga, której rosyjscy żołnierze dawno już nie słyszeli, nie widzieli, ani nie czuli... Szala zwycięstwa przychyliła się na korzyść buntowników. Kiedy husarze gromili Rosjan, Paweł, Krasiński i Zatopocki wraz ze swoimi ludźmi dosiedli koni. Trzeba było się spieszyć. Bojar na pewno podąży tropem porucznika i uchodźców.

- Za mną! - rozkazał Krasiński, ruszając na południe.

Uciekinierzy pocwałowali za panem Michałem. Pędzili przez miasto, budząc przy tym tych, których odgłosy bitwy nie zdążyły jeszcze wyrwać z krainy Morfeusza. Pędzili przez Krakowskie Przedmieście. W pogoń za nimi ruszył oddział rosyjskich kawalerzystów. Setce jeźdźców trudno było manewrować pomiędzy budynkami, rozdzielili się więc na trzy mniejsze grupy, które miały spotkać się na południe od Warszawy. Jako że podkomorzy różański był najważniejszą osobistością i nie można go było stracić, Paweł i ułani ściągnęli na siebie większość ścigających ich żołnierzy. Nie było to trudne - bojar zaangażowałby wszystkie dostępne siły, byle tylko rozprawić się ze

znieawidzonym Lachem. W całym mieście ogłoszono alarm. Biły mocno dzwony kościelne, jak również serca uciekinierów. Drogę zagradzali żołnierze w różnych punktach miasta, byle nie dopuścić do ucieczki buntowników. Stawiali zasieki. Na nic się jednak zdawały bagnety rosyjskie. Łamane były, tak jak i kości ich posiadaczy, przez rumaki i lance uciekających. Zdawałoby się, że nic nie powstrzyma rebeliantów, lecz nagle naprzeciw pędzącym ułanom, wytoczono kartaunę[17]. Moskale prędko wpakowali do niej kartacz. Nie było mowy o uniknięciu tej śmiertelnej broni. Rosjanie przyłożyli lontownicę do podsypki prochowej. Padł donośny strzał, w czasie którego rozerwała się powłoka kartacza i pięćset kulistych lotek, zawartych wewnątrz pocisku, wydostało się z lufy. Przypominało to lot roju ołowianej szarańczy, która w kilka sekund potrafiła skazać na śmierć wiele istot. Było to niestety trafne porównanie. Kule momentalnie dotarły do swego celu, pozostawiając dziesiątki ran, dziur i zadrapań na ciałach ułanów i ich wierzchowców. Padło siedem koni i ośmiu żołnierzy. Rżenie i lament ranionych był potworny. Na ciele Pawła znalazło się pięć śladów po kulach. Cztery z nich trafiły go w nogi i w nich pozostały. Jedna trafiła go w bok i rozszarpała starą ranę z pojedynku przeciw Kryemce. Koń porucznika miał o wiele dotkliwsze rany. Upadł, ciężko rżąc, i przygniótł porucznika.

To już koniec - pomyślał, wpatrując się w pokaleczonych, pełzających po ziemi kompanów. Moskale nawet nie wkładały kolejnego pocisku. Podeszli z naładowanymi muszkietami, gotowi dobić rannych. Jeden z nich podszedł do Taszczyńskiego. Najpierw wbił swoją szablę w szyję konia, aby oszczędzić mu zbytecznych cierpień, później wycelował karabin w głowę Pawła. W oczach Rosjanina wyczuł niepewność. Był to młody chłopak, pewnie siłą wcielony do carskiej armii. Raczej jeszcze nigdy nikomu nie odebrał życia. Palec trzymany na spuście drgał nerwowo, mimo to zgrywał brutala i starał się przerazić ofiarę, niestety nieudolnie. Moskal zamknął oczy, chciał strzelić... i rzeczywiście padł strzał. Carski żołnierz osunął się na martwego konia. Zza pleców trupa porucznik dostrzegł Baraniego Kożuszka, Józefa, Annę i wielu innych warszawiaków! Pokonali Rosjan i w tym momencie ruszyli z pomocą rannym ułanom. Trójka przyjaciół podbiegła do rannego porucznika i z niemałym trudem usunęła cielsko nieżywego rumaka.

Józef podał mocarną dłoń Taszczyńskiemu i postawił Pawła na nogi. Ten jednak kulał i krwawił.

- Chwała wam, przyjaciele - zawołał rozradowany Paweł. - Bez was bylibyśmy zginęli!

- Drobnostka, Pawle - odparł Walenty. - Sprawileś nam doskonały moment do przetrzepania skóry Moskalom!

Nagle na pobojuwisko nadjechał Michał Krasieński ze swoją grupą uciekinierów.

- Panie Michale! - zawołał Paweł. - Gdzie Janusz i husaria?

- Nie widziałem ich od czasu rozłąki. Możliwe, że wydostali się już z miasta.

- W takim razie musimy jak najszybciej do niej dołączyć. Pewnie ściga ich Guzunow!

- Kto taki?

- Bojar na usługach Repnina. Chce mnie zabić...

- Zajmiemy się nim później. Na razie trzeba odeskortować rannych - oznajmił pan Michał, dając znak swoim ludziom, aby pomogli ofiarom.

- Macie jakiś wóz?

W tym momencie na pobojujowisku pojawiła się furmanka kierowana przez jednego z ludzi Krasieńskiego. Wszyscy zajęli się przenoszeniem rannych na wyścielony sianem pojazd. Gdy ranni ułani znaleźli się na wozie, grupa ruszyła. Józef pochwycił jednego z ocalałych z masakry koni i pomógł Pawłowi go dosiąść.

- Ruszajcie z nami - oferował pan Taszczyński.

- Ktoś musi odwrócić uwagę Rosjan - zauważyła Anna, podnosząc muszkiet.

- To zbyt niebezpieczne - zawołał Paweł, patrząc na grupę wynędzniałych warszawiaków.

- Damy sobie radę! - zapewnił Józef.

Paweł zeskoczył z bólem z wierzchowca i podbiegł do Walentego.

- Jedź z nami! - prosił Paweł, nie chciał bowiem narażać młodzieńca na śmierć.

- Zostanę - rzekł kategorycznie, lecz przyjaźnie, Barani Kozuszek. - Mam wrażenie, że odegram w życiu Warszawy jeszcze jakąś ważną rolę.

Ze łzami w oczach porucznik uściśnął mu dłoń, następnie Józefowi. Nie dał rady podziękować każdemu mieszczaninowi z osobna. Miał zbyt mało czasu. Pożegnał się jeszcze z Anną, całując w dłoń, nim ponownie dosiadł konia i ruszył za panem Michałem, pozostawiając za sobą martwych towarzyszy i warszawskich przyjaciół.

W czasie, gdy Paweł połączył się powrotem z Krasieńskim, pan Zatopocki i husarze

uciekali przed oddziałem Guzunowa. Pancernym kawalerzystom ciężko było manewrować pomiędzy budynkami, w dodatku konie husarzy powoli traciły siły. Bojar ostrzeliwał uciekinierów. Dwóch husarzy zginęło w czasie gonitwy. Nie tylko oddział Guzunowa deptał im po piętach. Po dachach kamienic „pancernych” wyczekiwali grenadierzy rosyjscy, którzy również zasypywali uciekinierów gradem ołowianych kul. Mimo ostrzału, grupie udało się wydostać z miasta. Na polach Warszawy Rosjanie zwolnili ze swym pościgiem, bowiem w otwartym polu nie mieliby szans przeciw szarzy husarii. Pozostawiając za sobą stolicę, grupa pana Zatopockiego i ci ułani, którym udało się uniknąć wystrzału kartauny, ruszyli do pobliskiego lasu, gdzie, jak było umówione, miało dojść do spotkania z Krasieńskim i Taszczyńskim.

Z powodu obecności wozu z rannymi, przedarcie się przez ulice stolicy było znacznie trudniejsze. Co chwilę bowiem nowe oddziały carskie otaczały konwój. Część polskich żołnierzy i szlachty, najpewniej związanej z Krasieńskim, dołączali do buntowników. Mając dosyć Rosjan w kraju, zamierzali otwarcie się temu stanowi rzeczy sprzeciwić. W ten sposób grupa Krasieńskiego zwiększyła się do stu członków. Dzięki swej liczebności uciekinierzy dali radę uporać się z, zagradzającymi drogę i zagrażającymi wozowi, Moskałami i prędeż wydostać się z miasta. Była już trzecia nad ranem, gdy w końcu udało się Krasieńskiemu i Pawłowi opuścić miasto. Nie oznaczało to jednak zaprzestania pościgu ze strony Rosjan, o nie! Był czas na przegrupowanie sił. Pierwsze starcie zakończyło się wygraną uchodźców, jednak losy wyprawy nie zostały jeszcze przesądzone.

Mimo powodzenia Krasieńskiego, to Repnin wciąż miał nad nimi przewagę. Nie dość, że nim dotrą na Podole, ich siły zostaną mocno nadszarpnięte, to jeszcze zdecydowana postawa Repnina wobec zdrajców przyspieszy decyzje szlachty w sprawach sejmowych.

Tymczasem uciekinierom udało się przegrupować pod Warszawą. Grupa Krasieńskiego złożona z niedobitków jego własnego oddziału, ochotników oraz ludzi Taszczyńskiego złączyła się z husarią i ułanami o w pół do czwartej rano. Wielu było rannych, których było trzeba wieźć na wozie. Nie zamierzano nikogo zostawiać. Najpierw ruszyła grupa ochotników i rannych przy wsparciu pozostałych sprawnych ułanów Pawła. Dalej miała ruszyć kolumna żołnierzy Krasieńskiego - tych było około dwudziestu, a tylną straż stanowiła husaria na czele z porucznikiem. Taszczyńskiemu mieli towarzyszyć sam Krasieński oraz pan Zatopocki. Pod osłoną kończącej się nocy i leśnego cienia, korowód uchodźców ruszył w stronę Ukrainy.

Repinin nie zamierzał puścić płazem zuchwalstwa Krasieńskiego. Posłał więc w pogoń Nikitę Guzunowa, który miał za zadanie sprowadzić pana Michała żywego oraz pozbyć się raz na zawsze porucznika Taszczyńskiego. Gdy słońce wzeszło nad Warszawą, ruszył w pościg za buntownikami.

Podzielony na trzy części konwój podążał na południe. Nim dotrze do twierdzy barskiej minie nieco czasu, Krasieński wysłał więc gońca z wiadomością do Pułaskiego. W liście zawarł informacje na temat liczebności grupy, potrzebnej pomocy oraz podążającym za uciekinierami oddziałem huzarów. Zanim jednak wiadomość znajdzie się w Barze i zostanie odczytana, wiele wody upłynie w Wiśle przed przybyciem posiłków. Powodzenie wyprawy zależeć będzie zatem przede wszystkim od porucznika i husarzy.

Do godziny dziewiątej rano podróżowano bez problemów. Nigdzie nie było widać żołdaków rosyjskich, ani kogokolwiek innego. Trakt leśny był całkowicie pusty.

- Mości Krasieński! - zaczął Paweł – Co wasz ruch będzie się starał osiągnąć?

- Będziemy żądali opuszczenia przez wojska rosyjskie Rzeczypospolitej, zaprzestania ingerencji Moskali w nasze wewnętrzne, krajowe czynności urzędowe oraz detronizacji Stanisława Augusta.

- Chcecie, aby król zrezygnował z tronu? - to żądanie nieco rozczarowało Pawła. - Kim zatem będziecie chcieli go zastąpić? - rzekł nieco bardziej opanowanym tonem, aby nie urazić Krasieńskiego.

- Chcemy Sasa, panie Taszczyński, tak jak przez ostatnie sześćdziesiąt lat! Ten pies na usługach Katarzyny - Poniatowski, nie jest godzien bycia królem naszych Narodów. Znalazł się, moskiewski faworyt! Błędem było podpisywać jego elekcję... Sądzę, że najlepszym kandydatem byłby królewicz Albrecht Kazimierz. Ale dopiero na miejscu, przy udziale wszystkich organizatorów naszego zrywu, dokonamy wyboru. Inna sprawa, czy w ogóle będzie chciał przystać na naszą ofertę - kontynuował - Nawet jeśli nie on, to każdy, kto nie jest Poniatowskim, nada się na naszego monarchę...

Dalszą rozmowę, a raczej szkalowanie imienia Stanisława Augusta, przerwało nadejście zwiadowcy.

- Panie Krasieński! - zawołał zdyszany goniec - Za kilkoma zakrętami... kończy się... puszcza... dalej na otwartym polu... czeka kilkunastu grenadierów...

- Mamy ich zmiażdżyć szarżą? - ozwał się z tyłu namiestnik husarski.

- Nie - zdecydował pan Michał. – Nie możemy przeprowadzać frontalnych ataków. Mogłoby się to dla nas skończyć fatalnie. Niech część z naszych wyjdzie im na spotkanie.

- A jeżeli to pułapka? - zasugerował pan Zatopocki - Może gdzie indziej kryje się większa grupa Rosjan.

- Spokojnie. Mam pewien plan.

Gdy znaleziono się na skraju lasu, kilkunastu szlachciców i ludzi Krasieńskiego wyszło na przeciw Rosjanom. Wśród nich, Janusz. Na czele, na rumaku, podążał dowódca - porucznik Taszczyński. Przed sobą Polacy dostrzegli około dwudziestu żołnierzy carskich pod wodzą rosyjskiego oficera. Poruszający się konno dowódca wyruszył na spotkanie Pawła. Młody ułan wyjechał mu na przeciw. Moskał miał krótką bródkę, płowe wasy. Niewielki, miedziany ryngraf zdobił jego pierś. Lat był jedynie dwudziestu, a już system zdążył wypaczyć Rosjaninowi umysł i podsycić nienawiść do Lachów i Litwinów, nauczyć bezwzględności posłuszeństwa wobec „najjaśniejszej Imperatorowej” i Repnina.

- W imieniu carycy Katarzyny II, Stanisława Augusta, króla Korony Królestwa....

- Stul pysk Moskału! - rzucił Paweł. - Mów, czego chcesz i przejdźmy do rzeczy.

- Przebrzydły Lach... - mruknął pod nosem, z trudnością zachowując spokój w obliczu tej zniewagi - Nikołaj Repnin nakazuje wam powrócić do stolicy i wziąć udział w sejmie.

- A jeżeli nie?

- Zostaniecie tam zaprowadzeni siłą.

-Rad jestem, że jego książęca mość liczy na naszą obecność, jednakże...

Paweł objechał oficera dookoła i przyłożył mu pistolet do szyi. Bez słowa wystrzelił do Rosjanina. Żołnierze rosyjscy wrzasnęli i przyłożyli broń do ramion. Któryś z podoficerów, przejąwszy dowodzenie, zakomenderował piechurów, by strzelali. Porucznik zdążył zeskoczyć z konia, a po dosłyszaniu rozkazu: pał, wraz z wszystkimi znajdującymi się na ośnieżonej polanie ludźmi, legł na biały puch. Rosjanie dali salwę nad leżącymi Polakami. Teraz, gdy nikt z Moskali nie był uzbrojony w nabitą broń, z lasu wyłoniło się trzydziestu jezdnych z obnażonymi szablami i lancami. Ułani i konna szlachta ruszyła do szarży. Moskale, choć jeszcze przed chwilą planowali ruszyć do szarży na bagnety, zaczęli się cofać. Polacy prędko dopadli Rosjan. Ci nie zdążyli nawet zageścić szyków, broń wrogich kawalerzystów szybko dosięgła carskich piechurów. W minutę po szarży potyczka była skończona. Skryci w lesie uchodźcy wyjechali na polanę. Zebrano sprzęt zabitych i dozbrojono ludzi Krasieńskiego.

- Panie Michale - zaczął Paweł, gdy ten uściśnął mu dłoń w związku z pomyślnie przeprowadzoną akcją - proponuję, by nasze siły rozdzieliły się na mniejsze grupy. Łatwiej będzie nam uniknąć wrogich patroli, jeżeli będziemy podróżowali w kilkadziesiąt osób. O wiele szybciej dotrzemy do Baru. Rosjanie nie będą zwracać uwagi na „podróżników”.

- Zgoda - rzekł po namyśle pan Krasieński. - Masz słuszność. Ale póki co, będziemy trzymać się w zwartej kompanii. Gdy minieemy Lublin, zrobimy tak, jak sugerujesz.

Na otwartej przestrzeni bardzo łatwo można było dostrzec grożące uczestnikom wyprawy niebezpieczeństwo, ale równocześnie samemu było się narażonym na zidentyfikowanie. Tego pierwszego dnia wędrowki jeszcze raz miano kontakt z wysłannikami Repnina. Wysłany oddział był podobny do pierwszego. Powstrzymano go z pomocą spieszonej szlachty, lecz ranionych zostało kilkoro żołnierzy po stronie podkomorzego różańskiego. Postanowiono jechać głównie w nocy, dlatego już w godzinach popołudniowych zdecydowano się na postój. Trwał on cztery godziny. Gdy okolice spowił mrok, uciekinierzy wznowili wędrowkę. Krasieński miał nadzieję znaleźć się w okolicy Lublina najpóźniej jutro rano.

Noc minęła spokojnie. Spiskowcy nie zostali zaatakowani przez jakiegokolwiek patrole rosyjskie, jeno raz dostrzegli kilku kozackich jeźdźców.

Dwudziesty czwarty dzień lutego 1768 roku miał zapisać się jako jedna z najstraszniejszych dat w dziejach Rzeczypospolitej. Pomimo ucieczki wielu ważnych osobistości, reformy planowane przez ambasadora rosyjskiego ujrzały światło dzienne. Tego dnia, bowiem, raz na zawsze upadła suwerenność narodu litewskiego i polskiego oraz wszystkich innych, zamieszkujących ten wielki kraj. Nikołaj Repnin, delegaci sejmowi oraz członkowie konfederacji radomskiej zatwierdzili traktat o wieczystej przyjaźni z Cesarstwem Rosyjskim. Rzeczpospolita stała się od tej pory protektorem Katarzyny II... Petersburg wznosił toast za powodzenie misji Repnina, jak i sam ambasador, ale on czynił to z innego powodu... Mimo osiągnięcia celu wyznaczonego względem Rzplitej, obrady sejmowe jeszcze się nie skończyły. Pozostała kwestia zatwierdzenia złotej wolności szlacheckiej, dla której, mimo niechęci, Repnin musiał sporządzić pisemne zaświadczenie. Z tym jednak zaczął parę dni. Złudna, pozostająca na papierze i w umysłach szlacheckich wolność gwarantowała spokój, tak jak kość rzucona szczekającemu, niezadowolonemu psu na uwięzi...

Krasieński i jego ludzie ominęli Lublin szerokim łukiem. Zgodnie z sugestią Pawła, rozdzielono siły na trzy mniejsze grupy, które w miarę upływu czasu i konieczności, również mogły ulec rozproszeniu. Taszczyński znalazł się w grupie pod rozkazami podkomorzego. Ruszyła z nim cała rota husarska, licząca obecnie mniej jak trzydziestu ludzi, kilku zaufanych ludzi z czeladzi Krasieńskiego. Pan Zatopectki ruszył z wachmistrzem Piekarskim i resztą ułanów prawym brzegiem Wieprza, reszta pocztowych i pachółków Krasieńskiego wraz z ochotnikami, lewą stroną. Podział na mniejsze grupy już pierwszego dnia zaowocował pozytywnymi. Grupa Krasieńskiego posunęła się o wiele szybciej niż zeszłego dnia i jeszcze dzisiejszego wieczora dotarła pod Zamość. Wszyscy bardzo się spieszyli. Niemal cały czas jeźdźcy jechali albo galopem, albo kłusem. Tak minął kolejny dzień podróży.

Guzunow tropił uchodźców nieprzerwanie od czasu opuszczenia stolicy. Nie rozdzielał wojsk. Znał już umiejętności Pawła. Wiedział, że skończyłoby się to dla jego ludzi tragicznie. Natrafił na dwa pobojojwiska, a raczej mogiły rosyjskich żołdaków Repnina. Widząc miejsca potyczek, omal nie wyszedł z siebie. On sam miał wypełnić misję zabicia Taszczyńskiego i uwięzienia Krasińskiego. Nikt inny! Jeszcze bardziej rozwścieczony bojar ruszył tropem, jaki wyznaczały mu trupy zabitych żołnierzy. Wtedy to zrozumiał prawdziwe intencje ambasadora: wysyłane przez niego mięso armatnie miało jedynie wskazać kierunek ucieczki Lachów. Nie łudził się jednak, że na wiele mu się zda pomoc Repnina. Paweł na pewno starał się omijać patrole rosyjskie i nie zawiązywać niepotrzebnej walki.

Nazajutrz, to jest dwudziestego piątego lutego, zmordowany podróżą Krasiński dotarł do Lwowa. Od tego momentu trzeba było być jeszcze ostrożniejszym, bowiem uchodźcy wkraczali na terytorium Kozaków. Na pewno nie będą zadowoleni, widząc husarzy poruszających się po Ukrainie, a i część na pewno jest po stronie Repnina i tylko czeka, by wciągnąć w pułapkę podróżnych. Mimo zagrożenia, drużyna udała się na prawobrzeżne, pokryte śniegiem, stepy. Oddział jechał z dala od głównych szlaków i traktów, poruszał się raczej ścieżkami mniej uczęszczanymi, gdy tylko się dało, to lasem. Po południu zaczęło brakować prowiantu. Nie było czasu na polowania, poza tym zima była dość dotkliwa, trudno by było wyszukać jakąś zwierzynę, a tym bardziej upolować jej dostatecznie dużo, aby napęłnić brzuchy kilkudziesięciu ludzi. Dlatego też wybrani wyruszyli do Glinian, małego miasteczka, gdzie Michał Krasiński zamierzał uzupełnić żywność. Do miejsciny ruszył Paweł w towarzystwie kilku ludzi podkomorzego różańskiego.

Teren miasteczka otoczony był drewnianą palisadą z opuszczaną kładką. Ponad bramą wjazdową mieściła się niewielka strażnica, na której przybyli nikogo nie dostrzegli. Śnieżna powłoka otulała strzechy drewnianych domów. Z kominów unosiły się niewielkie smugi dymu. Gdy tylko przybysze wkroczyli na teren miasteczka, psy uwiązane na uprzęży zaczęły ujadać. Do karczmy lepiej było nie wchodzić. Pełno tam pijanych Kozaków, którzy tylko czekają, aby dać przyjezdnemu Lachowi w mordę. Paweł postanowił więc zakupić jadła u samych mieszkańców. Ruszył z towarzyszami do pierwszego lepszego domu i zapukał do drzwi. Po chwili otworzyły się. Stała w nich starsza pani.

- Pochwalony - skłonił się Taszczyński, wymawiając te słowa po rusku.
- Na wieki wieków - odparła, wpatrując się w przybyszów. - Czego tutaj szukacie?
- Proszę wybaczyć najście, potrzebujemy jedzenia - rzekł już po polsku.
- Niczego nie mam - rzekła podniesionym tonem.

Poznała, że to Polacy i już chciała zamknąć drzwi, lecz Paweł zagroził jej stopą.

- Proszę nas wysłuchać - odparł grzecznie - Mamy pieniądze, zapłacimy pani, jeśli da nam jedzenie.

- Niczego nie mam! – powtórzyła, krzyżąc - Odejdźcie stąd Lachy! Wzięlibyście bez zapłaty, tak jak zresztą zawsze. Bodaj wami w piekle czart się zajął! - krzychała.

- Proszę się uciszyć - rzekł łagodnie Paweł, spoglądając na wioskę. - Nic nie ukradniemy, proszę mi wierzyć - rzekł, spoglądając potulnie i wyciągając z kieszeni kilka monet.

Babka jednak nie dała się przekonać. Miała pewnie kilkakrotnie problemy z Polakami i chowała do nich urazę. Podobnie jak wszyscy Kozacy... Wrzask babki był donośny i po chwili z karczmy i kilku domów wyjrzały wąsate, kozackie głowy. Rusini chwycili za szable i ruszyli w stronę natrętów.

- Ty, panie Lach! - krzyknął w stronę Pawła jeden z Kozaków - Czemuż to zaczepiacie babulkę?

Napastnicy utworzyli wokół Polaków półokrąg.

- Chcieliśmy, panowie, jedynie zakupić jadła na długą drogę.

- Z takimi sprawami należy przychodzić do karczmy - warknął Kozak - Nie zaczepiać starowinki.

- Nie chcieliśmy niepokoić was naszą obecnością - odparł porucznik najgrzeczniej, jak tylko potrafił.

- I co? - wypalił jeden z Rusinów - Udało się?

Zebrani poczęli się śmiać Polakom prosto w twarze.

- Jeżeli panowie bracia pozwolą - rzekł Paweł - to opuścimy natychmiast miasteczko i nigdy nie wrócimy.

Błyskawicznym ruchem Kozak przyłożył szable do gardła porucznika.

- Nie nazywaj mnie bratem... - rzekł, sapiąc Kozak.

Reszta towarzystwa gniewnie spojrzała na Lacha.

- Najpierw porządnie przetrzepimy wam skórę - skwitował jeden z Rusinów i znów rozbawił swoim ciętym językiem resztę towarzystwa.

Tym razem szyderczy śmiech zwiastował rozlew krwi...

Paweł uderzył grożącego mu mężczyznę pięścią w skroń. On i reszta dobyli szabel. Kozaków było dwukrotnie więcej, toteż z trudem przyszło im się bić, zwłaszcza, że nie chcieli ich skrzywdzić. Paweł sparował kilka ciosów dwóch napastników, po czym uskoczył spod drzwi chałupy. Dwaj Kozacy ruszyli za nim, lecz jeden z nich poślizgnął się na mokrym śniegu. Gdy drugi Rusin dopadł go przy studni, Paweł rozbroił oponenta i rzucił szablę w odmęty zbiornika. Kozaka chwycił za łeb i uderzył jego głową o kamienną konstrukcję.

- Chodu! - krzyknął do towarzyszy, biegnąc w stronę bramy. Kompani ruszyli za przełożonym. Za palisadą miasteczka czekały ich konie.

- Zamykaj bramę! - krzyknął Kozak do, jak się okazało, śpiącego wartownika. Ten, nim zorientował się w sytuacji, Polacy przeszli już po kładce. Wartownik sięgnął po trzymany u boku muszkiet i strzelił Lachom na pożegnanie. Kula jednak chybiła. Paweł i reszta prędko dosiedli wierzchowców i uciekli przed zgajają bluzgających Kozaków.

Krasiński zmartwił się niepowodzeniem. Nie miał pojęcia, jak uchodźcy dadzą radę przeprowadzić się całą prawobrzeżną Ukrainę bez żadnej zwady, pozbawieni żywności. Od Baru dzielił ich szmat drogi, za plecami mieli bojara, jadła brakowało.

Oby wszyscy dotarli w jednym kawalku - modlił się Krasiński, myśląc o pozostałych.

Tego wieczoru rozpętała się potworna zamieć. Z trudem udało się Krasińskiemu odnaleźć schronienie dla swojej grupy. Znajdowali się na zupełnie otwartej przestrzeni. Zatrzymali się w niewielkim jarze i rozpalili kilka ognisk. W takiej zamieci jak ta, na pewno nikt nie dostrzegłby blasku bijącego od ledwo tłącego się ogniska. Niestety, nie mieli prawie nic do jedzenia. Z zapasów pozostało jedynie kilka plastrów suszonego mięsa, pół bochenka chleba. Było to jednak zdecydowanie za mało, jak na kilkadziesiąt osób. Konie także lekko nie miały. Zmarznięta ziemia, pokryta warstwą śniegu, uniemożliwiała wierzchowcom zdobywanie pożywienia. Noc była potwornie zimna. Kilka koni zemdląło, trzeba je było rozgrzewać, aby nie padły. Ludziom prawie że odmarzały kończyny. Godziny dłużyły się i dłużyły, aż w końcu udało się wszystkim zasnąć.

Pomimo wysiłku jeźdźców, nie wszystkie wierzchowce przeżyły noc. Tej nocy zamarzyły na kość trzy rumaki - niewątpliwie ogromna strata, a równocześnie ratunek.

Kompetentni, wyznaczeni przez Krasińskiego ludzie od razu zabrali się za oprawę mięsa. Gdy przygotowano koninę i ją zapakowano, grupa opuściła jar. Jeźdźcy pozbawieni tej nocy wierzchowców, musieli dzielić miejsce i jechać w parach na jednym rumaku, do czasu aż zdobędą nowe.

Śnieg przestał padać. Do tej pory ślady pozostawiane przez konie uchodźców były tuszowane przez padający biały puch. Teraz wskazywały drogę bojarowi. Trzeba było się pospieszyć. Z każdym dniem odległość pomiędzy lisem, a zającem zmniejszała się.

Podczas gdy Krasiński pędził ku Podolu, kolejna rana była zadawana w sercu Rzeczypospolitej. Tego dnia, dwudziestego szóstego lutego, sejm Repnina zagwarantował upragnioną wolność szlachecką. Uchwalono ją pod nazwą praw kardynałowych - kodeksu określającego zasady ustroju Rzeczypospolitej. Radowali się różnowiercy, albowiem w tym dokumencie zagwarantowano im przywileje. Szlag trafił konfederację radomską! Król łapał się za głowę, wszystkie reformy ostatnich dwóch lat zostały zaprzepaszczone. Przekonał się Poniatowski i cała Familia, że Rosjanie, których tak ochoczo wzywali do pomocy, są wrogami Rzeczypospolitej. Czartoryscy zostali ukarani za to, iż sami chcieli wykorzystać Moskali do wzmocnienia własnej władzy.

Po południu zaczął prószyć śnieg, który z czasem zamienił się w niewielką burzę śnieżną. Spowolniło to marsz Krasińskiego, lecz nie była to wyłącznie wina zamieci. Konie grzęzły w śniegu, który sięgał wierzchowcom do połowy kończyn. Dodatkowy problem miały rumaki husarzy, a mianowicie swych jeźdźców. Ciężkie zbroje płytowe i nieliczne skrzydła husarskie dawały się koniom we znaki. Husarze mający jedynie żupany i metalowe wdzianko, prawie że mdleli z zimna w siodłach. Okrywali się skórą, jak tylko mogli. Na dużo się to jednak nie zdawało, mróz był dla husarii przeciwnikiem nie do pokonania.

- Spasi Chryste! - jęknął duszony Kozak, przyparty przez stalową dłoń Guzunowa do ściany drewnianej chatki.

- My nic nie zrobiliśmy - powiedział prawie niedosłyszalnie Rusin. - Czego od nas chcesz?

- Masz udzielić mi kilku informacji - rzekł Guzunow, nie rozluźniając uścisku.

- Dobrze batiuszka! Ino mnie puszczaj!

Bojar puścił Kozaka. Ten opadł na miękki śnieg i zaczął się krztusić. Masował szyję, lecz ból nie ustępował. Wycharczał żółć i wypluł na ziemię. Podniósł się opieszale z ziemi, spoglądając na rosnącego Rosjanina i oparł o ścianę chałupy.

- Więc... - zaczął bojar. - Czy widzieliście tu ostatnio jakichś Lachów?

- Lachów tu pełno, przecie to Polska - wydukał Rusin.

- Jakichś szczególnych Lachów - wycedził Guzunow, a huzar przyspilił pyskatego chłopca do ściany - Podróżnych, proszących o jado i furaz dla koni?

- Nie przypominam sobie - odparł Kozak, odpowiadając już grzecznie - Ale ostatnio coś duzo zmierza ich na południe!

Gdy bojar przesłuchiwał Rusina, reszta mieszkańców była osaczona przez huzarów Nikity. Usłyszawszy pytanie o „szczególnych Lachów”, jeden z mieszkańców krzyknął do Guzunowa.

- Panie, panie! Ja wiem, o co tobie chodzi. Widziałem Lacha! - chciał podbiec do bojara, lecz lufy karabinów zasłoniły mu drogę.

Guzunow odwrócił się do wołającego i rozkazał go przepuścić.

- Mów, co wiesz - rozkazał bojarzyn.

- Byli tu wczoraj. Znaczą się przybyły Lachy. Chciały od jednej z bab jado, ale odmówiła. No to wyszedłem z towarzystwem, bo babka zaczęła krzyczeć. Było ich chyba sześciu ryszunkiem wojennym. No to chcieliśmy się z nimi rozprawić, ale obezwładnili kilku naszych i uciekli.

- Dokąd?

- Skąd przyszli panie. Nie wiem dokładnie, chyba na południe, bo po cóż im jado. Lwów opodał, jakby na północ to na pewno zatrzymaliby się właśnie w tym mieście.

- Na koń! - ryknął bojar

Dwudziestego szóstego lutego, po dwukrotnym odroczeniu, Repnin przywrócił sesje pełnego sejmu. Zatwierdzono już oficjalnie wszystkie postanowienia delegacji. Na nic zdały się protesty młodego Józefa Wybickiego, posła pomorskiego, nuncjusza Durini'ego i Karola Chreptowicza, którzy nie chcieli dopuścić do uznania praw innowierców i przeciwni byli dotychczasowym gwałtom moskiewskim. Wybicki obnażył swą szablę przed posłem Replinem i śmiał mówić:

- Gdy zwróconych na łono senatu więzionych senatorów i do stanu rycerskiego nie widzę przywróconego posła, nie widzę wolnego sejmu, ale widzę tylko gwałt i przemoc moskiewską, przeciwko tej więc się protestuję.

Także Chreptowicz nie pozostał bez manifestu:

- Wolność nad fortuny i życie poświęcający, a wiarę świętą katolicką nad wolność i wszelakie względy doczesne wiernych Kościołowi Chrystusowemu i Ojczyźnie Patriotów obyczajem przekładający, na podpisie ręki własnej niżej wyrażony z prowincji WKL, z prześwietnego powiatu grodzieńskiego obrany na sejm ekstraordynaryjny za uniwersałami JKM r. 1767.

Odważne były słowa obu patriotów, jednakże na nic się one zdały. Mało tego, przez nie obaj musieli uciekać z Rzeczypospolitej! Wybickiemu nie był jednak zgotowany los banity. Powrócił do kraju i w 1769 roku przystąpił do związku pomorskiego, jako konsyliarz zbliżającej się teraz Konfederacji...

Metalowe elementy husarskiej zbroi zaczęły się ze sobą spajać pod wpływem mrozu. Nieliczne pojedyncze skrzydła nie powiewały już na wietrze. Pokryły się lodem, podobnie jak i skóry na zbrojach. Jeźdźcy podążali wzdłuż rzeki Złotej Lipy. Ten dopływ Dniestru był niewielki, dlatego w czasie zimy całkowicie zamarzał. Można było po nim spokojnie przejechać. Na przeprawę przez rzekę pan starosta zdecydował się jednak w miasteczku Brzeżany. Miał zamiar wkroczyć tam z całą eskortą, bez żadnych podchodów oraz poprosić o zaopatrzenie. Mimo zapasów koniny, nie starczyłoby im jej na długo. Do miejsciny zajechali koło godziny piątej. Mieszkańcy wylegli na ulice i z rozdziawionymi gębami oglądali skrzydlatych jeźdźców. Paweł nie był pewien, czy wodzący za nimi wzrok to efekt zdziwienia czy też nienawiści. Tak czy siak, nikt ich nie zaczepiał. Krasiński zakupił w mieście kilka bochnów chleba oraz płaty wędzonego mięsa. Gdy zakończono tę wymianę handlową, orszak skierował się nad „przystań”. Całe szczęście, udało się dzisiaj zdobyć konie i na każdego wierzchowca przypadał już jeden pasażer.

Jeźdźcy zeszli łagodnym zejściem na ośnieżone nadbrzeże i ruszyli po zamrzniętej rzece. Za sobą pozostawili tłum gapiów, który wciąż nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. W końcu, nie w każdej lepszej miejscinie spotyka się dawno wymarłą formację wojskową, która szerzyła śmierć wśród kozackich mołojców. Husaria dalej stanowiła owianą złą sławą jazdę - za sprawą ruskich podań i dum, fikcyjnej rzeczywistości, w której husaria dalej dobywała drzew i kruszyła je na Kozakach!

Na zamrzniętej Złotej Lipie trudniło się swym rzemiosłem kilku rybaków. Dotąd zapatrzeni w przeręble nie zwracali uwagi na nic innego. Aż tu husaria przed oczyma się przemieszcza! Nawet nie zauważyli, jak im ryby splątały figla i skorzystawszy z gapiostwa Kozaków, pochwytyły przynęty. Ryby porywały smakołyki i umykały głęboko pod powierzchnie okrojonej tafla wody.

Jeźdźcy byli mniej więcej w połowie rzeki, gdy nagle na wzgórzu przed wioską pojawił się samotny jeździec z bobrową czapą na łbie.

- Rosjanie! - krzyknął namiestnik husarski, obracając się za siebie, gdy usłyszał gwar na nadbrzeżu.

Wszyscy żołnierze odwrócili wzrok ku bojarowi. Ten wyciągnął szablę i machnął nią w stronę celów na rzece. Zza jego pleców wysypała się grupa huzarów z lancami i szablami pędząca w stronę rzeki. Konie zaczęły niespokojnie rzeć. Tętent nadciągających huzarów i towarzyszący temu okrzyk wojenny zatrzęsł w posadach wierzchowców husarskich. W jednym miejscu pojawiło się na lodzie pęknięcie. Pawłowi przyszedł do głowy znakomity pomysł.

- Wszyscy wyciągnąć pistolety, już! - wrzasnął, dobywając broni - Celować w lód!

Naciągnął kurek i przygotował broń do strzału. Rosjanie pędzili ku Polakom na rzece.

- Rozsypcie proch w okolicy przerębla! - zakomenderował porucznik.

Przerażeni rybacy zaczęli uciekać na brzeg.

Żołnierze uczynili, jak przykazał Taszczyński i przygotowali broń do strzału. Krasieński przeszukał kieszenie kożucha. Pozostał mu jeden granat! Huzarzy znaleźli się na zamarzniętej rzece. Odległość między żołnierzami malała w szybkim tempie. Kraieński nie zwlekał. Cisnął grant przed siebie. Czarna kula z lontem potoczyła się obok przerębla. Gdy Rosjanie znaleźli się na środku rzeki, Paweł dał rozkaz do strzału. Flinty opadły na krzesiwa, posypały się wewnątrz iskry, które opadłszy na panewkę z prochem, podpaliły go. Kule wyleciały z hukiem i dymem. Porobiły pęknięcia w lodzie. Strzał w granat zdetonował bombę, której wybuch podpalił rozsypany gdzieś tam proch. Chwilę później, pod naporem Moskali i ich ogierów, ryku żołnierskiego, pęknięć, niestabilności i wybuchu granatu, lód złamał się pod kopytami rosyjskich rumaków. Do lodowatej wody runęło dwudziestu jeźdźców Guzunowa. Krasieński i reszta prędko wycofali się na drugi brzeg nim i ich miałyby porwać, wyrrywająca się z objęć zimy, rzeka. Wszyscy się radowali. Ściskali się, rzucali obelgi w stronę topiących się Moskali. Jeden żołnierz splunął w stronę rzeki. Tylko Paweł się nie cieszył, albowiem na przeciwległym brzegu na wzniesieniu w dalszym ciągu siedział na koniu Guzunow...

Po tym incydencie kompania ruszyła dalej w stronę Podola, pozostawiając za sobą osamotnionego bojara. Do końca dnia nie wydarzyło się już nic nadzwyczajnego. Mimo iż pozbawili Guzunowa oddziału, wciąż starali się zyskać nad nim jak największą przewagę. Nawet bez wojska, w co Paweł nie był stanie uwierzyć, Guzunow pozostawał niebezpiecznym przeciwnikiem. Równie dobrze w tej chwili mógł powrócić do Warszawy, zakonfidentować Repninowi położenie uciekinierów i powrócić tu z całą armią rosyjską. Paweł przeczył jednak tym teoriom. Wiedział, że bojar nie spocznie, póki

nie zgładzi porucznika. Krasieński i reszta byli bezpieczni... na razie.

Do wieczora nie organizowano przystanków. Obóz rozbito około dziewiętej wieczorem. Rozstawiono wokół obozowiska strażę, ale na szczęście była to zbędna ostrożność. Nikt ich nie śledził. Po postoju zamierzono kontynuować w nocy wędrówkę.

Guzunow patrzył jak powodzi się kolejny fortel porucznika. Widział żołnierzy zapadających się pod pękającym lodem. Nic nie zrobił, by ich ratować. Część z huzarów zmarła chwilę po wpadnięciu do wody, kilku udało się wydostać, lecz zamarзли na brzegu. Mieszkańcy miasteczka starali się dopomóc „biednym poszkodowanym”. Niestety, nikt nie wyszedł cało z tej kąpieli. Kozacy byli oburzeni. Znow Lachy dały pokaz swej niegodziwości i okrucieństwa. Rusini chwycili za broń. Dosiedli rumaków i przystali do Guzunowa, który, jak się okazało, za plecami miał jeszcze pokaźną grupę trzydziestu jeźdźców. Nikita podjudził mieszkańców wioski głośząc, iż Lachy te mordują ludność ukraińską.

Dwudziesty siódmy lutego. Jeszcze dwa dni drogi dzieliły Krasieńskiego i jego ludzi od Baru - twierdzy, w której zamierzał wszcząć wojnę o niepodległość. Tego dnia słońce grzało dość mocno. Zdawało się, że śniegi zaczynają topnieć, bowiem biały puch kleił się nader mocno i był dość wilgotny. Czego się jednak można spodziewać, przecież zbliżał się marzec! Odwilż byłaby dla przyszłych powstańców wielką ulgą, dla wierzchowców jednak nieszczególnie. Konie wręcz brodziły w tym mokrym śniegu, co znowu spowolniło marsz na Bar. Tymczasem Guzunow deptał im po piętach, a Krasieński i Paweł nie mieli pojęcia, jakimi siłami dysponuje jeszcze bojar, ani kiedy może dojść do kolejnej konfrontacji.

Dzisiejszego dnia przeprowiono się przez jeszcze jedną rzekę, tym razem z dala od jakiegokolwiek miejsciny, w dodatku po moście. Przed zachodem słońca Krasieński dotarł do Trembowli - ostatniego miasta, które mijali przed wkroczeniem na terytorium województwa podolskiego. Gdy przekraczali tę granicę, Paweł uświadomił sobie bardzo ważną rzecz: Bojarzyn dalej za nimi podąża. Jeżeli nie zostanie powstrzymany, dowie się, gdzie zbierają się buntownicy i powiadomi Repnina, który spacyfikuje niebawem Bar i całe Podole!

- Doszedłem do tego już wcześniej, mości Taszczyński i dlatego muszę was prosić o jeszcze jedną przysługę - powiedział podkomorzy różański - Chciałbym abyś...

- Powstrzymał Guzunowa? - dokończył Paweł.

- Dokładnie - odparł pan Michał - celowo zwolnimy, aby bojar pomyślał, że powoli opadamy z sił. Wtedy na tych ośnieżonych polach staniecie do walki.

- Ja i husaria?

Krasiński pokiwał głową.

- Ale jak konie będą mogły szarżować w tej breji!?
- Zobaczysz waść, że nawet matka natura nie da rady tym skrzydlatym kostuchom.
- Miejmy nadzieję, że masz mospan rację.

Krasiński z czeladzią oraz Paweł mozolnie posuwali się przez szeroką, ale łagodną kotlinę. Po obu jej stronach znajdowały się wzgórza, a dalej lasy. Właśnie z ośnieżonej puszczy po prawicy podróżnych, przez perspektywę podglądał ich bojar. Widział dwunastu jeźdźców, słabych i wycieńczonych.

Cóż znowu kombinujesz Lachu? - pomyślał Guzunow - Kolejny polski fortel?

Bojar złożył lunetę. Podał ją znajdującemu się obok Kozakowi, sam dobył szabli.

- Repnina interesuje tylko ta jedna postać - rzekł do żołnierzy, wskazując Krasińskiego. - Resztę mamy zabić, ale tego Lacha w niebieskiej czapce macie mnie ostawić.

Guzunow i jego jeźdźcy powoli wyjechali z lasu. Stanęli na wzgórzu. Paweł i reszta już ich dostrzegli.

- Mości Krasiński - rzekł spokojnie porucznik, nie odrywając wzroku od bojara - gdy ruszą do ataku, proszę pędzić dalej drogą, później was dogonimy.

- Dobrze Pawle, z Bogiem.

Guzunow uniósł powoli rękę. Kozacy i Rosjanie dobyli szabel, pistoletów i lanc. Czekał chwilę z uniesioną atletyczną dłonią, po czym opuścił ją szybko i spał konia. Wataha krnąbrnych, wrzeszczących żołnierzy pędziła bez ładu i składu na Polaków. Krasiński ruszył przed siebie, Paweł ruszył pod górę, w przeciwną stronę do nadjeżdżających Moskali i Rusinów. Jechał prędko. Dźgał rumaka ostrogami. Gdy znalazł się na przeciwległym do bojarzyna wzniesieniu, wyciągnął szablę i skierował ją przed siebie jak kopię. Ruszył przeciw Guzunowi. Za Taszczyńskim, z lasu, wyrzało dwadzieścia pięć koncerzy i szabel, dwadzieścia pięć srebrzystych zbroi, dwudziestu pięciu jeźdźców czekających na bój...

- Rysią gnaaaj! - krzyknął porucznik.

Zagrzmiała trąbka, husarze ruszyli za Pawłem w formacji klinowej. Na czele

porucznik, za nim pancerni jeźdźcy, jak klucz stalowych jaskółek, odważnych i walecznych, gnali naprzeciw dwugłowemu orłowi rosyjskiemu. Wystrzeliły kozackie pistolety, kule śmignęły między jeźdźcami. Ktoś krzychał między wrogami, aby w konie husarskie celować, bo bez nich jeździec, to jak diabeł bez wideł. Było już jednak za późno na rady. Obie armie spotkały się w kotlinie. Klin utworzony przez husarzy wdarł się w rozsypanych huzarów i Kozaków, rozdzielając ich siły. „Wojsko pogrzebowe”, jak zawsze, uczestniczyło w ostatniej ziemskiej drodze, tym jednak razem w nieco innym charakterze. Paweł z nadstawioną szablą przebił najbardziej wysuniętemu do przodu kawalerzyście serce. Jego towarzysze broni koncerzami pokłuli Rusinów i Rosjan. Gdy przy impecie tej krwawej szarzy granaty[18] pękały, husarze wyciągali szable. Cięli wrogów, którzy nie byli dla nich zbyt wymagającymi przeciwnikami. Niekiedy usarze dwójkami wycofywali się, nadstawiali ostre koncerze i ponownie podejmowali szarżę. Każdy skrzydlaty jeździec parował ciosy szalonych Kozaków. Gdy jednak zdarzyło się, że szabla świsnęła i trafiła w husarza, zbroja chroniła przed śmiercią lub dotkliwą raną. Skóry husarskie przybierały cętki w szkarłatnych barwach. Zbroje towarzyszy pokryły się plamami, jakby byli kocimi myśliwymi.

Nagle Paweł dostrzegł Guzunowa. Miał już dość tego Moskala, przez którego życie porucznika tak raptownie się zmieniło. Zsunął się w cwale z konia i chwycił leżącą na ziemi lancę. Nadstawił ją i popędził ku bojarowi.

- Za żehynian, Koszczaszów, Karolinę i Rzeczpospolitą! - ryknął na cały głos Taszczyński.

Tamten, z szablą na kolanie, czekał spokojnie w miejscu. Gdy Paweł zbliżył się do niego na wystarczającą odległość, dostrzegł białko w oczach Lacha, Moskał wyciągnął pistolet i strzelił wierzchowcowi Pawła między oczy. Końska posoka obryzgała twarz porucznikowi. Martwy rumak zarył głową w ziemię. Paweł powstał, wciąż trzymając w dłoni lancę. Pozbawiony wierzchowca sam zaszarżował na Guzunowa. Grot drzewcowej broni wbił się pod przednią lewą kończynę. Koń zarżał i zaczął wierzgać. Bojar opadł plecami na mokry śnieg. Wyciągnął szablę tak samo, jak jego rywal. Zaczęli zataczać krąg. Obaj trzymali gardę.

- Skończmy to wreszcie, Guzunow. Dostyc pobłażliwości. Załatwmy to jak mężczyźni.

- Z ust mi to wyjąłeś, Lachu. Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że cię wtedy nie zabiłem.

- Mogę więc o coś spytać?

- A cóż chcesz wiedzieć? - prychnął bojar.

- Czemu mnie nie zabiłeś?

- Sam tego nie wiem - odparł Nikita, po chwili jednak dodał - Nie wiedziałem jeszcze, że tak bardzo naraziłeś się mojemu mistrzowi! Żęhynianie na pewno nie puściliby mi tego płazem i zabiliby mnie na miejscu. Ci nędzni Żydzi nie mieli za grosz honoru!

- Wkrótce nie będzie żadnego zakonu czy towarzystwa. Wyplenię was, szkodniki!

- Nawet nie wiesz, jak szeroko sięga władza naszej organizacji. Dalej, poza granicami Petersburga i Kremla! - odparł Guzunow - Ale dość już gadki! Dajmy szablom prawo głosu!

To powiedziawszy, zaatakował znieca Pawła. Uderzył kilkakrotnie o karabelę porucznika, lecz ta skutecznie ochroniła swego właściciela. Paweł odpierał ciosy, trzymając lewą rękę za plecami. Gdy Guzunow chciał przeciąć Pawła w pasie, Polak uskoczył i dał cios w obojczyk. Grube futro bojara uchroniło go jednak przed krwawieniem. Ból był znaczny. Nikita zaryczał. Jak lew. Chwycił Pawła za przegub, chcąc wytrącić mu szablę z ręki. Ścisnął jego nadgarstek, lecz porucznik kurczowo trzymał broń. Taszczyński naprężył wszystkie mięśnie. Jego twarz zrobiła się od uścisku cała czerwona. Bojarzyn uniósł szablę w górę, chcąc odciąć Pawłowi prawicę, lecz ten w porę uderzył napastnika pięścią w twarz. Gęsta broda bojara zaczerwieniła się od krwi. Guzunow puścił przegub Pawła i splunął krwią na śnieg. Od tej pory Paweł przejął inicjatywę. Wywijał sprawnie szabelką, jak imć Koszczasz. Porucznik zaatakował Nikitę od boku. Potem rąbnął szablą z góry, raz nawet bojara chciał nóg pozbawić. Każdy cios kończył się dźwiękiem uderzenia metalu o metal. Mimo, iż Taszczyński objął prowadzenie w pojedynku, nie mógł zadać ostatecznego uderzenia. Bojar, choć wycieńczony, pozostawał godnym przeciwnikiem. Widać było jednak po wyrazie twarzy, że ów ostatni rosyjski bojar dogorywa. Guzunow zebrał resztki swych sił i natarł na porucznika z furią dzikiego zwierza. Kontratak spalił jednak na panewce. Stała się rzecz niesłychana. Paweł wytrącił Nikicie szablę z dłoni. Wyleciała w powietrze i opadła ostrzem skierowanym w dół kilkanaście stóp dalej. Wbiła się ostrzem w warstwę śniegu. Nim bojar zdążył zerwać się i zabrać swój oręż, ujrzał husarza pędzącego na niego ze zdobytą na kozaku włócznią. Guzunow uskoczył przed spisą w ostatniej chwili, korzystając raz jeszcze ze swej niedźwiedziej siły. Pochwycił muskularnymi dłońmi broń i zamachnął się, strącając jeźdźca z wierzchowca. Husarz uderzył o drzewo. Nikita obrócił spisę ostrym zakończeniem w stronę Pawła. Porucznik natarł z szablą, próbując złamać trzymaną oburącz broń. Niestety, to i następne uderzenia kończyły się fiaskiem. Bojar parował ciosy, za każdym razem innym odcinkiem włóczni. Paweł chciał nawet pozbawić Guzunowa możliwości do przedłużenia rodu, jednakże Nikita w porę zahamował lacką zuchwałość. Szabla opadła centralnie na środek broni bojara. Na to czekał porucznik. Trzymał szablę na drzewcu, przytrzymując dzidę w pozycji poziomej, wykonując przy tym kopniak wymierzony w miejsce, gdzie tkwiła szabla. Drzewce trzasnęły i złamały się na pół. Potężne uderzenie zważyło bojara z nóg. Guzunow opadł na

śnieg. Pawła również odrzuciło, lecz zachował równowagę i uniósł szablę w finałowym zamachu. Tak mu się przynajmniej zdawało. Nikita kopnął porucznika, któremu ostrze wypadło z dłoni. Guzunow powstał, odrzucając na bok dłuższą część złamanej włóczni. Krótszą, z grotem posłużył się jak pałaszem czy koncerzem. Nim zdążył nabić na niego Pawła, ten podniósł się z ziemi i uskoczył. Pochwycił szablę i rozpoczął taniec. Bojar próbował nakłuć porucznika, ten jednak za każdym razem odskakiwał, bądź parował uderzenia ostrzem. Niepowodzenie doprowadzało bojara do białej gorączki. Wtedy Paweł dostrzegł istotną wadę przeciwnika, która mogła przechylić szalę na stronę Pawła: Guzunow walczył gorzej, gdy był rozwścieczony. Wcale nie oznaczało to jednak, że stawał się łatwiejszym przeciwnikiem. Nacierał z furją, jednakże uderzał na oślep, przez co często nie trafiał w cel i szybciej się męczył. Taszczyński wykonywał uniki. Chciał, aby Rosjanin wycieńczył się przez jego manewry. Taktyka zaowocowała. Ruchy Guzunowa stawały się coraz bardziej powolne i niezgrabne. W końcu nadszedł czas na zakończenie pojedynku. Paweł wykręcił Moskałowi ramię i skierował dłoń z zakończeniem włóczni w brzuch Rosjanina. Końcówka broni wbiła się bojarowi między żebra, przebijając wątrobę. Paweł chwycił bojara za futro, utrzymując go na chwiejnych nogach.

- I co powiesz Moskału? - prychnął zasapany Taszczyński - Pokonałem cię. JA - LACH, uwierzysz? A teraz proś Boga o przebaczenie, choć wątpię byś je uzyskał...

- Mój pan... zawsze wierzył, że... Polacy są potężni...

- Replin tak sądził?

- Nie... - wycharczał Guzunow - Nie Replin... - Nikita kaszlnął krwią i wziął duży wdech powietrza.

- Jest ktoś ponad Replinem?

Nie było odpowiedzi.

- Gadaj! - porucznik potrząsnął bojarem.

- Tajemnica towarzystwa... Ja nie mogę... wyjawić imienia... sam nie znam... jedynie Replin...

- Mów Moskału! Jak nie imię, to plany towarzystwa! Imię dostanę od samego pana ambasadora!

- Pies... na usługach Imperium... On chce... nałożyć kaganiec... być przychylnym caratowi... lecz potem... spuścić na Petersburg... pozbyć się....

- Co ty bredzisz Moskalu? - krzyczał Paweł - Jaki znowuż pies? Czego chce się pozbyć?

- Nic więcej nie powiem... I tak na nic zda ci się ta wiedza, gdyż pomsta Nikołaja i Towarzystwa będzie okrutna...

Paweł miał tego dość. Puścił futra bojara. Ten, już bez czucia w nogach, opadł na brzuch. Włócznia wbiła mu się jeszcze głębiej w tułów. To był koniec ostatniego bojara w Rosji - Nikity Guzunowa.

Krasiński i jego straż uciekali przed Kozakami nasłanymi przez bojarzyna. Wraz z dziesięcioma zaufanymi ludźmi pan Michał kierował się w stronę Baru. Od twierdzy dzielił go niecały dzień podróży. Zanim jednak miałyby do zamku wjechać, musiałyby się tych Kozaków pozbyć, w przeciwnym wypadku mogliby donieść Guzunowi. O ile ten przeżyłby starcie z Pawłem. Choć Krasiński modlił się o zwycięstwo porucznika, musiał liczyć się z możliwością porażki Taszczyńskiego. Prędzej czy później powinien nawiązać walkę z rozjuszonymi Rusinami. Kozaków depczących im po piętach było jednak dwakroć więcej niż uciekinierów. Byli to głównie mieszkańcy Brzeżan ulegli kłamstwu Guzunowa. Przez cały czas pościgu mieli na celowniku ludzi Krasińskiego. Ich pistolety huczały bez przerwy. Dwaj przyboczni podkomorzego ugodzeni ołowiem zginęli w trakcie pościgu. Konie Polaków powoli zwalniały. Były już bardzo zmęczone. Krasiński musiał nawiązać walkę z Kozakami, nim konie padną im z wycieńczenia. Nie było jednak mowy o walce na otwartym polu - toż to kozacki żywioł!

Pan Michał skręcił w las. Tam wszyscy Polacy otworzyli ogień do Rusinów. Kilka kul lackich zatopiło się we krwi czerni. Nie było czasu na przeładowanie, toteż kto miał, to sięgnął po następny pistolet. Nim Polacy zdążyli wystrzelić, uciekinierom zawtórowało kilkanaście innych strzałów. Polacy odruchowo przylegli do wierzchowców. Sądziło, że to Kozacy odwzajemnili ich ołowiany podarunek. Ku zdziwieniu uciekinierów, kilku Kozaków padło na ziemię. Nagle z obu stron leśnego traktu wysypali się uzbrojeni w dymiące już karabiny oraz szable, polscy ułani. Nie byli to jednak ludzie spod komendy porucznika Taszczyńskiego. Dziesięciu sprzymierzonych zaatakowało Kozaków, jednak nim na dobre rozpoczęła się walka, pozostali przy życiu Kozacy zawrócili się pierzchli i przed Polakami, poganiając ostrogami swoje gniade bachmaty. Gdy emocje opadły, krew ostygła, konie się uspokoiły, Krasiński podjechał do oficera głównodowodzącego i począł dziękować mu za ratunek.

- Chwała nich będzie Bogu! - wołał pan Michał - Ocaliliście nas od niechybnej zguby! Proszę, powiedzcie mospanie, skąd przebywacie a co ważniejsze, jak macie na imię, abym mógł je wysławiać przez resztę życia!

- Z Baru, proszę waszmości - powiedział dowódca, ściskając dłoń Michała - Zostaliśmy wysłani na zwiady. A zowie się Mirosław Abramowicz, były pułkownik

artylerii spod komendy kasztelana Adama Brzostowskiego.

- A Baru powiadasz? A więc przysłał cię Józef Pułaski!

- W rzeczy samej.

- Chwała Bogu! - powtórzył - Jam jest Michał Krasiński, bliski przyjaciel Józefa.

- Krasiński? Mieliśmy za zadanie cię odnaleźć! Dobrze się złożyło.

- Widzę w tym opatrzność Boską.

- Możliwe - mruknął Abramowicz - Nie traćmy czasu. Bar na was czeka.

Dolina spłynęła krwią. Ugnieciony pod kopytami koni śnieg zmieszał się z lacką, rosyjską i końską posoką, a także potem i łzami. W czasie tej krwawej waśni zginęła połowa husarzy, druga odniosła lżejsze bądź poważniejsze rany. Nie była to już ta sama skrzydlata straż. Widok był wstrząsający. Uzbrojeni w pęknięte koncerze, odziani w pogięte, niekompletne zbroje, osłaniające równie okaleczone dusze, budzili politowanie, nie strach czy szacunek. Straty wroga były jednak o wiele dotkliwsze. Spośród trzydziestu huzarów i Kozaków wystawionych przez Guzunowa do walki, uratował się jeden Rusin. Puszczono go wolno, aby doniósł Repninowi, że nie należy zadzierać z Rzeczpospolitą...

Po bitwie, Paweł i ocaleni towarzysze pochowali zmarłych kompanów oraz wrogich żołdaków, lecz nie w oddzielnych grobach, a w zbiorowej mogile. Gdy pochówek mieli już za sobą, porucznik i reszta ruszyli w kierunku Baru.

Krasiński był prowadzony przez Abramowicza w kierunku twierdzy. Im bardziej orszak zagłębiał się w obszar Podola, tym więcej napotykali zaprzyjaźnionych oddziałów i neutralnych Kozaków. Rusini nie byli zachwyceni tak dużą liczebnością Lachów na ich terytorium, jednak nic nie mogli na to poradzić. Wodzili wzrokiem za podróżnymi. Ich oczy mówiły: Won z naszej ziemi, lackie ścierwa! Nie było jednak mowy o opuszczeniu tych terenów przez Polaków. Od kilku miesięcy trwały tu przygotowania do powstania. Gdyby Kozacy się dowiedzieli, że to właśnie ten jegomość - Michał Krasiński, jest po części odpowiedzialny za nawiedzenie Ukrainy przez tak licznych polskich panów, już dawno dyndałby na szubienicy.

Następnego dnia, tj. dwudziestego dziewiątego lutego, na horyzoncie dostrzeżono zarysy potężnej twierdzy barskiej – dawnej siedziby polskich hetmanów, drugiej po Kamieńcu fortecy podolskiej. Podróżni spięli konie i popędzili do zamku. Przed Bar wyjechał imć Kazimierz Pułaski, starościc warecki, syn Józefa, który powitał go w imieniu ojca. Uściskał on Michała i schyliwszy głowę puścił Krasińskiego przodem.

Gdy przekroczyli bramy miasta, zastali na ulicach setki krzątających się ludzi. Pełno było szlachty, Żydów i ruskich poddanych. W sumie, prócz mieszkańców, Pułascy zgromadził tu setki popleczników, chorągwie nadworne, milicję, kozaków hodorowych oraz trochę wojska komputowego, które poparło dążenia Józefa i jego synów do uniezależnienia się od Rosji. Ciężko było Abramowiczowi przedrzeć się przez zatłoczone ulice, toteż głosił wieść o przybyciu współzałożyciela ruchu oporu. No to ludzie zaczęli wiwatować, podrzucać nakrycia głowy i strzelać w powietrze na cześć imię pana Krasieńskiego. Pan Michał pozdrawiał wszystkich, machając ręką. Jak jeden mąż, tworzyli na ulicy korytarz, którym Krasieński wjechał na zamek. Stajenny zabrał wszystkim zmęczone konie. Ułani Abramowicza udali się na spoczynek, ludzi Krasieńskiego otoczono szczególną opieką.

- Nareszcie jesteŝmy - odetchnął eks pułkownik.

- Taak - odparł niepoczyszony Krasieński - Ale moi towarzysze wciąż sà na zewnàtrz...

- Kto taki?

- Półtorasta ludzi, z którymi uciekłem z Warszawy. Rozdzieliliŝmy się, aby Rosjanie nas tak łatwo nie dopadli. Większość tuła się pewnie po Ukrainie. Panie Abramowicz, musi pan im pomóc! Sprowadź ich waszmość na zamek.

- Hmm, z tym moŝe być kłopot. Dziŝ zamykamy bramy, nikt nie będzie mógł opuścić Baru. To bezpoŝrednie zarządzenie pana Pułaskiego.

- Nakazuję panu sprowadzić towarzyszy. W końcu mam takie same prawa do wydawania rozkazów, co i Józef.

Mirosław zastanawiał się chwilę. Mruczał coś pod nosem, kręcił palcami lewej ręki swoje długie wàsy.

- Racja. Dobrze panie Krasieński, ruszę natychmiast - odparł po namyśle - Ale proszę uprzedzić pana Pułaskiego!

- Dziękuję ci! Oczywiście, zaraz go powiadomię.

Uzgodniwszy wszystko, Abramowicz wystawił ŝwieży, wypoczęty oddział ułanów, z którymi po chwili opuścił zamek, a następnie wyjechał przez bramę miejskà. Tymczasem straŝe i Kazimierz Pułaski zaprowadzili pana Michała na spotkanie z Józefem. Otworzywszy przed podkomorzym róŝańskim drzwi do komnaty, straŝe się oddaliły. Michał tymczasem wkroczył z Kazimierzem do olbrzymiej sali mogàcej pomieścić tłumy. Na ŝrodku tego pomieszczenia stał starosta warecki w towarzystwie złotoustego kaznodziei Marka Jandołowicza i innych przychylnych Pułaskim,

sympatyków.

Trzydziestotrzyletni syn prowodyra całego przedsięwzięcia, Kazimierz Michał Pułaski, był to człowiek dość wysoki, o czarnych włosach ułożonych w fryzurę bardzo przypominająca perukę. Miał duże czoło, czarny, krótki jak u tatara, wąsik. Odznaczał się podłużną twarzą, którą zdobiły ciemne oczy. Miał na sobie frak, pod nim białą koszulę. U boku zamszowego pasa zatknięta była szabla, do której użycia był isticie powołany. Był podobny do swego ojca, sędziwego, 64 - letniego człowieka.

- Michale! - rozłożył ręce w przyjacielskim geście prawnik - Chwała Bogu, udało ci się!

- Józefie - uściśnął się z przyjacielem - Dobrze cię widzieć. Czy wszystko przebiega zgodnie z planem?

- Dzisiaj wygłosimy odezwę do wszystkich zgromadzonych tu przybyszy. Poniatowski może zacząć drzeć - uśmiechnął się Pułaski.

- Długo na to czekałem - ozwał się pan Krasieński.

- Tak jak my wszyscy! - zaznaczył młody Kazimierz. - Jeszcze dzisiejszego dnia ogłosimy tu konfederację generalną! - poinformował rozradowany chłopak, którego policzki z powodu towarzyszących emocji, przybrały czerwony kolor.

- Ale potem co? Staniemy przeciw całemu Imperium rosyjskiemu i wojsku królewskiemu?

- Jestem święcie przekonany, żeby Bóg dopomoże swoim rycerzom - wtrącił się ksiądz Jandołowicz - Ale jest Bóg w Jeruzalem, jest jeszcze prorok, który wszystkie wróży pomyślności.

- Oho, szykuje się święta wojna - burknął pan Michał. - Wasza wielbność, wiesz, co dobrego przyniosły wyprawy krzyżowe...

- Walczymy w słusznej sprawie. Wojna w prawej intencji, ponadto wojna obronna, zyska w oczach Pana. Krzyżowcy odznaczeni się krwawym fanatyzmem i materializmem, my zaś chcemy, aby było jak dawniej. Chcemy wolności wyznania i suwerenności - naszych idei, które s a m i ustanawiamy i którym hołdujemy.

- Krzyżowcy również chcieli, aby tak jak dawniej, grób Pański wrócił w ręce chrześcijan... - kontynuował wywód podkomorzy różański. - Obyśmy, drogi księżu, z obrońców wiary i Chrystusa nie stali się rycerzami krwawego krzyża... Ani abyśmy nie skończyli marnie...

- Nie my staliśmy się prowodyrami. Nie my targnęliśmy się na niewinnych, tylko Rosjanie. Jesteśmy strażnikami Rzeczypospolitej! Aby umocnić wszystkich w przekonaniu, iż jesteśmy też obrońcami świętej wiary katolickiej, w którą Moskale godzą i jej ubliżają, założyliśmy Zakon Rycerski Kawalerów Krzyża Świętego. Ojciec pana Kazimierza stoi na jego czele.

- Dobrze waszmościowie. Nie czas to i miejsce na spory. Trafiliśmy tu po to, aby ich uniknąć. Wszystko omówimy wspólnie już niebawem. Tymczasem proszę panów - tu wskazał na szlachtę i Jandołowicza - abyście zostawili nas samych. Mamy sporo do omówienia.

Książd Marek i reszta czołowych doradców Pułaskiego opuściła salę. Zmęczony Michał opadł na jedno z nielicznych krzeseł w komnacie, w której został sam z Józefem. Ten nakazał wnieść służbie powitalny obiad.

- Nie sądzę, aby rozpoczęcie powstania przed opuszczeniem Rosjan było dobrym pomysłem - odezwał się Krasieński.

- To będzie wyraz niezadowolenia wobec błędów sejmowych! Mamy zapewnione wsparcie Turcji, a twój brat ubiega się o pomoc Francji. Lepszego momentu nie będzie. Tymczasem opowiedz mi, proszę, jak zdołałeś uciec z Warszawy? Szczerze powiem, że wątpiłem, czy uda ci się wydostać.

- Nie było to łatwe. Na ulicach poniosło śmierć wielu tych, z którymi miałem zamiar dotrzeć do samego Baru. Później w drodze na Podole, sto pięćdziesiąt osób podążających za mną, rozdzieliło się i do tej pory ich nie zobaczyłem. Jestem tu i jedynie garstka moich towarzyszy.

- Z kim uciekłeś z Warszawy?

Pan Krasieński opowiedział przyjacielowi o uwolnieniu ułanów i husarzy z więzienia, potyczkach w mieście, ucieczce na Podole, przeprawie przez Złotą Lipę i w końcu o bohaterskiej postawie Pawła Taszczyńskiego i husarzy. Powiedział o napotkaniu Abramowicza i o prośbie, jaką pan Michał ku niemu skierował.

- Dobrze - skwitował starosta - teraz każdy człowiek jest na wagę złota - odparł, usłyszawszy o wysłaniu Mirosława na poszukiwanie pozostałych uciekinierów. - Tymczasem wskażę ci twoją kwaterę. Odświeżysz się, odpoczniesz, potem przemówimy do zebranych katolików.

Krasieński przystał na tę propozycję. Gdy jeden ze strażników zaprowadził pana Michała do komnaty, podkomorzy zażył długiej kąpieli. Po kilku dniach ciągłej wędrówki

był przeпоcony i brudny. Zmył błoto i zaschniętą już krew. Zmęczony trudami podróży, zasnął w bali. Nawet we śnie nie mógł należycie wypocząć. Śnił mu się bowiem obraz Pawła i husarzy zarzynanych przez Kozaków i Guzunowa. Mentyki[19] i czapki huzarów obryzgane były krwią. Głowy skrzydlatych jeźdźców o grymaśnych wyrazach twarzy zdobiły lance kawalerzystów. Wtem Krasieński ujrział w swych koszmarze bojara trzymającego Pawła za kołnierz munduru.

- Pora kończyć! - zaśmiał się szyderczo bojar, unosząc szablę.

Pan Michał zerwał się przerażony. Obejrzał się dookoła i przypomniał sobie, gdzie jest. Usłyszał pukanie do drzwi.

- Panie Krasieński! - zawołał pacholek - Pora kończyć. Jegomość Pułaski cię oczekuje!

- Już wychodzę! - odkrzyknął pan Michał.

Sługa odszedł. Krasieński wyszedł z bali, ociekając wodą.

- *Boże, ratuj moich towarzyszy* – szepnął, dygocąc na całym ciele, lecz nie z zimna, a ze strachu.

Biły dzwony w kościele i klasztorze ojców oratorów karmelitów na zamku barskim. Było to wezwanie do wszystkich łacinników zebranych w mieście, aby pospieszyli ku twierdzy. Tam bowiem Pułaski i Krasieński - organizatorzy całego zgromadzenia, mieli zaanonsować zebranej szlachcie przedłużenie konfederacji radomskiej, lecz z zupełnie nowym postulatem. Podkomorzy przywdział dostojny strój i ruszył schodami na parter. Wszedł do sali, gdzie wcześniej rozmawiał z Pułaskim, tyle że bocznym wejściem. Kazimierz już tam był.

- O, Michale - rzekł - dobrze, że jesteś. Czekaliśmy na ciebie. Mój ojciec chce, abyś z nim przemówił.

- Przepraszam, zasnąłem w kąpieli - bąknął Krasieński.

- To nic! Nie czekają zbyt długo - zerknął na zebranych katolików. - Dobrze więc, czas nadszedł, przyjacielu! - to powiedziawszy wskazał na podwyższenie, gdzie stał już jego ojciec.

Krasieński opieszale ruszył we wskazane miejsce.

Komnata wypełniona była po brzegi. Moc szlachciców, tutejszych karmelitów, wojska. Wzrok zgromadzonych skoncentrował się na dwóch postaciach. Szmary wciąż

dobiegały z wnętrza pomieszczenia. Pułaski podniósł więc ręce w uciszającym geście. Nastąpiła cisza, w której usłyszeć można było oddechy zniecierpliwionych Polaków i Litwinów. Pułaski wodził przez chwilę wzrokiem po pomieszczeniu, spoglądając na ludzi, którzy przybyli tu na jego wezwanie.

- Drodzy przyjaciele! - zaczął Pułaski - Obrońcy świętej wiary katolickiej! Rycerze Rzeczypospolitej! Zebraliśmy się tutaj, gdyż nad naszym domem wezbrały ciemne chmury. Zostaliśmy oszukani! Repnin, który potajemnie nakłonił różnowierców do buntu pod hasłem równouprawnienia politycznego, skłonił nas, wierne sługi Najświętszej Pani, do walki przeciw dysydem! Wzbudził w nas gniew, który jednak ostatecznie obrócił ku naszemu królowi - Stanisławowi Augustowi! Sprawa różnowierców przycichła, gdyż prawdziwym celem Repnina, a więc i carów, było uczynienie z nas protektoratu Imperium Rosyjskiego! Winę za całą tę sytuację ponosi monarcha! Gdyby Czartoryscy nie obrali królem faworyta i kochanka Katarzyny i nie opierali się na pomocy ze strony Moskali, nie byłibyśmy w tej chwili zależni od Petersburga i nie stacjonowałyby w naszym kraju wojska rosyjskie! Byliśmy zaślepieni, głupi. Ufaliśmy Repninowi...

Pułaski dał panu Michałowi dyskretny znak, aby i on zaczął swą część odezwy.

- Wydarzenia ostatnich dwu lat skłaniają nas do podjęcia zdecydowanych kroków - ozwał się Krasieński - Musimy kontynuować walkę przeciw różnowiercom. Musimy pozbawić ich tego, co dał im Repnin, bo dał im to właśnie Repnin, nie my. Ale naszym priorytetem będzie w tej chwili pozbycie się Rosjan. Gdy uporamy się z Moskalami, zadbamy, aby Poniatowski, ten zdrajca i łachudra, został usunięty z urzędu. Potem...

- Bowiem ów król nie jest dany od Boga i źle skończy. Niech się jednak naród uzbroi w cierpliwość, aż osiągnie pełnoletniość elektor saski, który przywróci Polsce dawne szczęście - zacytował pewnego mnicha ksiądz Jandołowicz.

- Potem dokończymy rozprawę z dysydentami - skończył Krasieński, nieco poirytowany mistycznym uniesieniem ojca Marka.

- Żaden luter, kalwin, syzmatyk nie będzie przypuszczony! - obwieścił Józef Pułaski - Sprzysiężony rycerz - takim mianem będzie nazywany każdy, kto wiary świętej katolickiej rzymskiej własnym życiem i krwią obligowany bronić będzie! Miejcie przy sobie pałasz, proporczyk, parę pistoletów. Ryngraf szlachecki i krzyż na piersi! Tym nauczymy Rosjan, dysydentów i Ciołka poszanowania szlacheckich obyczajów!

Thum wiwatował. Szlachcice wystrzelali z pistoletów, wznosili kielichy. Znaleźli się jednak malkontenci. Jeden szlachcic odziany w granatowy kontusz wyszedł pod same podwyższenie.

- Walka z Rosjanami wcale nie przyniesie efektu! - krzyknął ów szlachcic. - Jedynie

wzbudzi gniew carycy! - ryknął, aż łzy popłynęły mu po policzkach. - Mamy walczyć przeciw królowi i armii Imperium Rosyjskiego? To istne szaleństwo! Skończy się to katastrofą! Chcecie wybrać miejsce pod przyszły grób Polski?

- Nikt nie każe ci brać udziału w naszym przedsięwzięciu - powiedział spokojnie Józef. - Jeżeli nie chcesz do nas dołączyć, wracaj do Warszawy lecz wiedz, że prędzej czy później spotkamy się na polu bitwy.

- Nie oto chodzi! Zgubicie nas wszystkich, całą Rzeczpospolitą! To kolejny dowód na to, że robicie, jak Repnin wam zagra. Pewnie i to posunięcie przewidział... Tego się po nas spodziewa! - nieco się uspokoił - Nie... - rzekł po chwili - Ja wam nie pozwolę zaprzepaścić naszej Ojczyzny!!!

- Tacy jak ty już to zrobili!

Szlachcic dobył szabli, a wraz z nim dwóch innych. Herszt skoczył na podwyższenie z zamiarem zabójstwa Pułaskiego. Chciał ściąć go poziomym cięciem, jednak na w pół wyjęta z pochwy szabla starosty wareckiego sparowała ten cios. Drugą ręką Pułaski chwycił szlachcica za przegub. Obrócił agresora. Józef błyskawicznym ruchem dobył ostrza i chwilę później z brzucha malkontenta wystawała główka szabli, a krew szlachcica kapiała na posadzkę. Pułaski spoglądał przez chwilę z pogardą na wpółżywego napastnika. Wyciągnął ostrze z ciała ofiary. Ruchowi towarzyszył jęk ofiary. Zakrwawiony brzeszczot wytarł o rękaw, po czym włożył do pochwy. Pozostali niedoszli zabójcy opuścili broń. Straże pochwyliły ich i wyprowadziły z sali.

- To właśnie przez takich ludzi Polska jest, jaka jest. Ten szlachcic był doskonałym przykładem człowieka, który boi się działania i woli przeczekać burzę w domu! Jak widzicie nawet tu, w miejscu, gdzie zgromadzili się ludzie dążący do niepodległości, znaleźli się konfidenci, tchórze i oponenci. Sytuacja jest tragiczna. Aby nasz kraj nie popadł w ruinę, musimy działać natychmiast! Ogłaszam, w imię Boga Najwyższego, Narodu polskiego i litewskiego, że dla dobra naszej ojcowizny, w dniu dzisiejszym dwudziestego dziewiątego lutego *Anno Domini* 1768 zawiązujemy konfederację generalną, a z racji miejsca jej założenia ogłaszam ją Konfederacją Barską!

- Tłum po raz kolejny zaczął wiwatować. Stało się. Lud chwycił za broń. Nie będzie Moskal pluł nam w twarz! - tak sądzili wszyscy zgromadzeni

Po wzniosłej mowie, tłum udał się do zamkowego klasztoru, gdzie odbywała się uroczysta msza święta, w której powierzali swe życie Rzeczypospolitej i Chrystusowi. Józefowi łzy zakręciły się w oczach, uczestnicząc w tym podniosłym nabożeństwie u karmelitów.

-...Tak nam dopomóż Bóg i Święty Krzyż - rzekli na koniec, a raczej na początek,

barzanie.

Po tym, jak zgromadzeni dostąpili zaszczytu przyjęcia Ciała Pana Jezusa, tu, w Domu Bożym, spisano Akt Konfederacji i dziesięć przykazań, którymi kierować się mieli w imię Rzeczypospolitej. Gdy ustanowiono jego wstępną wersję[20], na którą większość się godziła, publicznie odczytano akt w świątyni.

My prawowierni chrześcijanie katolicy rzymscy, naród polski, wierny Bogu i Kościołowi, wolnym królom i kochanej ojczyźnie; uważając koniec nieszczęśliwych i strasznych środków, gwałtownie przeciwko wszystkiemu prawu uczynionych, nieomylnie wynikający, a przynoszący niemyślne nadwątlenie i prawie powszechną zgubę na wiarę ś. katolicką rzymską; widząc oziębłość w duchowieństwie wyższym, a w głowach większych świeckich obojętność, tudzież w obywatelach bezwstydną bojaźń i pomieszanie, a co najnieszczęśliwsza: że żadnej dotkliwości nie czując, nachylają swe niegdyś niezwyčajne głowy wolnego narodu pod jarzmo niewolnicze syzmatyków, lutrów i kalwinów, któreśmy krwią Chrystusa najdroższą i własną naszą odkupione bezpiecznie przed narodami nosili, nie dbając na tureckie, tatarskie, Szwedów, Kozaków hufce, które jak cień jeden od zaciągającego słońca, tak oni od znaku krzyża św. nikli przy heroicznym naszym orężu...

Czytanie zostało przerwane, gdyż drzwi świątyni rozwarły się ze zgrzytem. Światło wpadło do wnętrza kościoła, oślepiło wszystkich na tyle, że zgromadzeni nie mogli ujrzeć, któż śmie przerywać w tak podniosłej i ważnej dla przyszłości kraju chwili. Gdy wzrok odzwyczał się od kościelnych ciemności i sylwetki przybyłych stały się wyraźne, wszyscy powstali z siedzeń i spoglądali osłupieli. Krasiński nie wierzył własnym oczom. Przed nim znajdowali się jego wybawcy! W drzwiach świątyni stali nieliczni husarze, nie tak światli i dostojni, gdyż strudzeni bitwą, głodem oraz podróżą, a także porucznik Taszczyński. Żołnierze byli zmasakrowani. Część gapiów spoglądała na przybyszy z otwartymi ustami, gdyż pierwszy raz miała do czynienia z legendarną strażą Polski, inni zaś, gdyż przerażeni byli tym widokiem. Był to obraz wojny, który niechybnie przyjdzie im ujrzeć. Przedsmak mąk, jakie konfederaci będą musieli przejść, nim osiągną swój zamierzony cel... Krasiński dziękował Bogu, że udało się jego przyjaciółom. Wyszedł Pawłowi naprzeciw, lecz nie zdążył uściskać się z wybawcą, gdyż wyczerpany porucznik omdlał na posadzce świątynnej.

Ułan nie ocknął się przez całe dwa dni. Przez ten długi czas śnił o swoim powrocie do Żęhynia, o spokoju i braku wojny. Widział roześmiane twarze przyjaciół, jego dawne rany w ogóle go nie bolały. Przebywał z bliskimi. Siedział przy jednym stole z Tadeuszem, Januszem, Mikołajem i piękną Karoliną, której promienny uśmiech i falujące na wietrze włosy przyprowadzały o gwałtowne bicie serca i wszechogarniającą szczęśliwość. Dosiedli się również Mirosław Abramowicz, Wojciech Zaremba i przyjaciele poznani na warszawskim Marienstadtcie. Czuł się komuś potrzebny. Wiedział, że otaczają go przyjaciele i istnieją ludzie, którzy go doceniają...

Raptem wybudził się z tego istnego raju. Leżał na twardym łożku w kamiennej komnacie. Obok na parapecie siedział gruchoczący gołąb przewracający oczyma. Za oknem widać było budynki i resztę twierdzy. Dalej miejskie mury i rozciągający się step ukraiński. Gdy porucznik chciał poprawić sobie poduszkę, poczuł piekący ból. Stare rany dały się mocno we znaki, zakwasy dręczyły go niemiłosiernie, nowe, gojące się nacięcia mogły lada chwila podejść krwią. Leżał w bezruchu przez dobrą godzinę, nim drzwi do pomieszczenia po cichu się otworzyły. Paweł ujrzał w nich Krasieńskiego, Abramowicza oraz starych przyjaciół: Zatopockiego i wachmistrza Piekarskiego. Wszyscy uradowali się, widząc go przytomnego. Taszczyński też, zobaczywszy na tym ponurym świecie bliskich mu ludzi, zebrał się na szczery uśmiech. Opowieściom i pytaniom nie było końca. Po witaniu Paweł dopytywał się o los pozostałych uciekinierów. Jak się okazało, grupa, do której przydzielony był pan Janusz, składająca się z ocalałych ułanów, po przekroczeniu Wieprza zatrudniła się u kupieckiej karawany jako najemna ochrona. Jako że kupcy zmierzali do Kijowa, było to uciekinierom po drodze. Dzięki temu niezauważenie przekradli się na Ukrainę. W Łucku, który był przystankiem karawany, pan Zatopocki podziękował za współpracę. Część ułanów rannych w warszawskiej potyczce doszło już do siebie, ruszyli więc wszyscy z kopyta w stronę Wiśniowca. Minęli go szerokim łukiem, dwudziestego ósmego lutego przekroczyli granicę województwa podolskiego. Następnego dnia doszło do waśni między ułanami a Kozakami napotkanymi na drodze do Baru. Bredzili coś na temat napadu Lachów na Gliniany. Nie wiedzieli, o czym oni mówią, chcieli usunąć się z pola widzenia, lecz rozjuszone towarzystwo chwyciło za oręż. Byliby ich zabili, mieli znaczną przewagę liczebną, gdyby nie przybycie Abramowicza. Ten odegnał Rusinów i przywiódł uciekinierów do Baru. Paweł podziękował Mirosławowi za pomoc w ocaleniu kompanów oraz przeprosił go, iż dawniej znał go pod innym nazwiskiem. Abramowicz puścił to w niepamięć, gdyż jak sam stwierdził: w tym niepewnych czasach dobrze jest mieć ukrytą tożsamość. Kazał też podziękować podkomorzemu, jako że to on rozkazał sprowadzić uciekinierów z powrotem. Później Krasieński opowiedział wszystkim o wygłoszeniu mowy i mszy w intencji powodzenia „zrywu łacinników”. Paweł zadeklarował, iż przyłączy się do barzan, mimo, iż nie zgadza się ze wszystkimi postulatami konfederatów. Później nawiedził Taszczyńskiego również Kazimierz Pułaski. Podziękował za uratowanie pana Michała i zachęcił do przyłączenia się całej kompani do konfederacji, gdyż „takich ludzi to tylko ze świecą szukać”. Ucieszył się wielce, gdy usłyszał, że już Krasieński złożył im propozycję.

- Pawle - zaczął pan Michał - Jestem ci winny dozgonną wdzięczność. To, co dzieje się na naszych oczach, nie miałoby miejsca bez ciebie. Przyjmij od nas - tu wskazał też na Kazimierza - Ten skromny podarek:

Nowi przyjaciele podali mu lśniący ryngraf szlachecki z wizerunkiem Matki Bożej Ostrobramskiej z wygrawerowanymi łacińskimi słowami: *Salus Rei Publicae summa lex tibi est* co znaczy: dobro Rzeczypospolitej jest dla ciebie najwyższym prawem.

- Należałoby, panowie, napisać list do carycy! - oświadczył Pułaski - Niech wie, że czasy terroru dobiegają końca!

- Był pewien... polski pisarz. Przez dwustu laty. Zwał się Mikołaj Rej i napisał wielce ważne dla rodaków słowa. Sądzę, że moglibyśmy się nimi posłużyć.

- Służba! - krzyknął Pułaski - Dawać papier i pióro!

Po miesiącu, na dwór Katarzyny II, Wielkiej Imperatorowej, dotarł list zaadresowany do jej cesarskiej mości. Był podpisany przez „barzan”, a jako że doszła już wieść o powstaniu w Rzeczypospolitej, kazała go natychmiast służbie otworzyć. Napisany był po polsku, ale dworzanie przetłumaczyli go i odczytali. List głosił:

A niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język, wolność i dumę mają.

Epilog

„Panie Kochanku” złożył łaskę piątego marca, sejm zamknięto. Konfederacja została rozwiązana. Dzień później radomianie pogodzili się z królem, na warunkach podyktowanych przez Rosjan. Większa część jej członków, czując się oszukana, poszukiwała oparcia w nowej konfederacji zwanej barską. Zryw zapoczątkowany dwudziestego dziewiątego lutego stał się przedłużeniem konfederacji z Radomia, tym razem z nowym postulatem dotyczącym opuszczenia przez Moskali Rzplitej. Konfederacja barska stała się pierwszym w historii, ale nie przez wszystkich uznanym, powstaniem narodowym o wolność Polski i Litwy. I choć nieprzemysłanym i zbyt chaotycznym, to dążącym do suwerenności i prawa decydowania o losie własnej Ojczyzny. Od lutego, gdy powstanie zostało ogłoszone, ruch barski rozprzestrzenił się na południowe województwa Rzeczypospolitej. Od czerwca aż do grudnia 1768 roku powstanie objęło tereny Wielkiego Księstwa: ziemię krzyzewską, litewską część Smoleńszczyzny, Żmudź, część Aukštoty oraz Ruś Czarną. Jeżeli chodzi o województwa Korony: resztę województwa kijowskiego oraz ruskiego. Do kwietnia następnego roku powstanie objęło Inflanty polskie, województwo połockie oraz Mazowsze. Później Białoruś, Polesie oraz Pomorze. Najpóźniej, bo do grudnia 1769 roku, bunt dotarł na Kujawy i do Elbląga. Jedynym terenem Rzplitej, który nie zapłonął nienawiścią do Moskali, było Księstwo Warmińskie, prawdopodobnie z powodu pacyfistycznego charakteru, swoistej autonomii i władzy przychylnego Poniatowskiemu, biskupa księcia Ignacego Krasickiego.

4 marca forteca opustoszała. Całe zgromadzone w Barze rycerstwo, szlachta i wojska stanęły na błoniach podmiejskich, gdzie uformowanych zostało dziewiętnaście liczących po sto - sto pięćdziesiąt koni chorągwi złożonych z jazdy lekkiej, pancernych, milicji i kozaków dworskich. W bogatym, wysokim namiocie na piedestale stali czołowi działacze tej konfederacji - ksiądz Marek, Michał Krasieński, Jacek Kochański i paru innych. Brakowało jedynie Pułaskich. Ci zmierzali pod Bar z włości rodzinnej - wsi Nowosiółki, która znajdowała się opodal fortecy. Stary Pułaski jechał w mundurze uśmiechnięty i pełen życia, mimo podeszłego wieku, w towarzystwie synów. Gdy tylko pojawili się Pułascy na błoniach, wojsko krzyknęło, wiwatując na cześć przybyłych. Józef i jego dzieci pozdrawiali wojsko, kierując się w stronę namiotu. Stanąwszy przed ojcem Markiem i pozostałymi osobistościami, Pułascy przeżegnali się przed trzymanym przez Jandołowicza krzyżem.

- Wojownicy Krzyża Pańskiego! Obrońcy Rzeczypospolitej! Nadeszła godzina, w której odpłacimy Rosjanom za krzywdy. Gdy przegnamy wrogów Polski i Litwy, zaprowadzimy ład i porządek. Od tej chwili każdy z Was, drodzy przyjaciele, zostanie bohaterem narodu. Bóg mi świadkiem, że nasza sprawa jest słuszna i prawa, dlatego

zwycięzimy!

Wojsko odpowiedziało okrzykami bojowymi. Żołnierze unieśli sztandary i szable, wypalili z karabinów.

- Ogłaszam, iż od tej pory marszałkiem naszej konfederacji zostanie brat sojusznika naszego Adama - Michał Hieronim Krasiński. Kogóż zaś chcecie za przewodnika swego w wojsku?

- Pułaskiego! - krzyknął, siedzący na wozie, ranny pan Taszczyński

Wszyscy zgromadzeni poparli zdanie porucznika. Zawarczały bębny i kotły, wypalono z armat, zatrzepotały chorągwie, przeszczęśliwy był Józef – marszałek związku wojskowego. W roli towarzysza husarskiego pobłogosławiony został wraz z rotmistrzem pancernym Krasińskim i jego synami, pułkownikami barskimi przez ojca Jandołowicza. Zgromadzone rycerstwo, aby okazać Pułaskim swoje bezwarunkowe posłuszeństwo i wierność, zsiadło z koni. Okrzykiem „Vivat marszałek” nie było końca. Wojsko ruszyło z powrotem na zamek na uroczyste nabożeństwo, aby wybłagać u św. Kazimierza potrzebne łaski. Prowadził tę garść rycerstwa na mszę nowy regimentarz - Wawrzyniec Szeliga Potocki. Podczas nabożeństwa proboszcz dereżański pokazał zebrany cudowny obraz Matki Boskiej, na którym położono szable dwóch szefów barskich[21]. Kazimierz widział, jak po tym jego ojciec padł na ziemię przed obliczem Maryi i zaczął najzwyczajniej w świecie płakać. Poczęto śpiewać *Te Deum Laudamus*, psalm *Do Ciebie* i *Kto się w opiekę*. Armaty grzmiały bezustannie. Krasiński uformował pułk zakonu Kawalerów Krzyża Świętego, w skład którego miało wejść 13 chorągwi husarskich i pancernych, jak również 6 lekkich - z 2000 ludzi.

W następne dni wojsko ruszyło na wojnę. Kolejne oddziały opuszczały twierdzę, która na ową chwilę stała się stolicą wolnej Rzeczypospolitej. Proporce łopotały na wietrze. Nad głowami pancernych, znaków lekkich i husarii powiewały chorągwie, spośród których największy był sztandar Rzeczypospolitej z herbem Wettynów. Blask bił od zbroi srebrzystych. Konie rżały, jakby spieszo im było kęsać Moskali. Dobosze wybijali rytm. Rycerstwo śpiewało religijne pieśni. Zapał niezmierny ogarnął wszystkich. Wiara i patriotyzm, czyli poczucie dumy narodowej, zagościły w sercach konfederatów. Barzanie mieli nad swym wrogiem przewagę - byli oddani swojej sprawie. Ich wniosłe postulaty były wyrazem szczerych intencji, które teraz chcieli poprzeć wielkimi czynami!

Słońce oświetlało barzanom drogę, jakoby był to dobry omen i znak od samego Boga, który sam chciał pokierować swymi krzyżowcami...

Szesnastego czerwca wojsko koronne dowodzone przez łowczego koronnego Ksawerego Branickiego podstąpiło pod Bar. Liczyło 120 koni. Regimentarz Franciszek Branicki na czele wojsk koronnych wyruszył przywracać pokój w Rzeczypospolitej, gdyż

od dawna już w Warszawie wiadome było, iż na Ukrainie niezadowoleni opozycjoniści wszczęli bunt. Chciał on pierwiej spróbować układów, aby nie przelewać braterskiej krwi. Na nic jednak zdały się pertraktacje, gdyż zamiast rozmów, „delegaci” barzańscy poczęli śpiewać pieśni. *Wyszło czterech księży z krucyfikami i piąty ze statua Najświętszej Maryi Panny, z którymi nie wiedzieć co było traktować.* Prosilili jeno, aby ich koroniarze nie atakowali. Spodziewając się rychłego sukursu Apraksina, przystał na tę prośbę. Na noc Branicki pozostał pod Barem. Z samego rana dało się w jego obozie słyszeć pieśni dobiegające z fortecy. Biły dzwony u karmelitów. Nagle rozległy się strzały. Branicki zerwał się z krzesła i wyszedł z namiotu.

- Pojedynczy konfederaci do naszych patroli strzelają! - Wyjaśnił jeden z jego podwładnych.

Rozwścieczony Branicki dał sygnał do ataku. Kilka szwadronów jazdy ruszyło za łotrami barskimi znajdującymi się poza zamkiem i dopadli je na wzgórzu. Potyczka była zacięta i trwała aż do popołudnia. Wówczas barzanie zrejterowali pod miasto. Aby dać odpocząć koniom, regimentarz Ksawery cofnął się z wojskiem do Stużenic, tam jednak czekała na niego niespodzianka. Od tyłu zmordowanych koroniarzy zaszedł Kajetan Giżycki z 1300 żołnierzami. Ci podprowadzili z sobą dwa działa, którymi kilka godzin nękali łowczego, ten w końcu wycofał się aż do Derażni. W Barze wiwatowano na cześć dzielnych żołnierzy, którzy pokonali „Moskali”. Branicki tymczasem został w miasteczku na popas i odpoczynek. Czekał na instrukcje od Rosjan, którzy zawołali go pod Bar dwa dni później.

Odziany w żółto - granatowy mundur Moskwiczanie wsunął do armaty ołowiany pocisk. Kula potoczyła się na koniec lufy i uderzyła o miękki pakunek prochu. Chwilę później drugi artylerzysta dopchał amunicję na koniec puszek. Jeden z kanonierów dokonał korekty celowniczej i dał znak do strzału. Kolejny artylerzysta zajął się nakłuwaniem pakunku z prochem. Chwilę później na otwór lontowy nasypał podsypkę prochową. Podoficer dał po rosyjsku komendę „Ognia”. Kolejny kanonier z żarzącą się lontownicą, przyłożył ją do otworu. Syczący lont artyleryjski podpalił podsypkę, a następnie proch wewnątrz lufy. Dał się słyszeć potężny huk wystrzału, widziano dym unoszący się wokół stanowiska kanonierów oraz pocisk lecący ku zagładzie celu. Kula artyleryjska przeleciała ponad murami miasta i uderzyła w zamkową basteję. Wykruszyła się część cegieł. Stojące na nich działa odpowiedziały ogniem.

Nadszedł dwudziesty[22] czerwca 1768 roku. Przygotowana do obrony przez Józefa Pułaskiego forteca barska oblegana była przez wojska rosyjskie pod wodzą generała Piotra Apraskina przy wsparciu wojsk królewskich. Zagrzmiały puszeki spod miasta, które nieprzerwanie ostrzeliwały Bar. Mimo natarczywego ostrzału, kiedy to skruszono mury i zdewastowano budowle, morale barzan pozostawały nietknięte. Pułkownik Kajetan Giżycki zakomenderował, aby ze wszystkich dział dano salwę ku oblegającym. Czterdzieści pięć puszek wystrzeliło do Rosjan i koronnych. Zasypani

gradem ołowiu ruszyli do szturm na mury. W międzyczasie kilka dział rosyjskich zostało zniszczonych przez precyzyjny ostrzał z murów. Skierowane na wejście armaty moskalskie uporały się bez problemu z bramą. Żołdacy rosyjscy rozlali się po mieście. Trzy kolumny rosyjskie: Weissmana, Stackleberga i Branickiego, który szkalował polskie imię, wydając rozkaz do ataku po rosyjsku. Do walki ruszyły trzy rotę grenadierów Apraksina i kawaleria pod dowództwem Ozierowa. Na straży pozostało kilkunastu barzan, którzy rozstawiwszy się na ulicy, oddali strzały do szarżujących Rosjan. Po salwie z muszkietów, grenadierzy rosyjscy naszpikowali swoje karabiny lśnącymi, jeszcze niepoplamionymi bagnietami. Barzanie dumnie stawiali opór przeciw przeważającemu wrogowi, niestety bohaterska postawa nie wystarczyła, aby powstrzymać niewiernych ze wschodu. Jak tylko bitwa rozgorzała na ulicach Baru, pułkownik Giżycki ruszył z pięćdziesięcioma konfederatami na pomoc sprzymierzeńcom. Gdy dotarł na miejsce, ocaleli z rzezi barzanie wycofywali się w stronę bramy zamkowej. Konfederaci wciąż ostrzeliwali gromadę Rosjan, celując zza rogów budynków i wejść domostw. Wtedy świeży żołnierze pułkownika ustawili się w trzech liniach. Pierwszy szereg, przykucnąwszy wycelował do wroga. Drugi, stojąc, poszedł w ślady towarzyszy, a ostatni szereg wsparł lufy o ramiona przednich kompanów. Kajetan Giżycki dał szablą sygnał do strzału. Huknęło pięćdziesiąt muszkietów, moc napastników padła na ziemię. Nie było sensu w dalszym ciągu toczyć walki na ulicach, zatem oddział, spowity w kłębach dymu prochowego, wycofał się do twierdzy. Miasto u podnóżu warowni zostało łatwo zdobyte. Bramy zamku wciąż były ściśle zamknięte, a obrońcy gotowi, by walczyć. Rosjanie pędzili do cytadeli. Prowadził ich sam regimentarz Branicki, który rzucił do szturm wszystkim dostępne siły. Widząc nacierających Moskale, konfederaci dali ognia z murów. Rosyjscy piechurzy padli od salwy z karabinów. Pod osłoną chmury dymu i murów zamkowych konfederaci zajęli się przeładowywaniem broni. Moskale podciągnęli w tym czasie pod bramę zamku armatę. Rozumiejąc poczynania oblegających, z murów ponownie wystrzeliła salwa z muszkietów. Piechurzy rosyjscy legli pod murami twierdzy. Mimo strat Rosjanie i Polacy wciąż napływali pod bramę. Działo było już gotowe. Nim konfederaci zdolali zestrzelić puszkarza, ten dotknął lontem otworu z podsypką i kula armatnia wystrzeliła, uderzając o bramę. Pocisk zrykoszetował, pozostawiając duże wgłębienie w żelaznych drzwiach. Poczęto ładować następną kulę. Po drugim strzale było jasne, że bramy nie wytrzymają. W czasie trzeciego z kolei ładowania obrońcy pod wejściem zaczęli ryglować wrota. Na wiele się to jednak nie zdało. Trzeci strzał z armaty ostatecznie wyważył bramę. Rosyjscy żołnierze ruszyli z bagnietami na konfederatów. Schronieni za rozrzuconymi kawałkami barykady barzanie oddali salwę z karabinów. Wejście na zamek zostało usłane trupami. Rosjanie rzucili się w wir walki, kłując konfederatów bagnietami, krojąc szablami, z pieśnią wojenną na ustach. Muszkiety dawały ognia. Szczęk żelaza zlewał się z krzykami walczących i jękami umierających. Obrońcy zmagali się z Rosjanami. Gdy stracili oręż, bili się wręcz. Sztandar z Matką Boską, Królową Polski powiewał na murach, trzymany przez młodego konfederata. Los fortecy był już przesądzony. Kiedy Moskale i barzanie trwali w krwawej batalii na śmierć i życie, z zamku wybiegł ksiądz Jandołowicz trzymający w jednej ręce Krzyż Pański, w drugiej zaś szablę. Za nim do boju ruszyły pozostałe oddziały konfederatów. Nagle kula

z działa rosyjskiego stojącego pod miastem, uderzyła o dzwon klasztorny. Wieża poszła w rozsypkę, dźwięk upadającej, metalowej czaszy ogłuszył większość żołnierzy. Kiedy żołnierze pod bramą cytadeli dochodzili do siebie po szoku, nowe oddziały rosyjskie przybyły pod zamek, tym razem z drabinami. Moskale i nowo przybyli Kozacy wdarli się na mury. Dzielnych katolików było jednak zbyt mało. Trzeba było poddać mury. Gdy zostały stracone, reszta ocalałych barzan schroniła się w zamku. Rosjanie otoczyli fortecę. Polskie wojska zostały rozstawione wokół miasta. Miały wyłapać ocalałych z pogromu i przekonać, aby opowiedzieli się po stronie króla. Barzanie zaryglowali drzwi do zamczyska. W głównym korytarzu i na półpiętrze stanęli z lufami muszkietów wycelowanymi w trzęsące się od prób wyważenia drzwi. Branicki rozkazał wydać salwę z armat jeszcze raz. Kule uderzały o mury zamku. Złękli konfederaci nie wiedzieli, co robić. Lada chwila i drzwi zamku zostaną wyważone, wtedy nie będzie już dla barzan litości.

Nagle usłyszeli głos Branickiego, wzywający do poddania się jemu. Konfederaci za nic nie chcieli poddać się Moskalom.

- Co robić? - pytał porucznik Wojciech Barczewski, lecz nikt nie umiał mu na to pytanie odpowiedzieć - Albo wtargną tutaj Moskale i Kozacy i wyrzną nas, albo strop nam się zwali na głowy od tego ostrzału!

- Nie możemy ryzykować życia młodych, wiernych katolickich obrońców, jeżeli wszystko jest już stracone. Poddajmy się - zaproponował ksiądz Jandołowicz, nie widząc sensu w dalszych zmaganiach - Oddajmy się w ręce łowczego.

- Racja - odparł Giżycki - Koroniarzom poddać się możemy - *Jeżeli ten jest, poddajmy się, jeżeli Moskwa, to do ostatniego bronić się będziemy.*

Wszyscy jednomyślnie się zgodzili. Giżycki zrzucił ze stołu talerze i sztućce, rozerwał obrus na pół i przywiązał do karabinu, zamiast flintpasa. Wszedł na najwyższą wieżę w zamku i uważając na wciąż lecące w powietrzu kule, pokazał białą flagę. Strzały ucichły. Chwilę później konfederaci wyszli z zamczyska w równych dwóch szeregach. Na murach i placu celowało do barzan kilkudziesięciu grenadierów. Konfederaci złożyli broń w wyznaczonym przez Rosjan miejscu. Tak oto stracili: czterysta czterdzieści strzelb i trzysta dwadzieścia szabel, a na fortyfikacjach zostawili Moskalom czterdzieści pięć dział. Na przód rozkazano wystąpić oficerom i głównodowodzącym obroną Baru. Wyszli przed szereg ksiądz Jandołowicz w towarzystwie Giżyckiego i Barczewskiego. A za nimi stali ich podopieczni: 1162 Polaków i Litwinów. Tym sposobem, w niecałe pół godziny upadła stolica nowej Polski i utracono wszystkie działa...

Apraskin i Branicki podeszli do oficerów.

- Było wywoływać wojnę domową? - pytał regimentarz, patrząc na swych rodaków

- Skazaliście tych oto ludzi. Czy o to wam chodziło? - wskazał na jeńców - Nie mówiąc już o poległych dziś mężach, których opłakiwać będą niewiasty i dzieci.

- Jestem pewien - odezwał się ksiądz Marek, że polegli woleli zginąć tutaj, niż gdziekolwiek indziej. Walczyli o wolną Rzeczpospolitą!

Branicki podszedł do księdza i zdzielił go po twarzy. Kapłan upadł na ziemię, łapiąc się za głowę.

- Zabierzcie go - zwrócił się do Kozaków Branicki, patrząc z pogardą na barskiego proroka, co zgrywać pragnął XVIII - wiecznego Kordeckiego.

Po tym rozkazie wzięli Rusini księdza, zawlekli za Bar, gdzie porządnie przetrzepali mu skórę. Otrzymali rozkazy wywiezienia tego niebezpiecznego przeciwnika do kijowskiego więzienia, w którym przesiał dobrych parę lat. Tak oto schodził ze sceny barskiej, bynajmniej nie żegnany aplauzem, ksiądz Marek Jandołowicz.

Regimentarz spojrzął na twarze jeńców, to smutne, to rozzalone, przerażone, inne jeszcze nienawistne. Podszedł do niego generał rosyjski i szepnął coś do ucha, uśmiechając się przy tym szyderczo.

- Weźcie część tych buntowników - rozkazał się swojemu oficerowi Branicki. - Rozstrzelajcie dla przykładu. Niech wszyscy wiedzą, co czeka rebeliantów.

Podczas gdy w Barze doszło do stracenia dwustu pięćdziesięciu polskich jeńców, w dukielskim pałacu Jerzego Mniszcha przebywał Kazimierz Pułaski wraz z czołowymi przywódcami konfederacji. Znalazł się wśród nich także Paweł Taszczyński, który za zasługi poczynione dla kraju otrzymał w społeczności barskiej stopień pułkownika oraz własną chorągiew, w skład której wchodziła reszta jego dawnej kompani ułanów i wytypowani żołnierze konfederacji. Dotychczas powstanie poszerzyło się o województwo lubelskie, ziemię halicką oraz braclawszczyznę. Niespełna dwa tygodnie po oblężeniu Baru, tu na dworze Mniszcha doszło do generalnego zjazdu szlachty z Sanoka i Dukli, który skupił przeszło sześć tysięcy ludzi. Ogłoszono akt konfederacji ziemi sanockiej. Jej marszałkiem został Jakub Ignacy Bronicki.

Husaria, która wielce przysłużyła się barskiej sprawie, dalej brała czynny udział w powstaniu. Pod wodzą Józefa Bierzyńskiego tysiąc trzy setny oddział, w skład którego wchodziły chorągwie husarskie oraz pancerne, podjął próbę zdobycia Lwowa.

Dwór Mniszcha stał się miejscem, do którego często przybywali dowódcy barscy. Stał się też miejscem, w którym Paweł zebrał do końca swe siły, aby ponownie móc ruszyć na pomoc ojczyźnie... lecz nie tylko jej...

Pułkownik siedział w bujanym fotelu spoglądając na przepiękny lasek koło dworu w Dukli. Zapach letniego kwiecia i sosen był piękniejszy od wszystkich francuskich, kobiecych perfum. Kolory barwnych kwiatów napawały go optymizmem. Rany prawie w całości się zagoiły. Jedynie na duszy ciążyło mu krwawe znamię, którego nijak nie mógł się pozbyć. Było to znamię pozostawione przez jego własną szablę. Echo jęków dziesiątek osób, których pozbawił życia wbrew woli Pana. Przed dwoma laty, po raz kolejny od czasu walk w wojnie siedmioletniej pozbawił człowieka życia. I choć były to dusze zaprzędane diabłu, Paweł nie mógł znieść widoku każdego, kogo zabił w swym życiu, a którego twarz pojawiała się wiecznie w jego sennych koszmarach. Na szczęście były takie obrazy, które przywoływał ze wspomnień z radością. Najlepiej czuł się, gdy przed oczyma widział Karolinę, możliwe że już Koszczaszową - piękną, błyskotliwą i wiecznie radosną dziewczynę, która jako jedyna w dotychczasowym życiu chwyciła Pawła za serce. Pragnął jej dobra i szczęścia, przy czym swe uczucie ku tej osobie starał się obrócić w miłość do Ojczyzny. Utożsamiał miłość z obowiązkiem. Czuł potrzebę walki w imię idei, wierności i ofiarności...

Raptem usłyszał tętent kopyt. Otworzył oczy i ujrzał gnającego ku niemu jeźdźca. Nie był to zwyczajny kawalerzysta, jeno usarz. Paweł zerwał się z krzesła i wyszedł jeźdźcowi naprzeciw. Gdy znaleźli się blisko siebie, Taszczyński rozpoznał w nim jego przyjaciela, któremu niegdyś ocalił życie - pana Wojciecha Zarembę!

Zdyszany szlachcic opadł z konia, gdy ten zatrzymał się przed dworem. Paweł podbiegł do niego i zdjął z głowy ciężący szyszak.

- Wojciechu! Co się stało? Skąd żeś się tutaj wziął?! - pytał zdenerwowany Taszczyński.

- Żęhyń wzięty...

Obowiązek wzywa...

Przez długi, ciągnący się przez pałac, korytarz podążała zdenerwowana postać. Jej czarne pantofle stukwały rytmicznie o marmurową posadzkę. Wszyscy urzędnicy i arystokraci odziani w kolorowe, szykowne stroje, z białymi perukami na głowach, spoglądali na ubranego w brąz i zieleń mężczyznę. Po jego lewej stronie ciągnął się szereg drzwi do przeróżnych gabinetów i sal, po lewej zaś wielkie okna, przez które z łatwością można było dostrzec dziesiątki powozów i karet lawirujących ulicami Petersburga. W oddali widać było osłepiającą, wodną toń Newy. Mężczyzna dopadł interesujących go drzwi i natychmiast zamknął je za sobą po wejściu. Zasłony w gabinecie przysłaniały okna. W pokoju panował półmrok. Elegant przekręcił znajdujący się w zamku klucz i podszedł bliżej dużego biurka. Postać siedząca za stołem była zwrócona w stronę kotary.

- Zawiodłem Was, Wasza Miłość - odezwał się przybysz - Nie udało mi się

wykonać powierzonego mi zadania. Traktat gwarancyjny, który miał zapewnić nam kontrolę nad Rzeczpospolitą, wznicił powstanie...

- To chyba naturalna reakcja - odparła postać za białym - Żaden naród ceniący swą wolność ponad wszystko, nie przyjąłby takiej ustawy.

- Chcę podać się do dymisji - wtrącił mężczyzna.

- Dobrze, tak się stanie Nikołaju... Wiedz jednak, że spełniłeś swój obowiązek wobec Towarzystwa.

Repnin uniósł głowę, zdziwiony słowami przełożonego.

- Co? Polacy powstali przeciw królowi i nam...

- Przeciw Katarzynie. Do tego zmierzaliśmy, przyjacielu. Spuścić na Moskwę psa, któremu już raz udało się rzucić Rosję do swych stóp. Nadszedł czas na kolejny etap planu.

Przypisy

- [1] Inaczej chorągiew w oddziałach polskich na służbie Sasów
- [2] Murza Rudnicki Czymbaj zmarł w 1763 roku.
- [3] Pretendent do tronu w czasie elekcji 1764 roku
- [4] W XVIII wieku husaria zrezygnowała z kopii
- [5] Znak jedności
- [6] Symbol wiedzy i światłości
- [7] ros. nie strzelać
- [8] Kasztelani wiedli wojska do wspólnego obozu, komendę nad całością sił obejmowali wojewodowie.
- [9] Dnia Dudków
- [10] 23 czerwca 1767 roku
- [11] Inaczej kordegarda, czyli wartownia
- [12] Jędrzej Kitowicz, *Opis Obyczajów* (tu: o milicji miejskiej)
- [13] Pod prezydencją księdza Łopacińskiego
- [14] Zamiast łuckiego - Turskiego
- [15] Generał rosyjski w służbie Piotra Wielkiego
- [16] Hasło wolnomularskie informujące o obecności osoby niewtajemniczonej
- [17] Ogólna nazwa określająca artylerię odprzodową, często w bliskim kontakcie z piechotą uzbrajana w kartacze
- [18] Granat - W Polsce nazywano tak koncerz
- [19] Kurtki podbite futrem noszone przez huzarów
- [20] W rzeczywistości akt spisano wcześniej we Lwowie tej zimy

[21] Pułaskiego i Krasieńskiego

[22] Jeszcze 19 czerwca Branicki pisał do Barczewskiego, aby się poddał, nie chciał bowiem przelewać bratniej krwi.